

BABUNIA.

Boženy Němcowa. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(1)

Dawno, już bardzo dawno temu, jak po raz ostatni w tę miłą, spokojną twarz patrzałem; te blade zmarszczone lica całowałem, w te oczy niebieskie, pełne dobroci i miłości spoglądałem; już dawno temu, jak jej stare ręce mnie błogosławiły — po raz ostatni! Babunia, ta droga Babunia już nie żyje! Dawno spoczywa w zimnej mogile — ale dla mnie nie umarła. — Postać jej zawsze stoi przed duszą moją i stać będzie dopóty, dopóki dusza nieskalaność swą zachowa! — Gdybym był mistrzem pędzla, zapewniebym cię inaczej uczcił Babuniu droga! Szkic, piórem skreślony, jest niedostateczny. Niewiadomo, czy się komu spodoba!

Ale tyś sama mawiała: „Wszystkim na świecie dogodzić nie można“. Mnie wystarczy, jeżeli się choć kilku czytelników znajdzie, którzy historję życia twojego z tem upodobaniem czytać będą, z jakim ja ją pisałem.

I.

Babunia miała jednego syna i dwie córki. Starsza była długie lata we Wiedniu u krewnych, u których też za mąż wyszła. Potem młodsza siostra zajęła jej miejsce w tym domu. Syn wyuczył się rzemiosła, stał się samodzielnym majstrem i ożenił się z mieszczanką. Babunia mieszkała w pewnej wiosce w górach nad granicą Ślązka, spokojne i swobodne prowadząc życie ze starą sługą Elżbietą, rówieśniczką swą, która już u rodziców jej służyła.

Zycie ich nie było jednostajnem, gdyż wszyscy mieszkańcy wioski byli z niemi spowinowaceni. Babunia prawdziwie po macierzyńsku dopomagała im. Nie było chrzcin, wesela, ni pogrzebu, w którychby nie brała udziału.

Nagle nadszedł do Babuni list z Wiednia. Oto córka najstarsza donosiła, że mąż jej jest teraz

w służbie u pewnej księżny, posiadającej wielkie dobra Nachodzkie w Czechach, oddalone zaledwie o kilka godzin drogi od górskiej wioski, gdzie mieszkała Babunia. Odtąd tam stała jej będzie mieszkanie, mąż zaś tylko w letnich miesiącach i podczas pobytu księżny przebywać tam będzie. Na końcu prosiła Babunię usilnie, aby do nich na zawsze przybyła i ostatnie dni życia spędziła w gronie swych wnuków, które jej przybycia z radością oczekują. Babunia rozplakała się, nie wiedziała, co zrobić. Serce jej rwało się do córki i wnuków, których jeszcze nie знаła, długoletnie przyzwyczajenie jednak przykuwało ją do małego domostwa i przyjaciół. Lecz krew — nie woda. Tęsknota zwyciężyła nad przyzwyczajeniem — Babunia postanowiła pojechać. Domostwo z wszystkim, co się w niem mieściło, oddała w opiekę starej Elżbiecie z tą uwagą: „Nie wiem jeszcze, jak mi tam będzie, nie wiadomo nawet, czy jeszcze u was nie umrę“.

Pewnego dnia zajechał wózek przed chatę. Woźnica Wacław władował malowaną skrzynię Babuni, pakę z pierzynami, kołowrotek, którego opuścić nie chciała, koszyk z czterema czubatemi kurami, worek z dwoma czterokolorowymi kotami i na końcu Babunię samą, która przez łyżę nie prawie widzieć nie mogła. Zegnana przez przyjaciół, odjechała wreszcie do swojej nowej ojczyzny.

Co za ciekawość, co za radość panowała w „Starem Bielidle!“ Tak bowiem nazywał się dom, w powabnej dolinie położony, odosobniony od innych, który pani Proszek, córce Babuni, na mieszkanie przeznaczony został. Dzieci co chwilę na ulicę wybiegały, aby zobaczyć, czy Wacław powraca, opowiadając każdemu przechodniowi: „Dzisiaj Babunia przybędzie!“ Zaś między sobą ciągle to jedno omawiały pytanie: „Jak też Babunia wyglądać może?“

Znały one różne babki, których postacie przed ich oczami się przesuwaly, czyniąc w głowach ich wielkie zamieszanie — do której z nich Babunia będzie podobną? — Wtem wózek się zbliżył. „Babunia, Babunia jedzie!“ Rozległo się po domu. Pan

Proszek z żoną — Elżbieta z najmłodszą dziećmi na rękach, która już cokolwiek chodziła, ale mówić jeszcze nie umiała, — reszta dzieci — dwa wielkie psy, Sułtan i Tyras, — wszyscy wybiegli przed dom na powitanie Babuni.

Z wózka schodzi kobieta w ubraniu wiejskiem i białej chustce na głowie, dzieci stoją wszystkie obok siebie, nie odwracając ani na chwilę ócz od Babuni. Ojciec podaje jej rękę, matka ściskając ją płacze — i Babunia zalewa się łzami, całując córkę w oba policzki. Elżbieta podaje jej pyzată Adelkę; Babunia się uśmiecha i nazywając ją swem serduszkim, błogosławi dziecię. Spogląda na resztę dzieci, i najserdeczniejszym głosem rzecze: „Moje złote dzieci, moje skarby, jakże się na was cieszyłam“. Ale dzieci spuściły oczy, stały jak przy-marznięte i dopiero na rozkaz matki podały rumiane buzie Babuni do pocałunku. Nie mogły wcale przyjść do siebie. I nie dziw! Przecież to była zupełnie inna babcia od tych, które dotąd widywały — takiej ich oczy jeszcze nie widziały! Więc nie mogły jej się napatrzeć. Gdzie tylko stanęła, były około niej, oglądając ją od stóp do głowy.

Dzieci podziwiałały ciemny kożuszek, zmarszczone na plecach — zieloną fałdzistą suknię, obszytą szeroką wstęgą; — a chusteczkę w kwiaty, którą Babunia pod białą chustą na głowie nosiła, uważały za niezmiernie piękną — siadały na ziemi, aby się czerwonym podwiązkom na białych pończochach i czarnym pantoflom wygodnie przypatrzeć. Mały Wilemek próbował wyciągnąć kolorową szmatę z koszyka sitowianego, który Babunia na rękach trzymała, a starszy czteroletni Jan, podnosił ostro nie fartuch, biały w czerwone paski. bo pod coś twardego spostrzegł. — Był to wielki skorzany. Jan chętnieby się dowiedział, co było, ale Baśka, najstarsza z dzieci, już licząca, odepchnęła go, szepcząc mu w ucho: „kaj, powiem, że się chcesz do worka Baśki stać!“

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(2)

(Ciąg dalszy).

Szeptanie to było tak głośne, że było go można za dziesiątą ścianą słyszeć. Nie uszło ono też uwagi Babuni, bo urwała rozmowę z córką, otworzyła worek i rzekła:

— Patrzcie, co tu mam.

Potem dobyła różne rzeczy z niego, jak różaniec, nóż, kilka skórek chleba, kawałek wstążki, dwa koniki z marcepanu i dwie lalki. Ustawwszy wszystko na łonie, dzieliła tem dzieci, mówiąc:

— I jeszcze coś wam Babunia przywiozła!

Tu im podawała jabłka i malowane jaja. Potem wypuściła koty z worka i kurczęta z koszyka. Dzieci z radości aż podskoczyły. To jednak była dobra Babunia, najlepsza z wszystkich, które dotąd znały.

— To są koty marcowe, czterobarwne, na myszy wyborne, w domu niezbędne! A kurczęta są oswojone, będą za Bašką jak pieski biegały, jeżeli się nimi zajmie.

Tak Babunia objaśniała dzieciom, które się o wszystko dopytywały, coraz śmielsze i na dobre z Babunią zaprzyjaźnione. Matka je upominała, aby Babuni spokój dały i odetchnąć pozwoliły, lecz Babunia sprzeciwiła się temu:

— Życz nam tej radości, Teresko, my tacy szczęśliwi.

A dzieci tuliły się do Babuni. Jedno jej na łonie siadło, drugie stało za nią na ławie, a Baška stała i prosto jej w twarz patrzała. Dziwili się, jedno babusiny białym jak śnieg włosom, drugie chudym pomarszonym rękóm, trzecie wreszcie zawołało:

— Ale Babuniu, wy macie tylko cztery zęby!

Babunia uśmiechnęła się, giaskała Baške po płowych włosach, naieszcie rzekła:

— Przecież jestem stara; jak wy się podstarzejecie, tak samo wyglądać będziecie!

Ala dzieci nie mogły pojąć, aby ich bieluteńkie, gładkie rączki kiedyś tak zmarszczone być mogły jak ręce starej Babuni.

Babunia już w pierwszej chwili podbiła sobie serca wszystkich wnuków; oddała im się też sercem całym i duszą. Pan Proszek, zięć Babuni, którego ona także osobiście nie знаła, zdobył serce jej przy pierwszym zaraz spotkaniu przez swą serdeczność i miły wyraz twarzy, z której było można dobroć i uprzejmość wyczytać. Jedno jej u niego zaważało: że nie umiał po czesku. A już ona dawno zapomniała była wszystko, co po niemiecku umiała; a tak radaby teraz z Jankiem pogawędziła! — Janek ją pocieszał, że po czesku rozumie, a Babunia wnet spostrzegła, że się w domu dwoma językami rozmawia. Dzieci i służba mówiły do pana Proszka po czesku, a on im odpowiadał po niemiecku, który to język rozumieć poczynały. Babunia miała nadzieję, że z czasem także zrozumie, a chwilowo pomagała sobie jak mogła.

Córkę swą Babunia zaledwo poznała. Miała ją zawsze przed oczyma jako wesołe wiejskie dziewczę, a tu się spotkała z małomówną panią, poważną, w szatach miejskich, o pańskich obyczajach. To nie była już jej Tereska!

Babunia wnet poznała, że gospodarstwo w domu córki zupełnie odmiennie jest prowadzone niż to, do którego była przywykła. W pierwszych dniach radość i wrażenia nowego otoczenia nie pozwalały jej zastanawiać się długo nad tem, ale po mału uczuła się skrepowaną, i było jej brak wolności i swobody w nowej siedzibie i gdyby jej wnuczka żał nie było, zarazby do swej chałupki wróciła.

Pani Tereska miała wprawdzie niektóre swoje pańskie upodobania, ale o to nie mogła się na nią Babunia gniewać, gdyż przytem była bardzo dobra i rozsądna. Matkę swą pani Proszkowa kochała wielce, a i z tego względu niechętnieby ją od siebie była puściła, że sprawowała ona urząd kaszte-

lanki w zamku, a wtedy nie miała nikogo, komu-
by była mogła powierzyć gospodarstwo domowe
i dzieci.

Nie było jej więc miło, gdy spostrzegła, że
Babunia jakoś za czemś tęskni, wnet to odczuła,
a zarazem odgadła, co Babuni brakowało. Pewnego
zatem dnia odezwała się tak do niej pani Tereska:

— Ja wiem, mateczko, żeście przyzwyczajeni
pracować i żeby wam tęskno było, gdybyście mieli
cały dzień tylko z dziećmi chodzić. Gdybyście
więc chcieli praść, to mam na górze trochę lnu,
będę go miała więcej, jak mi się na polu urodzi.
Ale najmilejby mi było, gdybyście chcieli dojrzeć
trochę gospodarstwa. Na doglądaniu zamku, szy-
ciu i gotowaniu spędzam cały dzień, z wszystkim
więc innem muszę się na obcych ludzi spuścić.
Proszę was przeto, matko, zarządzajcie i radzcie
o wszystkim, jak wam się podoba!

— Przyjmuję to z radością, jeżeli ci tylko tem
coś pomódz mogę; wiesz przecież, że do takiej pracy
jestem przyzwyczajona, — rzekła Babunia po-
cieszona.

I jeszcze tego samego dnia poszła na górę zo-
baczyć len, a na drugi dzień widziały zdziwione
dzieci po raz pierwszy w swoim życiu, jak się na
kołowrotku przedzie.

Pierwsze, co sobie Babunia przedsięwzięła w
gospodarstwie, było pieczenie chleba. Nie mogła
znieść, że się służąca z darem Bożym tak bez wszel-
kiej czci obchodzi. Ze nie przeżegnała ciasta ani
go kładąc do dzieżki, ani wyjmując, ani wsadzając
ani wysadzając z pieca, — jakoby cegły w ręce
miała. Babunia, nim kwas zalała, kopyścią dz
przeżegnała, a to żegnanie powtarzało się tak
sto, jak często ciasto do ręki brała, aż chle
na stole. Nie śmiał jej też żaden gap w
drogę, aby jej daru Bożego nie „urzekł”.
Wilemek, gdy wszedł do kuchni przy p
chleba, musiał pamiętać, że ma po
„Szczęść Boże!”

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(3)

(Ciąg dalszy).

Gdy Babunia piekła chleb, miały wnuki kierzmasz; bo każde dostało kołaczyk i malutki bochenek, nadziewany jabłkami, czego dawniej nie było. Ale musiały dobrze uważać na okruchy.

— Okruchy należą do ognia — mawiała babunia, gdy je ze stołu zmiatała i w ogień rzucała. A gdy które z dzieci nakruszyły chleba na ziemię, a babunia to spostrzegła, zaraz kazała okruchy zbierać, mówiąc:

— Po okruszynach się deptać nie należy, bo dusze w czyścicu płaczą.

Także nie chciała widzieć, gdy się chleb nierówno krajało.

— Kto się nie wyrównywa z chlebem, nie zgodzi się z ludźmi — była zwykła mówić.

Raz prosił Janek, aby mu babunia ukrajała chleba z grubszą skórką, bo ją rad jadał, ale babunia tego nie zrobiła i rzekła.

— Nie słyszałeś ty, gdy się zakrawa w skórę chleb, to się Panu Bogu pięty zarzyna? Niech będzie, jak chce, ty się nie ucz wymyślać w jeźdzeniu.

Janek chcąc nie chcąc, musiał się odpowiedzią zadowolić.

Gdy kawałki chleba lub skórki zostały, których dzieci nie zjadły, chowała je babunia do osobnego woreczka; a gdy zdarzyło jej się potem iść koło wody, rzucała okruchy rybom, skórki rozdrabiała podczas spaceru z dziećmi mrówkom lub ptakom w lesie, krótko mówiąc, nie pozwoliła zmarnować najmniejszej rzeczy, a wciąż napominała:

— Szanujcie dary Boże, bo bez nich źle na świecie; kto ich sobie nie waży, tego Pan Bóg skarże.

Upadł dziecku chleb na ziemię, musiało go zaraz podnieść i pocałować, jakby na przeproszenie; znalazła babunia gdzie groch, podnosiła go i cało-

wała ustami wyznaczony na nim kielich. Tego wszystkiego babunia i dzieci uczyła.

Leżało pod nogami gdzie piórko, wnet je babunia ręką wskazała, mówiąc:

— Podnieś, Baśko!

Baśka była często leniwa i odpowiadała:

— Ale babuniu, co tam jedno piórko?

Za to ją babunia zaraz łajała:

— Pomyślże dziewczyno, zbierze się jedno do drugiego i będzie ich dużo, a spamiętaj sobie przysłowie:

— Dobra gospodyni za piórkiem płot przeskoczy!

Pani Proszkowa miała pokój o czterech oknach, w którym ona, pan Proszek i Adelka w kolebce sypiali, i w którym się w święta familijne także obiadowało i podwieczerek podawało, nowomodno meble; te się babuni wcale nie podobały. Zdawała jej się, że na tych wyścielanych stołkach ze rzeźbionymi poręczami dobrze siedzieć nie można, że człowiek musi obawiać się, aby się nie przewrócił, a gdy się oprze, aby ich nie połamał. Na kanapie siedziała wogóle raz tylko; to gdy pierwszy raz na niej usiadła, a sprężyny się pod nią ugięły, tak się biedna staruszka przełękła, że o mało co na głos nie krzyknęła. Dzieci się śmiały, posiadały na kanapie, a skakając po niej, wołały na babunię, aby także usiadła, bo nie ma niebezpieczeństwa. Ale babunia już więcej spróbować nie chciała:

— Dajcie mi spokój — odrzekła — ktoby tam na takie chuśdawki siadał, to właśnie dla was dobre.

Na gładkie półki i komody bała się co postawić, aby politory nie uszkodzić, szafa zaś za szkłem, razem z wszelakimi cackami, stała w izbie tylko na grzech, nawiała babunia. Dzieci lubiły się koło niej bawić i zwykle coś zmajstrowały, a potem ostrą naganę od matki pobierały. Za to chętnie siadała babunia przy fortepianie, piastując małą Adelkę, bo rozplakane dziecię uspakajało się, gdy mu babunia pomalutku klapkami brzękała. Baśka niekiedy uczyła grać babunię jednym palcem:

— Wlazał kotek na płotek.

Babunia wtedy kiwała głową, pośpiewywała dopiero co graną melodyę i tak się odzywała:

— Co też ludzie nie wymyślą! człowiek gotów uwierzyć, że tam ptaszek jaki zamknięty, tak podobnie głos brzmi.

Bez potrzeby nigdy babunia do tego pokoju nie wchodziła. Nie mając na dworze, ni w domu roboty, najchętniej siedziała w swoim pokoiku tuż obok kuchni, przylegającym do izby czeladnej.

Izdebkę miała urządzoną całkiem według własnego upodobania. Przy wielkim piecu kaflowym stała ława, przy ścianie łóżko babuni; koło pieca malowana skrzynia, przy drugiej ścianie łóżko Basi, która po wielkich prośbach za zezwoleniem matki w pokoju babuni sypiała. W pośrodku izby stał stół z lipowego drzewa, a nad nim zwieszał się z pułapu gołabek na podobieństwo świętego Ducha; we framudze okna stał kołowrotek z prząśnicą, ze zawiniętą na cewkę kądzielą; na gwoździu wisiało motowidło, na ścianach były obrazy świętych, nad łóżkiem ozdobiony kwiatami krucyfiks. Za oknem w donicach zieleniły się muszkat i bazylia; znajdowały się tam także płócienne woreczki z różnemi ziołami, jako to: rumiankiem, kwiatem lipowym, bzowym i t. p. Była to apteka babuni. Przy wejściu wisiała cynowa kropielniczka. W stoliku miała babunia przybory, potrzebne do szycia, pliki nabożnych pieśni, krzyżową drogę, motki sznurków, święconą kredę i świecę gromniczną, którą zawsze pod ręką miała, zapalając ją w czasie burzy. Na piecu leżało próchno z krzesiwem. Do rozniecenia ognia używano wprowadzanych flaszeczki z fosforem, ale babunia stroniła od tego zdradliwego środka. Raz go tylko użyć chciała, nie wiadomo, jakim sposobem wypaliła sobie przytem dziurę we fartuchu, który już dwadzieścia lat posiadała, — o mało co się wtedy nie ucinała. Od tego czasu flaszeczki nigdy do rąk nie wzięła. Natomiast zaopatrzyła się w próchno, a dziećmi nosiły suchych gałązek i umoczyły końce w wodzie. Kiedy wszystko to leżało przyrządzone na piecu, babunia spokojnie spać. I dzieciom się to więcej podobał, bo się co dzień pytały babuni, czy nie potrzeba namoczyć siarników.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(4)

(Ciąg dalszy).

W izbie Babuni najczęściej się dzieciom podobała malowana skrzynia. Z upodobaniem patrzyły na niebieskie i zielone róże z brunatnem liściem w czerwonym polu i na złotoczerwone ptaki między białemi liliami. Najwięcej się cieszyły, jak Babunia skrzynkę otworzyła. Było się też czemu dziwować! Wewnętrzna strona wieka była całkiem oblepiona obrazkami i modlitwami — były to same pamiątki z odbytych odpustów. A co dopiero w półskrzynku było! Rodzinne dokumenty, listy od córek z Wiednia, woreczek płócienny ze srebrnemi pieniędzmi, które jej dzieci na zapomogę przysłały. Babunia z nich nie brała, lecz je chowała na pamiątkę. Było tam i pięć sznurów czeskich granatów w drewnianem pudełku, a przy nich wisiał srebrny pieniądz z podobizną cesarza Józefa i Maryi Teresy. Otwierając to pudełko Babunia, wspominała z zadowoleniem:

— Słuchajcie, kochane dzieci, te granaty ofiarował mi nieboszczyk wasz dziaduś w dzień wesela a talara dostałam od samego cesarza Józefa; był to hojny pan — wieczny odpoczynek racz mu dać Panie! — Po mojej śmierci będzie to wszystko wasze, — kończyła Babunia, zawierając pudełko.

— Ale Babuniu, jak to było, że wam cesarz pan dał talara? — zapytała pewnego razu Baśka.
— Opowiedzcie nam!

— Przypomnijcie mi inny raz, — odrzekła Babunia — to wam opowiem.

Prócz tego miała Babunia w półskrzynku dwa, relikwiami świętych pocierane różańce, wstążki do czepca i łakotki dla dzieci.

Na dnie skrzynki leżała bielizna Babuni i reszta jej mienia: suknie, fartuchy, kabatki letnie, staniki i chustki; wszystko było w największym

ładzie. Na samym wierzchu leżały dwa czepece. Babunia nie pozwalała dotykać się tych rzeczy dzieciom; lecz gdy była w dobrym humorze, wymawiała jedną rzecz po drugiej, mówiąc:

— Widzicie, moje miłe, ten kanafas mam już pięćdziesiąt lat, w tem tu kabatku chodziła wasza prababka, ten oto fartuch ma tyle lat co wasza matka — wszystko jeszcze jak nowe, a wy ubrania wnet zniszczycie, bo nie znacie wartości pieniędzy. Widzicie, ten jedwabny kabat kosztował sto reńskich dzisiejszych — wtedy się jeszcze banknotami płaciło.

Tak Babunia opowiadała dzieciom, które słuchały ze skupieniem, jakby wszystko rozumiały.

Pani Proszkowa namawiała Babunię, aby się w inne suknie przebrała, wygodniejsze, jak w dobroci swej duszy myślała, ale Babunia nie zmieniła na sobie ani jednej lamówki a często powtarzała:

— Pan Bóg by mnie starą babę musiał ciężko skarać, gdybym chciała młody świat naśladować, takie nowości nie dla mnie, to nie na mój rozum.

Zostało więc przy starem.

Niedługo słowo Babuni było święte w domu; wszyscy ją „Babunią“ nazywali, a co rozkazała lub zrobiła, było dobre.

II.

W lecie budziła się Babunia o czwartej, w zimie o piątej godzinie. Nasamprzód przeżegnała się i pocałowała krzyżyk od różańca, który zawsze przy sobie nosiła, w nocy zaś pod głowę kładła. Tak z Panem Bogiem dzień rozpoczynała; potem się ubierała, przeżegnała się święconą wodą, wzięła wrzeciono w ręce i śpiewała pieśni poranne. Biedna staruszka, sama długo spać nie mogła, lecz widząc jak słodki jest sen, szanowała go u innych.

Po godzinie dawało się słyszeć jednostajne kłapanie pantofli, skrzypnięcie drzwi jednych i drugich, Babunia pokazała się w progu. W okamgnieniu zageęgały gęsi w chlewiku, świnie zachręczały, krowa zaryczała, kury trzepały skrzydłami, koty też skądś przybiegły i łasiły się koło niej. Psy

wyskoczyły z bud, wyprostowały się i jednym sussem znalazły się przy niej, tak że biedaczka musiała się bronić, aby jej nie wywróciły lub nie wytrąciły z ręki kobiałki z ziarnem dla drobiu przeznaczonem.

Babunia lubiła te zwierzęta, co niemem spojrzeniem zdawały się dziękować za okazaną im pieczołowitość. Ale też biada temu, któryby swawolnie zwierzęciu dokuczył, a choćby najmniejszemu robaczkowi!

— Co człowiekowi szkodę lub pożytek przynosi i zabite być musi, z tem trudna rada, zabijcie je, lecz nie męczcie — mawiała.

Dzieciom nie było nawet wolno przypatrywać się zarznięciu kury, boby ją żałowały, przez coby kura długo skończyć nie mogła.

Pewnego razu rozgniewała się bardzo na psy Sułtana i Tyrasa, ale też powód do tego był nieładny! Podkopały albowiem kurnik i rozdarły w jedną noc dziesięć pięknych zółciutkich jak lite złote kacząt, które się chowały aż miło. Babuni ręce opadły, gdy otwierając rano kurnik, wystraszoną kura z trzema tylko kaczętami wybiegła, lamentując bezustannie, jakoby się skarżyła nad losem pozostałych kacząt, które w miejsce prawdziwej, ciągle się włóczącej matki, wysiedziała. W pierwsze chwili miała w podejrzeniu kunę, lecz ujrawszy ślady stóp, wnet się przekonała, że to psy były do tego te właśnie, które podwórza pilnować miały. Babunia oczom wierzyć nie chciała. Na dotychczasowe jeszcze się łaszą i przymilają, jakby się nie ważyły do winy. Takie postępowanie rozgniewało Babunię do reszty!

— Precz odemnie, hołoto! Co wam uczyniły? Czyście głód miały? Nie prawdy! Najbardziej swawoliście to zrobiły! Precz odemnie! Na oczy nie pokazujcie!

Psy pospuszczały ogony i zbiegły z bud.

Lnbo to było jeszcze bardzo wczesne poranku, Babunia do córki, szczerze jej się żaliła.

«Ciąg dalszy nastąpi»

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(5)

(Ciąg dalszy).

Pan Proszek widząc bladą i zmienioną twarz Babuni, myślał, że się złodzieje do komory zakradli lub Baśka umarła. Gdy zaś o całym zajściu usłyszał, roześmiał się serdecznie. Co jemu tam parę kurcząt znaczyło! Ani on je podsadzał, ani widział, jak się wykluwały, jak pięknie po wodzie pływały, jak nurkowały pod wodą, przebierając nóżkami w powietrzu. Panu Janowi tylko o dobrą pieczeń chodziło. Lecz prawu i sprawiedliwości musiało się stać zadość! Wziął więc bykowiec i dał psom porządną naukę.

Gdy Babunia hałas w podwórzu usłyszała, pomyślała choć jej przykro było:

— Nie ma innej rady! Porządek jest podstawą świata, będą sobie pamiętały.

Lecz gdy po upływie godziny psy się nie pokazały, poszła zobaczyć do bud, czy może pan Proszek za surowo ich nie ukarał.

— Co się stało, to się nie odstanie — pomyślała w duchu, zaglądając do psich bud, a przecież zwierzęta takie mają czucie.

Na jej widok psy zaczęły skomleć, żałośnie na nią spoglądać i prawie na brzuchach do jej nóg się czołgać.

— Zal wam teraz? Widzicie? Tak się z nieponiami obchodzić trzeba. Spamiętajcie to sobie!

I widocznie psy to zrozumiały. Bo ilekroć gąsięta lub kaczęta pojawiły się w podwórzu, psy odwracały się w inną stronę, lub zupełnie się oddalały, przez co łaskę Babuni odzyskały.

Po zaopatrzeniu drobiu Babunia obudziła służące, jeżeli już same nie były wstały. Dopiero po szóstej godzinie przystąpiła ku łóżku Baśki, całując ją z lekka w czoło — bo tak się najprędzej dusza obudzi — i szeptała jej w ucho:

— Wstawaj, dziewczeczko, wstawaj, już czas!

Ubrawszy ją, zaglądała do sąsiedniego pokoju, czy malcy powstawały. Zdarzyło się, że się jeszcze w łóżkach rozwałali, wytrzepała ich po plecach, napominając:

— Wstawajcie, wstawajcie! Kogut już dziewięć razy śmiecisko obleciał, a wy jeszcze śpicie, czy się nie wstydzicie?

Potem się dzieciom umyć pomagała, ale z ubiorem ich nie miała szczęścia, bo nie mogła sobie poradzić z licznymi guziczkami, haczykami, temi drobnostkami przy bluzkach i sukienkach; co należało na przodek, obracała w tył i odwrotnie. Z ubraniami dziećmi uknęła przed obrazem Chrystusa Pana, błogosławiącego dziatki, i odmówiła „Ojcze nasz“, poczem je na śniadanie prowadziła.

Gdy nie miała ważniejszej roboty w obejściu domowem, siedziała Babunia zimą w swej izdebce przy kołowrotku, latem zaś z wrzecionem w podwórzu pod lipą lub w ogrodzie, albo też chodziła z dziećmi na przechadzkę. Przy tem zbierała zioła lekarskie, które w domu suszyła i na wypadek choroby chowała. Przed św. Janem Chrzcicielem zbierała zioła za rosy, bo w tej właśnie porze roku i raniuteńko zebrane miały być bardzo dobre. Gdy nadeszła jaka choroba, Babunia miała już ziołka zaradcze, jako to piołun na chory żołądek, rzepik na ból gardła i t. p. Lekarza nie radziła się nigdy w życiu.

W dodatku przynosiła do domu pewna kobieta z gór olbrzymich zioła lekarskie, które Babunia wysoko ceniła, zakupując je zawsze na zapas. Handlarka przychodziła corocznie o podzimku i bywała gościem w „Starem Bielidle“, gdzie ją we dnie i w nocy częstowali. Co rok przywiozła dzieciom po garstce kichawca, pani domu zaś rozmaitych pachnących kadzideł i mchu, prócz tego opowiadała baba cały wieczór dzieciom o Rybcału i jego psotach w górach dokonanych, o jego grozach w drodze do księżniczki Kasińki, swej oblubienicy hen w górach, co się od niej „Kasińczyne“ nazywają. Opowiadają, że księżniczka nie znosi go długo u siebie i wnet wypędza; więc rozpacza z boleści i płacze, aż potoki górskie wzbierają. Wtedy lituje się księżniczka nad nim i wola go do siebie, a on uradowany z takim pospiechem wraca, że wszystko po drodze wrywa, przewraca, strzechy zrywa i z sobą odnosi. Wala się wtedy lasy, przewracają skały — słowem: kędy idzie, wszystko w niwecz obraca, jakby za dopuszczeniem boskiem.

Co rok korzeniarka te same korzonki przynosiła, te same bajki opowiadała, lecz dzieciom zawsze

one były nowe, zawsze ciekawe. Już z pojawieniem zimokwitu mawiały:

— Niedługo musi nadejść korzeniarka z gór.

A gdy się o kilka dni spóźniła, Babunia frasowała się i pytała:

— Co się z handlarką stało? Czy Pan Bóg chorobę na nią zesłał? Chyba jeszcze nie umarła?

I mówiono o niej dopóty — dopóki się nie pokazała w podwórzu z koszem na plecach.

Często chodziła Babunia z dziećmi na dalekie przechadzki, bądź to do domu leśniczego, lub do młyna, bądź to daleko do lasu, gdzie swiergotały ptaki, rozpościerały się kobierce miękkiego mechu pod drzewami, i rosły pachnące konwalie, pierwiosnki, zawileje, gwoździki, krzaki dzikich łyków i prześliczne złocienie. Najwięcej złocieni przynosiła im blada Wikcia, gdy spostrzegła, że wieńce wiją. Wikcia była zawsze blada, oczy jej się żarzyły jak dwa węgle, czarne jak krucze skrzydło wiosy miała rozczochrane, nigdy nie była porządnie odziana, nigdy do nikogo słowa nie mówiła. Na skraja lasu pod starym dębem stała Wikcia całymi godzinami, spoglądając w dal na tamę w rzece. Gdy zmrok zapadał zbliżała się do tamy, siadała na omszonej poręczy, oka od wody nie odwracała i do późnej nocy śpiewała.

— Ale Babuniu — pytały się dzieci — czemu to Wikcia nigdy pięknych szat nie ma, nawet w niedzielę? Czemu nigdy nie mówi?

— Bo jest niespełna rozumu.

— A jak to bywa, gdy się jest niespełna rozumu? — nalegały dzieci.

— No, jak człowiek nie ma dobrego rozumu.

— A co człowiek robi, jak nie ma dobrego rozumu?

— To, co naprzykład Wikcia, która do nikogo nie mówi, obdarto chodzi, mieszka w jaskini leśnej zimą i latem.

— A w nocy także? — zapytał Wilemek.

— Tak! Wszakże słyszycie, jak do nocy przy tamie śpiewa; potem idzie do jaskini spać.

— A nie boi się świetlaków i topielic? — pytały dalej zdziwione dzieci.

— Ha! ha! Topielic wcale nie ma! — odparła Baśka, — tatuś nam to powiedział.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(6)

(Ciąg dalszy).

W lecie przychodziła Wikcia rzadko do wsi, ale w zimie zachodziła jak wrona koło domu, pukająca wreszcie w okno lub w drzwi, nadstawiała rękę, a gdy otrzymała kawałek chleba lub co innego, odchodziła, nie mówiąc słowa. Dzieci, zauważywszy na zmarzłym śniegu krwawe ślady jej stóp, wołały za nią:

— Wikcia, Wikcia! chodź do nas; mamusia ci da trzewiki; możesz u nas całkiem zostać!

Lecz Wikcia ani się obejrzała i odchodziła do lasu.

Wieczory letnie babunia lubiła spędzać z dziećmi pod lipą, gdy niebo było pogodne i od gwiazd się iskrzyło. Póki Adelka była mała, brała ją babunia na łono, Baśka zaś z chłopcami zajmowała miejsce u jej kolan. Nie mogli się też inaczej ustawić, gdyż babuni, gdy zaczęła mówić, na usta patrzyły.

Babunia opowiadała o ślicznych aniołach, co tam wysoko przebywają i te niezliczone światła dla każdego człowieka zapalają; o aniołach stróżach, co dzieci na wszystkich ścieżkach żywota strzegą, radują się, gdy są ucziwe a płaczą, gdy są nieposłuszne. Dzieci zwracały oczy swe ku jasnemu niebu, na którym tysiące tysięcy gwiazd świeciło, małe, średnie i wielkie, a najpiękniejszymi barwami iskrzące.

— Któraż też jest gwiazda moja? — zapytał się pewnego wieczora Janek.

— To tylko Pan Bóg wie. Bo pomyśl, czy byłoby możliwe między temi milionami gwiazd twoją oznaczyć? — odpowiedziała babunia.

— A czyje są te wielkie, piękne gwiazdy, co się tak bystro świecą? — pytała Baśka.

— Te są onych ludzi, których Pan Bóg pokochał — wybrańców Bożych, którzy dużo dobrych

uczynków zdziałali i Pana Boga nigdy nie obrazili, — odpowiadała babunia.

— Babuniu, — zapytała znów Baśka, gdy od strony tamy nadleciało głośnie echo urwanej piosenki, — czy Wikcia też ma swą gwiazdę?

— Ma, ale jest przyémiona; a teraz chodźmy do domu, położę was w łóżko, bo czas spać, — rzekła babunia, gdyż zmrok zapadał. Odmówiła potem z nimi: „Aniele strózu mój!” przeżegnała święconą wodą i położyła spać. Mali zaraz posnęli, ale Baśka często jeszcze przywoływała babunię do łóżka i prosiła:

— Usiądźcie przy mnie, babuniu, nie mogę zasnąć!

Wtedy ujęła ją babunia za rączkę i odmawiała z dziewczęciem modlitwy dopóty, dopóki ócz nie zamknęło.

Babunia chodziła spać o dziesiątej; to była jej godzina, którą w oczach czuła. Do tej pory wszystko była robiła, co sobie z rana przedsięwzięła. Nim się położyła, obejrzała, czy wszystko było zamknięte; potem zwołała koty i zawarła je na górę, aby się nie dostały do dzieci w pokoju, wygasiła iskry w piecu, i postawiła na stole próchno, krzesiwo i szczypy. Gdy się zanosilo na burzę, ustawiła gromniczną świecę na podrędziu, a owinawszy chleb w białą szmatę, kładąc go na stół, do służących mówiła:

— Pamiętajcie, byście na wypadek ognia nasamprzód chleb wyniosły, to się nikt nie spali.

— Ale babuniu, co mówicie! Gdzieby tam uderzyło! — przeczyły służące, ale tem babuni do przekonania nie trafiły, bo zaraz łajała!

— Jeden Pan Bóg jest wszechwiedzący? Co wy o tem wiedzieć możecie! Oględnością zaś nikt nie zgrzeszył, — to sobie spamiętajcie!

Gdy wszystko było w porządku, uklękła przed krucyfiksem, modliła się, przeżegnała siebie i jeszcze raz Baśkę święconą wodą, różaniec położyła pod głowę i z Bogiem na ustach zasypiała.

III.

Gdyby człowiek, przyzwyczajony do hałaśliwego życia we wielkiem mieście zwiedził odoso-

bniony dom w dolinie, w którym rodzina Proszek mieszkała, zapewniaby pomyślał:

— Jak tu ci ludzie cały rok żyć mogą? Chybabym podczas rozkwitu róż tu wytrzymał; dłużej, z pewnością nie! Boże! co za jednostajne życie ci ludzie prowadzić muszą!

A jednak było tam dużo odmiany i wesołości, którą tylko nadzwyczajna jaka okoliczność zamącić mogła, jak np. odjazd pana Proszka do stolicy lub choroba którego z domowników.

Był to domek nie wielki, ale schludny. Około okien, położonych na wschód, pięł się winograd; przed domem był ogródek, pełny róż, fiołków, rzędy, sałaty, pietruszki i różnych jarzyn. Od północno-zachodniej strony domku stała stara grusza, zwieszająca swe konary na dach gontowy, pod którym się mnóstwo jaskółek gnieździło. Na środku podwórza stała stara lipa; pod nią ławka. Na południo-zachód znajdowała się szopa i chlewiki, poza tem rozciągały się zarośla aż do tamy rzecznej. Dwie drogi biegły koło domu. Jedna, dla wozów ładowanych przeznaczona, prowadziła przy samej rzece w górę do ryzenburskiego dworu i „Ozerwonych Gór“, druga wzdłuż rzeki do młyna i bliskiego miasteczka, zaledwie o godzinę dalej w zagłębieniu położonego. Rzeka nazywa się „Dzika Upa“, wytryska ona w Górach Olbrzymich, spada ze skał i zrębów, wije się przez doły i przepaście, wypływając wreszcie na równinę i już potem bez przeszkody między zielonemi brzegami spieszy do Łaby.

Przed domkiem, tuż pod płotem, prowadziła ścieżka, równoległa z potokiem, do młyna. Na przeciw domu był mostek, przez który się do piekarni i suszarni chodziło. W jesieni, gdy suszarnia napełniona była śliwami, jabłkami i gruszkami, Janek i Wilemek często biegli przez mostek na pochyłość, oglądając się przy tem uważnie, aby ich babunia nie dojrzała. Przeworność ta nie przydawała im się na nic. Bo gdy babunia do suszarni weszła, zaraz wiedziała, ile śliw brakowało i kto to mógł być.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(7)

(Ciąg dalszy).

— Janek, Wilemek! Chodźcie tu! — wołała, a gdy po chwili nadeszli, jakby pytając, mówiła: — Mnie się zdaje, żeście wy tu śliwek nabrali.

— Nie, nie, Babuniu! Myśmy nic nie wzięli — wypierali się chłopcy, mocno się rumieniając.

— Nie kłamcie! — groziła Babunia, — czy nie wiecie, że was Pan Bóg słyszy?

Chłopcy wtedy uciekli i było to już wyznaniem dla Babuni. Chłopcy nie mało się dziwili, że Babunia wnet o wszystkim zapomniała. Nie kryli się więc z niczem przed nią i zaniechali niezręcznych wymówek.

Gdy w lecie było gorąco, rozbierała Babunia dzieci do koszulki i prowadziła kąpać do rzeczki, wybierając na to tylko miłkie miejsca, gdzie woda nie wyżej kolan sięgała, bo się obawiała, by nie utonęły; lub też siedziała z nimi na ławie, na której kobiety kijankami płukały bieliznę, kazała im nogi kąpać i bawić się rybkami, które jak strzały w wodzie się mijały. Nad wodą rosły ciemnolesne olsze i wierzby; dzieci łamały sobie z nich pręciki, które potem na wodę rzucały, patrząc za nimi, jak się oddalały, dalej, coraz dalej, póki im z ócz nie znikły.

— Pręciki dalej, do prądu rzucać trzeba — pouczała Babunia dzieci; — bo gdy przy samym brzegu płyną, zatrzymuje je każda trawka, każdy korzonek.

I Baśka urwała pręcik, rzuciła go na bystrą wodę, a spostrzegłszy, że się szybko oddala, zapytała Babunię:

— A co się z nim stanie, Babuniu, gdy przepłynie do stawidła i znajdzie drogę zagrodzoną.

— Przepłynie stawidło, — twierdził Janek; czy nie pamiętasz, co się stało, jak onegdaj wrzuciłem kawałek drzewa tuż przed samą tamą? To-

czył się w koło, raz, drugi, trzeci, nagle skoczył na koło młyńskie, a nimem przebiegł na drugą stronę młyńską, już się znajdował w potoku i płynął prędko do rzeki.

— A dokąd potem płynie? — spytała się Baśka Babuni.

— Od młyńskich płynie do mostu, od mostu pod zrabem w przepaść, od przepaści zaś przez tamę w dolinę i skręca potem koło barwiskiego kopca w stronę browaru; pod skałą przeciska się między kamieniami ku szkole, do której na przyszły rok chodzić będziesz. Od szkoły płynie znów przez tamę ku wielkiemu mostowi na błoniach aż do Zwoli, z Zwoli do Jaromierza i nareszcie wpada do Łaby“.

— A potem dokąd, Babuniu? — wypytywała dalej Baśka.

— Dalej, wciąż dalej, aż wpadnie do morza.

— Ach! do morza! A gdzież jest morze? Jak ono wygląda?

— O, morze jest szerokie; a do niego daleko, stokroć dalej jak do miasta — odpowiedziała Babunia.

— A co się tam stanie z moim pręcikiem? — odezwało się smutnie dziewczę.

— Będzie się kołysać na bałwanach a wypłynie na brzeg. Na brzegu będzie dużo ludzi i dzieci; może pacholę jakie pręcik podniesie i pomyśli:

— Zkądżeś przyplynał, pręciku mój? Kto ciebie puścił na wodę? Może się dziewczynka bawiła nad rzeką, tam gdzieś w oddali, urwała cię i puściła na wodę!

A pacholę zanieśnie pręcik do domu i zasadzi w ziemi; z pręcika wyrośnie ładne drzewo, z którego śpiew ptasząt rozlegać się będzie.

Baśka westchnęła głęboko i zamyślona upuściła do wody zakasane suknie, aż je Babunia wykrecić potem musiała. Znajomy im leśniczy przekodził właśnie i spostrzegłszy Baśkę, zawołał:

— Baśko, ty topielecze!

Baśka, przecząc głową, odrzekła:

— O nie, nie; wszakże ja nie jestem topielcem!

Ilekroć pan leśniczy koło „Starego bielidła” przechodził, Babunia zawsze w te słowa się odzywała :

— Wstąpcie do nas, panie kumotrze, wszystkich zastaniecie w domu.

Niekiedy pan leśniczy wymawiał się, że musi doglądać młodych bażantów, które się klują lub że ma pilny interes do lasu, lub Bóg wie jakie inne wymówki; lecz już go zoczył pan Proszek lub pani Proszkowa, a wtedy chcąc nie chcąc wstępować musiał.

U pana Proszka znalazł się zawsze kieliszek dobrego wina dla miłego gościa, a takim był pan leśniczy. Po chwili Babunia przyniosła chleba i soli i innego poczęstunku, a pan leśniczy rozsiedział się, zapominając nawet o klujących się bażantach. Potem się zrywał, klnąc swe niedbalstwo, a przerzuciwszy strzelbę przez ramię, szybko odchodził. Wyszedłszy w podwórze, a nie znajdując psa :

— Hektor, Hektor! — krzyknął raz po raz; daremnie! Hektora nie było. — Po którymże przedpiekciu się włóczy? — wybuchał gniewnie, zwracając się do chłopaków o pomoc, którzy go szukać pobiegli. Tymczasem leśniczy siadał pod lipą na ławie.

Jeszcze ze ścieżki wołał na Babunię:

— A przyjdźcie też do nas; moja stara ma dla was jaja od kur tyrolskich!

Pan leśniczy znał słabe strony gospodyń.

Zaraz też Babunia odpowiadała:

— A pozdrówcie wszystkich w domu, niedługo będziemy u was.

Tak się za każdym razem przyjaciele rozchodzili.

Pan leśniczy przechodził nieomal co dzień koło „Starego Bielidła” i to jak rok długi.

Inny człowiek, którego było można widzieć dzień w dzień około dziesiątej godziny zrana na ścieżce koło „Starego Bielidła”, był młynarz. Chodził on oglądać służbę przy tamie, wzwyż od ~~Banku~~ się znajdującej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé, Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(8)

(Ciąg dalszy).

Babunia mawiała o nim — czyli o „panu ojcu“, jak go ogólnie nazywano — że to człowiek rozsądny, ale figlarny, a to z tej przyczyny, że „pan ojciec“ rad psoty płatał i żartował; przytem się nigdy sam nie rozśmiał, oko tylko zmrużył i usta ściągał, ale spojrzenie jego było wcale wesołe. Był to mężczyzna średniego wzrostu, przysadzisty, który przez cały rok nosił białe spodnie, czemu się chłopcy dziwowali, póki im „pan ojciec“ nie wytłomaczył, że to jest kolor młynarski. W zimie nosił długi kożuch i ciężkie buty, w lecie modrą kamizelę, białe kamasze lub pantofle. Na głowie nosił w powszednie dni niską czapkę, obszytą barankiem; spodnie były zawsze zagięte, czy była pogoda czy deszcz, a bez tabakierki jeszcze go nikt nigdy nie widział. Jak go dzieci spostrzegły, biegły zaraz na przeciwko, pozdrawiały grzecznie i odprowadzały aż do tamy.

Często droczył się „pan ojciec“ z Wilemkiem i Jankiem, pytając się, bądź to jednego:

— Czy wiesz, gdzie pinkawa nosem siada? — bądź to drugiego:

— Wiesz, gdzie jest ten i ten kościół? — lub zagadywał Janka:

— Umiesz-li już wyrachować, ile kosztuje grajcarowa bułka, jeżeli za korzec pszenicy dziesięć reńskich płacą?

Gdy mu się zaś chłopiec śmiało odciął, odpowiadał:

— No, no, widzę, że z ciebie dzielny chłopak; mogliby cię wybrać w Kramolnej na sołtysa. (Kramolna była to mała miejscowość, kilka domów licząca, która nie miała sołtysa.)

Zawsze częstował chłopców tabaką, a gdy mocno kichać zaczęli, milczał i jedno oko przy-mrużając usta wykrzywił.

Adelka się zawsze za Babunią suknię cho-
wała, gdy „pana ojca“ dojrzała; nie umiała bowiem
jeszcze dobrze mówić, a „pan ojciec“ zawsze nale-
gał, aby prędko trzy razy za nim powtórzyła:

— Nasze krokiewki są z wszystkich krokie-
wek najwięcej kręte.

Biednej Adelce zbierało się na płacz, gdy ją
„pan ojciec“ tak drażnił. Za to dostawała często
od niego koszyczek poziomek, orzechów lub innych
łakoci, a gdy jej „pan ojciec“ dobrze chciał pochle-
bić, nazywał ją „małą pliszką“.

Również przechodził codziennie o zmroku koło
„Starego Bielidła“ „długi Mojżesz“, pański stróż.
Był wysoki jak tyka, brzydki, a nosił zawsze wo-
rek przez ramię zarzucony. Elżbieta, służąca, wma-
wiała w malców, że do tego worka zbiera niepo-
słuszne dzieci i odtąd się dzieci na widok Mojżesza
rumieniły jak buraki. Babunia wprawdzie Elżbie-
cie takich bajek zakazała, lecz gdy druga służąca,
Urszula, napomknęła, że Mojżesz jest złodziejem,
że mu się wszystko do palców przyklepia, już się
Babunia nie sprzeciwiała temu. Mojżesz był więc
dla Babuni człowiekiem napiętnowanym, a dla dzieci
zawsze groźnym, chociaż już nie wierzyły, że do
worka dzieci zbiera.

W lecie, gdy byli państwo w zamku, widy-
wały dzieci często księżną jadącą konno na spacer.
Piękna księżna jechała zawsze na przodzie, za nią
dużo pań i panów. Gdy młynarz razu pewnego
księżną na koniu zobaczył, rzekł do Babuni:

— Gdy księżna konno jedzie, podobna jest do
komety, która wlecze ogon za sobą.

— Ale panie ojczy, — odezwała się Babunia,
— księżna pani, a kometa, to jednak nie to samo.
Bo gdy się ta miotła boża na niebie pokaże, to lu-
dziom tylko na nieszczęście, ale państwo zawsze
ludziom pożytek przynoszą, — mawiała Babunia.

Pan ojciec poczynął wtedy obracać tabakierę
pomiędzy palcami jak kamień młyński, co było
jego zwyczajem, potem wykrzywił usta i nie już
nie mówił.

Wieczorem przychodziła w odwiedziny do Ba-
buni i dzieci Krystyna, córka właściciela gospody,

położonej obok młyna. Była to dziewczyna czerstwa jak gwoździak kwitnący, figlarna jak wiewiórka, wesoła jak skowronek; Babunia bardzo ją lubiła, nazywając ją „śmieszką“, bo się bardzo rada śmiała.

Krystyna przychodziła tylko na chwilę, na słówko, pan leśniczy rozsiadał się na długo, pan młynarz na okamgnienie, a gdy się pani młynarzowa tedy owedy do „Starego Bielidła“ wybrała, to z wrzecionem, aby prząść, żona leśniczego zaś „tylko na pół godzinki“, bo piastowała niomowę, lecz gdy pani rządczyni ze zamku miała zaszczyć swojem przybyciem dom państwa Proszków, to pani domu z powagą mawiała:

— Dziś oczekuję wizyty!

Babunia wtedy opuszczała z dziećmi dom; nie miała ona serca, aby kogo nienawidzić, ale pani rządczyni nie lubiła, — gdy i ta się wynosiła nad stan.

W pierwszych dniach pobytu Babuni u córki przyszła ona z dwoma innymi paniami w odwiedziny. Pani Proszkowa była właśnie wyszła. Babunia poprosiła wedle swego zwyczaju gości, aby usiedli, przyniosła chleba i soli i prosiła uprzejmie, aby panie jadły. Ale te zacne niewiasty dziękowały, pogardliwie przytem sarkając, i oświadczyły, że nie mają głodu. Potem z uśmiechem na sobie spojrzwały, jakoby chciały powiedzieć:

— Ty głupia, prosta babo; co ty sobie właściwie myślisz?

Pani Proszkowa zaraz przy wejściu spostrzegła, że Babunia uchybiła pańskim obyczajom i po odejściu gości tłumaczyła matce, że się takim paniom chleba nie podaje, bo one są do innych rzeczy przyzwyczajone.

— Wiesz co, Teresko, — odparła rozgniewana Babunia, — kto ode mnie nie przyjmie chleba i soli, nie jest godzien, abym mu stołek podała. Rób, jak chcesz; ja się na takich nowościach nie znam.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(9)

(Ciąg dalszy).

Do gości, którzy tylko rzadko kiedy do „Stazego Bielidla“ zawitali, w pierwszym rzędzie należał kupiec Włoch. Przyjeżdżał wózkiem o jednym koniu. Na wózku miał różne łakocie, jak to: migdały, rodzenki, figi, pomarańcze, cytryny; prócz tego perfumy, drogie mydła i t. d. Na wiosnę i jesień pani Proszkova kupowała od niego większe zapasy; z wdzięczności za to, kupiec Włoch dawał po kryjomu dzieciom cukierki. Babunia rada na to patrzała, mówiąc:

— To grzeczny człowiek z tego Włocha, tylko mi się u niego ta chciwość nie podoba; on gotów się od jałowej krowy cielecia domagać!

Babunia wołała się targować z olejarczykiem, który także dwa razy na rok z olejkami przyjeżdżał; babunia kupowała od niego balzam jerozolimski na rany, a do umówionej ceny jeszcze mu kawał chleba dodawała.

Także druciarza i żyda witała z miłą uprzejmością; byli to zawsze ci sami ludzie, jakby spokrewnieni z rodziną Proszków. Lecz gdy się kiedy zdarzyło, że się tułacze cygani w zagrodzie pokazali, to się babunia zlekła. Zaraz im coś do jedzenia wyniosła, mówiąc:

— Nie zaszkodzi, gdy ich człowiek aż na ścieżkę wyprowadzi.

Najmilszym jednak z tych wszystkich dorocznych gości był dzieciom i całej rodzinie pan Beyer, leśniczy z Marswendorfu w Górach Olbrymich, przybywający co lato w dolinę dozorować drzewa, które flisacy na Upie spławiali.

Pan Beyer był to człowiek wysoki, chudy, muskularny i kościsty. Miał ściągłą, podłużną twarz, wielkie, jasne oczy, orli nos, kasztanowate włosy i tęgi wąs, który na dół cesał. Ryzenburski zaś leśniczy był otyły, zawsze gładko uczesany, czerwony na twarzy, z malutkim wąsikiem. Pan Beyer miał włosy rozdzielone nad czołem, które w tyle na kołnierz rozpadały. Dzieci ową różnicę pomiędzy leśniczymi wnet zauważyły. Ryzenburski zawsze szedł powolnym krokiem, pan Beyer zaś jakby przez przepaści kroczył. Ryzenburski nie nosił takich ciężkich, wysokich, aż za kolana sięgających butów, miał ładniejszą strzelbę, pas, torbę, a czapkę nosił z trzema sójczemi piórkami; Beyer zaś nosił wytarte ubranie, gruby pas u strzelby i zielony kapelusz z jastrzębiemi, sępiemi i orlemi piórami.

Tak wyglądał pan Beyer. Dzieci od pierwszego spotkania pokochały go, a babunia twierdziła, że dzieci i psy wnet poznają, kto je lubi. Tym razem babunia zgadła; jego ulubieńcem był Jan, ten rozpustnik, którego wszyscy lucyperem nazywali; ale pan Beyer twierdził, że z niego będzie tęgi człowiek, i gdyby mu się zawód leśny spodobał, wzięłby go do siebie w naukę. Ryzenburski znów leśniczy, który podczas pobytu pana kolegi z gór w „Starem Bielidle“ często dotąd przybywał, mówił:

— No, no; gdyby mu się rzeczywiście zachciało tego zawodu, to ja go do siebie wezmę, bo mój Franek i tak musi zostać leśniczym.

— Nic z tego, panie bracie! po pierwsze miałby dom pod nosem, a po drugie jest zawsze dobrze, gdy młody człowiek pozna i złe strony swego zawodu: Wam leśniczym tu na płaszczyźnie dobrze, wy nie wiecie, co to służba w górach.

Tu począł wyliczać uciążliwości swego stanu, mówił o wichrach i śniegach zimowych, o przv-

krych ścieżkach górskich, przepaściach, ogromnych zawiejach i mgłach. Opowiadał, ilekrotnie już śmierci w oczy spojrzął, gdy mu się noga na wąskiej ścieżce poślizgnęła, ilekrotnie zbłądził i o głodzie dwa, trzy dni w górach się tułał, nie wiedząc, którądy się z tego labiryntu wydostać.

— Za to — ciągnął dalej — wy w dolinie nie wiecie, jak piękny jest świat w górach latem. Gdy śnieg staje, zielenią się doliny, kwitną kwiaty, lasy pełne woni i śpiewu — prędko jedno po drugim następuje, jakby na skinienie laski czarodziejkiej. Co za rozkosz wtedy chodzić po lesie! To się też dwakroć na tydzień pnę na „Snieżnik“ (Schneekoppe); gdy patrzę na wschód słońca, na ten świat pod moimi nogami rozpotarty, czuję wtedy, że bym za nic w świecie gór nie opuścił; ta chwila wynagradza mi wszelkie uciążliwości zawodu!

Pan Beyer przynosił dzieciom piękne kryształki, wyliczał im góry i jaskinie, w których je znaleźć można, darowywał im mech pachnący jak fiołki i opowiadał o Rybcałowym prześlicznym ogrodzie, do którego przyszedł był pewnego razu, podczas strasznego wichru i śnieżycy po długim błędzeniu w górach.

Przez cały dzień nie odstępowali chłopcy od niego, odprowadzali go do rzeki, przypatrywali się spławianiu drzewa, pływali z nim na tratwach. Gdy wreszcie pan Beyer w drogę się wybierał, płakali chłopcy, odprowadzając go razem z babunią. Pani Proszkowa dała mu zawsze tyle zasobów na drogę, ile tylko mógł zabrać.

— No, na przyszły rok, da Bóg doczekać, znów się zobaczymy; zostańcie z Bogiem!

Tak się żegnał, odchodząc szybkim krokiem. Dzieci rozmawiały kilka dni o dziwach gór olbrzymich, o panu Beyerze i cieszyły się na następne jego przybycie.

‘Ciąg dalszy nastąpi’

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(10)

— — —

(Ciąg dalszy).

VI.

Prócz różnych radosnych zdarzeń w roku, była dla dzieci każda niedziela dniem szczególnej radości.

W niedzielę bowiem nikt ich rano nie budził, gdyż Babunia zazwyczaj rychło do kościoła chodziła na ranną mszę i pomimo podeszłych lat nigdy obowiązku tego nie opuszczała. Matka i ojciec — gdy bawił w domu — chodzili na sumę. Gdy była pogoda szły i dzieci z nimi, spotykając po drodze Babunię. Zaledwo ją w oddali spostrzegły:

— Babuniu, Babuniu — wołały, pędem do niej biegnąc, jakby jej rok cały nie widziały.

W niedzielę Babunia zawsze im się trochę zmieniona wydawała; miała twarz jaśniejszą, jeszcze więcej dobrotliwą i pogodną; była też piękniej ubrana. Miała nowe, czarne pantofle, biały, wykrochmalony czepiec na głowie. Dzieci ją podziwiałały i mówiły, że Babunia w niedzielę „strasznie“ piękna.

Gdy do niej dobiegły, każde chciało coś nieść. Więc jednemu dawała różaniec, drugiemu chustkę, Baśka jako najstarsza niosła skórzany woreczek. Z tego powstawały często niemiłe kłótnie, bo chłopcy byli ciekawi i chcieli na gwałt do skórzanego worka zaglądać. Baśka zaś nie chciała na to zezwolić. Przyszło każdy raz do zwady i Baśka musiała się udawać do Babuni o pomoc, prosząc, aby chłopaków połajała. Lecz Babunia zamiast ganić, wydobyła z worka jabłko, bądź inne łakocie, rozdziałała je między dzieci, i kłótnia od razu się kończyła.

Pani Proszkowa wprawdzie co niedzielę prosiła:

— Babuniu, nie przynóście im niczego!

Lecz Babunia co niedzielę odpowiadała:

— A coby to było, gdybym nic nie przyniosła? Przecież i myśmy nie były innemi.

Razem z Babunią wracała z kościoła pani matka tj. młynarzowa, a często także pewna kumotra z Zernowa, najbliższej wioski sąsiedniej. Pani matka ubierała się w długie suknie, kabatki i kładła czepiec na głowę. Była to kobieta niska, krępa; oczy miała czarne i wesołe, nos krótki, dość płaski, miłe usta, krótką brodę i tłusty podbródek. Na szyi nosiła w niedzielę drobne perły, w powszednie dni granaty. Na ręku miała długi, okrągły koszyk z okrągłą przykrywką pleciony z trzciny.

Za kobietami szedł „pan ojciec“ zwykle w towarzystwie jakiego kumotra. Gdy było gorąco, zawieszał jasnoszarą sukmanę na hiszpańskiej trzcinie i niósł ją na ramieniu; długie do pół łydek sięgające buty, kutasami u góry ozdobione, były wyświecone i bardzo się podobały chłopcom. Spodnie nosił wpuszczone w buty, na głowie wysoką, czarną czapkę barankową, z której się po jednej stronie niebieskie wstęgi zwieszały. Kumotr był podobnie ubrany jak pan ojciec, tylko sukmana jego z wielkimi, ołowianymi guzikami była w tyle w fałdy zebrana i koloru zielonego a nie jasnoszarego, który to kolor „pan ojciec“ bardzo lubił.

Ludzie, którzy szli na kazanie, witali ich „ze“ słowa bożego, oni tychże znów „na“ słowo boże. Niekiedy przystanęli, pytali jedni drugich o zdrowie, dalej o przygody w Zernowie i u młyna. W zimie spotykano rzadko kogo z żernowskich ludzi, idących do miasteczka do kościoła, bo ścieżka przez wzgórze była przykra i niebezpieczna. Z tego powodu chodzili do kościoła do Studzieńca lub do Czerwonej Góry, bo do obu wiosek była droga wygodniejsza i bezpieczniejsza. Lecz w lecie nie zważali na przykrość drogi, a zwłaszcza młodzież.

W niedzielę do południa na ścieżce do miasteczka roiło się od ludzi. Tu szła wolnym krokiem staruszka w kożuchu i chustce na głowie, a obok niego o kiju mężczyzna stary; był widocznie bardzo stary, bo miał w włosach grzebień, a tego zwyczaju już tylko najstarsi ludzie się trzymali. Kobiety w białych czepcach prześcigali mężczyźni w czapkach barankowych lub wydrzych. Z wzgórza schodzili tańczącym krokiem dziewczęta jak łanie, a za nimi pospieszali młodzieńcy siłni jak jelenie. Tu miał się między drzewami szeroki biały

rękaw, tam się zawiesiła na krzu czerwona wstążka powiewająca z ramienia. tu pstro wyszywana kamizelka parobka, aż nareszcie cała wesoła gromada wylała się na zieloną łąkę.

Wróciwszy do domu, Babunia przebrała się z świątecznych sukien w kanawas i oglądała się po domu za robotą. Po obiedzie było jej najmilej położyć głowę Baśce na łono, aby jej szukała „żywych“ włosów. Zwyczajnie przytem wnet zasypiała; aczkolwiek nie na długo. Obudziwszy się z zdziwieniem powtarzała:

— Doprawdy nie wiem, jak mi się oczy skleiły.

Po południu wybierała się do młyna z dziećmi, które się na takie popołudnie bardzo cieszyły. Młynarzowie mieli także córkę i to w Basinym wieku, Andzia było jej na imię; było to dziewczę dobre a żwawe.

Przed młynem przy wrotach stała pomiędzy dwoma lipami figura św. Jana Nepomucena. Tu siadywała w niedzielę pani matka z Andzią, niekiedy też z kumotą z Zernowa. Pan ojciec stał przed niemi, obracał tabakierę w palcach i opowiadał. Zaledwie spostrzegali Babunię z dziećmi idącą natychmiast wybiegała Andzia ku nim; pan ojciec zaś w pantoflach, ze zagiętymi spodniami i w jasnoszarej kamizeli zbliżał się wolnym krokiem, po za nim szła kumotra z Zernowa.

Pani matka wchodziła do młyna, aby „dzieci-skom“, jak się wyrażała, coś zgotować i potem mieć spokój. Nim nadeszły, już stół przystawiła, bądź to pod oknem, bądź to w ogrodzie na ostrówku, a w zimie w izbie. Na stole były dobre kołaczki, chleb, miód, śmietana, a w dodatku przynosił pan ojciec w koszyku świeżo zebranych owoców lub pani matka suszonych gruszek i śliwek w słomiance. Kawa i podobne pańskie napoje nie były podówczas wszędzie używane: tylko u pani Proszkowej piło się kawę.

— To ładnie, Babuniu, żeście przyszli, — mówiła pani matka, podając jej stołek. — Ja nie wiem, co to znaczy, lecz gdybyście kiedy w niedzielę nie przyszli, zdawałoby mi się, że to nie niedziela. Alł teraz jedzcie, czem Pan Bóg uraczył.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(11)

(Ciąg dalszy).

Babunia mało jadła i prosiła, aby pani matka dzieciom tak wielkich porcyi nie kładła, na co pani matka uśmiechając się odpowiadała:

— Wam się nie dziwię, że mało jecie, boście starzy; ale dzieci, mój Boże, te mają kacze żołądki. Spytajcie się naszej Andzi, kiedy chcecie, zawsze wam odpowie, że głodna.

Dzieci się do pani matki tuliły i przyznawały jej we wszystkim słuszność.

Gdy w końcu od niej po kołaczku były dostały, bawiły się w piłkę, w konie i podobnemi zabawami czas sobie uprzyjemniały. Za stodołą ich oczekiwało sześciu rówienników, co jeden to mniejszego wzrostu jak piszczałki w organach. Były to dzieci z dawnego „tartaku“, powyżej karczmy położonego. W miejscu tem był dawniej tartak, lecz gdy się tamdotąd kataryniarz z żoną i dziećmi wprowadził, wystawił im właściciel gospody chałupkę o jednej izbie i kuchni. Ojciec ich chodził z katarynką po okolicy, matka chodziła prac, szyć i zarabiała jak mogła na kawałek chleba. Nie mieli więcej bogactwa jak tych sześciu „bachorów“, jak ich pan ojciec nazywał, i tę ojcowską muzykę. Ale jednak nie znać tam było biedy; dzieci miały twarze pełne jak księżyc, a często dolatywał przechodniów taki wonny zapach z tartaku, że się im na smak zbierało. A gdy potem dzieci z tłustemi, szklęciami się wargami przed domem stały, sąsiedzi sobie głowę łamali, co u Kudrnów dziś za pieczeń być mogła.

Pewnego razu Andzia, wróciwszy z tartaku, opowiadała pani matce, że jej Kudrnowa dała kawałek pieczeni zajęczej, tak dobrej, że się to nawet opowiedzieć nie da, — za nic migdały!

— Zkąd oni zajęca wzięli? — pomyślała pani matka. — Chyba Kudrna kłusownikiem nie jest?

Raz przybyła Celinka, najstarsze dziecko Kudrnów, w odwiedzinach do młyna, piastując niemowlę na rękach. Biedne dziewczę musiało bezustannie piastować, bo co jedno maleństwo podrosło, drugie na świat przychodziło.

— Cóżecie, Celinko, dziś dobrego na obiad mieli? — zapytała pani matka.

— A nic takiego! — odrzekła Celinka, — mieliśmy kartofle.

— Tylko kartofle? a Andzia mi opowiadała, że jej wasza matka kawał zająca dała, który jej nadzwyczaj smakował.

— O, pani matko! to był kot, a nie zając. Tatuś go dostał na „Czerwonej Górze”; był tłusty jak wieprz; mamusia wytoczyła sadło, a tatuś się niem będzie smarował. Kowalowa mu to poradziła, jak zaczął kaszleć; mówiła, że to dobre na suchoty.

— Zmiłowanie boskie! — krzyknęła pani matka, — to wy koty zjadacie?! — i splunęła z obrzydzenia.

— Och, gdybyście wiedzieli, pani matko, jak one smakują! A wiewiorki jeszcze lepsze! Tatuś spotkał borowego, który był zastrzelił trzy wiewiorki dla swego pułacza i prosił go o nie, bo słyszał, że wiewiorki są smaczne. Niedawno mamusia dostała ze dworu dobitą gęś. Służąca jej wepchnęła za dużo klusek w gardło i musiała ją dorznać. Pani zarządczyni nie chciała padliny jeść, dała ją mamusi; mieliśmy mięsa na kilka obiadów, a smalcu na długo...

Pani matka przerwała dziewczynie, krzyząc:

— Przestań, przestań o tam mówić! pfe! aż mi się zimno robi! — Andziu! żebyś się nie ważyła jeszcze raz jeść pieczeni u Kudrny! Zaraz idź się umyć, a nie dotykaj się niczego rękami!

Andzia płacząc bezustannie, pytała się matki, czemu ciągle spluwa, zającza bowiem pieczeń była taka dobra!

Nadszedł i pan ojciec, a wysłuchawszy wszystkiego rzekł:

— Na cóż taki hałas! cóż te szkodzi, że An-

dzia kawałek kota zjadła, kiedy jej tylko smakowało! — a wykrzywiając usta, przymrużył oko i dodał:

— Być może, że i ja już wiewiorkę jadłem.

— Takich żartów nie lubię! panie ojcze, — odpowiedziała oburzona pani matka.

A młynarz przymrużył znowu oko i śmiał się wesoło.

Nie tylko pani matka, lecz wszyscy inni ludzie brzydzili się Kudrnami, nie chcąc nawet ręki im podać i to jedynie z tego powodu, że wiewiorki i różne zwierzęta zjadali, któremiby się każdy inny człowiek brzydził.

Proszkowym dzieciom było to obojętne, czy mali Kudrnowie mieli na obiad bażanta czy wrone, jeżeli się tylko punktualnie do gier za stodołę stawiali. Chętnie się z nimi kołaczkami dzielili, aby im przez to radość sprawić.

Celinka, dziewczę już dziesięcioletnie, włożyła niemowlęciu, które piastować miała, kawał kołacza do rącząt, położyła je na trawnik i bawiła się zarówno z innemi, lub plotła z brodawnika mlecznego czapeczki dla chłopców i koszyczki dla dziewcząt. Gdy się do syta ubawili, wpadała cała gromada na podwórze z Andzią na czele, która pani matce oznajmiała, że są wszyscy okropnie głodni. Pani matka się temu wcale nie dziwiła, nakarmiła wszystkich, nie omijała tych, któremi się brzydziła. Ale pan ojciec lubił się droczyć z niemi, więc i teraz mówił do Celinki:

— Nie wiem, coś mi tak na piersiach leży; Celinko, nie macie wy kawałek pieczeni w domu? Możebyś mi...

Pani matka słysząc to, zaraz spluwała, wybiegając z izby, a Babunia grożąc palcem, tak się odezwała:

— Ale też to z was psotnik, panie ojcze, ja bym wam naprawdę wrone upiekła i na obiad z grochem zastawiła.

Pan ojciec zaczął tabakierę obracać i przymrużając oko, wykrzywił usta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(12)

(Ciąg dalszy).

W rozmowach starszych w ogrodzie brał także udział starszy młynarczyk. Opowiadali o znajomych, których w kościele na mszy św. spotkali, o rannej egzorcie, kazaniu. wyliczali, ile było zapowiedzi, za kogo modlitwę odmawiano, mówili o powodzi, o wyrabianiu płótna, o urodzaju lnu, a kończyli zawsze pogadankę na złodziejach w Kramolnie i na kryminale. Młynarczyk był bardzo gadatliwy, lecz gdy pod wieczór ludzie zajeżdżali z zbożem, wchodził do młyna, pomny przysłowia; „Kto pierwszy przyjdzie, ten pierwszy mele“.

Pan ojciec zaś udawał się na chwilę do gospody, a panie kumotry zostawały sam na sam, gwarzając o tem i owem.

W zimie spędzały dzieci sporo czasu na piekarniaku. Był to piec wielki, na którym stało łóżko służącej i gdzie Adelka chowała wszystkie przyrządy do gier. Gdy dzieci na piec powchodziły, było tam rojno i gwarno. Na wierzchnim schodku siedział wielki pies. Tu obchodzono co niedzielę wesele jednej z lalek. Młodym panem było grzebło, księdzem był Mikołaj. Potem następowała weselna uczta i tańce, podczas których niejedno z dzieci nastąpiło psu na nogę; tenże wyjąc z bólu przeskakał starszym w pogawędce. Wtedy rozgniewana pani matka wołała:

— Proszę państwa! Nie zburcie mi pieca, bo jutro zrana chcę chleb piec!

Na piekarniku uciszyło się; dzieci grały w „ojca i matkę“. Młodej matce przyniósł bocian dziecię; Adelka, która jeszcze gotować nie potrafiła, musiała zastępować akuszerkę, Wilemek i Janek byli kumotrami i dali dziecięciu na imię „Houcia“. Potem nastąpiła znów obfita w przeróżne potrawy uczta, na którą i psa zaproszono, a to w nagrodę za krzywdę, wyrządzoną mu podczas tańców.

Houcia bardzo prędko dorósł, tatuś go zawiódł do szkoły, w której nauczycielem był Janek. Lecz

nauka z jednym tylko uczniem nie chciała jakoś postępować, postanowili więc wszyscy grać w „szkołę”. Poszli więc do Janka do szkoły, lecz ponieważ żaden uczeń nie zrobił zadań, pan nauczyciel, bardzo rozgniewany, chciał dać każdemu za karę dwie łapy. Gdy inaczej karze ująć nie mogli, zgodzili się na razy; psu zaś, który także był uczniem a do końca lekyi nie innego nie umiał jak szczekać, postanowił Janek za karę powiesić czarną tablicę u karku, co też natychmiast uczynił, przywiązując mu deskę. Wystraszone i rozdrażnione psisko zeskokczyło z pieca i głośno szczekając, biegało naokoło pokoju, usiłując się deski pozbyć.

Młynarczyk podskoczył z ławy przerażony wielce, Babunia splunęła, a pan ojciec, grożąc dzieciom, zawołał:

— Sak na ryby, pytel na raki, znajdzie się i na was! — a obrociwszy się, uśmiechał się, lecz tak, aby dzieci nie zauważyły.

— To zrobił z pewnością ten nasz lucyfer! — zawołała Babunia; — będzie najlepiej, gdy się zabierzemy do domu, jeszczeby wam młyn do góry nogami przewróciły te nigrzeczniki, te!

Lecz młynarzowie sprzeciwiali się temu, bo nie byli jeszcze ukończyli opowiadania o wojnie z Francją trzech monarchów, których Babunia dobrze знаła; była bowiem obznajomioną ze sprawami wojskowemi, widziała dużo w świecie, więc jej też każdy wierzył i chętnie jej słuchał.

— A kto to byli ci trzej lodomroźni mężczyźni, których Moskał posłał na Bonapartego? — zapytał przystojny i żądny wiedzy uczeń młynarski.

— Nie domyślasz się że to trzy miesiące: grudzień, styczeń i luty? — pouczał starszy młynarczyk. — W Rosyi — ciągnął dalej, — panują o tej porze takie mrozy, że ludzie muszą nosić na twarzach maski, inaczejby im nosy umarły. Francuzi nie są do zimy przyzwyczajeni, gdy tam dotąd przybyli, niedługo wszyscy pomarзли. Moskał dobrze wiedział, że się tak stanie, i właśnie dla tego zwlekał ze stanowczem wystąpieniem — to mądry koń.

— A cesarza Józefa znaliście osobiście? nie prawdaż? — zapytał Babunię jeden z ludzi, co po make przwiechali.

— A jakbym go nie miała znać, gdy z nim rozmawiała, a on mi tego oto talara własną ręką podarował! — rzekła Babunia, pokazując na talar przy granatach.

— A jak się to stało, że wam go dał? — pytali inni.

Dzieci się trochę uciszyły, a usłyszawszy ostatecznie słowa, zeskoczyły z pieca, prosząc Babunię, aby opowiadała, bo one także jeszcze nic o tem nie słyszały.

— Ale pani matka i pan ojciec już słyszeli, — wymawiała się nieco Babunia.

— Ładnej opowieści można się i więcej razy przysłuchać — zachęcała znów pani matka, — opowiadajcie tylko Babuniu, opowiadajcie!

— Kiedy tak, to wam już opowiem, ale wy, dzieci, posiadajcie i bądźcie spokojne.

— Gdy budowali Józefowiec — rozpoczęła Babunia, — byłam jeszcze młoda. Rodem jestem z Oleśnicy, a wiecie, gdzie jest Oleśnica?

— Wiemy, wiemy; za Dobruszką, w górach, nad śląską granicą; nieprawdaż? — odezwał się młynarczyk.

— Tak, tak, za Dobruszką! Obok naszego gospodarstwa mieszkała w małej chałupce wdowa Nowotna. Wyrabiała wełniane koce, a gdy zrobiła ich kilka, odnosiła towar do Józefowca lub do Jaromierza na sprzedaż. Z nieboszczyką matką była w wielkiej przyjaźni, a my dzieci bywałyśmy u niej kilka razy na dzień. Ojciec zaś mój był chrzestnym ojcem jej syna. Gdy wieczorem, po skończonej robocie, u Nowotnej siedziała, zawsze mi mawiała:

— Usiądź do krosen i ucz się, wyjdzie ci to kiedyś na dobre; a czego się człowiek za młodu nauczy, na starość jakby znalazł.

— Ja byłam do pracy jak do siarka, przytem ciekawa, żywa, więc nie dałam się długo namawiać. Usłuchałam jej rady i z czasem się w rzemiośle tak wydoskonaliłam, żebym była mogła samodzielnie warsztat prowadzić. W tym właśnie czasie cesarz Józef często w Józefowcu bawił; wszyscy o nim mówili, a ci, którzy go byli na własne oczy widzieli, poczytywali to sobie za wielkie szczęście.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(13)

(Ciąg dalszy).

Pewnego razu, gdy się Nowotna znów wybierała z towarem w drogę, prosiłam rodziców, aby mi pozwolili z nią pójść, bo bardzo chętnie chciałam miasto Józefowiec widzieć. Matka wiedziała, że Nowotna miała ciężkie brzemię nieść, więc rzekła do mnie tak:

— Idź pomódz kumotrze nieść towaru!

Wybrałyśmy się na drugi dzień o świcie i stanęłyśmy przed południem na łące przed Józefowcem. Leżało tam bardzo dużo belek; usiadłszy na nich, obułyśmy trzewiki, przyczem kumotra narzekała:

— Ja biedna kobieta, dokądże się mam najprzód z temi guniami udać?!

Wtem spostrzegłyśmy na drodze od Józefowca jakiegoś pana, zbliżającego się ku nam. W ręce trzymał coś takiego jak flet; co chwilę przedmiot ten przytykał do twarzy, obracając się zarazem wolno wokoło.

— A patrzcież, kumotro, — odezwałam się, — to jakiś muzykant gra na flecie i przytem i sam tańczy.

— Głupiaś, dziewucho! to nie flet ani muzykant, to dozórca budynków; ja tu często takich panów widuję. Ma taką rurkę, w której się znajduje szkło; gdy przez nie patrzy, to — jak mi ludzie mówili — bardzo daleko widzi, ma wszystkich na oku i wie tym sposobem, gdzie kto pracuje.

— Na Boga! to może i widział, jak my trzewiki obuwały?

— A cóżby to złego było? — śmiała się kumotra.

Tymczasem obcy zbliżył się do nas. Miał szary płaszcz na sobie, na głowie mały kapelusz trójgraniasty, z pod którego się warkocz z wstążką zwieszał. Był to pan jeszcze młody, a taki ładny jak wymalowany.

— Dokąd idziecie? Co tam niesiecie? — zapytał nas.

Kumotra odpowiedziała, że niesie do Józefowca towar na sprzedaż.

— Co to za towar? — pytał dalej.

— Wełniane gunie, panie, żołnierzom do przykrycia; możeby wam się która spodobała? — odrzekła Nowotna, rozwiązując pake i rozkładając jeden koc na belkach.

Była to dobra kobieta, lecz gdy sprzedawać zaczęła, nie było jej można przegadać.

— Czy to twój mąż wyrabia? — zapytał znowu.

— Wyrabiał, dawniej, złoty panie; ale na zniwa będzie dwa lata temu, jak leży w ziemi, zmarł na wycieńczenie. Dawniej po trochu do krosen siadałam i nauczyłam się tkać, a teraz mi z tem dobrze. Więc też wciąż do tejże tu oto dziewczuchy powtarzam: Ucz się, dziewczyno, bo czego się uczysz, tego ci i złodziej nie weźmie.

— Czy to twoja córka? — pytał pan dalej.

— Moja? Nie, kumotry; ale mi często w pracy pomaga. Nie dziwcie się, że mała, za to spora a do pracy jak ogień; ten oto koc samuteńka zrobiła. Pan mnie poklepał po ramieniu i mile na mnie spojrział; jak żyję, takich pięknych modrych ocz nie widziałam, istne bławatki.

— Czy ty nie masz dzieci? — pytał dalej.

— Mam jednego chłopca, — odpowiedziała kumotra, — dałam go do Rychnowa na nauki. Pan Bóg mu dał dar Ducha św., nauka mu idzie, jakby grał; śpiewa też na chórze, radabym była, gdyby księdzem został.

— A nuż nie będzie chciał zostać księdzem?

— Ale panie! zostanie na pewno; Jerzy jest dobry chłopiec, — zapewniała kumotra.

Ja się tymczasem ustawicznie przypatrywałam trąbce, medytując bezustannie, jakim sposobem ten pan przez nią widzi. Lecz on to, zdaje się, po moim nosie poznał, bo naraz zwracając się do mnie, zawołał:

— Możebyś się rada dowiedziała, jak się przez ten dalekowidz patrzy? Co?

Zarumieniłam się i nie mogłam ocz podnieść; lecz kumotra mnie wyręczyła, mówiąc:

— Ta głupia! Myślała, że to flet, a wy, panie, muzykant. Aleś jej już powiedziano, kto jesteście.

— A czy ty wiesz, kim jestem? — zapytał z uśmiechem pan.

— Nazwiska wprawdzie nie wiem; ale z pewnością należycie do tych panów, którzy przy budowlach ludzi dozoruja i przez tę trąbkę ich doglądacie; wszak tak jest?

Pan wybuchnął tak gwałtownym śmiechem, że się aż za boki brał.

— To ostatnie zgadłaś, matko, — rzekł, a zwracając się do mnie mówił:

— Chcesz-li przez tę trąbkę spojrzeć, to patrz! — i wciąż się śmiejąc, przyłożył mi ową trąbkę do oka.

Com ja widziała, ludkowie! Istotne cuda. W Jaromierzu ni ztąd ni zowąd ludziom wprost w okna patrzałam i widziałam tak dokładnie, co robili, jakbym tuż obok nich była stała. Chciałam podać trąbkę kumotrze, lecz ona z oburzeniem odparła:

— Co ty myślisz! na mnie starą kobietę nie przystoi takimi cackami się bawić!

— To nie jest dla zabawy, matko, tylko dla potrzeby, — odparł pan.

— Chociażby i tak było, to nie dla mnie! — odpowiedziała kumotra, nie chcąc za żadną cenę wejrzeć w trąbkę.

Mnie zaś na myśl przyszło: gdybyś tak cesarza Józefa zobaczyć mogła!

Więc spoglądałam na wszystkie strony, a że ten pan się okazał tak dobrotliwym dla mnie, zwierzyłam mu się, kogobym rada widziała.

— To tobie tak dużo na cesarzu zależy? Czy go kochasz? — zapytał mnie pan.

— Bodajbym nie żyła, — powiedziałam, wszak go każdy człowiek dla jego dobroci i godności chwali. Wszakże się za niego codzień modlimy, aby jemu i jego pani Pan Bóg dał długie panowanie.

Uśmiechając się zapytał pan dalej:

— A chciałabyś z nim mówić?

— Boże zachowaj! A gdziebym ja oczy podziela? — odpowiedziałam.

— Wszak ze mną się mówić nie wstydzisz, a cesarz jest także tylko człowiekiem jak i ja.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(14)

(Ciąg dalszy).

— O nie, Panie; to nie to samo, — odezwała się kumotra; — cesarz pan jest cesarz pan, to nie-co rzecz zmienia. Ja słyszałam, że człowiekowi się zimno i gorąco robi, gdy cesarzowi w oczy spojrzy; a i nasz sędzia, który już dwakroć z nim mówił, potwierdza to samo.

— Może wasz sędzia nie ma czystego sumienia i dla tego nie może nikomu śmiało spojrzeć w oczy! — odrzekł pan, zarazem pisząc coś na kartce.

Kartkę dał kumotrze z poleceniem, aby się udała do magazynu w Józefowcu, gdzie za jej okazaniem wszystkie koce kupią. Mnie dał srebrnego talara, mówiąc:

— Zatrzymaj ten pieniądz na pamiątkę, abys nie zapomniała o cesarzu Józefie i jego żonie! Módl się za nich, bo modlitwa, z czystego serca pochodząca, jest miłą Panu Bogu, wróciwszy zaś do domu, możecie opowiedzieć, żeście mówiły z cesarzem Józefem!

Skończył i szybkim krokiem odszedł.

Upadłyśmy na kolana, nie wiedząc, co z przerażenia i radości zrobić.

Kumotra mnie łajała, żeś była za śmiała, aczkolwiek była sama śmielszą odemnie. Ale któż by był pomyślał, że to był sam cesarz pan. Pocieszałyśmy się tem, że się może nie gniewał, bo inaczej nie byłby nas obdarował.

W magazynie wypłacili Nowotnej trzy kroć tyle za koce, ile jej się należało. Z powrotem do domu pędziłyśmy jak wiatr, a stanąwszy w progu, opowiadaniom nie było końca — a wszyscy nam szczęścia zazdrościli. Matka kazała przedziurawić talar, który od tej chwili noszę na szyi. Chociaż mi już kilka razy bieda dopiekała, jednak go nie wydałam.

— Szkoda, wielka szkoda, że ten pan już w ziemi! — westchnęła Babunia, kończąc opowiadanie.

— Szkoda, wielka szkoda! — powtórzyli słuchacze.

Dzieci, poznawszy historię talara, obracały monetę na wszystkie strony, uważnie jej się przypatrując. Od tej chwili miała ona dla nich wartość nieocenioną. Babunię zaś wszyscy otaczali tem większym szacunkiem, bo teraz wiedzieli, że była rozmawiała z cesarzem Józefem.

W młynie rozpoczynał się nowy tydzień już wieczorem w niedzielę. Przybywali ludzie, rozlegał się jednostajny turkot po całym domostwie; młynarczyk przechadzał się poważnym krokiem po młynie i śledził okiem znawcy, czy wszystko swoim trybem idzie. Uczeń, nucąc piosenkę, biegał z góry na dół, z dołu do góry, od kosza do kosza, a pan ojciec witał na progu młyna nadchodzących gości, częstując ich tabaką.

Latową porą odprowadzała pani matka z córką Babunię aż do gospody. Była — li tam właśnie muzyka, to się zatrzymywały chwilę pod płotem, gdzie zwykle licznie zgromadzone niewiasty stały, przypatrując się tańczącym parom. Albowiem do sali wejść nie było można, gdyż była gośćmi tak szczelnie zapełniona, że Krystynka, która usługiwała gościom w ogrodzie, musiała trzymać kufle z piwem ponad głową, chcąc się wydostać z tłumu.

— Ot! patrzcie tych panów! — odezwała się pani matka, — pokazując na urzędników ze zamku, siedzących przy piwie w ogrodzie, którzy Krystynce drogę zastępowali. — Widzicie ich? Ha, chętnie wierzę, toby było dziewczę dla was! Ale mylicie się! Nie na to Pan Bóg kazał Krystynce wyrość, abyscie wy jej świat zawiązali!

— Nie ma obawy, — odezwała się Babunia, — żeby im się dziewczę zbałamucić dało. Ona im dopiero pokaże, gdzie cieśla drzwi zrobił.

Zdawało się, że tak jest. Bo gdy jeden z panów — (od którego na dziesięć kroków piwo czuć było) dziewczynie coś w ucho szepnął, ona głośnym śmiechem wybuchła, wołając szyderczo:

— Nie, mój Panie, nie! nie kupimy!

A potem jednym susem znalazła się w sieni, gdzie spotkawszy wysokiego junaka wiejskiego, serdecznie się śmiejąc, puściła się z nim w taniec.

Na nic się zdały krzyki panów urzędników, którzy na głos wołali o piwo.

— Ten jej jest miłszy od całego zamku i jego skarbów, — odezwała się z uśmiechem Babunia, i powiedziawszy pani matce — dobra noc — udała się z dziećmi do domu.

Raz na dwa lub trzy tygodnie, gdy właśnie pogoda sprzyjała, oznajmiała Babunia:

— Dziś pójdziemy do pani leśniczowej prząść!
Dzieci od samego rana cieszyły się na tę wizytę.

Od tamy wiała się ścieżka pod spadzistą pochyłością do mostu, za mostem zaś prowadziła droga topolową aleją aż do samego Ryzenburga.

Babunia zaś lubiła chodzić ścieżką, prowadzącą wzdłuż rzeki do tartaka. Za tartakiem wznosiła się góra, gdzie nic nie rosło prócz dziewanny, którą wesoła Baśka ochoczo zbierała i w dużych pękach Babuni przynosiła. Potem dolina coraz więcej się ścieśniała, koryto rzeki stawało się coraz węższe; prąd wody pędził coraz bystrzej, szumiąc ponuro po skalistym gruncie. Wierzchy wzgórz ukrywały rosłe jodły i stare świerki, zasłaniając prawie całą kotlinę swymi konarami.

Tą to drogą zdążała Babunia z dziećmi do ryzenburskiego zamczyska, którego mchem porośnięte ruiny ku niebu sterczały.

Niedaleko zamku u wejścia podziemnego trzy mile długiego ganku stała altana o trzech wysokich oknach gotyckich. Tu się odbywały śniadania państwa podczas polowań. Do tej altany skierowały dzieci teraz swą drogę, pnąc się jak kozy po spadzistym wzgórzu: Babunia wspinała się z trudnością, chwytając się to prawą to lewą ręką drzewek przy drodze rosnących, i nareszcie u celu stanawszy, rzekła:

— Oj! daliście mi pić; ani tchu złapać nie mogę!

Dzieci wzięły Babunię za rękę i zaprowadziły na ocienioną stronę altany, gdzie na jednym z ustawionych tam krzeselek usiadła.

Rozpościerał się przed nimi cudowny krajobraz. Po prawej stronie sterczały ku niebu ruiny zamczyska, u nóg leżała półkolem dolina, równa jak płachta; poza nią piętrzyły się skromne, jodłami porośnięte góry, których najwyższy wierzchołek zdobił mały kościółek.

Cisza panowała naokoło. Tylko szum wody i śpiew ptasząt zakłócały głęboki spokój.

— Ciąg dalszy nastąpi.

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(15)

(Ciąg dalszy).

Jankowi przyszedł na myśl mocny Cibor, który był ongi owczarzem u ryzenburskiego pana. W tej dolinie zdybał go pan na gorącym uczynku, gdy z skradzioną jodłą, wyrwaną z korzeniami uchodził. Zapytany, od kogo jodłę nabył, przyznał się szczerze, że drzewo w pańskim lesie ukradł, przez co sobie serce pana tak podbił, że go tenże do zamku zaprosił i to z tem wyraźnem upomnieniem, aby ze sobą przyniósł miech na podarki, których tyle otrzyma, ile uniesie.

Cibor, człowiek prosty, wziął żonie poszewkę, na dziewięć łokci długą, i poszedł do zamku, gdzie mu ten ogromny wór wędzonką i grochem napełniono.

Ryzenburski pan Cibora dla jego siły olbrzymiej i otwartości dziecięcej bardzo pokochał, a gdy pewnego razu król w Pradze turnieje wyprawiał, zabrał go ryzenburski dziedzic ze sobą do stolicy. Tu Cibor swą siłą olbrzymią zwyciężył pewnego rycerza, przez nikogo dotąd nie pokonanego, w nagrodę za co od króla rycerstwo otrzymał.

Dzieciom powiastka ta bardzo się podobała, a od chwili, gdy im ją stary owczarz opowiedział, ruiny zamczyska i łąka w dolinie wielkiego uroku dla nich nabrały.

— A jak się nazywa ta góra z kościółkiem?

— To jest Buszyn. Da nam Pan Bóg zdrowie, pójdziemy do Buszyna na odpust — odpowiedziała Babunia.

— A na jaką pamiątkę stoi ten kościół? — zapytała Baśka, któraby się rada od rana do wieczora opowiadaniom Babuni przysłuchiwała.

Stał się tam cud — odrzekła Babusia — wszak wam już Urszula o tem mówiła; czy nie pamiętacie?

— Już nie nie pamiętamy — odpowiedziały dzieci jednogłośnie. Opowiedzcie nam, Babusiu! —

pięknie prosimy — skomlały dzieci, a Babusia tak się odezwała:

— Usiądźcie więc na ławie i nie wychylajcie się oknem, bóg byście mogły wypaść i kark skrócić — a po chwili ciągnęła dalej:

— Za temi oto górami i lasami leży Turyń, Libobórz, Slatyna, Meczów i Buszyn. Wszystkie te wsie były przed dawnemi czasy własnością dziedzica na Turyniu, ztąd Turyńskim zwanego. Zamężni bardzo Turyńscy mieli śliczną córkę, jedy-naczkę, którą bardzo kochali. Ale cóż? Nieboga ku wielkiemu zmartwieniu rodziców była głucho-niema.

Przechadzającej się pewnego razu po podwó-rzach zamkowych panience przyszło na myśl, wy-brać się do Buszyna, aby zobaczyć, dużo-li podrosły jagnięta od ostatniego zwiedzenia folwarku.

Muszę wam powiedzieć, że wtedy tu tego ko-ściołka jeszcze nie było, wieży także nie. Był tyl-ko folwark pana Turyńskiego, na którym czeladź bydło i owce hodowała. Cała zaś okolica dokoła była pokryta prastaremi lasami, rojącemi się od dzikich zwierząt.

Ponieważ dziewczynka już kilkakrotnie, cho-ciaż zawsze w towarzystwie ojca, na folwarku była, rozumowała więc w swej dziecięcej główce, że jak tylko prosto pobiegnie, zaraz tam będzie.

Opuściwszy więc zamek, szła prosto sądząc, że każdą drogą do folwarku dojdzie. Była bowiem je-szcze młoda i niedoświadczona jak wy jesteście. Lecz gdy długo idąc białego dworka nigdzie nie widziała, stało jej się smutno na sercu. Pomyślała sobie, co też rodzice o jej ucieczce na zamku po-wiedzą, i — przestraszona tą myślą wróciła się. Ale i człowiek dorosły — przestraszony — zbłądzi, — cóż dopiero dziecko!

Dziewczynka spiesznie wracając często drogę zmieniała, lecz ni do zamku, ni do folwarku dojść nie mogła. Nareszcie znalazła się w głębokim, głu-chym lesie, gdzie nie było ni śladu człowieka, ni promienia słońca. Teraz poznała, że zbłądziła.

Możecie sobie wyobrazić, jak jej na sercu było! Wamby tak źle wie było, bo umiecie mówić i nie jesteście głuche, lecz ona była głuchoniema. Bie-gała więc bezradna. raz w tę, drugi raz w ową

stronę, przez co dalej i dalej od drogi odchodziła. Na końcu dokuczył jej głód i pragnienie i uczuła ból w nogach. Lecz to wszystko nie było tak okropne, jak strach przed nocą i dzikimi zwierzętami. A cóż dopiero wyrzuty sumienia! Jak bardzo ojciec i matka się na nią gniewać będą!

Przestraszona, zapłakana, stanęła u źródła. Przeleżała i chciwie się napiła. Rozglądając się potem spostrzegła dwie drogi do źródła prowadzące. Lecz nie wiedziała, którąby się udać miała. Doświadczenie ją bowiem nauczyło, że nie każda droga do domu prowadzi. Wtem sobie przypomniała, że matka w bojaźni lub zmartwieniu zawsze się do swego pokoju udaje i długo się modli. Uklęka więc sama i długo się modliła, aby ją Pan Bog z lasu wyprowadzić raczył.

I niedługo usłyszała dziwne brzmienie; coraz silniej, coraz bliżej dochodził głos ku niej. Dziewczynka nie wiedziała, co się z nią dzieje, nie mogła sobie wytłómaczyć, skąd te głosy pochodzą. Z przerażenia zaczęła się trząść i płakać; chciała uciekać — lecz tu — o dziwo! — z lasu wybiega ścieżką biała owca, za nią druga, trzecia, czwarta, piąta i szósta — i — coraz więcej i więcej ich biegnie i wnet całe stado owiec stoi około źródła. Każda owca miała dzwonek u karku. Dzwonki dzwonią a dziewczynka je — słyszy! To ojca owce! — bo szybkim pędem biegnie do niej biały pies owczarski, a za nim Barta, owczarz sam. Tu dziewczynka radośnie krzyknęła:

— Barta, Barta!

Owczarz aż osłupiał z radości, słysząc głos dziewczyny; wziął ją czempredzej na ręce i pospieszył z nią do pobliskiego zamku, aby ją oddać wielce zmartwionej matce. Nikt nie wiedział, gdzie się córeczka była podziała, lub co się z nią stało. Rozesłano ludzi na wszystkie strony lasu, a i sam ojciec szukać jej pobięł.

Pomyślcie sobie, jak się stroskana matka ucieszyła, gdy jej Barta córeczkę i do tego uzdrowioną przyniósł. Gdy ojciec wrócił i o wszystkim się dowiedział, ślubował przy źródle wybudować kościół na chwałę Bożą, jako też uczynił.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(16)

(Ciąg dalszy).

Jest to ten sam kościółek, który tam na górze widzicie, a źródło obok niego także to samo. Z niego dziewczynka piła, przy niem się modliła. I te lasy są te same, po których błądziła. Ale dziewczynki już nie ma, już dawno, dawno umarła; pan Turyński, pani Turyńska i owczarz Barta dawno w zimnej mogile, a zamek na Turyniu się rozpadł w gruzy, ruiny sterczą ku niebu.

— A z owieczkami i psem co się stało? — zapytał Wilemek.

— Pies zdechł: stare owce także zdechły; młode urosły i miały jagnięta. Tak to na tym świecie, kochane dzieci: jeden idzie, drugi przychodzi!

Dzieci zwróciły oczy w dolinę. W duchu widziały, wspaniałego rycerza na koniu — błądzące po lesie dziewczę... Nagle ujrzały wyjeżdżającą z lasu panią na pięknym koniu, za nią jedzie koniuszki. Pani była w ciemnym kabatku, długiej szarej sukni, zwieszającej się przez strzemiona ku ziemi; na głowie miała czarny kapelusz z zieloną wstęgą, wijącą się około czarnych jak krucze skrzydło włosów.

— Babuniu, Babuniu! patrzcie tylko, patrzcie, żona rycerza jedzie! — krzyknęły dzieci chórem.

— Ale! co wam się śni; są-li to jeszcze po dziś dzień rycerze?! — a wyjrzawszy oknem dodała: — To jest księżna pani!

Dzieciom nie było na rękę, że to nie żona rycerza, jak sobie były uroiły.

— Księżna pani wjeżdża na górę, prosto na nas jedzie! — zawołały dzieci.

— Kto wie, co wy tam widzicie! Jakżeby to koń mógł na taką górę wejść!

— Ale napewno! — zawołał Janek. — Orland się pnie jak kot; spojrzycie a przekonacie się.

— Daj mi spokój! Ani na to patrzeć nie chcę! Ci wielcy państwo mają dziwne upodobania, — rzekła Babunia, upominając zarazem dzieci, aby się z okna nie wychylały.

Nie trwało długo, a księżna wjechała na górę. Zeskoczyła lekko z konia i zarzuciwszy długą suknię na rękę, weszła do altany.

Babunia się podniosła, aby księżną przywitać jak przystoi!

— Czy to rodzina Proszków? — zapytała pani, spoglądając bawczem okiem w twarz dzieci.

— Tak! miłościwa pani! — odpowiedziała Babunia.

— Tyś ich babką?

— Tak jest, miłościwa pani! Jestem matką ich matki.

— Ciesz się, że masz takich zdrowych wnuków! A słuchacie wy Babuni? — zapytała księżna dalej dzieci, które jej z oka nie spuszczały.

— Słuchamy! — rumieniąc się, odrzekły.

— Wprawdzie, niekiedy — rzekła na to staruszka — ale co to o tem mówić, gdy my same lepszemi nie byłyśmy.

Księżna się uśmiechnęła, a spostrzegłszy na ławie koszycek z poziomkami, zapytała, gdzie je dzieci nazbierały. Babunia popychając naprzód Baškę, rzekła:

— A idźże, dziewczę, i podaj miłościwej pani koszycek. Wszak są świeże; może miłościwej pani smakować będą.

— Za młodu — mówiła staruszka dalej — bardzom poziomki lubiła, ale od śmierci dziecka nie wzięłam ich już w usta.

— A dla czego? — zapytała księżna, odbierając od Baški koszycek.

— Bo to taki zwyczaj u nas, miłościwa pani:

po śmierci dziecka matka nie je ani tereśni ani poziomek aż do św. Jana Chrzciciela. W tym to bowiem czasie Najświętsza Matka Boska chodzi po niebie i rozdaje owoce dzieciom, a do tych, których matki od spożywania owoców się nie wstrzymały, rzecze: „Widzisz, moje dziecko, tak mało dla ciebie zostało, resztę twoja matka zjadła”. Dlatego wstrzymują się matki od jedzenia owoców. A ja myślę tak: Obyłaś się do św. Jana, to się po św. Janie także obędziesz.

Księżna trzymała w palcach czerwoną jak jej lica poziomkę, ale podczas babuninego opowiadania włożyła ją napowrót w koszyczek, mówiąc:

— Nie mam teraz apetytu; zresztą wy, kochane dziatki, nie miałybyście nic na drogę.

— Ale to nic nie szkodzi, niech księżna pani spokojnie je lub też poziomki z koszyczkiem do domu zabierze. My sobie innych nazbieramy, — wyrwała się Baśka, niechęć podanego koszyczka przyjąć napowrót.

— Jeżeli tak, to wasz podarek przyjmę, — rzekła księżna, uradowana prostotą dziewczynki. — za to przyjdźcie jutro do zamku i przyprowadźcie ze sobą Babunię. Zrozumiałyście? Przyjdziecie?

— Przyjdziemy, przyjdziemy! — zawołały dzieci, właśnie tak, jak to czyniły, gdy ich pani matka do młyna zapraszała.

Babunia wprawdzie chciała się wymówić, lecz się to już na nic nie zdało, bo księżna lekko się Babuni ukłoniła i uśmiechając się do dzieci, altaną opuściła. Oddawszy koszyk koniuszemu, wsiadła na Orlanda i znikła w lesie jak piękne zjawisko.

— Bardzo się cieszę, Babuniu, że pójdziemy do zamku — odezwała się Baśka, — bo tatuś mówił, że pani księżna ma śliczne obrazy.

— A jest tam i papuga, która mówić potrafi! Czekaście, Babuniu, co tam wszystko będzie! — zawołał Janek, klaskając w ręce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(17)

— — —
(Ciąg dalszy).

— Ale ja w tych sukienkach do zamku nie pójdę! — zawołała mała Adelka, spoglądając przytem po sobie. — Nieprawdaż Babuniu?

— Chryste Panie! Ja wcale na cię nie zważałam! Ty mi ładnie wyglądasz! Cóżes ty zrobiła? — narzekała Babunia.

— Ja temu niewinna! Janek mnie pchnął i upadłam na jagody! — uniewinniała się malutka.

— Wy dwaj się zawsze popychać musicie! Co też księżna Pani o was pomyśli! Chyba, żeście prawdziwe dyabełki! A teraz w drogę, abyśmy do leśniczówki doszli! Wam zaś chłopcy oznajmiam. Będziecie mi dokazywać, to już was więcej ze sobą nie wezmę!

Tak Babunia swe wnuki karciała.

— Babuniu! Będziemy grzeczni, — sumitowali się chłopcy.

— Zobaczymy! — odrzekła staruszka, krocząc za dziećmi.

Wkrótce dostali się do liściowego lasu, zdala pośród drzew można było dojrzeć biały domek leśniczego. Przed domem było miejsce ogrodzone, porośnięte bujną trawą i obsadzone lipami i kasztanami. Pod temi drzewami stały stoły i ławki do ziemi przymocowane. Po trawie przechadzały się pawie. Babunia mawiała o nich, że mają angielskie pierze, dyabelski głos i złodziejski chód. Było tam całe stado kropkowatych perlic i królików białych. Te ostatnie siedziały w trawie i strzygły uszami, a za każdym głośniejszem poruszeniem pierzchały na wszystkie strony. W przedstonku leżała piękna sarna z obrozą na karku. Po podwórzu wałęsały się liczne psy. Jak tylko dzieci

na nie zawołały, one radośnie zaszczekały, przybiegły jednym susem do nich a pędząc potem wkoło, z radości na ziemię się kładły. Sarna na pierwsze zawołanie stanęła obok Adelki i spoglądała swemi łagodnemi oczyma tak mile na dziewczynkę, jakoby powiedzieć chciała:

— Ach! Toś ty, która mi zawsze coś dobrego przynosisz; witam cię serdecznie.

Widocznie jej to Adelka z ócz wyczytała, bo sięgnęła do kieszeni i podała jej bułkę.

— Zgrajo niekzemna! — zawołał nagle jakiś głos, a po chwili wyszedł z domku leśniczy w lekkim, zielonym kabacie i domowej czapeczce na głowie. Zobaczywszy zaś Babunię z dziećmi, zawołał:

— Aha, to mi mili goście! Witamy, witamy i prosimy dalej!

— Hektor, Diana, Amina, pójdziecie won! Własnego słowa nie można zrozumieć!

Babunia weszła do domu, nad którego drzwiami wielkie jelenie rogi sterczały. W sieni samej zawieszane były liczne strzelby i to tak wysoko, aby ich dzieci dostać nie mogły. Babunia się strzelby, nawet nie nabitej bardzo bała, a gdy się leśniczy ze staruszki naśmiewał, ona tak się broniła:

— Nikt nie wie, co się stać może, złe nie śpi!

— Prawda, — przytakiwał leśniczy; bo:

„Gdy Pan Bóg dopuści,
To i z kija puści!”

Babunia nie brała takich żartobliwych uwag leśniczemu za złe, jeżeli tylko w jej obecności nie brał imienia Bożego nadaremno i nie klął. Klątwy bowiem staruszka ani słyszeć nie mogła, a ilekroć leśniczy wymyślał, zatykała rękoma uszy i łajała:

— Oj ta Wasza niewyparzona gęba! Ozłowiek po Waszem gadaniu święconą wodą kropić musi!

A ponieważ leśniczy Babunię bardzo lubił, wystrzegał się więc w jej obecności złorzeczeń i dyabła, który mu się, jak to mawiał, ciągle w usta oisnie.

— A gdzie jest pani kumotra? — zapytała Babunia, gdy wszedłszy do izby, nikogo tam nie zastała.

— Najprzód siadajcie, a potem zawołam kumotrę, wszak wiecie, że się ona zawsze jak kwoka między kurczętami chybota, — odpowiedział leśniczy i wyszedł po żonę.

Chłopcy stali przed szafą i przypatrywali się błyszczącym strzelbom i kordelasom; dziewczynki bawiły się ze sarenką, która za nimi do pokoju była weszła. Babunia zaś, jednym rzutem oka wszystkie sprzęty w pokoju oceniwszy, tak sobie pomyślała w duchu:

— Co prawda, to prawda, czy człowiek przyjdzie w świątki czy w piątki, zawsze tu wszystko czyste jak szkło, — a spostrzegłszy następnie związaną i zamoczoną już przedzę na ławie, zbliżyła się i badała ją okiem znawczyni.

Wtem otworzyły się drzwi i do pokoju weszła jeszcze młoda kobieta w czystym domowym ubraniu i białym czepcu na głowie. Trzymając na ręce małą, śniadowłosą dziewczynkę, serdecznie Babunię i dzieci witała, a po jej uradowanej, otwartej twarzy znać było, że się odwiedzinami szczerze cieszyła.

— Właśnie płótno polewalam; bardzo uradowana, bo tego roku będzie bieluchne jak batyst, — rzekła pani kumotra, uniewinniając zarazem swą nieobecność.

— To nazywam pracą! — zawołała Babunia, — jeden kawał na bielidle, a drugi już dla tkacza na ławie gotowy! Z tego tu będzie płótno jak pergament; chodzi tylko o to, aby wam je tkacz dobrze zrobił. Czy jesteście z waszego tkacza zadowolona?

— Sami najlepiej wiecie, Babuniu, że każdy oszukuje, — odpowiedziała pani kumotra.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(18)

— — —
(Ciąg dalszy).

— A wy baby! Radbym ja się dowiedział, jakim sposobemby was tkacz mógł oszukać, gdyż wy każdą drobnostkę obliczacie, — naśmiewał się pan leśniczy. — Siadajcież, Babuniu, i nie stójcie przy drzwiach! — nastawał na staruszkę, która się od przędzy oderwać nie mogła.

— Jeszcze dość czasu mamy, — odparła Babunia, biorąc za rączkę Andzię, którą była pani kumotra przy ławie postawiła, aby dziecko nie upadło, gdyż dopiero chodzić poczynąło.

Gdy pani kumotra od drzwi odstąpiła, pojawili się w nich dwaj opaleni chłopcy, pierwszy jasnowłosy jak matka, drugi brunet jak ojciec. Przybiegli byli wprawdzie zaraz za matką do drzwi, lecz gdy ona się w rozmowę z Babunią wdała, nie wiedzieli, jak się z dziećmi przywitać, zawstydzili się i schowali za matki suknię.

— Co to za żołnierze, — krzyknął ojciec, — którzy się matce za suknię kryją zamiast gości przywitać! Zaraz podajcie Babuni rękę!

Chłopcy śmiało zbliżyli się teraz do Babuni i przywitali się, za co im Babunia po jabłku dała, mówiąc:

— To macie za powitanie, a na drugi raz się nie wstyďte, bo to na chłopaków nie przystoi trzymać się mamusinych fałd!

Tak ich napominała staruszka, a chłopcy spuściwszy oczy, jabłkom się przypatrywali.

— A teraz — marsz! — krzyknął ojciec; — pokażcie dzieciom puhacza i rzućcie mu sojkę, którą dziś zastrzeliłem, — a nie zapomnijcie o szczeniętach i młodych bażantach. Ale nie rozpędzajcie mi drobiu jak jastrzębie żarłoczne, bo was...

Ostatnich słów już dzieci nie słyszały, bo tylko, co ojciec słowo „marsz!“ wyrzekł, cała gromada gruchnęła za drzwi.

— To dopiero polowanie! — parsknął śmiechem pan leśniczy; — a po twarzy jego było poznać, jak się z dzieci cieszył.

— Dzieci jak dzieci, młoda krew! — rzekła Babunia.

— Gdyby tylko ci chłopcy tacy dzicy nie byli; bo wierzajcie mi, Babuniu, przez cały dzień mi strach w zanadrzu siedzi. Pną się hultaje na wysokie drzewa, przewracają koziołki, drą spodnie — zgroza opowiadać! Jedyłą moją pociechą ta dziewczynka!

Tak się to pani kumotra Babuni skarżyła.

— Już to tak bywa, pani kumotro; córka się wyradza w matkę, a syn w ojca, — rozumowała Babunia.

Pani kumotra podała ojcu córeczkę, aby ją na chwilę potrzymał.

— Tylko małą przekąskę przyniosę, — rzekła kumotra; — zaraz wrócę!

— Dobra żona! — odezwał się leśniczy, — gdy kumotra była już za drzwiami. Byłoby grzechem jej ubliżyć; jedyną jej wadą ta bezustanna obawa, że chłopcy karki poskręcają. Lecz cóż to za chłopiec, w którym nie ma życia!

— Co za dużo, to nie zdrowo, panie kumotrze. Gdyby człowiek dzieciom na wszystko pozwalał, toby na głowach chodziły, — odpowiedziała Babunia, — chociaż sama nie zawsze według tych słów ze swemi wnukami postępowała.

Po chwili weszła gospodyni z pełnemi rękami. Na dębowym stole zabłyszczał wnet bielusienki obrus i w okamgnieniu znalazły się na nim majolikowe talerze, noże z trzonkami rogowemi, poziomki, śmietana, chleb, miód, masło, a nawet i piwo. A potem gospodyni, biorąc Babuni wrzecziono z ręki, rzekła:

— Teraz z wrzeczionem na bok, Babuniu! Pro-

szę jeść! Ukróćcie chleba i posmarujcie świeżym masłem; jest świeżutkie, a piwo niechrzone. Kołacze wprawdzie nie są najlepsze, bom je tylko tak na „Bóg zdarz“ do pieca wsadziła. Wielka szkoda, że poziomek nie spozywacie; za to im dzieci rade będą; poleję im śmietaną.

To mówiąc pani kumotra jedną skibę chleba za drugą krajała, smarowała masłem i skrapiała miodem.

Nagle Babunia uderzyła się ręką w czoło, jakby sobie była coś przypomniała, i rzekła:

— Jak mnie pamięć opuszcza! Ani mi dotąd na myśl nie przyszło, żeśmy się w altanie z księżną panią widzieli.

— Nie ma się czemu dziwić; bo te dzieci mogą człowieka o stratę rozumu przyprawić, — zaczęła pani kumotra lamentować, — lecz dalsze narzekania przerwał pan leśniczy, który był bardzo zaciekawiony, o czem też księżna pani z Babunia rozmawiała.

— Ani słówka, Babuniu! — zawołała odedrzwi pani kumotra; — muszę wpierw dzieciom nakazać, aby się ciszej zachowywały.

Tymczasem młodzież zrewidowała wszystko, co tylko w leśniczówce oglądać było można.

Synowie leśniczego, Janek i Wojtek, pokazywali im wszystko i wszystko im objaśniali. W tej chwili stali przed domem i produkowali się z małą Aminą, która wszystkie swe sztuki pokazywać musiała, jako to: przez kij skakać, aportować itd. itd. Tu rozległ się odedrzwi głos matki, wołając dzieci na podwieczorek. Nie dały się też malcy dwa razy prosić.

— Posiadajcie i uważajcie, abyście mi się przy jedzeniu nie pobrudziły, — upominała matka, — zastawiając potrawy na stoliku pod drzewami.

Dzieci zajadały chciwie; wokoło młodych biesiadników ustawiły się psy i pożądliwie w twarz jedzących spoglądały.

„Ciąg dalszy nastąpi.“

BABUNIA.

Bożeny Němoowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(19)

(Ciąg dalszy).

Wróciwszy do pokoju prosiła pani kumotra Babunię, żeby o spotkaniu się z księżną panią opowiadała, co też staruszka jak najdokładniej uczyniła.

— Zawsze byłam tego przekonania, — odezwała się na to kumotra, — że księżna pani ma złote serce. Bo ile razy tu była u nas, dopytywała się zawsze o dzieci i całowała Andzię w czoło, a kto dzieci kocha, jest sam dobrym człowiekiem. Tylko te hultajskie lokaje złe wieści o niej roznoszą!

— Czynь djabłu dobrze, a piekłem ci odpłacisz! — dodała Babunia.

— Tak jest, Babuniu, niestety! — rzekł leśniczy, — prawdziwe to przysłowie. Zawsze mówiłem, że nie potrzebaby nam lepszej pani jak księżna pani, gdyby koło siebie tych drabów nie trzymała, którzy ją okłamują, a potem spotwarzają. Bo cała ta zgraja do niczego na świecie nie zdatna i tylko Panu Bogu dzień kradnie. Patrząc na to wszystko, kochana Babuniu, nieraz pomyślę: Gdyby w was tysiąc pior... pierników trzasło! Nie mam-li się gniewać, gdy pomyślę, że taki drab, który nie rozumie, niczego nie rozumie, naniżem się nie zna za to, że za wozem jak drewniany straszak stoi i po pokojach drepta, to samo pobiera, co ja, a znaczy więcej odemnie, który w deszczu, błocie i śniegu, we dnie i w nocy po lesie czyhać i z kłusownikami uganiać się muszę, za wszystko tu odpowiadać, o wszystko się starać muszę! Lecz mnie nie wolno narzekać, milczeć muszę! Gdy mi taki drab na oczy się pokaże i nosa zadziera, wszystko się we mnie gotuje i jestem gotów mu kości poła...! Lecz po co się złościć? po co unosić? Na niego się to nie przyda!

Tu pan leśniczy chwycił za szklanke i wypił do dna.

— A wie-li księżna pani o wszystkim? A czemuż się nikt z pokrzywdzonych nie odważy i otwarcie nie wypowie, że mu niesprawiedliwość wyrządzono? — zapytała Babunia.

— Ba! któż się chce narazić i palce sobie sparzyć? Wszak ja sam często ją widuję, więc bym mógł to lub owo szepnąć, ale wciąż tak rozumię: Trzymaj język za zębami Franku, inaczej się wszystko na tobie skrupi! Bo dajmy na to: księżna pani mi nie uwierzy i zapyta tych wyższych, wtedy po wszystkim, bo ci się trzymają razem jak palec palca. Dopiero kilka dni temu, jak z nią mówiłem. Oprawadzała właśnie po lesie tego obcego księcia, który u niej gości. W jakimś zakątku boru spotkali Wikcie, więc się o bliższe szczegóły co do dziewczyny dopytywali. Księżna się jej wyglądem przestraszyła.

— A cóżście im powiedzieli? — zapytała Babunia.

— Cóż miałem powiedzieć? Powiedziałem, że jest niespełna rozumu, ale przytem spokojna.

— A co potem?

— Potem usiedli na murawie, a i mnie usiąść kazali i musiałem im opowiadać o głupiej Wikcie, i jakim sposobem straciła rozum.

— I naturalnie bardzo chętnie to uczyniłeś! — zauważyła żartobliwie pani kumotra.

— Musisz o tem sama najlepiej wiedzieć, kochana żonko! Bo któżby nie był pięknej pani chętny do usług? A nasza księżna, chociaż już nie pierwszej młodości, jednak jest bardzo piękna pani. Ostatecznie nie było innego wyjścia; chcąc nie chcąc musiałem opowiadać.

— Co też z was za szelma, panie kumotrze. Jestem tu już od dwóch lat, przyrzekaliście mi z jakie dziesięć razy, że mi wszystko o Wikci dokładnie powiecie, a nie dowiedziałam się po dziś dzień nic o dziewczynie. Wiem tylko piąte przez dziesięte. Nie jestem wprawdzie piękną panią, więc się nigdy kistoryi o Wikci nie doczekam, — skarżyła się Babunia.

— Mylicie się, Babuniu! — odparł leśniczy, — wyście mi milei od najniekniejszej pani na świecie.

a jeżeli cierpliwie posłuchacie, zaraz wam całą historję o Wikci opowiem.

— Jak łaska pana kumotra, to i jedwabną poduszkę podłożę, — żartowała Babunia, — a jeżeli się pani kumotra temu nie sprzeciwi, biore waz za słowo. Bo człowiek na starość podobny do dzieci, a dzieci jak wiece lubią opowieści.

— Ja młoda a chętnie słucham, — odezwała się pani kumotra, — opowiadaj więc, ojczulku; prędzej nam czas zejdzie.

— Mamusiu! — odezwał się we drzwiach głos Wojtka, — proszę o chleb, bo już nic nie mamy...

— To nie możliwe; gdzieżby to dzieci wszystko podziały? — dziwowała się Babunia.

— Jedną połowę zjadły, drugą dały psom, sarence i wiewiorkom; tak zawsze robią. Och! co ja z temi dziećmi mam za utrapienie, — wzdychała pani kumotra, krając powtórnie chleb.

Podczas gdy matka w przedsionku dzieci chlebem dzieliła, polecając córeczkę opiece służącej, nakładał leśniczy tytoniu do fajki.

— Mój niebożczyk, — rzekła Babunia, — niech mu Pan Bóg da niebo, miał ten sam zwyczaj: zanim zaczął opowiadać, musiał wprzód swoją fajkę nakłnąć.

W oczach staruszki zabłysnął na chwilę blask błogiego wspomnienia.

— Nie wiem, co to jest, ale wszyscy mężczyźni mają ten brzydki zwyczaj, — odezwała się we drzwiach pani kumotra.

— Ale nie udawaj, jakobyś tytoniu nie lubiła, wszak mi go sama z miasta nosisz, — rzekł leśniczy, zapalając fajkę.

— Bo nie ma z wami innej rady, — odparła kumotra, — gdy człowiek nie chce wciąż na mrukliwą twarz patrzeć, musi wasze upodobania znosić. Opowiadaj już nareszcie — ciągnęła dalej, siadając z wrzecionem obok Babuni.

— Jestem gotów, więc słuchajcie!

To mówiąc, puścił leśniczy pierwszy kłęb dymu w górę, założył nogi, oparł się o poręcz krzesła i rozpoczął historję Wikci.

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(20)

(Ciąg dalszy).

VI.

Wikcia jest córką gospodarza z Zernowa. Rodzice jej już dawno umarli, brat zaś i siostra żyją podziś dzień. Przed piętnastu laty była Wikcia dziewczyną jak malina; nie było jej równej daleko i szeroko. Żywa jak sarna, pracowita jak pszczołka, przytem przyszła spadkobierczyni jednej części gospodarstwa po rodzicach — nikt nie mógł sobie życzyć lepszej dziewczyny za żonę. Taka nie mogła pozostać za piecem. To się samo przez się rozumiało.

Stała się więc niedługo głośną w całej okolicy i nie zawierały się drzwi przed zalotnikami. Rodzicom się nie jeden podobał, nie jeden młodzieniec był zamożnym gospodarzem, za którego wychodząc, córka byłaby przyszła, jak się to mówi, „do pełnego“. Lecz Wikci byli wszyscy obojętni, ona tylko na tego dobrem okiem spoglądała, który dobrze tańczyć potrafił, ale i takiego względami swojemi tylko podczas tańców darzyła. Skończyła się muzyka, skończyły się i jej względy.

Ojciec łamał sobie głowę, dlaczego córka zalotników tak lekko odprawiała, a sprzykrzywszy to sobie nareszcie, łajał ją ostro i stanowczo zażądał, aby się za jednego iść zdecydowała, inaczej on sam zalotnika wybierze i do zamażpójścia ją zmusi.

Dziewczyna płakała i prosiła, aby jej z domu nie wypędzali, uniewinniała się, że ma dopiero lat dwadzieścia i jeszcze niczego na świecie nie użyła, a Bóg wie, za kogo wyjdzie i jakie potem życie jej będzie.

Ojciec ją kochał szczerze, więc słysząc takie

narzekania, ubolewał nad dziewczyną i patrząc w jej piękne oczy, tak rozumował:

— Nie masz się co spieszyć, znajdziesz jeszcze dość zalotników!

Lecz ludzie byli innego zdania; powiadali, że Wikcia jest harda i czeka, dopóki nie przyjadą po nią w karecie; i prorokowali, że po pysze przyjdzie upadek, i że kto długo wybiera, przebierze.

Takie i podobne przypuszczenia ludzie stawali.

Wówczas strzelcy leżeli kwaterą we wsi. Po niedługim czasie pewien strzelec zaczął chodzić za Wikcią. Szła dziewczyna do kościoła, strzelec kroczył za nią; tylko co stanęła w świątyni, strzelec znalazł się w jej najbliższem sąsiedztwie, a zamiast oczy zwrócić na ołtarz i modlić się do Boga, wpatrywał się w dziewczynę; szła biedna w pole po trawę, strzelec się i tam niebawem znalazł; krótko mówiąc: Gdzie tylko bądź Wikcia się obróciła, strzelec ją prześladował i chodził za nią jak jej własny cień. Doszło do tego, że ludzie o nim mówić poczęli, że nie ma dobrego rozumu, a zdarzało się, że rówieśniczki Wikci zwróciły rozmowę na strzelca, Wikcia pytała:

— Po co ten żołnierz za mną chodzi? Prześladowuje mnie jak mara, a jeszcze słowa do mnie nie przemówił. Boję go się jak ognia, a gdy go w pobliżu spostrzegę, to aż mrówki po mnie chodzą, a już spojrzeć mu w oczy, to człowiek wprost zawrotu głowy dostaje!

— Te jego oczy! Dziwne oczy! — mówili ludzie; — one nie dobrego nie wieszczą; wszak mu się w nocy iskrzą i świecą! A zrosnięte nad nosem brwi, które się jak krucze skrzydła nad niemi zwieszają, są widocznym dowodem ich czarującej mocy.

Inni znów litowali się nad nim, wywodząc:

— Mój Boże! Któż winien jest ułomności, z którą przyszedł na świat! A zresztą nie każdy

podlega czarującej mocy takich ócz, więc nie ma powodu, abyśmy się ich wszyscy obawiali.

To jednakowóż nie przeszkadzało sąsiadkom czempredzej białą chustką ocierać swych malców, gdy przypadkiem które z dzieci strzelcowi było w drogę weszło, lub gdy jakie dziecko zachorowało, wygadywać:

— Czarny strzelec dziecko urzekł!

Ludzie się z czasem przyzwyczaili do tej pochmurnej twarzy, a pomiędzy dziewczynami podnosiły się nawet głosy, że ta twarz nie była wcale brzydką, gdyby była trochę weselszą. Lecz ogólnie mówiono tak:

— Co tam taki leśniak! Bóg wie, kto i z kącon jest; może to wcale nie człowiek; niedługo a trzeba się będzie, zobaczywszy go przeżegnać i mówić: Wszelki duch Pana Boga chwali! Ani nie tańczy, ani nie mówi, ani nie śpiewa; unikajmy go!

I unikali go. Ale cóż to wszystko pomogło! Ludziom było łatwo powiedzieć:

— Unikajmy go! — bo za nimi nie chodził; ale Wikcia miała z jego powodu utrapienie.

Opuszczała już teraz dom tylko w razie gwałtownej potrzeby, aby się chociaż na chwilę przed temi oczami uchronić, które ją wszędzie i na każdym miejscu prześladowały. Przestała ją i muzyka bawić. Bo gdy zjawiała się na sali, zaraz z jakiego kąta ta pochmurna twarz na nią spoglądała. Nie chodziła także do przędzy, wiedząc dobrze, że czarny strzelec jest już w izbie, lub pod oknem na dworze; wtedy robiło się duszno dziewczynie i nic jej się rwała, raz za razem.

Trapiło ją to niemało. Każdy spostrzegał zmianę w jej usposobieniu, lecz nikt się nie domyślał, że czarny strzelec był temu winien, przeciwnie, sądzili, że biedna Wikcia mu pozwalała za sobą chodzić, gdy już ostatecznie inaczej sobie poradzić nie mogła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(21)

(Ciąg dalszy).

Pewnego razu tak się Wikcia do swych rówie-
niaczek odezwała:

— Wierzajcie mi dziewczęta, gdyby teraz jaki
bądź zalotnik po mnie przyszedł, czyby on był bo-
gaty, czy ubogi, piękny, czy brzydki, zarazbym za
niego wyszła, byleby nie był z naszej wioski.

— Co tobie do głowy przyszło? Czy ci w do-
mu źle, że ci się wszystko sprzykrzyło i nawet ci
nasza wioska obrzydła? — pytały dziewczyny.

— Tak o mnie nie myślcie! Ale nie mogę
tu wytrzymać, póki ten czarny strzelec tu siedzi.
Wy sobie ani wyobrazić nie możecie, jak mnie ten
natręt trapi i gniewa. Już się ani spokojnie wy-
spać, ani gorąco pomodlić nie mogę; wszędzie i za-
wsze oczy jego mnie prześladują! — skarżyła się
Wikcia dziewczynom i rzewnie szlochać poczęła.

— Na Boga! A czemuż mu nie powiesz, że
go ścierpieć nie możesz; że ci jest solą w oku? —
odezwały się dziewczyny.

— Wszystko już zrobiłam! Nie mówiłam
wprawdzie z nim osobiście — bo jakże mówić, gdy
kroczy za mną, jak niemy, czarny cień — ale ka-
załam mu to przez jego towarzyszków słowo w słowo
powtórzyć.

— I poskutkowało?

— Nic a nic; przeciwnie! — powiedział tylko,
że nikt nie ma prawa go pouczać, że mu wolno
chodzić gdzie i do kogo mu się podoba; a osta-
tecznie wcale mi nie powiedział, że mnie kocha,
więc tak samo nie mam prawa do oświadczenia, że
go nie chcę!

— A — patrzcie! co za mądrala! co za gru-
bianin! — zawołały oburzone dziewczyny.

— Co on sobie myśli? Mamy się teraz za co
pomścić!

— Tylko nie zaczynajcie z nim; mógłby was oczarować! — odradzały przezorniejsze.

— Gadu, gadu! co nam robi? Chciałby nam co zadać, musiałby posiadać jaki przedmiot, który my na ciele nosiły, a tego mu żadna z nas nie da; my zaś nie takie głupie od niego co przyjąć. Więc na co strachy?!

— Nie obawiaj się niczego, Wikciu. Pójdziemy pewnego pięknego dnia z tobą i tego dyabła wypłoszymy! — zapewniały śmielsze.

Lecz Wikci to zapewnienie nie pocieszyło, bo bojaźliwie wkoło siebie spoglądając, głęboko westchnęła:

— Gdyby już raz Pan Bóg ten krzyż ze mnie zdjął!

Oświadczenie Wikci nie zostało tajemnicą; wszyscy wnet o tem we wsi mówili, a i do sąsiedniej wioski nowina się przedostała.

Po kilku dniach przyszedł jakiś usłużny człowiek do ojca Wikci, mówił o tem i owem, aż na końcu wyznał i oświadczył, że sąsiad chce syna ożenić, któryby bardzo chętnie Wikcię za żonę pojął; przyszedł on zatem zapytać, czy tamtym wolno przyjść na znowiny.

— Zaczekajcie chwilę, zapytam się córki, niech wam sama da odpowiedź. Bo co do mnie, to bardzo dobrze znam Szymona i jego syna Tomasza, nie mam zgoła nic przeciwko nim; mają porządne gospodarstwo, — rzekł ojciec do swata i poszedł do komory naradzić się z córką.

Gdy Wikcia wszystko wysłuchała, odpowiedziała bez namysłu:

— Niech przyjdą!

Ojcu wydawało się dziwnem, że się córka tak prędko zgodziła, więc zapytał, czy zna Tomasza, aby ich daremnie nie zapraszać. Lecz Wikcia została przy danem słowie i oświadczyła nadto ojcu, że Tomasz jest jej dobry znajomy, i że go uważa za uczciwego człowieka.

— Bardzo mnie to cieszy, — odrzekł ojciec; — zresztą — jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz; więc — wola Boża! — niech przyjdą.

Gdy ojciec wyszedł, aby odprawić swata, we-

szła matka do komory i przeżegnawszy córkę, winnowała jej szczęścia i rzekła:

— Wielką radość mi sprawia twoje postanowienie, bo tam nie będziesz miała ani teściowej, ani szwagrowej, — będziesz sobie sama panią.

— Mamuniu! wyszłabym za niego, chociażby tam i dwie teściowe były! — odpowiedziała córka.

— To tem lepiej, że go tak kochasz.

— Nie dla tego, mamuniu! jabym i innemu godnemu człowiekowi była słowo dała.

— Co ty mówisz? Zlituj się! wszak tu dość zacnych ludzi chodziło, a nikogo nie chciałaś!

— Bo wówczas jeszcze strzelec za mną nie chodził — z temi złemi ślepiami, — szepnęła Wikcia.

— Nie masz chyba rozumu! co mówisz o żołnierzu? Co ten cię obchodzi? Cóż takiego, że za tobą drepta? Niech drepta! jak mu się podoba; nie zważaj na niego i basta! Wszak on chyba z domu cię nie wypędzi!

— Właśnie że on, mamuniu, tak jest — on; bo dla niego się trapię i męcę i nie mam nigdzie spokoju przed nim! — narzekała dziewczyna.

— Czemu mi o tem już dawno nie mówiłaś? Byłabym poszła z tobą do kumotry kowalowej, która na takie rzeczy umie poradzić. Lecz co się zwlecze, to nie uciecze; pójdziemy jutro zrana do niej, — pocieszała matka.

Następnego dnia wybrała się matka z córką do kowalowej, która obeznana była z takimi tajemnicami, o których inni ludzie ani pomyśleli. Czy to, co zaginęło, czy krowy nie doiły lub złodzieje co pokradli, — wszystkiego przyczynę kowalowa wiedziała, na wszystko lekarstwo znalazła; więc i Wikcia ze wszystkim jej się zwierzyła.

— Nie mówiłaś nigdy z nim? Ani słowa? — badała kumotra.

— Nigdy, ani słówka!

— Nie zjadłaś nic od niego? jako to: jabłka, marcypanu?

— Nie, kumotro, nie! Żołnierze się także z nim nie wdają, bo on bardzo dumny, zawsze sam na sam, taki dziki leśniak; tak o nim u nas mówili.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(22)

(Ciąg dalszy).

— To prawdziwa zmora z niego, — zapewniała Kowalowa; lecz się nie obawiaj niczego; już ja ci pomogę; w tem nie ma nic złego. Przyniosę ci jutro coś i musisz to nosić ustawicznie przy sobie; rano nim wyjdiesz z komory nigdy nie zapomnij przeżegnać się święconą wodą, a przytem mów te słowa: „Pan Bóg ze mną, a złe precz!” Gdy pójdziesz potem, nie patrz ani za siebie, ani w bok, a gdyby strzelec do ciebie przemówił, nie zważaj na niego, chociażby słowa anielskie wymawiał, bo on gotów się i głosem oczarować. Najlepiej będzie, jak sobie uszy zatkasz. Spamiętaj więc dobrze, com ci powiedziała, a gdyby za kilka dni lepiej być nie miało, przyjdź znów do mnie.

Wikcia odeszła od kowalowej weselsza i żywiła nadzieję, że jej znów tak dobrze i lekko na sercu będzie jak ongi.

Kowalowa przyniosła na drugi dzień mały woreczek z czerwonego sukna i zawiesiła go własnoręcznie dziewczynie na szyi, upominając przytem Wikcię, aby go nigdy nie zdejmowała ani nikomu nie pokazywała.

Gdy pod wieczór rznąła trawę, spostrzegła niedaleko pod drzewem mężczyznę. Zadrzała, krew jej uderzyła do głowy, ale przemogła się, ani razu nie spojrzała w bok, a po skończonej pracy biegła do domu, jakby się za nią paliło.

Trzeciego dnia potem była niedziela. Matka piekła kołacze, ojciec poszedł zaprosić do siebie na popołudniu pana organistę i kilku starszych sąsiadów, a we wsi mówili sobie ludzie po cichu:

— Mikszów będą dziś zrękowiny!

Po południu weszli w podwórze Miksza trzej mężczyźni w świątecznych ubraniach. Dwaj mieli rozmarynowe różeczki za kapeluszami. Gospodarz

domu przywitał ich w progu, a czeladź w przed-
sionku zawołała:

— Szczęść Boże!

— Daj Panie Boże! — odpowiedział swat za
ojca i syna.

Zalotnik przestąpił próg jako ostatni; w po-
dwórzu odzywały się głosy kobiet:

— Czysty i ładny to chłop, ten Tomasz; gło-
wę nosi jak jeleni i ma taką ładną rozmarynową
rózyczkę za kapeluszem; gdzie się też takiej do-
kupił?

Mężczyźni zaś mówili:

— Nie ma się czemu dziwić! Snadno mu nosa
zadzierać, gdyż weźmie najlepszą dziewczynę za
żonę, w dodatku dobrą tanecznicę i doskonałą
gospodynię i nie bez majątku. Ma się z czego
cieszyć!

Tego samego zdania byli niejedni rodzice we
wsi i gniewali się, że Wikcia za cudzego mło-
dzieńca wychodzi, jakby to we wsi dość dobrych
chłopaków nie było.

Innym wydawało się dziwnem i to, że się
wszystko z takim pospiechem odbywało i tak „ga-
du, gadu“, jak to zwykle przy takich i tym po-
dobnych okazjach bywa.

Do wieczora było po zmowach. Pan organista
spisał urzędowy akt zrekowin, świadkowie i rodzice
podpisali się trzema krzyżykami, imiona i nazwiska
zaś położył organista. Wikcia ślubowała Toma-
szowi podaniem ręki, że za trzy tygodnie będzie
jego żoną.

Na drugi dzień przyszły rówieśniczki Wikci
z powinszowaniami, a gdy się „mioda pani“ we wsi
pokazała, wszędzie za nią wołali:

— Daj ci Boże szczęście, niewiasto!

Leż gdy młodzieńcy żałować zaczęli:

— Szkoda, Wikciu, że nas odchodzisz, wielka
szkoda; czemu nas opuszczasz, Wikciu? — zalała
się dziewczyna łzami i rzewnie płakała.

Przez kilka dni była weselsza, wychodziła na
wies bez obawy, która ją zawsze była ogarniała,
poki nie miała szkapierza od kowalowej innje była

jeszcze zaręczoną. Zdawało jej się, że wszystek strach przepadł i dziękowała za to Bogu i kowalowej, która jej tak dobrze była poradziła. Niestety ta jej radość nie miała być stałą.

Pewnego dnia narzeczeni siedzieli w sadzie i rozmawiali o przyszłym swem gospodarstwie i o weselu.

Nagle Wikcia zamilkła, oczy wlepiła w krzaki stojące naprzeciw i zaczęła się trząść na całym ciele.

— Co tobie jest? — zapytał zdziwiony narzeczony.

— Spójrz tylko prosto w zarośla; nie widzisz tam nikogo? — szepnęła Wikcia.

Narzeczony spojrział badawczym okiem i rzekł:

— Nic nie widzę, a tyś kogo tam widziała?

— Mnie się zdawało, że czarny strzelec na nas patrzy! — szepnęła Wikcia jeszcze ciszej.

— Poczekaj! — krzyknął Tomasz, skoczył naprzód, przeszukał zarośla raz i drugi, ale daremnie, nie znalazł nikogo.

— Nie daruję mu tego! Co on teraz jeszcze na ciebie patrzy? Oj, zasolę ja mu tłuszczu! — złościł się Tomasz.

— Nie zaczynaj z nim żadnych kłótni, Tomaszu, proszę cię; bo sam dobrze wiesz: co żołnierz, to żołnierz. Wszak ojciec był na „Czerwonej Górze” z prośbą u oficera, aby strzelca z naszej wioski odkomenderował; chciał nawet przełożonemu hojnie wynagrodzić, lecz tenże oświadczył, że prośbie tej pomimo dobrej woli zadość uczynić nie może, albowiem żołnierz nie popełnia żadnego przestępstwa, gdy chodzi za dziewczyną. Mówili tam także ojcu, że czarny strzelec pochodzi z bardzo bogatego domu, że służy jako ochotnik i może odejść, kiedy mu się spodoba. Dopierobyś sobie piwa nawarzył! Z takim nie ma co zaczynać!

Tak perswadowała Wikcia Tomaszowi, który jej w końcu przyrzekł, że strzelcowi da spokój.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(23)

(Ciąg dalszy).

Od tego wieczora Wikcia przechodziła te same ciężkie chwile co przedtem, a chociaż z całą wiarą skaplerz do serca tuliła, nie przestawał niepokój targać, jej duszą i szarpać, gdy tylko czarne oczy w pobliżu ucuła.

Poszła więc po radę do kowalowej.

— Już sobie poradzić nie mogę! Widoczna kara Boska na mnie spadła, bo wszelkie Wasze środki i rady zostały bez skutku, — narzekała Wikcia.

— Niech będzie, co chce; a chociażby był sam antychryst, muszę mu poradzić. Wprawdzie potrzeba mi do tego dwóch rzeczy, które były jego własnością. Nim się w te zaopatrzę, unikaj go jak możesz. Módl się do Anioła Stróża i za dusze w czyśćcu cierpiące, które znikąd pomocy nie mają. Bo wyprosisz której zbawienie, będziesz miała orędowniczkę w niebie.

— Właśnie w tem sęk, kumotro, że się już wcale spokojnie pomodlić nie umiem, — skarżyła się biedna dziewczyna, zalewając się łzami.

— Widzisz; zwłóczyłaś długo, aż cię zła moc całkiem ogarnęła. Ale nie rozpaczaj; za pomocą Boską przemożemy tego dyabła.

Wikcia skupiła wszystkie swe siły i oddawała się rzeczonyj modlitwie, a gdy myśli gdzieś odbiegać chciały, przypominała sobie mękę Pańską, Matkę Bolesną, aby się w ten sposób złej mocy oprzeć. Udało jej się to dzień pierwszy i drugi. Na trzeci dzień poszła rznąć koniczynę na ostatnie pole. Parobkowi kazała niedługo za sobą przyjechać, bo się z zniechęciem pospieszy.

Szła lekkim krokiem jak sarna krasna, ludzie spoglądali z radością za nią, bo piękna była. Taka szła na pole, a do domu przywiózł ją parobek na zielonej koniczynie wyciągniętą, bladą, zranioną. Nogę miała zawiązaną cienką, białą szmatką; z wozu musieli ją podnieść i do izby zanieść.

— Matko Boska Jasnogórska! — biadała matka; — dziecku co się stało!

— Nastąpiłam na tarnisko, wbiłam w piętę cierń głęboko i zrobiło mi się źle. Zanieście mnie do komory, położę się! — prosiła Wikcia.

Zanieśli ją na łóżko, a ojciec pobiegł zaraz po kowalową. Kowalowa przypędziła jak na koniu a za nią przyszły inne baby z doradami.

Jedna radziła szezyr, druga babki, trzecia zażegnanie, czwarta kadzenie suszonymi ziołami, ale kowalowa nie dała się zbić z tropu i okładała nogę tartami kartoflami. Potem wyprosiła kobiety, oświadczając, że sama Wikcię pielęgnować będzie, bo choroba długie nie potrwa.

— Opowiedz mi, dziewczyno, jako to było; takaś przestraszona! A kto ci tą bielutką, delikatną szmatką nogę zawiązał? wołałam ją czempredziej schować, aby jej te gadatliwe baby nie spostrzegły, — mówiła przezorna kowalowa, układając wygodnie nogę na łóżku.

— Gdzieście ją podziali, kumotro? — spytała skwapliwie Wikcia.

— Masz ją pod poduszką!

Wikcia wzięła chustkę do rąk, patrzyła na krwawe plamy, wyhaftowane nazwisko, którego nie знаła i na odmian rumieniła się i bladła.

— Dziewczyno, dziewczyno! ty mi się nie podobasz; co mam o Tobie myśleć?

— Myście tak: że mnie Pan Bóg opuścił, że jestem stracona na wieki wieków, że dla mnie nie ma pomocy.

— Widocznie ma gorączkę i majaczy, — pomyślała kumotra, głaszcząc Wikcię po licach; ale twarz była zimna i ręce zimne. Tylko oczy dziew-

czyny gorzały i spoglądały ustawicznie na chustkę, którą obiema rękami przed sobą trzymała.

— Słuchajcie kumotro! — zaczęła z cicha, — ale nikomu o tem nie mówcie — wszystko wam opowiem. — Te dwa dni nie widziałam go, wszak wiecie, kogo mam na myśli, ale dziś już mi od rana w uszach dzwoniło: Idź na koniczysko, idź na koniczysko, jakby mi to kto podszeptywał. Wiedziałam, że to jest jakaś pokusa, bo on najczęściej bywał koło tego pola i wysiadywał pod drzewem u stóp wzgórza; lecz mi nie dało spokoju, wzięłam więc kaftanik i sierp i poszłam. Często mi przychodziło na myśl, że jestem sama swoją zwodzicielką, ale w uszach mi wciąż szeptało: Idź na koniczysko, idź na koniczysko! Być może, że go tam nie będzie, czego się zresztą obawiasz? Wszak Tomasz za tobą przyjedzie!

Tak mnie pokusa zagnała na pole. Spojrzałam w stronę drzewa, nikogo tam nie było.

— Gdy go tam nie ma, to już wygrała, — pomyślałam w duchu i wzięłam sierp do ręki, aby rznąć. Wtem mi przyszło na myśl, szukać czterolistej koniczyny, przyczem sobie pomyślałam: znajdziesz, bo będziesz z Tomaszem szczęśliwa! Szukałam i szukałam, nie odwracając ani na chwilę ócz od koniczyny. Nagle spojrzałam w bok i — widzę strzelca pod drzewem! Jednym zamachem obróciłam się w przeciwną stronę i w tem samym okamgnieniu nastąpiłam na tarnisko tuż przy ścieżce, raniąc nogę. Nie krzyknęłam z bóleści, wiem tylko, jak mi się zrobiło ciemno przed oczami, padłam na ziemię. Jak przez sen widziałam, że mię ktoś brał na ręce i odnosił, aż mię znów silna boleść obudziła. U potoku klęczał strzelec, maczał białą chustkę w wodzie i owijał mi nogę.

— Panie Boże! — pomyślałam — co się teraz z tobą stanie! Już nie możesz uciec przed temi czarnemi oczami. Najlepiej, nie patrz w nie!

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(24)

(Ciąg dalszy).

Boleści mi dokuczały, w głowie mi huczało, pomimo wszystkiego nie szepnęłam ani słówka, nie otworzyłam ocz.

Położył mi rękę na czole, chwycił za rękę: Mrowie mnie przeszło, ale — milczałam. Potem skropił mi wodą twarz i podniósł głowę; cóżem miała zrobić?! musiałam oczy otworzyć. Ach, droga kumotro, te jego oczy sporzały na mnie, jak słońce Boże; nie mogłam wzroku jego znieść, zamknęłam powieki. Lecz na cóż się to wszystko przydało! Gdy do mnie przemówił!

— Och! mieliście słuszną, kumotro, że i głosem oczaruje. Głos jego brzmi mi ustawicznie w uszach i słowa, któremi wyznał miłość.

— Jesteś mojem szczęściem, mojem niebem! — powtarzał.

— Co za grzeszne słowa! Widocznie sidła dyabelskie! Bo któżby z ludzi takie rzeczy wymyślił? Nieszczęsna dziewczyno, gdzieś ty rozum miała, żeś mu uwierzyła! — narzekała kowalowa.

— Boże! jak nie uwierzyć, gdy oświadczy, że kocha!

— Powiedzieć — to ladaco; obliczone na to, aby cię zbałamucić.

— Wszak mu to samo mówiłam, a on na Boga i duszę przysięgał, że mnie od pierwszego widzenia pokochał, i z tego powodu jedynie rozmowy ze mną unikał, bo nie chciał mnie przykuć do nieszczęsnego losu, który go wszędzie prześladowa i nie pozwala mu nigdy być szczęśliwym. Och! Już ani nie pamiętam, co wszystko powiedział; uwierzyłam słowo w słowo, powiedziałam, że go się tak bardzo bałam, że ze strachu przed nim na zręko-winy się zgodziłam; powiedziałam i o szkaplerzu, a gdy go żądał, chętnie oddałam! — rzekła Wikeia.

— O ty mój Zbawicielu! — lamentowała Kowalowa; dałaś szkaplerz święcony, przedmiot, który się na twojem ciele ogrzał! Przez to jesteś całkiem w jego mocy; już cię ani sam Pan Bóg z tych szponów nie wyrwie, — oczarował cię do szczytu!

— Powiedział, że czary — to miłość; a o innych czarach mówić, jest głupstwem; nie mam w takie bajki wierzyć, — rzekła znów Wikcia.

— Wszak powiedział — miłość; nauczyłabym ja go, co to jest miłość; ale teraz już wszystko daremne; coś ty narobiła; — wszak on — zmora; będzie ci krew z ciała ssał, a gdy ostatnią kroplę wysysie, udławi cię, a dusza twoja nie będzie miała ani po śmierci spokoju. — A mogłaś być tak szczęśliwą!

Wikcia się przelękała słów kumotry, lecz po krótkim namyśleniu odpowiedziała:

— Wszystko daremne! Pójdę z nim, chociażby do samego piekła; nic nie pomoże; pójdę z nim. — Przykryjcie mnie — zimno mi!

Kumotra przykryła dziewczynę pierzynami, lecz Wikci wciąż było zimno; milczała uporczywie; nie mówiła słowa do nikogo.

Kowalowa była do Wikci szczerze przywiązana. Rozgniewała się wprawdzie bardzo, że strzelcowi szkaplerz dała, lecz w sercu się o dziewczynę smuciła, bo ją uważała za straconą. Z powierzonych tajemnic Wikci nie zdradziła ani słowa.

Od tego dnia leżała Wikcia jak nieżywa. Nie puściła słowa z ust z wyjątkiem niezrozumiałego majaczenia we śnie; nie żądała niczego, na nic nie zważała. Kowalowa nie odstępowała jej ani na chwilę, i nateżała całą swą wiedzę i doświadczenie, aby dziewczynę uratować, lecz daremnie.

Rodzice z każdym dniem stawali się smutniejsi, a narzeczony odchodził co dzień z większą żalnością. Kowalowa kręciła głową i tak rozumowała:

— To rzecz nie do pojęcia, że żaden z tych środków nie pomaga, za pomocą których już tylu chorych wyleczyłam. Więcej jak pewno — strzelec ją oczarował — w ten sposób!

Takie były myśli kumotry dniem i nocą; a gdy raz późnym wieczorem wyjrzała z okna od ko-

mory i w sadzie pod drzewem zamaskowanego mężczyznę spostrzegła, któremu się oczy jak dwa żarzące węgle świeciły, — na co każdej chwili przysięgać chciała, — domniemanie jej zamieniło się w święte przekonanie.

Wielce się więc uradowała, gdy pewnego dnia Miksz wrócił do domu z nowiną, że strzelcy dostali rozkaz do odchodu.

— Dla mnie tu wszyscy mogli zostać, — rzekła kumotra, — ale że ten „czarny“ odejdzie, z tego się więcej cieszę, aniżeli byście mi sto guldenów na stół wyliczyli.

— Wciąż mi się zdaje, że od czasu jego przybycia Wikcia się mocno zmieniła; musiał jej coś „zadać“, — powiedział ojciec; — matka zaś z kowalową były tego samego zdania.

Ta ostatnia łudziła się nadzieją, że razem ze strzelcem i czarowe siły znikną, Wikcia wyzdrowieje i wszystko się dobrze skończy.

Strzelcy odmaszerowali. W tęże samą noc było z Wikcią tak źle, że kowalowa chciała po księdza posłać, lecz nad ranem nastąpiła ulga i stan zdrowia polepszał się wciąż, tak że Wikcia po kilku dniach łóżko opuściła. Kowalowa sama przypisywała zwrot na lepsze w stanie zdrowia dziewczyny zniknięciu szatańskiej mocy, lecz bardzo jej ucho łęchtalo, jak ludzie mówili:

— Z kowalowej — to dopiero doktor! gdyby nie ona, jużby było po Wikci.

A słysząc to wszędzie, uwierzyła nareszcie, że swoją sztuką dziewczynę od śmierci uratowała.

Lecz Wikcia nie była jeszcze uratowana. Wprawdzie nie leżała już w łóżku, wychodziła w podwórze, ale stroniła zdala od ludzi, a spojrzenie jej ocz było smutne. Kowalowa i teraz pocieszała wszystkich, że to minie, a uważając dalszą opiekę nad cierpiącą za zbytęzną, wróciła do swego domostwa.

Odtąd siostra Masyłka jak dawniej z Wikcią sypiała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(25)

(Ciąg dalszy).

Pierwszej nocy, gdy dziewczyny sam na sam były, usiadła Marylka na krawędzi łóżka siostry i troskliwym głosem — była to bardzo dobra dusza — Wikcie zapytała, czy jej jeszcze co dolega i czemu się tak dziwacznie zachowuje.

Wikcia spojrzała obojętnie na pytającą i nie rzekła słowa.

— Suchaj, Wikciu! radabym ci coś powiedziała, ale się obawiam, że cię rozgniewam — odezwała się znów Marylka.

Wikcia, przecząco poruszając głową, rzekła:

— Nie rozgniewasz mnie, bądź spokojna; mów swobodnie Marylko!

— Wieczorem przed wymarszem strzelców — zaczęła Marylka, lecz tylko co te słowa wymówiła, chwyciła ją Wikcia za rękę, z pospiechem pytając:

— Strzelcy odeszli? Dokąd?

— Precz odeszli. Dokąd? nie wiem.

— Chwała Bogu! — westchnęła Wikcia.

— Więc słuchaj, Wikciu! ale się nie gniewaj.

Wiem, żeś tego czarnego strzelca znieść nie mogła i że mi weźmiesz za złe, że z nim mówiła.

— Mówiłaś z nim? — zapytała skwapliwie Wikcia.

— Nie podobno mi było nie mówić, bo bardzo o to prosił. Ale ani razu na niego nie spojrzałam, tak go się bałam. Już poprzednio często chodził około domu, zawsze mu uciekłam, nareszcie mnie w sadzie dopadł. Wcisnął mi w rękę jakieś korzenie i prosił, abym ci je ugotowała, bo od nich wyzdrowiejesz. Oświadczyłam, że nie przyjmę, bo się obawiałam, że to może szarłatki. Gdy na żaden sposób nie chciała przyjąć korzeni, rzekł:

— Więc chociaż to mi uczyn i powiedz Wikci, że wprawdzie odchodzę, lecz nigdy nie zapomne

o moim ślubie; niechaj i Wikcia nie zapomni, co ślubowała; powiedz, że się spotkamy!

— To spełnić mu przyrzekłam, a teraz tobie powiadam. Zresztą ty się niczego nie obawiaj, wszak już nie wróci i będziesz miała spokój, — skończyła Marylka.

— Dziękuję ci, Marylko, bardzo ci dziękuję, zacna dusza z ciebie; a teraz idź spać, posłuchaj mnie i idź, — prosiła Wikcia, głaszcząc siostrę ręką po ramieniu.

Marylka poprawiła Wikci poduszki, serdecznie na „dobra noc“ uściskała ją i położyła się spać.

Gdy się rano Marysia obudziła, Wikci łóżko już było próżne. Pomyślała więc, że jest w izbie przy zwykłej robocie. Lecz Wikci nie było ni w izbie ni w podwórzu. Rodzice się temu nie mało dziwili i posłali do kowalowej, czyby może tam nie była. Lecz Wikci u kowalowej nie było.

— Gdzie się podziała? — pytali jedni drugich, szukając jej w każdym kącie.

Posłali do narzeczonego. Lecz Wikci i tam nie było.

Gdy jej nigdzie odnaleźć nie mogli, a i narzeczony oświadczył, że nie wie o jej pobycie, wtedy dopiero kowalowa nieśmieie napomknęła:

— Ja sądzę, że uciekła za strzelcem!

— Nie prawda! — zaprzeczał narzeczony.

— Mylicie się! — perswadowali rodzice.

— Jakby to być mogło; wszak go cierpieć nie mogła!

— Jest tak, a nie inaczej! — zapewniała kowalowa, zdradzając przytem nieco z powierzonej tajemnicy.

W końcu i Marylka do rozmowy z strzelcem i wieczornej pogadanki z siostrą się przyznała, wobec czego się jedno z drugim tak składało, że wszystkim jasno było: Wikcia poszła za wojskiem, nie mogąc się oprzeć tajnej mocy szatańskiej, która nią zawładnęła.

— Nie jej to wina. Najwyżej zawiniła tem, że mi się wtedy nie zwierzyła, kiedy jej jeszcze pomóc mogłam. Teraz za późno. Strzelec ją cza-

rował i musi za nim chodzić, dokąd on będzie chciał. A chociażbyście ją odszukali i do domu przyprowadzili, znów za nim ucieknie!

Tak rozumowała kowalowa.

— Niech się stanie, co chce! Pójdę jej szukać! Może mnie usłucha; wszak dobrem dzieckiem zawsze była, — rzekł ojciec.

— I ja pójdę z wami, ojczel! — zawołał Tomasz, który wszystkiego z przerażeniem słuchał.

— Zostaniesz w domu! — rozkazał stanowczo gospodarz. — Gdy człowiek jest w gniewie, nie rządzi się rozumem; mógłbyś łatwo dostać się do klatki lub w biały kabat. I na coby ci się to przydało? Doświadczyłeś dość w tym czasie z nami, więc nie rób sobie jeszcze większej boleści, twoją żoną już być nie może. To sobie wybij z głowy na zawsze. Chcesz czekać rok na Marylkę, dam ci ją, jest to dobre dziewczę. Radbym cię miał zięciem, ale zmuszać cię nie będę; czyń, jak ci rozum nakazuje!

Wszyscy się rozplakali, a ojciec ich pocieszał, mówiąc:

— Nie płaczcie! Nie przywiode Wikci z powrotem, ha, darmo! Będziemy ją musieli polecić Opatrzności Boskiej.

Ojciec zabrał ze sobą kilka reńskich, zarządził, co się w gospodarstwie miało robić i udał się w drogę. Gdzie tylko mógł, dopytywał się ludzi, czy takiej a takiej osoby nie widzieli, opisując córkę od stóp do głów. Lecz nikt podobnej dziewczyny nie widział. W Józefowcu dowiedział się, że strzelcy odeszli do „Królewskiego Grodu“*), a tam mu powiedziano, że czarny strzelec do innego batalionu przeniesiony został, ale miał zamiar za służbę podziękować; do której miejscowości zaś przesiedlonym został, zapytany żołnierz powiedzieć nie był w stanie. Był to ten sam, który u Miksza kwatrem stał. Za to twierdził stanowczo, że Wikci nigdzie nie widział.

*) Königgrätz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(26)

— — —
(Ciąg dalszy).

Radzono Mikszce, aby się do rządu udał, bo tam najlepszą pomoc znajdzie; ale gospodarz z rządami nie chciał nic mieć do czynienia.

— Z urzędami nie chcę zaczynać, — odpowiadał gospodarz, — nie chcę, aby mi ją „szupasem“ odstawili jak zwyczajną włókę i ludzie ją palcem pokazywali. Tej hańby jej nie zrobię. Niech jest, gdzie jest, wszędzie jest w rękach Boga; bez jego woli włos jej z głowy nie spadnie. Ma wrócić, to wróci; nie wróci — niech się stanie wola Boska. Roztrąbywać jej po świecie nie dam.

I ojciec przytem pozostał.

Strzelca poprosił, aby Wikci dał znać, gdyby się o jej pobycie dowiedział, że ją ojciec szukał, a jeżeli ją spotka i będzie chciała wrócić do domu, aby zjednał dobrem słowem i pieniędzmi człowieka, któryby ją do rodziców odprowadził.

Strzelec mu wszystko chętnie przyobiecał, chociażby już dla tego, że miał u niego dobrą kwaterę i gospodarz wrócił do domu z tem spokojnem sumieniem, że uczynił wszystko, co było w jego siłach.

Wszyscy Wikcię opłakiwali, odprawiali za nią modlitwy i dawali na msze; lecz gdy minęło pół roku, trzy ćwierci roku, a o niej śladu nie było, wspominali ją już tylko jako umarłą.

Minał rok.

Pewnego dnia przynieśli owczarze nowinę do wsi, że widzieli w pańskim lesie kobietę tego samego wzrostu co Wikcia i z takimi samemi włosami ezarnemi. Zaraz wybiegła Mikszowa czeladź do boru. Przeszukała bór jak długi i szeroki, ale nie znaleźli.

Byłem wówczas pierwszy rok w nauce u mego poprzednika, nieboszczyka teścia. I nas te wieści doszły, a gdym się na drugi dzień do lasu zabierał, nakazał mi teść, abym miał oczy otwarte i bacznie

na podobną osobę uważał. W ten sam dzień jeszcze spostrzegłem na wzgórzu naprzeciwko Mikszowego pola pod dwoma jodłami, które z wspólnego pnia wyrastały, kobietę z rozpuszczonemi włosami. Wikcie dawniej dobrze znałem, ale w tej zaniedbanej, zdziczałej osobie z biedą ją mogłem rozpoznać. Lecz była to ona rzeczywiście! Ubranie miała pańskiego kroju, niegdyś z pewnością przystojne i piękne, wtedy zupełnie zdarte. Poznałem też po niej, że była w błogosławionym stanie!

Opuściłem ostrożnie stanowisko i pospieszyłem do domu staremu wszystko opowiedzieć, który też zaraz z nowiną poszedł do Zernowa.

Rodzice płakali i woleliby byli, gdyby ją był Pan Bóg zabrał. Na nic się już narzekanie nie zdało.

Umówiliśmy się, że będziemy na nią czatować i uważać, co robi, gdzie chodzi, gdzie śpi.

Pewnego dnia przyszła pod wieczór do Zernowa i weszła do sadu rodziców. Usiadła pod drzewem, objęła rękami kolana, oparła o nie brodę i tak siedziała, patrząc ustawicznie w jedno miejsce. Gdy matka chciała się do niej zbliżyć, nagle się zerwała na nogi, przeskoczyła przez płot i uciekła do lasu. Mój teść radził podłożyć żywności i cokolwiek odzieży w lesie pod jodły, bo sądził, że może co z tego weźmie, i niedługo Mikszowie poznosili, co uważali za potrzebne. Ja to wszystko własnoręcznie na wyznaczone miejsce zaniósłem. Na drugi dzień poszedłem zobaczyć; z żywności brakowało chleba, z odzieży sukni, lajbika i koszuli. Wszystko inne było jeszcze na trzeci dzień nietknięte; odniosłem to do domu, aby ktoś niepowołany tego nie zabrał.

Długośmy nie mogli legowiska odnaleźć, aż go w jaskini pod trzema sosnami wysłodziłem. Wejście jest chrościna zarosnięte, tak, że obcy wcale go nie zauważy i choiną zatarasowane. Wszedłem tam pewnego razu. Było tam miejsca na dwie osoby, a Wikcia tam nic nie miała, jak trochę ściółki i mehu.

To było jej legowisko.

Znajomi i krewni, a przede wszystkim ojciec i Marylka, która już była Tomasza narzeczoną, nie

raz na nią czatowali, aby z nią pomówić i przyprowadzić do domu; ale ona ludzi unikała i w dzień trudno ją było spotkać.

Gdy znów raz pod wieczór przyszła do ogrodu, Marylka, zbliżywszy się po cichu do niej, zaczęła ją łagodnie prosić:

— Wikciu, chodź ze mną; chodź do komory spać; już dawno w domu nie spałaś. Wszyscy tak bardzo za tobą tęsknimy; proszę cię, chodź ze mną.

Wikcia na nią spojrzała, pozwoliła się ująć za rękę i do sieni zaprowadzić; ale naraz się wyrwała i już jej nie było. Potem kilka dni nie pokazała się wcale w sadzie.

Raz w nocy byłem na stanowisku na wzgórzu, w wyż „Starego Bielidla“. Księżyc świecił, było jasno jak w dzień. Naraz widzę Wikcię, wychodzącą z lasu. Idąc, trzymała ręce złożone na piersiach, głowę miała pochyloną naprzód, a posuwała się tak lekko, że człowiek myślał, iż ziemi nie dotyka. Tak biegła wtedy z lasu prosto do tamy. Widywałem ją już często koło wody lub na wzgórzu pod starym dębem, więc to mnie nie zadziwiło. Ale gdym się dobrze przypatrzył, spostrzegłem, że coś wrzuciła w wodę, przyczem się tak dziko zaśmiała, że mi włosy na głowie stanęły.

Pies mój zaczął strasznie wyć. Trząsałem się ze strachu.

Potem usiadła na pniaku i śpiewała piosenkę. Nie rozumiałem słów, ale melodia była kołysanki, którą matki przy kolebce dzieciom śpiewają:

Spij, dzieciно, śpij,
Zmruż oczęta, śnij,
Pan Bóg będzie z tobą spać,
Aniołeczek kolebać,
Spij, dzieciно, śpij!

Melodya tak żałośnie rozlegała się po nocy, że wszelkich sił dołożyć musiał, aby z miejsca się nie zerwać.

Dwie godziny biedna przesiedziała i śpiewała. A od tej doby jest każdy wieczór aż do nocy przy tamie i śpiewa zawsze tę samą kołysankę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z českého Paweł Rybok.

(27)

(Ciąg dalszy).

Następnego dnia rano opowiedziałem o zajściu teściowi, który wnet odgadł, co Wikcia wrzuciła w wodę; i nie omylił się! Bo gdyśmy ją znów spotkali, była postać jej zmieniona.

Matka się wzdrgnęła na samą myśl o tem, co się stało. Ale już nie było można złemu zaradzić. Nieświadomy czyn nie jest grzechem.

Z czasem przyzwyczaiła się chodzić pod nasze drzwi. Zdarzało się to zwyczajnie, gdy jej głód dopiekał. Zachowanie jej było to same, co dziś: przyszła, stanęła obok drzwi i stała, nie mówiąc ani słowa.

Moja żona, ongi jeszcze dziewczyna, wnet jej podała coś do spożycia. Przyjęła dar milcząco i potem odchodziła do boru.

Gdy ją w lesie spotkam i chleba jej podaje, przyjmie; lecz gdy tylko słowo przemówię, zaraz ucieka, nie przyjąwszy niczego. Szczególnie kwiaty lubi; jeżeli ich nie ma garstki w ręce, to z pewnością za lajbikiem, i rozdaje je dzieciom, które spotyka lub zostawia u ludzi, do których zajdzie.

Wie-li ona, co czyni; któż to może osądzić? Radbym się sam dowiedział, co się w jej zbałamunionej głowie dzieje; ale któż nam to powie?

W dzień wesela Marylki z Tomaszem przyszła podczas ślubu na „Czerwonej Górze“ do rodzinnego domu; Bóg wie, czy naumyślnie, czy przypadkowo. We fartuchu miała kwiaty i rozrzuceła je po podwórzu. Na jej widok matka się rozplakała, przyniosła jej kołacza i co tylko dobrego miała, ale Wikcia się odwróciła i uciekła.

Ojciec Miksza bardzo się martwił, bo kochał dziecko szczerze. W trzy lata potem umarł. W dzień jego śmierci byłem właśnie we wsi; Marylka i Tomasz ze łzami w oczach dopytywali się, czym Wikci nie widziało. Radziby ją byli do domu spro-

wadzili, ale nie wiedzieli na to sposobu. Ojciec nie mógł skonać, a wszyscy mówili, że Wikcia mu duszę zatrzymuje. Wróciłem do boru, aby jej smutną nowinę powiedzieć, nie bacząc na to, czy mię zrozumie, czy nie.

Siedziała pod jodłami. Przechodząc koło niej, jakby nigdy nic, tak mimochodem się odezwałem:

— Wikciu! ojciec twój kona, mogłabyś pójść do domu.

Ona nic, jakby nie słyszała. Pomyślałem więc, że trud mój był daremny i wróciłem do wioski, aby Tomaszów powiadomić. Rozmawiałem jeszcze z Marylką w progu, gdy się służąca odezwała:

— Wikcia wchodzi do sadu!

— Tomaszu! wywołaj kumotry z izby i ukrycie się, abyście Wikci nie spłoszyli. Potem udała się za siostrą do sadu, którą po chwili wprowadziła do pokoju, milcząca jak kamień. W ręce trzymała pierwiosnek i nie odwracała ani na chwilę tych pięknych, czarnych, zgasłych ocz od kwiatu, krocząc jak ślepa babka za Marylką.

W pokoju było cicho. Po jednej stronie łóżka klęczała matka, u nóg tegoż syn jedynak. Ojciec leżał ze złożonemi na piersiach rękami; oczy stały słupem, walczył ze śmiercią. Gdy Wikcia stanęła przy samem łóżku, konający zwrócił oczy do niej i błogo się uśmiechnął. Chciał podnieść rękę, lecz nie mógł. Wikcia, myśląc, że czego żąda, włożyła w złożone ręce pierwiosnek. Jeszcze raz ojciec na nią spojrział, potem głęboko westchnął i skonał.

Wszyscy płakali, matka zawodziła na głos. Wikcia słysząc głośny płacz, spojrziała dziko w koło siebie i prędko jak strzała znikła po za drzwiami.

Nie wiem, była-li odtąd jeszcze kiedy w rodzinnym domu. Przez całe piętnaście lat pobytu jej w lesie, słyszałem ją jedyny raz mówiącą. Nie zapomnę tego do śmierci. Szedłem właśnie drogą do mostu. Szosą jechali pańscy parobcy z drzewem; przez łąkę kroczył „złotawiec“, był to pisarz ze zamku. Taki przydomek dały mu wiejskie dziewczyny od pięknych, na ramiona spadających włosów złotoczerwonych, bo nie mogły spamiętać jego

niemieckiego nazwiska. Był to Niemiec. Krocząc przez łąkę zdjął dla gorąca kapelusz i zmierzał prosto do lasu.

Naraz, jakby z nieba spadła, rzuciła się na niego Wikcia, wjechała palcami we włosy i rwąc z całej siły, rzucała nim o ziemię, jak gdyby był z piernika. Niemiec krzychał, co gardła miał. Pobiegłem mu na pomoc, lecz Wikcia wpadła w pasyę, gryzła go po rękach i krzychała pełnym wściekłości głosem:

— Raz cię dostałam, ty gadzie, ty szatanie! Rozszarpie cię! Gdzieś mi kochanka podział? Ty szatanie! Ty czarcie! Oddaj mi go! I tak się rozwściekliła, że słowa wymówić nie mogła, sapała tylko i nic jej rozumieć nie mogłem. Niemiec, nic nie rozumiejąc, był jak oszołomiony. Nie byliśmy jej w dwójkę rady dali, gdyby nie byli parobcy na pomoc przybyli. Zauważywszy bijatykę, przybiegli na łąkę i dopiero wspólnymi siłami wydostaliśmy biednego pisarza. Gdyśmy ją odprowadzić chcieli, przemocą nam się wyrwała, a zatrzymawszy się na krańcu boru, obrzucała nas kamieniami. Potem się kilka dni nigdzie nie pokazała.

Niemiec się rozchorował, a ze strachu przed Wikcią podziękował za służbę. Dziewczyny się z niego naśmiewały, ale cóż z tego? Kto ucieknie, wygra, a i bez niego rodzi się na polach. Nie zażegnaliśmy bez niego.

— Więc tak Babuniu, to jest cała historia o Wikci; wiem ją po części od nieboszczki kowalowej, po części od Marylki. Jak się to stało, komuż wiadomo, ale to pewne, że się źle działo i ciężko za to odpowiadać będzie ten, który ma Wikcie na sumieniu.

Babunia otarła oczy chustką i odezwała się z ugrzecznonym uśmiechem:

— Dziękuję wam pięknie, to wam przyznać muszę, panie kumotrze, że umiecie opowiadać jak pisarz, słuchałabym was godzinami i zapomniałabym, że słońce już za górami, — wskazując na zapadający zmrok, odłożyła wrzeciono.

ciąg dalszy nastąpi.

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(28);

(Ciąg dalszy).

— Chwilę się jeszcze zatrzymajcie, tyle co drobiu zasypię, odprowadzę was potem ku dolinie, — prosiła pani kumotra i Babunia zaczęła.

— A ja pójdę z wami do mostu, bo muszę jeszcze iść do lasu, — rzekł leśniczy, wstając od stołu.

Pani kumotra pobiegła po ziarno i po chwili odezwało się w podwórzu głośnie wołanie: „Put, put, put, put!” i drób zlatywał się z wszech stron.

Babunia stała z dziećmi w progu i pilnowała malców, aby nie spłoszyły drobiu, na który z widocznym upodobaniem spoglądała. A było na co patrzeć! Widziała białe i siwe gęsi z gąsieniami, kaczki i kaczęta, potem kaczki czarne, „turczynkami” zwane, piękne kury własnego chowu, tyrolki o wysokich nogach, kury z czubkami, pawie, perłówki, indyczki z indykiem, który wrzeszczał i najeżał się, nareszcie przeróżne gołębie. Wszystko to zleciało się na jedną gromadę, pchało się do ziarna, deptało, skakało jedno przez drugie, podłaziło pod brzuchem, przelażiło przez plecy, a wróble, uliczniki, napełniwszy sobie dobrze żołądki, skakały głupim gęsiom i kaczkom po grzbietach. Niedaleko siedziały w trawie króliki, wesola wiewiórka, z wyprostowanym jak szyszak ogonem nad głową, przypatrywała się ciekawie z wysokiego kasztana. Na płocie siedział kot, śledząc okiem za wróblami. Baśka głaskała sarnę po głowie. Psy leżały spokojnie obok dzieci, widząc u pani kumotry pręt w ręku. Lecz gdy czarny kogut puścił się w pogoń za gęsią, która mu była wzięła ziarnko z przed samego dzioba, i biedna uciekając przebiegła Hektorowi tuż przed nosem, psisko dłużej nie wytrzymało i chapnęło za kogutem.

— Patrzcie na tego osła! Jeszcze mu się na stare lata igrać zachciewa. Masz na pamiętkę! — zawołała kumotra i świsnęła go prętem.

Hektor wstydząc się kary przed młodszymi kolegami z spuszczoną głową wbiegł do sieni. Babunia zaś tak rzekła:

— Nie lepszy ojciec od syna!

Hektor był bowiem ojcem Sułtana, który swego czasu Babuni zagryzł tyle pięknych kacząt.

Popas się skończył. Drób się rozszedł. Dzieci otrzymały od Franciszka i Wojciecha piękne pawie pióra, pani kumotra dała Babuni tyrolskich jaj na podsadzenie, pan leśniczy przewiesił flintę przez ramię, zawołał na Hektora, poczem wszyscy opuścili gościnny dom.

Sarna szła za nimi jak pies. U stóp góry pożegnała się pani kumotra i wróciła z dziećmi do domu. Przy moście podał pan leśniczy Babuni opaloną prawicę i udał się do boru. Jan długo za nim spoglądał, nareszcie tak się odezwał do Baśki:

— Jak będę jeszcze trochę większy, pójdę do pana Beyera w naukę i będę także chodził na stanowisko.

— To chyba pan Beyer będzie musiał kogo z tobą poselać, bo się boisz leśnych djabłów i ognistych mężów, — pośmiewała się Baśka.

— Co ty wiesz! — gniewał się Janek, — gdy będę większy, to się bać nie będę.

Babunia przechodząc obok tamy, spojrzała na omszony pniak i myśląc o Wikci, głęboko westchnęła:

— Biedna dziewczyna!

VII.

Na drugi dzień przed południem wybierała się Babunia z dziećmi do zamku.

— A zachowajcie mi się dobrze! — przykazywała matka, wyprowadzając dzieci za próg, — w zamku niczego nie ruszajcie, a księżną panią w rękę pocałujcie!

— Już się tam jakoś sprawiemy! — sumitowała się Babunia.

Dzieci były wystrojone jak kwiaty, a i Babunia była w świątecznym ubraniu. Miała brunatną meluzankę, biały fartuch, adamaszkowy kabatek niebieskiego koloru, czepiec na głowie, na szyi granaty z talarem. Pod pachą trzymała chustkę.

— Dla czego zabieracie ze sobą chustkę? Wszak padać nie będzie; niebo jest pogodnie! — zapytała pani Proszkowa.

— Człowiek jest jak bez rąk, gdy nie niesie; jest to moim zwyczajem, mieć coś w ręku! — odpowiedziała Babunia.

Skreśli koło ogrodu na wąską ścieżkę.

— Idźcie jedno za drugim, abyście w rosie ubrań nie zmoczyli. Ty, Baśko, idź przodem, ja poprowadzę Adelkę, bo jest nieuważna, — rzekła Babunia, biorąc za rękę Adelkę, która z wielkiem upodobaniem po sobie spoglądała.

W ogrodzie grzebała „Czarna“, Adelcina kura, ostatnia z czterech, które Babunia dzieciom z górskiej wioski była przywiozła. Staruszka kurę tak oswoiła, że brała dzieciom z ręki ziarno, a za każdym razem, gdy zniosła jajo, przychodziła do Adelki po kawałek bułki, który dziewczynka od śniadania dla niej odkładała.

— Idź do mamusi, Czarna; zostawiłam ci kawałek bułki. Idę do księżnej pani! — wołała Adelka do kury, która, jakoby nic nie rozumiała, klusem się do dziewczyny puściła, chcąc ją dziobać w sukienkę.

— Czy nie widzisz, głupia, że mam białą sukienkę? Sssia... sssia!... — odpędzało „Czarną“ dziewczę, lecz kura nie odeszła, póty jej Babunia chustką w skrzydło zlekka nie uderzyła.

Nie uszli jeszcze daleko, a tu — o biada! — zagrażało świątecznym ubraniom nowe niebezpieczeństwo. Z tamtej strony potoku biegły ku nim oba psy, a przepłynawszy wodę, otrzęsły się trochę na brzegu i jednym susem znalazły się przy Babuni.

— A wy zatracęncy! Kto po was posłał? Odchodźcie natychmiast! Precz, precz! — wołała rozgniewana Babunia.

Gniewny głos i podniesiona groźnie ręka wstrzymały psy, które z niemałym zdziwieniem spoglądały na Babunię, myśląc zapewne:

— Co to ma znaczyć?

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Sožený Němcové. Tlóm. z českého Paweł Rybok.

(29)

(Ciąg dalszy).

Dzieci także na nie krzyczały a Janek rzucił nawet kamieniem, który atoli celu chybił i wpadł w wodę. Psy, nauczone i z wody aportować, zrozumiały, że dzieci chcą się z nimi bawić; skoczyły więc w okamgnieniu do wody i czempředzej wracając, biegały wesoło wokoło dzieci, które wszczęły krzyk, ukrywając się przed natrętami za Babunię. Staruszka nie wiedziała, co zrobić.

— Pobiegnę do domu po Elżbietę, — zawołała Baśka.

— Nie! Nie wracaj! Bobyśmy miały nie-szczęście w drodze — zawołała Babunia.

Wtem nadszedł szczęśliwie młynarz i psy odpędził.

— Dokąd się wybieracie, wszyscy tak świątecznie ubrani? Czy na wesele, na kiermasz? — zapytał pan ojciec, obracając tabakierkę w palcach.

— Ani tam, ani sam! panie ojciec; idziemy do zamku! — odpowiedziała Babunia.

— Ho, ho! do zamku, to nie byleco! A po co? — dziwował się pan ojciec.

— Księżna pani nas zaprosiła! — zawołały dzieci, poczem Babunia skwapliwie panu ojcu o spotkania się z księżną w altance opowiadała.

— Tak! trzeba się umieć wziąć! — rzekł pan ojciec, zażywając tabaki. — Idźcie z Bogiem!

— Adelko! opowiesz mi potem, coś tam widziała. A ty, Janku, co też odpowiesz, gdy cię księżna zapyta, gdzie pinkawa nosem siada? Będziesz wiedział? Co?

— Wszak o to pytać nie będzie! — odpowiedział Janek i pobiegł naprzód; unikając tym sposobem dalszych zaczepiek pana ojca.

Pan ojciec żegnając się, zmrużył oko, wykrzywił usta i poszedł ku tamie.

Koło karczmy bawiły się dzieci Kudrny, robiły młynki. Celinka piastowała najmłodsze dziecię.

— Co tu robicie? — zapytała Baśka.

— Nic! — odpowiedziały dzieci, spoglądając na wystrojonych rowienników.

— A, widzicie? My idziemy do zamku! — rozpoczął Janek.

— Hm! wielkie rzeczy! — odezwał się pogardliwie Wawrzynek.

— Zobaczymy tam papugę, — dodał Wilemek.

— Gdy dorosnę, także ją zobaczę! Ojciec powiedział, że pójdę w świat! — odpowiedział obojętnie Wawrzynek.

Lecz Wacław i Celinka rzekły;

— Gdybyśmy się też tam przypatrzeć mogli!

— Nie żałujcie! — pocieszał Janek. — Opowiem wam wszystko, jak tam było i jeszcze wam co przyniosę.

Nareszcie stanęła Babunia z dziećmi w parku, gdzie ją pan Proszek już oczekiwał.

Przystęp do parku był wprawdzie każdemu wolny, i nie był od „Starego Bielidła“ zbyt oddalony, ale Babunia rzadko kiedy z dziećmi do parku wchodziła, a już prawie nigdy podczas pobytu księżnej w zamku.

Podziwiała wyborny porządek, prześliczne kwiaty, rzadkie drzewa, wodotryski i złote rybki w sadzawkach, ale wołała pójść z dziećmi na łąkę lub do lasu. Bo tam się mogły śmiało przewracać po miękkim, zielonym kobiercu, mogły powoniać kwiaty, jakie im się tylko podobały i narwać ich poddostatek na różczki i wieńce. Wprawdzie nie rosły w polu pomarańcze ni cytryny, ale tu i owdzie stała szeroka ptasia tereśnia lub dzika grusza, na których owocu było, jakby nasypał, z których dzieci rwać mogły. Jagód, borówek i laskowych orzechów było w lesie poddostatek. Wodotrysków nie było, ale za to Babunia rada się z dziećmi przy tamie zatrzymywała. Patrzyły, jak bałwany nagle

z tamy na dół spadały, a potem podnosząc się miliony kropel się rozstrzeliwały, ażeby spadając w pieniającym się kotle spojone jeszcze raz w koło okrążyć i jeden już prąd tworząc, nareszcie spokojnie odpłynąć w dal.

Nie było nad tamą i rybek złotych, do okruch bułek przywykłych. Ale gdy Babunia z skórzanego woreczka Adelce do zapaski okruchy wysypała i dzieci je w wodę rzucały, wtedy wynurzała się z głębokości potoku niezliczona ilość ryb na powierzchnię. Najwyżej wypływały srebrnolśniące bielice, goniąc za odpływającymi okruchami; pomiędzy nimi przesuwały się z szybkością strzały okunie o podłużnych grzbietach, opodal pływały tu i tam barweny z długimi wąsami u pyszczka, brzuchate karpie i płaskogłowe miętusy.

Na łące spotykała Babunia ludzi przy pracy, którzy ją pozdrowieniem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — witali.

— Daj wam Boże dobry dzień! — odpowiadała staruszka.

Niektórzy przystanawszy na chwilę, pytali:

— Dokąd, Babuniu? Jak się macie? Cóż tam wasi porabiają?

A w zamku? Tam nie było żadnej zażyłości. Tu biegł wygalonowany służący, tam pokojówka w jedwabnej sukni, tu jakiś pan, tam znów jakiś pan, a każdy dźwigał głowę wyżej niż mu urosła, krocząc jak paw, który jedyne miał prawo chodzić po trawnikach. Pozdrowił-li który z nich Babunię to rzekł tylko tak z niechęcią:

— Guten Morgen! lub Bon jour!

Babunia się rumieniła, nie wiedząc, czy odpowiedzieć:

— Na wieki wieków lub — Daj Panie Boże! — a w domu zawsze mawiała: — Tam w tym waszym zamku, to jak w Babilonie!

U wejścia do zamku siedzieli dwaj wygalonowani lakaje, po każdej stronie jeden.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(30)

(Ciąg dalszy).

Jeden miał złożone ręce na brzuchu i gapił się na przechodniów, drugi zaś złożył ręce na pierśsiach i zaglądał Panu Bogu w niebo. Zbliżającego się pana Proszka pozdrowili po niemiecku, każdy innem narzeczem się odzywając.

Przedsionek był wykładany białemi, marmurowemi płytami; w pośrodku tegoż był ustawiony bilard. Pod ścianami umieszczone były na podstawkach ze zielonego marmuru białe, gipsowe figury, przedstawiające mytologiczne postacie. Czworodrzwi prowadziło do pańskich pokoi. U jednych siedział lokaj w czarnym fraku i spał na dobre. Gdy pan Proszek i Babunia z dziećmi w przedsionku stanęli, drzemiący lokaj, usłyszawszy szmer, zerwał się z krzesła i spostrzegłszy pana Proszka nisko się ukłonił, pytając zarazem, czem służyć może.

— Na życzenie księżnej pani przyszła moja teściowa z wnukami z wizytą. Proszę więc zameldować, panie Leopoldzie, — rzekł pan Proszek.

Lokaj ściągnął brwi, ruszył ramionami i rzekł:

— Nie wiem, czy księżna pani zechce teraz gości przyjąć; jest bowiem w gabinecie i pracuje; lecz mogę zameldować.

Potem wstał i odszedł wolnym krokiem przez drzwi, obok których poprzednio spał.

Za chwilę wrócił, a gdy tylko drzwi uchylił, kłaniał się nisko i z miłuchnym uśmiechem na ustach, gości do pokoju zapraszał.

Pan Proszek wrócił.

Babunia znalazła się z dziećmi w salonie, pysznie urządzonej. Dzieci ze zdziwienia zatrzymały oddech. Nogi im się ślizgały po podłodze, która była gładka jak lód.

Staruszcze zdawało się, że śni; namyślała się, ma-li nastąpić na przepyszne kobierce.

— Szkoda tego wieczna, — pomyślała w duchu, lecz cóż miała robić, gdy dywany wszędzie porozkładane były, a i pan lokaj po nich stawał.

Lokaj prowadził gości przez koncertowy salon, bibliotekę do pokoju księżnej. Wracając potem na swoje miejsce, mruczał pod nosem:

— Ci wielcy państwo miewają narowy, a człowiek musi stać do usług starej babie z kupą dzieci!

Gabinet księżny był wyłożony tapetami zielonemi, przeplatanemi złotemi pasmami. Takie same portyery były u drzwi i u jednego okna olbrzymich rozmiarów. Na ścianach wisiały liczne obrazy, przedstawiające panów i panie. Naprzeciwko okna stał kominek ze szarego marmuru, na nim umieszczone dwa wazoniki z japońskiej porcelany z prześlicznemi kwiatami, które zapachem cały pokój napełniały. Dwie komody z drogiego drzewa przedstawiały wielką wartość, bo były wykładane drogocennemi metalami, kamieniami i koralami. Były tam także liczne pamiątki z odbytych podróży i upominki od drogich osób.

Po jednej stronie okna stała figura Apollina z kararyjskiego marmuru, po drugiej umieszczone było biurko, skromne wprawdzie, lecz bardzo gustownie zrobione.

Przy biurku siedziała księżna na krześle, ciemno-zielonym aksamitem wybijanem; była jeszcze w rannem ubraniu białem. Właśnie odkładała pióro, gdy Babunia pokazała się z wnukami w drzwiach gabinetu.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowiła Babunia, uprzejmie się kłaniając.

— Na wieki, wieków, amen! Witam cię staruszko i twoje wnuki! — odpowiedziała księżna.

Dzieci były olśnione, lecz gdy Babunia energicznie na malców mrugnęła, przypomniały sobie, że mają pocałować księżną w rękę, co też uczyniły. Pani zamku całując dzieci w czoło, usiadła na pięknem krześle ze złotemi galonami i poprosiła Babunię, aby także zajęła miejsce.

— Dziękuję! miłościwa pani, nie jestem zmęczona, — wymawiała się zawstydzona Babunia, czyniąc to z tego powodu, że się obawiała usiąść na krześle, myślała bowiem, że ujedzie z krzesłem lub go nawet złamie.

Lecz gdy księżna stanowczo zawołała:

— Siada! Babuniu, siada! — staruszka na-

reszcie ostrożnie usiadła, nakrywszy poprzednio siedzenie białą chustką. Przy tem rzekła:

— Muszę już usiąść, abym miłościwej pani nie odebrała snu!

Dzieci stały jak pnie, ale oczami rzucały z przedmiotu na przedmiot.

Spostrzegłszy to księżna z uśmiechem zapytała:

— Podoba wam się tu! co?

— Tak! — kiwnęły dzieci głową wszystkie razem.

— Wierzę! — odezwała się Babunia, zostałyby tu chętnie i na zawsze.

— A tobie, Babuniu, nie podobałoby się u mnie? — zapytała księżna staruszkę.

— Jest tu jak w niebie, ale mieszkać bym tu i tak nie chciała, — odpowiedziała Babunia.

— A dla czego nie? — zapytała księżna zdziwiona.

— A co bym tu robiła, miłościwa pani? Gospodarstwa nie macie, z pierzem i kołowrotkiem także bym się tu nie mogła rozłożyć, więc cobym ja tu miała począć?

— A nie chcielibyście żyć bez kłopotu i odpocząć na stare lata? — pytała księżniczka dalej.

— Prędzej czy później przyjdzie dzień, w którym słońce nademną zejdzie i zajdzie, a wtedy odpocznę na zawsze. Ale póki żyję i Pan Bóg mi daje zdrowie, należy się, abym pracowała. Zaden zaś człowiek nie jest zupełnie wolny od kłopotu i starości, jednego tłoczy to, drugiego owo, każdy nosi swój krzyż, tylko że nie każdy się pod nim ugina, — rzekła Babunia.

Wtem rozdzieliła biała rączka ciężką zasłonę i prześliczna dziewczyna stanęła w drzwiach. Włosy miała kasztanowego koloru i splecione w piękne warkocze. Ubrana w białą suknię trzymała w jednej ręce biały, okrągły kapelusz, w drugiej bukiet róż.

— Ach! jakie to miłe dzieci! — zawołała, zwracając się do księżnej, zapytała:

— Zapewnie Proszkowe, które mi tak dobre poziomki przysłały?

Księżna skinęła głową.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(31)

(Ciąg dalszy).

Dziewczynka postąpiła kilka kroków naprzód, dała dzieciom po róży, a i Babunię i księżną obdarowała kwiatami; ostatnią różę zatknęła sobie za pas.

— To taki świeży paczek jak panienka, — rzekła Babunia, przytykając kwiat do nosa, a zwracając się do księżnej dodała:

— Niech wam Pan Bóg to dziewczę przy zdrowiu utrzyma! miłościwa pani!

— I ja o to Boga szczerze proszę, — rzekła księżna, całując piękną wychowanicę w białe jak śnieg czoło.

— Czy wolno dzieci na chwilę do siebie zaprosić? — zapytała księżniczka księżną i Babunię.

Księżna odrazu zezwoliła, ale Babunia się wymawiała, że malcy się sprzykrzą miłoścince, szczególnie chłopcy, bo to czyste ogary, a w dodatku Janek, to dopiero „ten prawy“.

Lecz księżniczka z miłym uśmiechem podając obie ręce dzieciom, zapytała:

— Chcecie ze mną pójść?

— Chcemy! chcemy! — zawołały dzieci, czując się radośnie jej rąk.

Pokłoniwszy się księżnej i Babuni, znikła księżniczka z malcami we drzwiach.

Księżna wzięła ze stołu srebrny dzwonek i zadzwoniła. W okamgnieniu stanął w drzwiach lokaj Leopold. Księżna rozkazała zastawić śniadanie w salonie, oddając zarazem służącemu paczkę listów do dalszego załatwienia. Leopold, kłaniając się nisko, odszedł.

Podczas gdy księżna rozmawiała z lokajem,

Babunia spoglądała na portrety, zawieszane na ścianach.

— Panie Boże! co też tu człowiek za przedziwne stroje i twarze widzi! — pomyślała staruszka w duchu. — Ta tu pani ma strój jak nieboszczka Hałaszkowa; wieczny odpoczynek racz jej dać Panie! W takich samych chodziła trzewikach o wysokich napiętkach, w szatach wydętych, w poły jak biczem przeciętych, na głowie nosiła taki sam czubiasty czepiec. Mąż jej był radcą w Dobruszce. Chodziłam tamdotąd na odpust i widywałam ją w kościele. Chłopi ją nazywali „makową panienką“, bo w tych wydętych sukniach wyglądała z wypudrowaną głową jak makowy kwiat. Ludzie mówili, że to francuski zwyczaj.

— Ta pani tam, to moja babunia! — rzekła księżna.

— A czemużby nie? wszak to piękna pani, — odpowiedziała Babunia.

— Tu na prawo jest mój dziad, na lewo zaś mój ojciec, — dalej wskazywała księżna.

— Piękni ludzie! — rzekła Babunia. — Miłościwa pani bardzo ojca przypomina; a gdzie jest matka miłościwej pani?

— Tam oto jest matka i siostra moja, — odpowiedziała księżna, pokazując na dwie podobizny nad biurkiem.

— Piękne panie! aż radość na nie patrzeć, — odezwała się Babunia, — ale siostrzyczka niepodobna ani do ojca ani do matki! To się tak niekiedy zdarza, — ciągnęła Babunia dalej, — że się dzieci do kogoś Bóg wie z którego pokolenia urodzą. Ale ten młody pan tu jest miznajomy, nie mogę sobie jednak przypomnieć z kąd.

— To jest rosyjski cesarz Aleksander, — szybko odpowiedziała księżna, — tegoś ty nie znała, staruszko!

— Jakbym go to nie znała; wszak stałam od niego niedalej jak dwadzieścia kroków. Był to pie-

kny człowiek; tu na obrazie jest nieco młodszy, ale go pomimo to poznała. On i cesarz Józef, to była para nader pięknych ludzi!

Tu księżna wskazała na przeciwną ścianę, gdzie wisiał obraz prawie naturalnej wielkości.

— Cesarz Józef! — zawołała radośnie Babunia, z zdziwienia ręce załamując, — jakby go z oka wydłubał! Patrzcie! jak się też tu wszyscy obok siebie zgromadzili! Tegom sobie nie myślała, że zobaczę dziś cesarza Józefa. Niech mu Pan Bóg da wieczny odpoczynek! Był to dobry pan, zwłaszcza na ubogi lud. Ten oto talar dał mi własną ręką, — rzekła Babunia, pokazując na talar przy granatach.

Księżnej spodobała się babusina otwartość, jej prosta serdeczność i trafne uwagi; prosiła więc staruszkę, aby opowiedziała, kiedy i przy jakiej sposobności cesarz ją talarem obdarował.

Babunia nie dała się dwa razy prosić i opowiedziała księżnej historję, którąśmy już w młynie słyszeli.

Księżna uśmieła się z tego serdecznie. Gdy się potem Babunia dalej po pokoju oglądała, zauważyła podobiznę króla Fryderyka.

— A to pruski król! — zawołała, — tego potentata dobrze znałam. Mój nieboszczyk Jerzy służył w pruskim wojsku, a ja spędziłam na Ślązku piętnaście lat. Często król mego męża z szeregu wywołał i obdarował, bo mój Jerzy był najwyższym chłopem w całym pułku i prosty jak świerk. Jak żywam, nie myślałam, że będę na jego grób patrzeć! Człowiek jak krzemień, a już dawno w wieczności, a ja jeszcze żyję! — wzdychała staruszka i łzy jej spadały jak groch wielkie po zmarszczonej twarzy.

— Czy twój mąż padł w bitwie? — zapytała księżna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(32)

(Ciąg dalszy).

— W bitwie samej nie! Ale postrzelony w poytym, zmarł od rany. Gdy wybuchło powstanie w Polsce, a pruski król tam z Moskałem wtargnął, był i nasz pułk przytem.

Ja się wybrałam z dziećmi za nim! Miałam ich dwoje, a trzecie urodziło się na wojnie. Jestto Joanna, która żyje we Wiedniu, a zdaje się, dla tego jest taka odważna, że od urodzenia musiała się do wszystkiego przyzwyczaić jak żołnierz.

Była to nieszczęsna wojna. Z pierwszej bitwy przynieśli mi Jerzego do namiotu na noszach. Kula armatnia urwała mu nogę! Odjęli mu ją!

Jam go pielęgnowała, ile mi sił starczyło. Gdy się trochę wylizał, posłali go z powrotem do Nysy. Wielce się z tego uradowałam, bom miała nadzieję, że wyzdrowieje zupełnie i że go jako kalekę z wojska uwolnią, i że będziemy mogli wrócić do Czech. Ale nadzieja mnie zawiodła. Jerzy zaczął od razu kaszleć, i już nie było rady ani pomocy: musiał umrzeć.

Gdzie jaki grosz był, wydałam go na lekarstwa, a i tak nic nie pomogło. Myślałam wtedy, że rozum stracę, że mi serce z żałości pęknie. Ale człowiek dużo wytrzyma, miłościwa Pani!

Zostaliśmy trzy sieroty. Pieniędzy ani szeląga, tylko trochę szmat na ciebie.

W tym samym pułku, w którym Jerzy służył, był kapralem pewien Lechocki, najlepszy przyjaciel męża. Ten się nademną zlitował, zaopatrzył mnie w krosna, gdym oświadczyła, że chcę koce wyrabiać i dostarczył mi wszystkiego, czegom do tego potrzebowałam. Niech mu Pan Bóg za to zapłaci!

Przydało mi się teraz, czegom się za młodu od nieboszczki teściowej nauczyła. Rzemiosło miało dobry odbyt i wkrótce spłaciłam Lechockiemu dług i z dziećmi się porządnie wyżywiałam. Muszę przyznać, że tam byli dobrzy ludzie w tem mieście, a jednak mi bardzo tęskno było. Od chwili, gdy Jerzego zabrakło, czułam się tak opuszczoną i samotną jak grusza w polu. Zdawało mi się, żeby mi lepiej było u swoich jak na obczyźnie.

Zapytałam się Lechockiego o radę; lecz on mi powracać do kraju nie radził, zapewniając, że dostanę z pewnością jaką taką pensyę i mówił, że król się będzie o moje dzieci starał. Byłam mu za to wdzięczna, ale postanowiłam wrócić do ojczyzny. Spowodowało mnie do tego kroku i to, że nie umiałam po niemiecku.

Dopókiśmy mieszkali w Kłodzku, to jeszcze uszło; tam byłam jak w domu; bo tam się mówiło więcej po czesku niż po niemiecku, ale w Nysie przeważała już niemczyzna, a ja się w żaden sposób niemieckiego języka nie mogłam nauczyć. Zaledwie się trochę zagospodarowałam, przyszła na nas powódź. Woda, to zły żywioł; gdy się rozpełdzi, człowiek przed nią ani na koniu nie ucieknie! Powódź nastąpiła tak prędko, że ludzie zaledwie z życiem uszli. Zabrałam naprędce, co miałam najlepszego, zarzuciłam węzeł na barki, najmłodsze dziecię wzięłam na rękę, a starszych dwoje przy sobie prowadząc, uciekałam, brodząc po kostki we wodzie. Lechocki nam przybiegł na pomoc i wyprowadził nas do górnego miasta, gdzie nas dobrzy ludzie przyjęli pod strzechę.

Rozniosło się prędko po mieście, że nieomal wszystko straciła i miłosierni ludzie wnet mi przyszli z pomocą.

Także pan generał kazał mnie zawołać i oświadczył mi, że będę pobierać z królewskiej łaski rocznie kilka talarów i stałą pracę; zapewniał dalej, że chłopca odda do królewskiego zakładu a i dziewczyny mogę umieścić w królewskim zakładzie żeń-

skim. To mnie wcale nie ucieszyło, więc prosiłam, aby mi raczej zaraz parę złotych dali, jeżeliby chcieli mi jakąś łaskę wyświadczyć, bo chcę wrócić do domu, do Czech, dzieci zaś nie dam pod żadnym warunkiem. Oświadczyłam, że je wychowam podług mojej wiary i w moim języku.

Na to jednak nie chcieli zezwolić i powiedzieli mi, jeżeli tam na miejscu nie zostanę, to mi nie dadzą.

— Kiedy nie, to nie! Przecież mi Pan Bóg nie pozwoli z głodu umrzeć! — pomyślałam sobie i podziękowałam im za królewską łaskę.

— Sądzę, że dzieci twoje tam dobrze byłyby zabezpieczone, — rzekła księżna.

— Być może; miłościwa Pani! ale byłyby się wynarodowiły! Ktoby je tam był uczył kochać ojczyznę i swój język ojczysty? Nikt! Byłyby się tam nauczyły obcej mowy, cudzych obyczajów a na końcu wcale zapomniały o swem pochodzeniu. Jakbym za to mogła przed Panem Bogiem odpowiedzieć? Nie! nigdy, przenigdy! Kto z czeskiej krwi pochodzi, niech zostanie przy czeskim języku!

Zażądałam przepustki, zabrałam tych parę nędznych szmat, które mi zostały, zabrałam dzieci i rozłączyłam się z miastem, w którym przeżyłam tyle dni szczęśliwych i ciężkich. Znajomki dały dzieciom kełaczków i jadła, ile unieść mogły, a mnie kilka talarów na drogę. Niech Pan Bóg tym ludziom na dzieciach wynagrodzi, co mi dobre uczynili! Lechocki odprowadził nas dobrą milę za miasto, i pomógł mi nieść Joankę. Był nierad, żem odchodziła. Bo u nas był jak w domu. Ze gnając się, rozplakaliśmy się! Póki był w Nysie, chodził na grób Jerzego odmawiać: „Ojczy nasz!” bo kochał nieboszczyka jak rodzzonego brata. We wojnie z Francuzami znalazł śmierć. „Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!”

• Ciąg dalszy nastąpi.

BABUNIA.

Bożeny Němcowé, Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(33)

(Ciąg dalszy).

— A jak się do Czech z dziećmi dostałaś? — pytała się księżna dalej.

— Przeżyłam dużo, miłościwa pani, bardzo dużo! Nie znając drogi, często zbłądziłam i marnowałam przez to wiele czasu. Nogi mieliśmy pełne krwawych odcisków. Dzieci często płakały z głodu, zmęczenia i boleści, bo zdarzało się, że długo nie mogliśmy dostać się pod strzechę. Gdym nareszcie szczęśliwie do kłodzkich gór dobiła, byłam już jak w domu; pochodzę bowiem z Oleśnicy nad śląską granicą. A miłościwa pani może nie wie, gdzie jest Oleśnica?

Gdym się zbliżała do rodzinnej wioski, padł mi drugi kamień na serce. Pomyślałam: zastaną-li jeszcze rodziców, przy życiu, a jeżeli — jak mnie oni przyjmą?

Dali mi piękną wyprawę, a teraz wracałam prawie z gołemi rękami, przyprowadzając ze sobą troje sierót! Co na to powiedzą? brzmiało mi w uszach przez całą drogę.

Obawiałam się także, czy nie zaszła jaka smutna zmiana przez ostatnie trzy lata, podczas których nie miałam o nich żadnej wiadomości.

— A czemużście nigdy do nich nie pisali? Przynajmniej mąż twój, jeżeli już nie ty sama? — dziwiła się księżna.

— U nas nie ma zwyczaju, abyśmy do siebie pisywali listy. Nie zapominamy o sobie, modlimy się jedno za drugie, a nadarzy się sposobność, dobrze znajomy człowiek czasem, wtedy przysyłamy sobie wiadomości i dajemy znać, jak się komu powodzi. Człowiek nigdy nie wie, dokąd taki list zabłądzi i w czyje ręce się dostanie. Mój ojciec niekiedy pisywał listy do żołnierzy z naszej wsi, którzy odbywali służbę gdzieś tam daleko nad granicami, i to wtedy, gdy się rodzice ich chcieli dowiedzieć, czy jeszcze żyją, czy też pomarli, lub gdy

im chcieli kilka groszy posłać. Lecz gdy żołnierze do domu wrócili, opowiadali, że nigdy nic nie odebrali. Tak to bywa, miłościwa pani! Pismo takiego prostego człowieka, to lada gdzie ugrzeźnie.

— Mylisz się, staruszeko! — zaprzeczyła żywo księżna. — Każdy list, niech pochodzi od kogo chce, musi dojść do rąk tego, do którego jest zaadresowany. Nikomu nie wolno go zatrzymać, ani otworzyć, za to jest wielka kara.

— Dobra to rzecz, jeżeli tak jest, i wierzę miłościwej pani, ale my się jednak wolimy dobremu człowiekowi zwierzyć. Nie można również na taki kawałek papieru wszystkiego dokładnie napisać. Człowiekby się jeszcze chętnie o to i owo zapytał, a tu nie ma nikogo. Nadejdzie za to taki handlarz domokrężny lub pątnik pobożny, to już opowiadają wszystko dokładnie, słowo w słowo!

Byłabym się i o naszych więcej dowiedziała, ale czas był niespokojny, więc rzadko kto z tamtych stron przyszedł.

Gdym dochodziła z dziećmi do wsi, już wieczór zapadał. Było to letnią porą, wiedziałam, że o tym czasie nasi wieczerzali. Szłam opłotkami, nie chcąc się spotkać z nikim. Z gospodarstwa rodziców wybiegły dwa psy, szczekając zajadle na nas. Zawołałam na nie, ale czekały tem więcej.

Rozplakałam się, tak mi się smutno zrobiło.

Ja głupia! Nie przyszło mi na myśl, że przed piętnastu laty opuściłam dom rodzinny, więc to nie te same psy były, którymi się kiedyś opiekowałam.

W sadzie rosło dużo młodych drzew, płot był naprawiony, stodoła nowo pokryta, a grusza, pod którąśmy z Jerzym nie raz siedzieli, miała wierzchołek złamany, piorun w nią uderzył. Sąsiednia chałupa była jeszcze ta sama, w niczem niezmiennona. Domostwo to ojciec mój od nieboszczki Nowotny przejął „na wymowę”. Nowotna to ta sama, która wyrabiała koce, a mój nieboszczyk Jerzy był jej syn. Przy chałupce była mała zagrodka. Nowotna bowiem miała zawsze grzędę pietruszki, cebuli, kilka krzaczków „bożego drzewka”, szalwii i innych zioł na domowe potrzeby; kochała się w ziołach jak ja. Jerzy uplotł jej z wierzbowych

prętów płot około jej zagrodki. Płot był jeszcze ten sam, ale zagrodka była trawą porośnięta, tu i owdzie jeszcze cebula rosła.

Z budy wylazł stary pies, na pół ślepy.

— Aminku! znasz mię? — zawołałam, a on się zaczął łasić około moich nóg! Zdawało mi się, że mi serce pęknie z litości, widząc, że mnie to nieme stworzenie poznało i witało na swój sposób. Dzieci nieboraki spoglądały na mnie, dziwiąc się nie mało, czemu płaczę. Nie powiedziałam im bowiem, że idziemy do Babuni, myśląc w duchu: gdy się na ciebie gniewać będą, to się choć dzieci o tem nie dowiedzą. Kasper, najstarszy chłopak, zapytał:

— Czemu płaczesz, mamuniu? Czy nie dostaniemy nigdzie noclegu? Usiądź na chwilę, mamuniu i odpocznij, my poczekamy, a potem poniosę tłomoczek, nie jesteśmy głodni.

Joanna i Tereska twierdziły także, że nie mają głodu, chociaż im się jeść chciało. Szliśmy bowiem kilka godzin lasem, nie natrafiwszy nigdzie na ludzką osadę.

— Mój Boże! — odezwałam się wtedy, — dzieci! oto w tej chałupie urodził się wasz ojciec, a tu obok urodziła się wasza matka, a tu mieszka wasza babunia i wasz dziadek. Pomódlmy się do Pana Boga i podziękujmy, że nas dotąd doprowadził i prosimy Go, aby nam dane było ojcowskie przyjęcie!

Zmówiliśmy „Ojcze nasz“, a potem zbliżyliśmy się do chałupy.

Ojciec i matka byli na „wymowie“, gospodarstwo miał brat, tyle wiedziałam.

Nad drzwiami domostwa był jeszcze przyklejony obrazek Matki Boskiej, który mi Jerzy był swego czasu z Wambierzyc przywiózł. Gdym go zobaczyła, zrobiło mi się źle na sercu.

— Tyś mnie, Matko, — pomyślałam, — zegnana, gdym dom rodzinny opuszczała, Ty mnie witasz wracającą dzisiaj, i pokrzepiona na duchu weszłam do izby.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(34)

— — —
(Ciąg dalszy).

Ojciec, matka i stara Elżbieta siedzieli przy stole i jedli z jednej misy polewkę, pamiętam jakby to dziś było.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
— pozdrowiłam.

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli wszyscy.

— Prosiłabym was, gospodarzu, o nocleg dla mnie i dla dzieci. Idziemy z daleka, jesteśmy głodni i zmęczeni, — mówiłam, a głos zamierał mi w gardle.

Nie poznali mnie, bo w izbie było już dość ciemno.

— Odlóżcie tłomoczek i usiądźcie, — odezwał się ojciec, odkładając łyżkę.

— Elżbieto! idź i ugotuj jeszcze trochę polewki! — rozkazała matka.

— Tymczasem usiądźcie, matko, — ciągnęła dalej, — ukróćcie chleba i dajcie dzieciom. Potem wam naścielimy na górze.

— A zkadże idziecie? — zapytała.

— Aż ze Ślązka; z Nysy! — odpowiedziałam.

— Tam jest nasza córka! Magdalena! — zawołał ojciec.

— Proszę was, nie słyszeliście o niej? — zapytała matka, przystępując bliżej do mnie. — Nazywa się Magdalena Nowotna, mąż jej służy w wojsku; jest to nasza córka, a już dwa lata temu, nie wiemy, co się z nią dzieje. Trapią mnie ciągle złe sny, onegdaj mi się śniło, że mi wypadł ząb, uczułam silny ból, nie schodzi mi więc dziewczyna z myśli i żyję w ciągłej obawie, czy się Jerzemu coś złego nie przytrafiło. gdyż wciąż o bitwach sły-

chać. Zrządzenie to Boskie, że narody nie żyją w spokoju.

Rozpłakałam się!

Dzieci słysząc słowa matki, pociągały mnie za suknię, przytem dość głośno pytając:

— Mamuniu! czy to nasza babunia i dziadus?

Wtem mnie matka poznała; ojciec wziął dzieci ku sobie i dopiero się rodzice dowiedzieli, co się z Jerzym stało.

Elżbieta pobięła po brata i siostrę, szwagra i szwagrową i nie trwało długo, była cała wieś zgromadzona, a nie tylko krewni i przyjaciele, ale każdy mnie witał jakobym była rodzoną siostrą.

— Dobrześ zrobiła, żeś przyszła z dziećmi do domu, — rzekł ojciec. — Prawda to, że wszędzie ziemia należy do Pana Boga, ale swój własny kraj, ojczyzna, jest każdemu najmiłsza; tak i nam nasza ojczyzna, tak też być powinno. Póki nam Pan Bóg chleb daje, nie zaznasz biedy ani ty, ani twoje dzieci, chociażbyś i pracować nie mogła. To ostatnie zaś, co cię spotkało, zadało ci ciężką ranę, lecz pomnij na słowa: Kogo Pan Bóg kocha, tego krzyżem darzy!

Tak mnie przyjęli jak dziecko. Brat chciał mi odstąpić izdebkę, ale wolałam zostać u rodziców w chałupce, w której ongi Jerzy mieszkał.

Dzieci były jak w domu, a rodzice byli im radzi.

Zą mojej młodości dziewczęta się na piśmie nie znały. Było już wiele, umiała-li która trochę czytać, ale i to się tylko zdarzało pomiędzy dziewczynami w mieście. A jest to wielka szkoda i grzech, gdy ma człowiek dar ducha świętego a zaniedbywa go i nie ciągnie z niego korzyści. Lecz gdy nie ma do tego sposobności, jak człowiek ma sobie pomódz? Mój nieboszczyk, to był człowiek obeznany w świecie, a znał się na piśmie jak rzadko kto; urodził się do wozu i do karocy. A tak jest dobrze; takim każdy być powinien.

Wyrabiałam derki jak dawniej i zarabiałam

ładny grosz. Były wówczas ciężkie czasy, wojny, pomór, a następnie głód. Korzec żyta kosztował sto złotych reńskich w banknotach. Co tu dopiero mówić. Ale Pan Bóg nas nie opuścił i przetrwaliliśmy za Jego pomocą wszystko. Były takie złe czasy, że ludzie chodzili z pieniędzmi w garści a nie mogli nic kupić.

Nasz ojciec był człowiekiem dzielnym, jak rzadko. Pomagał, dopóki żył, każdemu, gdzie i jak mógł. Do niego też każdy przychodził, gdy już nie wiedział, do kogo się udać. Gdy przychodzili biedniejsi sąsiedzi i prosili:

— Sprzedajcie nam korzec żyta, bo nie mamy ani ziarnka, — zwykle mawiał:

— Dopóki mam, dopóty dam; gdy nie będę miał, dadzą mi inni, — i matka musiała zaraz namierzyć obsypaną miarkę. Lecz pieniędzy nie brał nigdy!

— Wszak my sąsiedzi, — mawiał, — jeżeli my sobie nie pomożemy, to któż nam pomoże? Gdy wam Pan Bóg da urodzaje, spłacicie mi ziarnem i będzie „kwita“.

Zato ludzie ojcu tysiąckrotnie dziękowali:

— Niech wam Pan Bóg wynagrodzi!

Gdy nie przyszedł w dom żebrak, matka by go była poszła szukać na krzyżowe drogi, bo jałmużnę dawać lubiła nadewszystko.

Dlaczego nie mieli ludziom pomagać? Wszak najedliśmy się wszyscy, mieliśmy w czem chodzić, czemuż nie mieliśmy pomagać tem, co nam zostało? To nie wielka zasługa, bo prosty obowiązek chrześcijański. Ale gdy się od ust odejmie i da, to dopiero jest cnotą. Wszak przyszło i z nami tak daleko, żeśmy jadali raz na dzień, aby inni ludzie mieli co w usta włożyć. I tośmy przetrwali, a słońce znów zaświtało.

W kraju nastał pókój, a z nim dobre czasy coraz lepsze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(35)

(Ciąg dalszy).

Gdy Kaspar ze szkoły wyszedł, chciał się uczyć tkactwa, czegom mu nie zabraniała, bo rzemiosło ma złoty byt. Po ukończonej nauce musiał pójść w świat; bo nieboszczyk Jerzy zawsze mawiał, że rzemieślnik za piecem wychowany za babę nie obstoi. Za kilka lat wrócił z obczyzny, osiadł w Dobruszce i dobrze mu się tam powodzi. Dziewczyny przyzwyczajałam do wszelkiej pracy w obejściu domowem, aby się wyrobiły na tęgie służące.

Wtem przyjechała do wsi moja siostrzenica z Wiednia. Tereska jej się spodobała i po niedługim czasie oświadczyła, że dziewczynę weźmie do siebie i będzie się starać o nią. Było mi ciężko dziecko oddać, ale pomyślała, żebym nie dobrze zrobiła, sprzeciwiając się jej szczęściu. Gdy ma iść w świat, niech idzie! Cóż w tem złego? — pomyślałam: — Dorota jest godną mężatką w Wiedniu, jest na dobrym chlebie i nie ma dzieci; Teresce więc krzywdy nie będzie. Nie omyliłam się. Starala się bowiem o dziewczynę jak matka i dała jej piękną wyprawę, gdy wychodziła za mąż.

Martwiło mnie coprawda, że dziewczyna wyszła za Niemca, ale teraz się już z tem pogodziłam, bo Jan jest dobry i rozsądny, a nauczył się tyle po czesku, że się dobrze rozumiemy. Zaś wnuki są zupełnie po mojej stronie!

W miejsce Tereski poszła Joanka do Wiednia, której się tam także podoba i dobrze powodzi.

Ten młody świat ma już inny rozum! Minie się nigdy z domu wyruszyć nie chciało, zwłaszcza między obcy naród.

Po kilku latach zmarli rodzice, w sześciu tygodniach jedno po drugim. Cicho zeszedli ze świata, jakoby człowiek świecę zagasił. Pan Bóg im dał lekki zgon. Żyli społem sześćdziesiąt lat. Miętko sobie nasłali, miętko będą spać. Niech im Pan Bóg da wieczny odpoczynek!

— A nie tęskniłaś za dziećmi, gdy cię wszystkie opuściły? — zapytała księżna.

— Krew, nie woda! miłościwa Pani, lecz trudno. Dość się napłakałam, ale nie zwierzyłam się dzieciom, aby im nie mącić szczęścia; a sama nigdy nie byłam. Bo dzieci się rodzić nie przestawają i tak się ma człowiek zawsze kim opiekować. Gdy widziałam u sąsiadów dzieci w kołysce, jak potem rosły od kaszy i mleka, zdawało mi się, że to są moje własne. Musi mieć człowiek ku ludziom serce, to i ludzie go nawzajem pokochają.

Naprosili się mnie dość, abym przyjechała do Wiednia. Wiem dobrze, żeby tam była znalazła dobrych ludzi jak gdzie indziej, i żeby mi tam było dobrze; ale tamdotąd jest kawał drogi, a człowiek na stare lata już nie do podróży. Wszak go tyle na świecie, jak pary nad garnkiem! Mógłby mnie Pan Bóg odwołać, a jabym rada gości moje w ojczystej ziemi złożyła!

Ale miłościwa Pani! ja opowiadam, jakobym była u przędzy; wybaczcie mi moją prostotę, — dodała Babunia i kończąc podniosła się z krzesła.

— Twoje opowiadanie, staruszeko, było mi bardzo miłe; nie wiesz nawet, jak jestem ci za nie wdzięczna, — rzekła księżna, kładąc rękę na babusine ramię. — A teraz chodź ze mną na śniadanie, sądzę, że i dzieci będą głodne.

To mówiąc, wyprowadziła Babunię z gabinetu do salonu, gdzie była zastawiona kawa, czekolada i różne łakotki.

Lokaj stał oczekując dalszych rozkazów. Na znak księżnej, pobiegł po księżniczkę i dzieci.

Za chwilę stanęli wszyscy w salonie. Księżniczka dokazywała z malcami, jakby już od dawna do nich należała.

— Patrzenie, Babuniu! co nam piękna księżniczka podarowała! — zawołały dzieci, pokazując różne drogie upominki.

— Jak żyję, coś takiego nie widziałam; a podziękowałyście pięknie?

— Co też powie Andzia, jak to zobaczy! a Celinka i Wacław dopiero będą zdziwieni!

— Kto to jest Andzia, Celinka i Wacław? — zapytała księżna, która o wszystkim chciała wiedzieć.

— To ja ci opowiem, kochana księżno; — odezwała się prędko księżniczka, — jestem przez dzieci dokładnie powiadomiona. Andzia jest córką młynarza, a Celinka i Wacław to dzieci pewnego

kateryniarza, który oprócz nich ma jeszcze czworo malców do wyżywienia. Baśka mi powiedziała, że z biedy zjadają koty i wiewiorki i wrony, a ludzie ich unikają, tak, że są sami na siebie wskazani.

— Czy ich dla tego unikają, że są ubodzy? czy dla tego, że zjadają koty i wiewiorki? — zapytała księżna.

— Ze zjadają koty i wiewiorki, — potwierdziła Babunia.

— Z wiewiorki niezła pieczeń; sama już takiej potrawy spróbowałam, — rzekła księżna.

— Miłościwa Pani! — odezwała się Babunia, — co innego zjeść dla ciekawości, a co innego z biedy i głodu. Kataryniarz jest obdarzony od Boga dobrym apetytem; dzieci, jak się samo przez się rozumie, mają zdrowe żołądki, a na to wszystko ma biedak muzyką zarobić. Zkąd się ma więc brać? I tak nie mają ani na sobie, ani w sobie, a w mieszkaniu ich goło jak na dłoni.

Podczas tej rozmowy zasiadła księżna do stołu; Hortenzya usadziła dzieci obok siebie. Babunia musiała także zająć miejsce.

Księżniczka chciała nalać staruszce kawy, potem czekolady, lecz Babunia dziękując oświadczyła, że nie pije kawy, ani „tego drugiego“.

— A co śniadasz? — zapytała księżna.

— Od małego dziecka jestem przyzwyczajona do kiszzonego żuru; jest to codzienna potrawa wszystkich ludzi, zamieszkałych w górach. Na śniadanie kiszony żur z kartoflami, na obiad kartofle z kiszonym żurem, a na wieczerzę jakby zmiótł! W niedzielę żur i kawałek chleba.

W górach olbrzymich jest to jednostajnym pokarmem ubogiego ludu przez cały rok. Człowiek dziękuje Panu Bogu, że chociaż tyle zawsze ma; bo zdarza się często, że otręb zabraknie.

Niżej na równinach ma już każdy trochę grochu, zasób jaśniejszej mąki, jarzyny, a tedy owedy w roku znajdzie się i kawałek mięsa na stole; w tych okolicach już bieda ludziom nie tak dokuczy.

Człowiek prosty nie może nawykać do pańskiego jedzenia, bo by niedługo wyszedł na psy; a zresztą takie łakotki nie dają siły.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(36)

(Ciąg dalszy).

— Co do tego, to się grubo mylisz, Babuniu, takie potrawy są bardzo pożywne i gdyby ci górscy ludzie mogli mieć codziennie kawał mięsa i zdrowy trunek, dodawałoby im to więcej sił, aniżeli wszelkie jadlo, które przez dzień obficie spożywają, — odezwała się księżna.

— Oto masz! człowiek do końca życia musi się uczyć, — rzekła Babunia. — Myślałam bowiem zawsze, że wielcy panowie dla tego blade i chudo wyglądają, że spożywają takie łakotki, które im żadnych sił nie przysparzają.

Księżna się serdecznie rozśmiała, a nie chcąc się staruszce nadal sprzeciwiać, nalała kieliszek wina i rzekła:

— Wypij, Babuniu! rozgrzeje ci się żołądek.

Babunia podniosła kieliszek i trącając z księżną, rzekła:

— Zdrowie miłościwej pani! — i zmaczała wargi w trunku. Nareszcie przyjęła i ciasteczko, chociażby tylko dla tego, ażeby nie obrazić gościnności.

— Co jest w skorupkach, z których księżna wani je? — zapytał Janek po cichu.

— To są morskie zwierzątka i nazywają je ostrygami — odpowiedziała mała księżniczka.

— Tegoby Celinka nie jadła! — zauważył Janek.

— Na świecie są tysiączne smaki, — odpowiedziała mała.

Podczas rozmowy wetknęła Baśka, która obok Babuni siedziała, staruszce coś do kieszeni, szeptając jej w ucho:

— Schowajcie, Babuniu, to są pieniądze! Księżniczka mi je dała dla dzieci Kudrny, a ja bym je mogła zgubić.

Księżna usłyszała słowa Baśki i oczy jej z niewysławioną radością spojrzały w śliczną twarz wychowanki.

Babunia nie mogła zataić swej radości i rze-
wym głosem się odezwała:

— Pan Bóg to miłościńce zapłaci!

Księżniczka rumieniając się pogroziła palcem Baśce, która wstydząc się swej gadatliwości oczy spuściła ku ziemi.

— Co to za radość u Kudrnów będzie! — rzekła Babunia, — będą się mogli przyodziać!

— Ja także nieco ofiaruję, — odezwała się księżna.

— Zrobiłaby księżna pani dobry uczynek, gdyby zechciała tym ludziom dopomódz, ale nie jałmużną! — odpowiedziała Babunia.

— A więc jak? — zapytała księżna.

— Tak, aby miał Kudrna stałą pracę jak długo się dobrze prowadzić będzie, a myślę, żeby to było na stałe, bo to człowiek uczciwy i pilny. Pan Bóg wszystko wynadgrodzi, miłościwa pani, ale jałmużna takim ludziom pomoże tylko na pewien czas. Kupi się to i owo, niekiedy i rzeczy niepotrzebne, gdy się ma pieniądze w garści, a gdy je się wyda, siedzi się znów na piasku i nie ma śmiałości po raz drugi prosić o pomoc. Lecz gdy Kudrna będzie miał stałe zatrudnienie, to się najprędzej wspomůže, a miłościwej pani także to nie wyjdzie na złe, gdyż zyska pracowitego robotnika lub wiernego sługę, czyniąc w dodatku dobry uczynek.

— Masz słuszność Babuniu, ale jakąż służbę mam dać muzykantowi? — pytała dalej księżna.

— Miłościwa pani, to się znajdzie, — odparła Babunia, — wiem, żeby rad był karbowym lub polowym. Gdyby tak po polach chodził, mógłby z sobą katarynkę nosić, bo i po dziś dzień, idąc polem, przygrywa sobie często, aby się rozweselić. Jest to człowiek wesoly, — dodała Babunia.

— To się nim zajmiemy! — rzekła księżna.

— O moja droga, ukochana księżno! — zawołała księżniczka i wstała, aby pocałować księżnę w rękę.

— Tylko przy dobrych ludziach stoją aniołowie, — odezwała się Babunia, spoglądając z wzruszeniem na księżnę i jej wychowanicę.

Po krótkim milezeniu księżna rzekła:

— Ze mi cię Pan Bóg dał, za to Mu nie przestanę dziękować! — a głośniejszym głosem zwracając się do Babuni, dodała:

— Takiego przyjaciela, któryby mi zawsze prawde, czy to przwiemna czy to nieprzwiemna.

otwarcie powiedział jak ty, staruszko, pragnęłabym mieć.

— Co tam o to! gdy miłościwa pani będzie chciała, znajdzie takiego.

— Czy może myślisz, żebym go nie umiała cenić? — wtrąciła księżna.

— Dla czego bym to o miłościwej pani miała myśleć? — rzekła Babunia, — ale to już tak bywa: niekiedy się szczerą prawdę mile przyjmie, ale niekiedy jest ona nie na rękę — i już po przyjaźni!

— Słusznie! Ale ty masz od dnia dzisiejszego prawo przychodzić do mnie, kiedykolwiek zechcesz i powiedzieć mi otwarcie, co myślisz; chętnie twojej rady posłucham, a przyjdiesz z prośbą, bądź pewna, że ją wypełnię, jeżeli będzie w mojej mocy, — to rzekłszy księżna, wstała od śniadania.

Babunia chciała księżnę pocałować w rękę, lecz miłościwa pani pochyliwszy się naprzód pocałowała staruszkę w oba lica i nie pozwoliła, aby jej Babunia rękę pocałowała.

Dzieci, zebrawszy piękne podarki, niechętnie odchodziły z miłej gościny.

— Przyjdźcie też kiedy do nas, miłościnko, — prosiła Babunia, biorąc księżniczce Adelkę z rąk.

— Przyjdź, przyjdź! — prosiły dzieci, — my ci zaś pięknych poziomek nazbieramy.

— Odwiedzę was napewno, — zapewniła z miłym uśmiechem księżniczka.

— Dziękujemy za wszystko, miłościwa pani, a zostańcie tu z Panem Bogiem! — zegnała się Babunia.

— Idźcie z Bogiem! — rzekła ucieszona księżna, a księżniczka odprowadziła gości za próg.

Lokaj, uprzątając ze stołu, pokręcał nosem i mruzczał:

— Dziwny to narów księżny bawić się z prostą babą!

Księżna stojąc przy oknie spoglądała za odchodzącymi gośćmi, poki widać było białe szaty dziewcząt i biały czepiec Babuni pomiędzy zielonym lasem, a wracając nareszcie do swego gabinetu, szepnęła z cicha:

— Szcześliwa kobieta!

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(37)

— — —
(Ciąg dalszy).

VIII.

Na pańskiej łące było kwiecia, jakby nasiał. Przez łąkę prowadziła ścieżka. Tuż przy ścieżce siedziała w macierzance jak w poduszce Adelka i przypatrywała się małej biedronce, która jej biegła po fartuszkach, z fartuszków podążyła na nóżkę, z nóżki na zielony bucik.

— Nie uciekaj, mała! zostań u mnie; ja ci nie zrobię, — mówiło dziewczę i biorąc biedronkę w palce, sadza ją znów na fartuszek.

Niedaleko od Adelki siedzą na mchu przy mrowisku Janek i Wilemek. Dziwią się nad skrzętną pracą mrówek.

— Patrz, Wilemku! jak biegną; a widzisz, ta mrówka zgubiła jajko, a tam ta druga je podnosi i biegnie z niem do mrowiska; poczekaj! mam kawałek chleba w kieszeni, dam im okruchę, zobaczymy, co też z nią zrobią.

I wydostawszy skibkę chleba, położył kawałek na ziemi.

— Patrz! wszystkie mrówki do chleba pospieszają i dziwią się, z kąd się tu wziął. Popychają go coraz dalej naprzód, widzisz? Teraz się ze wszech stron gromadzą; ale jak się te drugie dowiedziały, że tu coś leży? — rzekł Janek.

W tem przeszkodził im miły głos, niespodzianie chłopców zapytujący:

— Co wy tu robicie?

Był to głos księżniczki, która przyjechała na białym koniu tuż do nich.

— Mam biedronkę! — zawołała Adelka, pokazując zaciśniętą pięść księżniczce, która już była z konia zeszła i do dziewczynki się zbliżyła.

— Pokaż mi ją! — rzekła księżniczka.

Adelka otworzyła rękę, ale rączka była próżna ku wielkiemu zmartwieniu dziewczynki.

— Uciekła! — zawołała żałośnie.

— Zaczekaj! Jeszcze nie uciekła! — odezwała się księżniczka, biorąc ostrożnie biedronkę z białego ramienia dziewczyny.

— Cóż z nią teraz zrobisz? — zapytała.

— Każę jej ulecieć! — odpowiedziała Adelka.

— Przypatrz się, zaraz poleci.

Adelka położyła biedronkę na dłoń i podnosząc rękę do góry wołała:

„Biedroneczko, leć do nieba
I przynieś mi skibkę chleba.
Zanleś Bozi pozdrowienie,
Proś o Świętych przyczynienie,
Siądź u nóżek świętej Pannie
I pokłoń się świętej Annie.“

„Proś o skibkę dla mnie chleba,
A z tą skibką przyleć z nieba“

dodał Wilemek, uderzając zarazem Adelkę z lekka pod rękę.

W tem podźwignęła biedronka czarny płaszczyk czerwono kropkowany, rozwarła złożone pod nim cienkie skrzydełka i uleciała w górę.

— Czemuż mi ją zepchnąłeś? — zawołała rozgniewana Adelka.

— Ażeby prędzej uleciała! — rozśmiał się chłopiec.

A zwróciwszy się do księżniczki, rzekł:

— Chodź ze mną, Hortenzyo! Chodź się przypatrzeć mrówkom; dałem im kawałek chleba.... i co ich się tam teraz nagromadziło! — dodał chłopiec wielce zdziwiony.

Księżniczka włożyła rękę do kieszeni czarnego, aksamitnego kabatu i wydobywszy kawałek cukru podała go Wilemkowi, mówiąc:

— Połóż mrówkom ten kawałek cukru na trawie, a zobaczycie, ile ich się w okamgnieniu zbierze, bo one na słodycz bardzo są łakome.

Wilemek usłuchał; a gdy widział, że po chwili mrówki przybiegają z wszech stron i małe jak kropki odrobinki cukru do mrowiska odnoszą, bardzo się nad tem zadziwił i zapytał:

— Ale powiedz mi, Hortenzyo, zkad te mrówki wiedzą, że tu jest coś dobrego? i coż one robią z jajkami, które ustawicznie wynoszą i wnoszą?

— To są ich dzieci, — odpowiedziała księżniczka, — a te, które je noszą, są ich dozorczy-niami i opiekunkami. Gdy słońce świeci i jest gorący dzień, wynoszą je na słońce z ciemnych ko-mórek, aby się wygrzały i lepiej rosły.

— A gdzież tedy są ich matki? — zapytała Adelka.

— Są w komórkach, — rzekła Hortenzya, — siedzą tam i znoszą jaja, aby mrówki nie wymarły. Ojcowie chodzą około nich, ciągle im coś opowia-dają i rozweselają je, aby im się nie nudziło; te zaś mrówki, które tu oto biegają, to są robotnice.

— A jak one pracują? — zapytał Janek.

— Znoszą pokarm, — objaśniała dalej księ-żniczka, budują i poprawiają mieszkania, opiekują się dorastającymi dziećmi, czyszczą dom; gdy zaś umrze która z matek, grzebią ją; potem uważają, aby ich nieprzyjaciele nie napadli, a gdy to nastąpi, bronią swojej gromady. To wszystko jest zada-niem robotnic.

— A jak się porozumiewają, gdy nie umieją mówić? — dziwiły się dzieci.

— Chociaż mówić nie umieją, — odparła księ-żniczka, — i nie mają tak rozwiniętego rozumu jak naprzykład ludzie, to jednakowoż porozumiewają się na swój sposób. Wszak widzieliście, że pier-wsza mrówka, która znalazła cukier, wnet pobięła to innym powiedzieć, które się zaraz tu zbiegły. Widzicie, jak jedna się przy drugiej zatrzymuje, jak się dotykają, jakoby mimochodem chciały się ze sobą porozumieć; znów tu i owdzie zbierają się w małe gromady, i kto wie, o czem się one na-radzają.

— A mają także pokoje i kuchnie? — zapy-tała Adelka.

— Kuchni nie potrzebują, bo nie gotują, ale pokoje mają dla dzieci i dla matek, sale dla ro-botnic; mają dom o kilku piętrach, z korytarzami i schodami, prowadzącymi z piętra na piętro.

— A jak budują, że im się gmach nie za-wali? — pytały dzieci.

— Budują mocno; i gdy im tylko ktoś sil-niejszy budowy nie zepsuje, to ona sama się nie-awali.

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(38)

(Ciąg dalszy).

Stawiają mury i sklepienia z drobniuteńkich trzasek, źdźbeł, iglic, suchych listków, trawy i ziemi, której małe kuleczki zlepiają, a jeżeli jest sucha, w ustach ją ślinami odwilżają, ugniatają i potem tak używają jak murarze cegły.

Najchętniej budują po drobnym deszczu, gdy ziemia jest wilgotna.

— A kto te zwierzątka tego wszystkiego nauczył? — zapytał Wilemek.

— To już Pan Bóg dał zwierzętom z urodzenia taki popęd, że wiedzą zaraz od młodości, jak się żywić, że wiedzą, czego im do utrzymania potrzeba; a niektóre zwierzęta z taką umiejętnością i chytrą swoją potrzebę zaspakajają, że się to prawie ludzkiemu rozumowi równa. Gdy będziecie chodzić do szkoły i zrozumiecie książki, to się o zwierzętach i ich życiu dużo dowiecie — powiedziała księżniczka.

Podczas tej rozmowy nadeszła Babunia i Baśka, niosąc pełne fartuchy kwiecia i korzonków, które na łące nazbierały. Dzieci wnet Babuni powiedziały, co im mówiła o mrówkach księżniczka, która właśnie Babunię pytała, dlaczego wszystkie te korzenie zbiera.

— To jest, Miłoscinko, kminek; — objaśniała Babunia; — ta tu roślina, wątrobnik. Kminek się suszy, ziarno się spotrzebuje do potraw, a słomę dzieciom do kąpieli; płukanie wątrobnikiem zaś jest wyborne na choroby gardła. Ludzie w okolicy wiedzą dobrze, że mam zawsze zasób takich ziół i przysyłają po nie. Dobrze, gdy człowiek ma takie lekarstwa w domu, bo chociażby ich sam nie potrzebował, przydadzą się bliźniemu.

— Czy nie ma apteki w mieście? — zapytała księżniczka.

— W miasteczku nie! ale o godzinę drogi tu-

ztań. Lecz na coby się zdało, gdyby i apteka w mieście była! Łacińska kuchnia jest droga kuchnia, a dlaczego za drogie pieniądze kupować, co sobie sami zgotować umiemy?

— A to wam lekarz napisze receptę i powie, co i jak gotować macie.

— Gdzieżtam, Miłoscinko! Jakby to człowiek wyszedł na swoje, gdyby za każdym małym zaziębieniem miał posyłać po doktora! Tuztań jest godzina drogi do lekarza; przejdzie pół dnia zanim go się człowiek doczeka, tymczasem mógłby śmiało umrzeć, gdyby nie było domowej pomocy; a gdy przyjedzie, pozapisuje niezliczone rzeczy: leki, plastry, pijawki i to i owo, tak że człowiek na końcu nie wie, co robić, a chory tem wszystkiem przerażony dopiero porządnie zaniemoże. Ja, Miłoscinko, w lekarzy nie wierzę. Gdy sama lub dzieci zaniemoga, wyleczą nas nasze zioła. Lecz mimo to napominam ludzi, gdy zaniemoga: Poślijcie po doktora! Ale cóż?! Gdy Pan Bóg ześle chorobę ciężką, rozum doktorów się kończy i czekają, czy natura sama sobie nie pomoże!

— To wszystko zioła zdrowotne? — zapytała księżniczka.

— Nie, nie! Hortenzyo, — odezwała się Baśka; — mamy w tartuchu kwiaty na wieńce! Bo jutro jest święto „Bożego Ciała“, a ja i Andzia będziemy družkami.

— A ja także; pójdę z Helą, — dodała Adelka.

— A my będziemy družbami! — zawołali chłopcy.

— Kto jest Helą? — zapytała księżniczka.

— To jest Helena, córeczka pani kumotry z miasta; z tego wielkiego domu, na którym wisi lew malowany.

— Musisz powiedzieć z gospody, — pouczała Babunia dziewczę.

— A ty też pójdiesz w procesyi? — zapytała Baśka księżniczki.

— Tak! pójdę, — odpowiedziała księżniczka i usiadłszy na murawie, pomagała Babuni równać kwiaty na wieńce.

— A ty nie byłaś jeszcze nigdy družką w „Boże Ciało?” — zapytała Baśka.

— W „Boże Ciało”, nie! — ale bawiać jeszcze u mojej opiekunki w Florencyi, byłam družką w święto Madonny; niosłam wieniec róż.

— Kto to jest Madonna?

— Madonną nazywają we Włoszech Matkę Boską, — odpowiedziała księżniczka.

— Miłoscinka pochodzi z Włoszech? Wszak to jest ten kraj, w którym nasze wojsko załogą leży? — zapytała Babunia.

— Wtem mieście, z którego ja pochodzę t. j. w Florencyi, nie ma wojska. Wyrabiają tam te piękne kapelusze słomiane, które nosicie; wyrabiają je z ryżowej słomy.

Na polach rośnie ryż i kukurydza, na pagórkach słodkie kasztany i oliwy; są tam cyprysowe i wawrzynowe gaje, śliczne kwiaty, a niebo takie piękne, modre, wybrane!

— Ach! już wiem! — przerwała Baśka; — to jest to same miasto, które w twoim pokoju na obrazie widziałam. Nie prawdaż, zgadłam Miłoscinko?

Pośrodkiem płynie szeroka rzeka, nad którą w wyż jest położone miasto. Ach, Babuniu! jakie tam piękne domy i kościoły! Po drugiej stronie rozpościerają się ogrody z małymi domkami; przed jednym domkiem siedzi stara matrona, obok niej gra dziewczyna na gitarze; to jest Hortenzya i jej opiekunka. Wszak tak nam mówiłaś, Miłoscinko?

Księżniczka milczała, była zamyślona, ręce opuściła na kolana. Po długiej dopiero chwili westchnęła głęboko:

— O bella patria! O cara amica!*) — i z ócz jej polały się łzy jak groch wielkie.

— Co powiedziałaś, Hortenzyo? — zapytała, tuląc się do księżniczki, zdziwiona Adelka.

Hortenzya wsparła głowę o twarz dziewczynki i nie wzbraniała łzom, które obficie po licach spadały.

*) O śliczna ojczyzno! O droga przyjaciółko!

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(39)

(Ciąg dalszy).

— Miłoscince przyszła na myśl ojczyzna i przyjaciele, — odezwała się Babunia. — Wy, dzieci, jeszcze nie wiecie, jak to człowiekowi na sercu, gdy musi opuścić miejsce rodzinne, miejsce, gdzie wyrosł. Chociażby mu się gdzieindziej i dobrze powodziło, nigdy go zapomnieć nie może. I wy to kiedyś odczujecie.

Miłoscinka ma z pewnością krewnych we Włoszech? — zapytała Babunia.

— Nie mam na świecie żadnych krewnych, o którychbym wiedziała, — odpowiedziała z smutkiem księżniczka. — Moja dobra opiekunka i przyjaciółka Giovanna żyje we Florencyi; za nią niekiedy tęsknię i za ojczyzną. Księżna, ta dobra moja matka, przyobiegała mi, że będę mogła do ojczyzny wrócić.

— A jak miłoscinkę księżna tak daleko odnalazła? — pytała dalej Babunia.

— Księżna pani знаła dobrze moją matkę, była z nią bardzo zaprzyjaźniona. Mój ojciec został ciężko ranny w bitwie pod Lipskiem, a wróciwszy do domu we Florencyi, zmarł po kilku latach wskutek odniesionych ran. Tak mi Giovanna często opowiadała. Matka krótko potem ze zmartwienia i boleści umarła. Zostałam sierotą i sama na świecie! Księżna, dowiedziawszy się o tem, przybyła do Florencyi i byłaby mnie ze sobą zabrała, ale Giovanna kochała mnie jak matka i oddać nie chciała. Powierzyła więc księżna mnie, zamek i wszystko, co w nim było, Giovannie w opiekę, która mnie wychowała. Gdym dorosła, zabrała mnie księżna do siebie. Och! bardzo ją kocham, tak, jakbym własną matkę była kochała!

— Wszak i księżna miłoscinkę kocha jak własną córkę, — odezwała się Babunia, — przekonałam się o tem, gdym w zamku była i uradowałam się

z tego niemało. Tak! o mało byłabym zapomniała powiedzieć miłościnie o Kudrnach. Gdy im Baśka przyniosła wasze pieniądze, aż skakali z radości, a gdy stary Kudrna został przyjęty do służby za stolnego i w dodatku z podwójną pensją, o mało rozumu z radości nie stracił. Do śmierci nie przestaną się modlić za księżną i za miłościnę.

— To tobie mają do zawdzięczenia, staruszko, i twoim dobrym słowom, — odpowiedziała księżniczka.

— Miłościnko! Gdyby moje słowo nie było padło na dobry grunt, nie byłoby weszło ani błogosławieństwa przyniosło, — odpowiedziała Babunia.

Zioła i kwiaty były już uporządkowane, więc Babunia zabierała się z dziećmi do domu.

— Odprowadzę was do rozstajnej drogi, — rzekła księżniczka, — biorąc konia, który się był popasał, za uzdę.

— Macie odwagę chłopcy, to was wsadzę na konia! Każdego na chwilę! — zawołała.

Chłopcy z radości podskoczyli, a w następnem okamgnieniu siedział Janek na koniu.

— To dopiero urwisz! — zawołała Babunia, — widząc Janka na koniu.

Wilemek także udawał odważnego, lecz gdy go księżniczka w siodło wsadziła, zarumienił się aż po uszy i dopiero ducha nabrał, gdy Janek się z niego naśmiewać zaczął.

I małą Adelkę księżniczka wsadziła w siodło i trzymała ją, idąc przy koniu.

Dziewczynka rumieniła się z radości, lecz zuchy chłopcy naśmiewali się z siostrzyczki, wygadując, że taka wielka krzeciuk, że siedzi jak małpka, i Bóg wie, jakby jeszcze byli urągali, gdyby ich Babunia nie była skarciła.

Księżniczka dosiadła na rozstajnej drodze konia, spuściła granatową suknię ku ziemi, poprawiła czarnego kapelusza i kłaniając się jeszcze raz trzcinką, zawołała: „Avanti“ *) i popędziła jak strzała aleją do zamku.

Babunia zbliżała się wolnym krokiem z dziećmi do „Starego Bielidła“.

Nazajutrz był piękny dzień, niebo było pogodne.

Przed „Starem Bielidłem“ stała karoca, w której się Janek i Wilemek rozsiedli. Chłopcy byli świątecznie ubrani, mieli białe spodnie i czerwone kamizelki, w rękach trzymali wieńce. Pan Proszek chodził około koni, głaskał je po lśniącej sierści, przebierał palcami bujne grzywy i spoglądał okiem znawcy na konie i szory. Chwilami podchodził pod dom, wołając w okno:

— Jeszcze nie gotowi? Spieszcie się!

— Zaraz, tatuniu, zaraz będziemy, — odzywały się wewnątrz. — Ale to „zaraz“ trwało jeszcze dość długą chwilę, aż nareszcie wyszły z domu dziewczęta z Adelką na czele, pani Proszkowa, Babunia, Elżbieta i Urszula.

— Miejcie na wszystko baczność! Uważajcie na drób! — przykazywała Babunia służącym.

Sułtan chcąc się przychlebic, przytykał nos do wieńców, które Adelka na ręce nosiła, lecz dziewczynka podnosiła wieńce do góry, co spostrzegłszy Babunia, ostro psisko łajęła:

— Nie widzisz, głupi! że Adelka jest družką!

— Prawdziwe anioły! — rzekła Elżbieta do Urszuli, — spoglądając na dzieci w karocie.

Pan Proszek usiadł na koźle obok woźnicy Wacława, chwycił za lejce i mlasknął językiem. Konie podniosły dumnie głowy i popędziły jak wiatr. Psy puściły się za powozem, lecz gdy im pan Proszek biczem pogroził, zatrzymały się i mrukliwie spoglądając wrocily do „Starego Bielidła“, a położywszy się w słońcu pod drzwiami, zaczęły głośno chrapać.

W mieście były wszystkie domy gałęziami umajone, ulice wysłane liściem, całe miasto zieleńiło się jak las. Na czterech stronach rynku były ustawione cztery ołtarze, jeden piękniejszy od drugiego. Na przeciwko figury św. Jana Nepomucena pod zielonemi lipami ustawiono móżdziej, około którego ustawila się gromada niedorostków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(40)

(Ciąg dalszy).

— Będą strzelać! — odezwał się pan Proszek, zwracając dzieciom uwagę na moździerz.

— Ale ja się będę bała! — zawołała lękliwa Adelka.

— Czegobyś się bała? to nie trzaśnie głośniej od garnka, który z półki spadnie, — pocieszała Baśka siostrzyczkę.

Do takiego trzasku była Adelka przyzwyczajona, więc się uspokoiła.

Pan Proszek zajechał przed gospodę „pod białym lwem”. W progu stał pan kumoter Stanicki i na przywitanie gości zdejmował z zadowoloną miną aksamitną czapkę; kumotra Stanicka, w srebrnym czepcu i krótkim jedwabnym kabatku, witała z radosnym uśmiechem miłych znajomych; a gdy się Hela za nią ukryć chciała, przytrzymała córeczkę jedną ręką, a biorąc Adelkę drugą, postawiła dziewczynki obok siebie i rzekła:

— Wszak pokażcie się, ażaliście pięknie wystrojone?

— Podobne do siebie jak bliźnięta, — odezwała się Babunia.

Dziewczynki spojrzały nieśmiało na siebie i rumieniąc się spuściły oczy.

Pan Stanicki ujął pana Proszka pod rękę i prosząc resztę gości, aby wstąpili do pokoju, rzekł wesoło:

— Przed procesyą pomówimy jeszcze trochę przy kieliszku wina.

Pani Proszkowa weszła za panami do pokoju gościnnego, Babunia zaś została z dziećmi w przed-
łonku, mówiąc do bawiących tam służących:

— Wy macie dość czasu, gdy z państwem pójdziecie, ale ja bym się później nie mogła do-

cisnąć do kościoła, bo będzie natłok nie lada, zostaną tu teraz przy dzieciach.

Po niedługiej chwili wyszli na róg ulicy dwaj chłopcy w czerwonych kamizelkach, za nimi znów dwaj, a gdy się trzecia para pokazała, Janek radośnie zawołał:

— Już idą!

— Adelko i ty Helenko patrzcie podczas procesyi także pod nogi, abyście nie upadły, — napominała Babunia dziewczęta. — Baśka, ty na dzieci uważaj! Wy zaś, chłopcy, zachowujcie się skromnie, bo łatwo o nieszczęście z świecami; a módlcie się w kościele i przed ołtarzami, abyście się Panu Bogu spodobali.

Tymczasem nadszedł przed dom pana Stankiego nauczyciel z szkolnemi dziećmi.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! panie nauczycielu! — rzekła Babunia, — przypro-wadziłam wam jedną jeszcze garstkę; miejcie już i z temi malcami cierpliwość.

— Dobrze, Babunia, dobrze! mam tu całe stado, małe i większe, — odpowiedział z uśmiechem nauczyciel, włączając zaraz chłopców w szeregi chłopców, a dziewczęta w szeregi dziewcząt.

W kościele umieściła się Babunia obok drzwi w sąsiedztwie dobrych znajomek. Dzieci stały koło ołtarza.

Zadzwoniono po raz trzeci; lud garnał się do kościoła; kościelny rozdzielał świece. Odezwała się sygnaturka, poczem księża przystąpili do ołtarza, rozpoczęła się msza św.

Dziewczynki z złożonemi rączkami patrzyły długo w nabożnem skupieniu na ołtarz, potem oglądały się to w prawo, to w lewo, nareszcie zwróciły oczy na chór i spostrzegły księżniczkę. Uśmiechnęły się radośnie do Hortenzyi; nie mogły się wstrzymać.

Za Hortenzyą siedziała matka; pan Proszek stał obok i groził malcom palcem, aby się do ołtarza obróciły. Lecz Adalka nie rozumiała tych wskazówek i wciąż się do oca uśmiechała, póki jej Baśka nie pociągnęła za szaty, szepcząc w ucho:

— Patrz na ołtarz!

Było po podniesieniu. Ksiądz podniósł monstrancyę z „Przenajświętszym“, dzwony zagrzmiały gwałtownie, lud zaśpiewał chórem: „Barunku Boży, Chryste, zmiłuj się!“ i procesya wyszła z kościoła.

Na czele szły dzieci, za nimi świeczkarze z palącemi się świecami, potem z ślicznemi wiencami dziewczynki, które z koszyczków kwiaty rzucały, nareszcie księża, potem zwierzchność miasta, honoracya z całej okolicy, na końcu lud z miasta i sąsiednich wiosek, pomiędzy nimi Babunia.

Liczne chorągwie cechów powiewały nad głowami ludu; woń kadzidła mieszała się z czerstwym zapachem rozsypanych kwiatów, odgłos dzwonów rozlegał się w powietrzu.

Kto nie mógł brać w procesyi udziału, stał w progu lub oknie i patrzył na wspaniałą pochód, tysięcznobarwną procesyę.

Co za przepych! co za różnorodność ubrań! W wystrojonych szatach dzieci, księża w drogocennych ornatach, panowie we frakach, poczciwi mieszczanie w pięćdziesięcioletnich kabatach, młodzieńcy we wyszywanych kamizelach, starcy w długich, po kostki sięgających sukmanach; panie w gustownych, acz skromnych ubraniach, mieszczanki w czepcach koronkowych, srebrem i złotem przeplatanych, wiejskie gospodynie w krochmalonych czepcach lub białych chustkach na głowie.

Jak Stanickiego dom było można poznać jako dom gościnny po wymalowanem godle, tak oznaczało ubranie sposób myślenia i zawód tych tu ludzi. Na pewno było można rozeznąć kapitalistę, rzemieślnika od urzędnika, gospodarza od chałupnika, a ubrania zdradzały tych, którzy się trzymali starych obyczajów, jako i tych, którzy naśladowali świat nowy.

Przy ołtarzach usiłowała Babunia dostać się do dzieci, aby im nieść pomoc w potrzebie. Skończyło się wszystko dobrze, tylko Adelka wzdrygała się za każdym wystrzałem i zatykała rączkami uszy, zamykając zarazem oczy.

~~jak dalszy nastąpi.~~

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(41)

(Ciąg dalszy).

Po procesyi zaprowadziła Babunia dzieci do gościńca, gdzie na nich Wacław z łąroczą czekał. Krystyna, córka młynarza, wracała także z kościoła; Babunia spostrzegłszy dziewczynę i dla niej miejsce w powozie znalazła i prosiła o jej towarzysztwo w powrocie do domu.

— Nasi zostaną na obiedzie, więc będzie dosyć miejsca! — powtarzała Babunia opierającej się nieco Krystynce.

— Chętniebym z wami pojechała, ale radabym poszła z dziewczynami, — odrzekła Krystyna, zwracając oczy na gromadę młodzieńców, którzy stali na cmentarzu i czekali na dziewczyny, aby je do domu odprowadzić.

Jeden z pomiędzy nich był rosły jak sosna, o bardzo ładnej twarzy i ujmującego pozoru. Zdało się, że kogoś szukał, bo gdy nagle Krystynę spostrzegł, mocno się zarumienił.

Babunia zaprowadziła Helenkę do pani kumotry, która dzieci za stołem usadziwszy, częstowała je ciastkami. Babuni zaś podała kieliszek wina na pokrzepienie. Ponieważ w pokoju było dużo gości, Krystyna dla tego nie chciała wejść do izby, chciała więc Babunia dziewczynie wina wynieść do przedsionku; lecz w tem wyprzedził staruszkę ów junak z cmentarza; bo wszedł do szynkowni, zażądał słodkiego likieru i wyniósł napój Krystynie do przedsionku. Dziewczyna wzbraniała się przyjąć likieru, lecz gdy młodzieniec, smutnie jej w oczy patrząc, zapytał;

— Więc nie chcesz przyjąć odemnie poczęstunku?

Chwyciła prędko za kieliszek i wypiła jego zdrowie.

Wtem nadeszła Babunia i poczęstowała oboje winem.

— Przyszedłeś jak na zawołanie, Mila — uśmiechając się, rzekła Babunia do młodzieńca. — Właśnie się namyślałam, któregooby z was prosić, aby z nami jechał. Bo bez Jana lub innego doświadczonego człowieka boje się takimi dzikimi końmi

jechać; Wacław zaś powozi nieostrożnie. Jedź więc z nami! — prosiła Babunia.

— Z radością! — odpowiedział Miła i obróciwszy się na napiętku, pobiegł do szynkowni zapłacić.

Dzieci pożegnawszy się z Helenką, panią kumotą i rodzicami, wsiadły do powozu. Krystyna zajęła miejsce obok malców; Miła wskoczył na kozioł i powóz ruszył z miejsca.

— Patrzcie! Miła jedzie jak pan! — wołali rówiennicy, wracający ścieżką, gdy ich powóz mijał.

— Mam się też z czego panoszyć! — odpowiedział Miła radośnie, rzucając oczami za siebie; co widząc młodzian, który poprzednio na Milę wołał, był Mili najserdeczniejszym przyjacielem, rzucił czapkę w górę, nucąc:

„Miłość, boska miłość!
Skąd ją ludzie biorą,
Na górach nie rośnie,
W polu jej nie sieją!

Końca piosenki nie dosłyszeli w powozie, bo konie pędziły cwałem.

— A byliście nabożni? — zapytała Babunia malców.

— Ja się modliłem; ale Wilemek, zdaje się, nie był nabożny! — odezwał się Janek.

— Nie wiercie mu, Babuniu! ja ciągle „Ojcze nasz“ odmawiałem, a Janek mnie szturchał i nie dał mi spokoju, gdyśmy szli w procesyi.

— Janku, Janku! co za bezbożny chłopak z ciebie! Będę się musiała na pewno tego roku na ciebie u św. Mikołaja uskarżyć, — odezwała się Babunia.

— Potem św. Mikołaj nie ci nie nakładzie! — dodała Adelka.

— A prawda! Za kilka dni mamy Jana Chrzciciela, twojego patrona! — odezwała się Krystyna.

— A więc co mi podarujesz? — zapytał Janek.

— Dam ci powrosło, bo taki psotnik z ciebie! — naśmiewała się Krystyna.

— Powrosła nie chcę, — odpowiedział chłopak i zamroczył się, bo się wszyscy z niego śmiali.

— A co ty dostajesz na imieniny? — zapytała Baśka Krystynę.

— Nie! u nas nie ma takiego zwyczaju; tylko u panów dawają podarki.

Prawda! Raz dostałam powinszowanie od nau-

czyciela, który w zamku u rządcy dzieci uczył; list ten mam tu w książce.

To rzekłszy, wyjęła z książki do nabożeństwa okolony wieńcem róż i niezapominajek arkusz papieru, zapisany wierszem.

— Schowałam go, bo wieńiec taki ładny — rzekła; — ale wiersza nie rozumiem.

— Czy nie jest po czesku pisany? — zapytała Babunia.

— Po czesku, ale bardzo uczenie! Słuchajcie, oto początek:

„Wysłuchaj mnie, dziewico rozkosznej piękności, wychowanico Łady!“*)

— Wierzcie mi, Babuniu, nie a nie z tego nie rozumiem; i w całym wierszu takie majaczenie aż do samego końca.

Nie jestem żadną wychowanicą, gdyż mam Bogu dzięki matkę; temu człowiekowi się od książek musiał rozum pomieścić.

— Tak się mówić nie godzi! kochana Krystyno; był to człowiek bystrego rozumu, w naukach wykształcony; my nie rozumiemy takich ludzi.

Gdym jeszcze w Kłodzku była, mieszkał w naszym sąsiedztwie także pewien mistrz pisma. Gospodyni jego, tacy uczeni nigdy się nie krępują małżeństwem, odwiedzała nas często i opowiadała, jaki to był dziwny człowiek. Po całych dniach zagrzebywał się w książkach jak kret i gdyby Zuzanna nie była mu przypominała: „Panie obiad zastawiony!“ nie byłby jadł cały dzień.

Zuzanna musiała mu wszystko i wszystko przypominać; bez tej kobiety byłyby go mole zjadły.

Codzień wychodził na jedną godzinę na przechadzkę, ale chodził zawsze sam na sam, towarzystwa nie lubił.

Gdy go w domu nie było, wstąpiłam czasem do Zuzanny; lubiła ona słodką wódkę, a chociaż uczuwałam sama zawsze wstręt do palonych trunków, musiałam niekiedy dla towarzystwa przyjąć kieliszek, przyczem mi często Zuzanna opowiadała:

— Mój stary nie śmie o tem wiedzieć; on tylko czystą wodę pija; rzadko kiedy się zdarza, że doleje kilka kropli wina; mnie zaś wciąż upomina:

— Zuzanno! woda to najlepszy napój; pij tylko wodę, a będziesz zdrowa i czerstwa.

Łada, bogini piękności u dawnych Słowian.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

ożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(42)

— — — — —
(Ciąg dalszy).

— Chciałby, abym żyła jak ptak, na jadło nie daje, chciałby, aby człowiek powietrzem żył, bo sam ma żołądek od książek zasuszony, dziękuję za taką potrawę!

Zuzanna prowadziła gospodarstwo według własnego „widzi mi się“.

Pewnego razu zaprowadziła mnie do jego pokoju. Jak żyję, tyle książek nie widziałam. Były poukładane jak siągi drzewa.

— Widzicie, kobieto! to wszystko mój stary ma w głowie, dziwię się, że od tego rozumu jeszcze nie postradał; ale gdyby mnie nie było, która go jak małego dziecka dopatrzę, Bóg jedyny wie, co by się z nim stało. Muszę mieć rozum na wszystko, bo się na niczem innem nie zna, jak na półkach z książkami, ale świętej cierpliwości z nim potrzeba, lecz przyjdą chwile, kiedy i mnie jej braknie, wtedy odchodzi, jakby go pies ugryzł, ani słówka nie piśnie i zaś człowiek żałuje swej porywczosci.

Pomyślcie! W pokoju było kurzu jak na drodze, a pajęczyn jak w starej dzwonnicy, i czy sądzicie, że mi pozwolił przyjść z miotłą?

Ani rusz! Pomyślałam więc: Będę ja cierpliwie czekać na sposobność. Nie chodziło mi przytem tyle o niego, jak o mój honor i dobrą sławę.

Wszak to hańba, gdyby kto przyszedł i widział ten nieład. Prosiłam więc znajomego pana, z którym przestawał, aby go u siebie zatrzymał, a ja się tymczasem wzięłam do roboty, pomyłam i wyczyściłam wszystko, jak na święta!

I cóż powiecie, co to za człowiek: ani nie poznał, zem myła! Dopiero się na trzeci dzień pomiarkował.

— Tak mu się zdawało, jakoby w pokoju było jaśniej, — rzekł nareszcie. — bodajże go, gdyby nie było jaśniej.

Tak to człowiek musi się brać na sposoby z takimi odludkami.

Ile razy przyszła do nas, tyle razy się skarżyła na swego pana, lecz za nic w świecie nie byłaby go opuściła.

Pewnego razu zażyła niemało strachu. Pan jej bowiem, wyszedłszy jak zwykle na spacer, spotkał przypadkiem przyjaciela, który się w drodze do gór olbrzymich zatrzymał i który go prosił, aby się wybrał z nim razem na świeże powietrze, i pomyślcie: pojechał, nie wstąpiwszy do domu i nie powiedziawszy słowa.

Zuzanna czekała i czekała, ale pan nie wracał, noc nadeszła, pana jeszcze nie było w domu. Przybiegała do nas i trzęsąc się ze strachu, strasznie zawodziła, nie mogliśmy jej uspokoić.

Dopiero na drugi dzień rano dowiedziała się, że pan wyjechał w góry.

Teraz wszczęła straszny hałas, wyzywała aż zgroza.

Pan wrócił dopiero na szósty dzień, a Zuzanna zastawiała codziennie obiad i wieczerzę.

Potem przyszła do nas i skarżyła się:

— Gdym się do niego zabrała i zaczęła wypytywać, odpowiedział mi krótko: Nie krzycz! cóż takiego? zrobiłem wycieczkę w góry, więc nie mogłem zaraz wrócić!

Pewnego razu przyniosła kilka książek i prosiła, abyśmy przeczytali, bo je pan jej napisał.

Mój nieposzczyk Jerzy znał się dobrze na książkach, więc zabrał się do czytania, lecz nie zrozumieliśmy prawie nic. W książkach były i wiersze, lecz i tych nie zrozumieliśmy, było to wszystko za uczenie napisane. Zuzanna zaś rzekła:

— Wiem ja najlepiej, ile sobie głowy nad tem nałamię!

W mieście go wszyscy poważali, a ludzie mówili, że nie mogą pojąć jego rozumu!

— Macie we mnie drugą Zuzannę, Babuniu, — rzekła Krystyna, — bo mnie nic nie obchodzi uczone rzeczy, gdyż się na nich nie znam. Gdy słyszę ładny śpiew lub was, Babuniu, opowiadających, jest mi błogo na sercu, a stokroć mi milej was słuchać, aniżeli uczonego wykładu.

A słyszeliście już tę piosenkę, którą Berla z „Czerwonych Gór“ ułożył?

— Moja miła! Mnie już teraz światowe piosenki nie idą do głowy. Czasy, kiedybym była pobiegła milę drogi za ładną piosenką, minęły dla mnie bezpowrotnie, dziś już tylko śpiewam pieśni nabożne, — odpowiedziała Babunia.

— Jakaż to piosenka? — zapytała Baśka.

Posłuchajcie, dzieci! Nauczę was, rozpoczyna się tak:

„Co ten ptaszek gada,
Co na dębie siada?“

— Krystynko! musisz mi tę piosenkę zaśpiewać, gdy dziś wieczorem do was przyjdę, — odezwał się Miła na koźle.

— Zaśpiewam i dwa razy, jak będzie potrzeba! Byłyśmy pańszczyznę odrabiać i zagrabialiśmy ściernisko. Berla także zagrabiał. Gdyśmy potem chwilę pod wzgórzem odpoczywali, zawołała Tichanowiczowa Andzia:

— Berla, zaśpiewaj nam co wesołego!

Berla się chwilę namyślał, potem śmiejąc się zanucił:

„Co ten ptaszek gada,
Co na dębie siada?
Ze dziewczyną blednieje,
Gdy za chłopcem szeleje!“

Tichanowiczowa się o mało co nie rozgniewała, myśląc, że Berla do niej pije. Bo jak wam wiadomo, kocha się w Tomaszu i jest jego narzeczoną, ale nim się Berla spostrzegł, wymyśliła piosenkę i tak zaśpiewała:

„Milcz! ptaszku, milcz!
Bo nie mówisz prawdy.
Ja także chłopca mam,
A nie straciłam barwy!“

— Piosenka nam się bardzo podobała, melodyę zaś dobrała taką, że aż miło słuchać. Zernowskie dziewczyny zadziwią się niemało, gdy nową piosenkę usłyszą! — dodała Krystyna.

Dzieci nuciły nową piosenkę, chcąc ją zatrzymać w pamięci.

Dojechali do zamku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(43)

(Ciąg dalszy).

Przed bramą stał młodszy lokaj we fraku; był to człowiek małego, nikłego wzrostu. Jedną ręką gładził czarny wąs, drugą zwiesił na słabym łańcuszku od zegarka w ten sposób, aby było można widzieć złote pierścienie na palcach.

Gdy karoca mijala zamek, zabłysnęły mu oczy jak kotowi, który wróbla zobaczy. Uśmiechnął się miłutko do Krystyny i ukłonił się ręką. Lecz niewiasty nie zważały na niego; Mila zato poprawiał z zazdrości wydrzej czapki na głowie.

— Wierzcie mi, Babuniu, wołałabym czarta zobaczyć, anizeli tego Włocha — odezwała się Krystyna.

— Czycha znów w bramie, aby wpaść pomiędzy dziewczyny jak jastrząb, gdy same wracać będą z kościoła.

— Onegdaj w Zliczu dostał po grzbiecie, — rzekł Wacław. — Było tak: Przyszedł na muzykę i zaczął się zaraz zalecać najładniejszej dziewczynie, jakby ją kto właśnie dla niego przyprowadził. Gap nie umie po czesku, ale „esky olka mam rád“*) to sobie spamiętał.

— To samo i mnie ciągle powtarza, gdy do gospody na piwo przyjdzie, — przytaknęła Krystyna, — a chociażbym mu dziesięć razy oświadczyła: „ale ja was nie oierpię!“ jednak go się pozbyc nie mogę jak zimnej febry.

— Chłopcy mu porządnie kożuch wytrzepali i gdyby mnie tam nie było, byłby się dopiero dowiedział, po czemu piernik w Perdubicach.

— Niech się ma na bacznosci, aby mu tego na innem miejscu nie powiedzieli! — zauważył Mila, poprawiając wydrzej czapki na głowie.

*) Lubię ładne dziewczyny.

Karoca zatrzymała się przed gospodą.

— Pan Bóg zapłać! żeście mnie zabrali, Babuniu, — dziękowała Krystyna, podawając rękę Mili, który jej pomagał wysiąść z karocy.

— Jeszcze na słówko! — zawołała Babunia.

— Czy ty nie wiesz, kiedy z Żernowa i z Czerwonej Góry pójdą na odpust do Światonowic?

— Tak jak zwykle. Z Czerwonej Góry pójdą pomiędzy świętem „Wniebowzięcia“ i narodzeniem Matki Boskiej, a ze Żernowa w pierwsze święto po Świętym Janie. Ja także pójdę, — odrzekła Krystyna.

— I ja mam zamiar się wybrać, — oświadczyła Babunia.

— A ja pójdę także tego roku z wami, — odezwała się Baśka.

— Ja tak samo! — zawołała Andzia.

I reszta dzieci oświadczyła „także“, lecz Baśka im perswadowała, że trzech mil drogi nie ujdą.

Potem Wacław zaciął konie i zajechali przed młyn, gdzie wysadzili Andzię i zostawili święcone wieńce dla kumotry młynarzowej.

Gdy dojeżdżali do „Starego Bielidła“, wybiegły im psy naprzeciwko, które się uspokoić nie mogły z radości, że Babunia wróciła.

Babunia dziękowała Panu Bogu za szczęśliwie odbytą drogę, bo stokroć wołała iść pieszo aniżeli jechać. Siedząc bowiem w powozie, obawiała się wciąż nieszczęścia, a widząc wypoczęte rumaki pełnym cwałem naprzód sadzące, myślała, że, czego Boże nie daj! kark skręci.

Elżbieta z Urszulą czekały w przedsionku.

— Wacławie! a gdzie wy macie wianek? — zaozepiła gadatliwa Elżbieta woźnicę, gdy Babunia weszła z dziećmi do izby.

— Ba! dziewczyno! Dawno zapomniałem, gdzie go zgubił, — odpowiedział Wacław, a śmiejąc się przebiegle, nawrocil do stajni.

— Nie rozmawiaj z nim! — ganiła ją Urszula, ciągnąc ją za suknię do przedsionku. — Wiesz dobrze, że ten człowiek ani w święto nie wypuści z ust dobrego słowa.

Wacław rozśmiał się głośno, zaciął konie i odjechał.

Babunia zawiesiła świeże wianki nad oknem i nad obrazami świętych, a przeszłoroczne wrzuciła w „święty ogieniaszek“.

IX.

W babusinyim pokoju było jak w ogrodzie. Gdzie się człowiek obrócił, wszędzie pełno róż i rozmaitego kwiecia, pomiędzy tem mniejsze i większe kupki dębowego liścia. Baśka i Andzia wiązały różeczki, Celinka wiła wielki wieniec. Na ławie przy piecu siedzieli chłopcy z Adelką i uczyli się wierszy na pamięć.

Było to we wigilią św. Jana. W następny dzień miały być imieniny ojca, więc wielkie święto w całym domu. W dzień imienin pan Proszek zapraszał do siebie najlepszych przyjacieli w gościnę. Dlatego taki pospiech i rumor w całym domu. Urszula myła i wymiatała każdy kąt, aby się nigdzie najmniejszy pył nie znalazł. Elżbieta parzyła drób, pani Proszkowa piekła kołacz, a Babunia doglądała to ciasta, to kuchni, to drobiu, bo bez niej się nigdzie obyć nie mogło. Baśka prosiła, aby Babunia wywołała Janka z izby, bo jej nie da spokoju, a gdy chłopiec izbę opuścił, znów Elżbieta z Urszulą narzekały, że im się pląta pod nogami. Wilemek się domagał, aby go Babunia przesłuchała wiersza, Adelka ciągnęła ją za fałdy, napierając się kołacza, a w podworzu gdakały kury na znak, iż chcą pójść do kurnika.

— Zmiłowanie Boskie! wszak się rozedrzeć nie mogę, — narzekała biedna staruszka.

Wtem zawołała Urszula:

— Pan wraca do domu!

Zamykają kołacze w szafie, pani Proszkowa ukrywa, co ma zostać jeszcze tajemnicą, a Babunia przykazuje dzieciom:

— Abyście mi ojcu nic nie wygadały!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(44)

(Ciąg dalszy).

Ojciec wchodzi w podwórze, dzieci biegną mu naprzeciwko, lecz gdy im „Dobry wieczór“ powiada i o matkę pyta, milczą, nie wiedząc, co odpowiedzieć, bo się obawiają, aby się nie wygadały.

Lecz Adelka, ukochane dziecko ojca, biegnie do niego, a gdy ją ojciec bierze za rękę, szepce mu w ucho:

— Mamusia piecze kołacze z Babunią, bo jutro będą twoje imieniny!

— Oj, poczekaj! — przerywają jej chłopcy jednogłośnie, — dostaniesz ty za to! — i pędzą do domu, aby poskarżyć matce.

Adelka się rumieni i nie wie, co robić, nareszcie wybucha głośnym płaczem.

— Nie płacz, nie płacz! — uspokaja ją ojciec; — wszak wiem sam, że jutro są moje imieniny, i że mamusia piecze kołacze.

Adelka łązy rękawem ociera i spogląda bojaźliwie na matkę, którą chłopcy przywołali; nareszcie się wszystko uspokaja i chłopcy dowiadują się, że Adelka nic nie zdradziła. Ale tajemnica malcom tak dopieka, że ojciec widząc wszystko, udaje, że nic nie widzi, i słysząc wszystko, udaje, jakoby nic nie słyszał. Przy wieczerzy Baśka ciągle na dzieci mruga, aby tak głośno nie mówili, a potem Elżbieta wszystkie wyśmiewa, że mimo zakazu gadały jak kury.

Nareszcie praca była ukończona. Służące poszły spać; tylko Babunia dreptała jeszcze z cicha po domu. Zawierała koty, zalewała iskry w piecach, a przypomniawszy sobie, że i w suszarni palono, nie dowierzała niczyjej przezorności i tam jeszcze dojrzała, czyby się jaka iskierka w popiele nie tliła.

Gdy Babunia w tym celu opuściła „Stare Biedlidło“, psy leżąc właśnie na ławie przed domkiem, spostrzegłszy staruszkę z niemałym zadziwieniem na nią spoglądały, gdyż jej o tej godzinie jeszcze nigdy w podwórzu nie były zauważyły. Staruszka głaskała psy po głowie; takie względy zapewne nie mało im pochlebiały, bo się radośnie około Babuni łąsiły.

— Czy znów na myszy cychacie, wy utopłce? To wam wolno! Tylko mi się nie dobywajcie do kurnika! — odezwała się Babunia, krocząc do suszarni, podczas której to przechadzki psy jej ani na chwilę nie odstępowały. Stanąwszy u celu, otworzyła piec, uważnie przekopała grzebaczem popioł; lecz nie znalazła ani iskierki, więc kontenta wracała do domu.

Tuż nad ścieżką stał wysoki dąb; letnią porą drób przesiadywał w rozłożystych konarach tegóż drzewa. Babunia przystanęła na chwilę, spojrzała w górę, a słysząc ciche kwilenie w gałęziach dębu, rzekła:

— Zapewne mają jaki sen!“

Lecz dla czegoż się i przy ogródku zatrzymała? Czy słuchała prześlicznego śpiewu słowika w ogrodzie? Czy też uważała na melodyę pieśni, której echo rozlegało się od tamy smutnie w nocnej ciszy? Czy wzbiła wzrok w wzgórze, iskrzące się od świętojańskich robacz'ów, jak gwiazdami usiane niebo? Nad łąką unosiły się lekkie mgły i posuwały się to w tę to w ową stronę. Ludzie mówią, że to nie są mgły, Babunia była tego samego zdania, lecz wierzą, że te przezroczyście, srebrnoszare zawoje są leśne panny; czy więc staruszka przypatrywała się może ich dziwnym tańcom, które wywodziły przy blasku księżyca? Nie! Babunia spoglądała bystrem okiem na łąkę około mły-
na się rozpościerającą.

Bo tam od gospody wysunęła się w białym odzieniu postać dziewczyny i pobięła przez potok na łąkę. Tu zatrzymawszy się, stoi cicho i słucha

jak sarna, która opuściła las, aby szukać paszy na szerokiem polu. Cisza wokoło. Nie słyszy nic, jak tylko przeciągły głos słowika, głuchy, jednostajny terkot młyna i szept fal szumiącego pod olszami potoku. Dziewczyna owija białą chustkę okołoręki, zrywa kwiecie, kwiecie dziewięciorakie, które związawszy w różczkę, pochyla się nisko, obmywa wa twarz świeżą rosą i nie zwracając już ócz ni w prawo ni w lewo, wraca spieszenie do gospody.

— To jest napewno Krystyna! Z nazbieranego kwiecia będzie więc świętojański wianek; wszak się już dawno domyśliłam, że go kocha; — rzekła do siebie Babunia, nie spuszczaając z ócz wracającej do gospody dziewczyny.

Krystyna dawno była wróciła do domu, a Babunia wciąż jeszcze stała przy ogródku i głęboko zamyślona patrzyła w nocny zmrok. Dusza starszki przeniosła się w minione czasy, a serce jej raźniej biło na wspomnienie minionych błogich chwil.

Widziała przed sobą łąkę, widziała wioskę w górach, na niebie księżyc i gwiazdy, był to ten sam księżyc, te same gwiazdy, wiecznie piękne, wiecznie młode, i ona była wówczas młoda, świeża dziewczyna, gdy ongi w świętojańską noc dziewięciorakie kwiecie na wianek zrywała. I jakby się to dzisiejszej nocy działo, tak żywo uczuła Babunia trwozę, która ją opanowała na myśl, że jej ktoś w drogę wejdzie i czarową siłę zerwie; widziała się w swej skrytej komórcie, widziała na łóžku poduszki w kwiaty, pod które kładła uwity wianek. Przypomniała sobie, jak rzewnie się modliła, aby Pan Bóg zesłał sen na nią i mogła oglądać ulubieńca swego. Pokładana w fatalnym wianku nadzieja nie zawiodła jej; ujrzała we śnie mężczyznę wysokiego wzrostu, który spoglądał na nią otwarcie i wiernie, ujrzała tego, któremu równego dla niej nie było na świecie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(45)

— — —

(Ciąg dalszy).

Dziś się Babunia śmieje z dziecinnej ciekawości, dla której przed wschodem słońca do sadu pobięła, aby wianek przez głowę i jabłoń przetrzucić i temsamem zyskać pewność, jak długo jeszcze będzie musiała czekać na Jerzego. Przypomina jej się, jak jeszcze o wschodzie słońca w sadzie rozpaczliwie płakała. A było czego płakać! Wszak wianek przeleciał za daleko poza jabłoń, więc wszelka nadzieja rychłego małżeństwa z Jerzym spełzła na niczem.

Zamyślona Babunia stała długo przy ogródku, złożyła mimowoli ręce, podniosła spokojne, wierne oczy ku świecącemu się od niezliczonych gwiazd niebu, a z ust jej popłynęło ciche pytanie:

— Kiedy się zobaczymy, Jerzy?

Wtem lekki wiatr musnął bladą twarz staruszki jakoby duch nieboszczyka Jerzego. Babunia zadrzała na całym ciele, przeżegnała się krzyżem świętym i dwie łzy polały się na złożone ręce staruszki.

Potem weszła Babunia po cichu do „Starego Bielidła“.

Nazajutrz dzieci wyglądały niecierpliwie oknem, czy rodzice nie wracają, bo byli pojechali do miasta na nabożeństwo. Ojciec bowiem zamówił na ten dzień Mszę św., a Babunia dała na wymienienie dusz wszystkich Janów swego rodu do, najdalszego pokolenia.

Piękny wieniec, wiersz, podarunki, wszystko leżało uporządkowane na stole.

Baśka przesłuchiwała dzieci z wierszy. Malce opuszczały w pośpiechu słowa to w tej, to w owej zwrotce i rozpoczynały bezustannie od samego początku.

Aczkolwiek Babunia miała pełne ręce roboty, to jednakowoż otwierała chwilami drzwi, zaglądała do pokoju i upominała dzieci:

— Zachowujcie mi się tu spokojnie i nie dotykajcie mi niczego!

Gdy staruszka potem wchodziła do ogródka po świeżą pietruszkę, nadbiegła właśnie Krystyna z tłomoczkiem pod pachą.

— Dzień dobry, Babuniu! — zawołała wesoło, — i była taka uradowana, że Babunia z zdziwieniem jej się przypatrzyła.

— Wyglądasz, dziewczyno, jakbyś się na różach wyspała! — odezwała się staruszka.

— Trafiliście, Babuniu! moje poduszki są ze samych róż, — odpowiedziała Krystyna.

— Ty, szelmo, nie chcesz zrozumieć! ale niech będzie jak chce, byle tylko wyszło na dobre; rozumiesz mnie, dziewczyno? — zapytała Babunia.

— Tak, Babuniu! — odrzekła Krystyna, — a spostrzegłszy, że się Babunia czegoś domyślała, zarumieniła się mocno.

— Co to masz za tłomoczek? — zapytała znów Babunia.

— Przyniosłam coś dla Janka; wszak nasze turkawki mu się tak bardzo podobają, więc przyniosłam mu parę młodych na chów, — odpowiedziała Krystyna.

— Ale dla czego robisz sobie szkodę? Wszak by się bez tego obyło! — rzekła Babunia.

— Uczyniłam to ze szczerego serca, Babuniu! Kocham wasze wnuki, a one się z tego ucieszą, więc nie psujmy im uciechy! — odpowiedziała Krystyna i namyślając się, rzekła:

— Zdaje mi się, że wam jeszcze nie powiedziałam o zajściu, które przedwczoraj w nocy u nas miało miejsce?

— U nas było wczoraj gwarno jak na pragskim moście; nie miałyśmy ani chwili wypoczynku, tyle sobie przypominam, żeś mi chciała coś opowiedzieć o tym Włochu. Mów więc i spiesz się, bo mnie każda chwila jest droga. oczekuję naszych z ko-

ściola, a i goście tej chwili nadjadają! — nagliła Babunia.

— Zaraz wam opowiem; pomyślcie sobie i ten obleciświat, ten Włoch, przychodził do naszej gospody na piwo i to co dzień. W tem nie byłoby nic złego, bo karczma jest dla wszystkich ludzi, ale zamiast jak porządny człowiek za stołem usiąść i siedzieć, wymiatał jak pomiatło każdy kąt, nawet do obory za mną przylazł; krótko mówiąc: gdzie-bądź się obróciłam, był mi na piętach. Ojciec się trochę mroczył, ale wiadomo wam, że tatuś jest dobry i nawetby kurczęciu nierad ubliżył, tem mniejby sobie chciał gości urazić, zwłaszcza gości ze zamku. Spuścił się więc z całą sprawą na mnie. Odprawiłam Włocha kilka razy w grubiański sposób, lecz udawał, jakobym mu najpiękniejsze słowa powiedziała, a wiem dobrze, że po czesku rozumie, chociaż mówić nie potrafi, i ustawicznie powtarzał swoje: „Esky olka mam rad“, ręce przedemną załamywał, ba! nawet pewnego razu na kolana ukląkł.

— To gałgan! — zawoła Babunia.

— Tak jest, Babuniu, ci panowie ze zamku nagadają, aż uszy bolą słuchać. Dokądby się człowiek dostał, gdyby im uwierzył! Lecz takie rzeczy człowiekowi ani na myśl nie przyjdą. Ale ten Włoch najwięcej mi dokuczał.

Przedwczoraj grabiliśmy siano na łące. Mila przyszedł także na łąkę, tak przypadkiem (Babunia się z „tego przypadku“ szczerze rozśmiała). Mówiliśmy o tem i owem i nareszcie powiedziałam Mili, jaki to krzyż my dziewczyny z tym Włochem mamy.

— Uspokój się! — odrzekł Mila, — będę się starał, aby was więcej nie nachodził.

— Lecz uważaj, — upominałam, — ażebyście tatunia nie rozgniewali! Wszak znam żernowski chłopaków i wiem, jakie to zuchy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(46)

(Ciąg dalszy).

Tego samego dnia wieczorem przyszedł mój miły Włoch jak zwykle do gospody. Za małą chwilę weszli do pokoju gościnnego żernowscy chłopcy. Było ich czterech, pomiędzy nimi był Milla i Tomasz, Mili najlepszy przyjaciel. Wszak znacie Tomasza? To dobry człowiek; będzie się żenił z Anusią Tichankowiczówną, moją szczerą przyjaciółką. Ucieszyłam się niemało, że chłopcy przyszli i byłam tak szczęśliwa, jakbym była nową suknię dostała.

Pobiegłam po piwo i wypiałam ich zdrowie. Na to się Włoch strasznie zamroczył, bo do niego się nigdy nie napiję, bo czart wie, czyby człowiekowi czego w trunek nie wmięszał.

Chłopcy usiedli za stołem i grali w karty, ale tylko tak na oko i spoglądali groźnie na Włocha i naśmiewali się z niego.

— Patrzenie! siedzi jak sowa na kłosach! — odezwał się Witek.

— Ja ciągle patrzę, prędko-li sobie ze złości nosa nie ugryzie, — dodał Tomasz, — nie kosztowałoby go to dużo pracy, bo mu sięga do samej brody!

Twarz Włocha mieniła się ze złości, ale nie rzekł ani słowa. Nareszcie rzucił pieniądze na stół i odszedł bez pozdrowienia, nie wypiwszy nawet piwa. Zrobiłam za nim krzyż, chłopcy zaś śmiejąc się, rzekli:

— Gdyby nas był mógł wzrokiem uśmiercić, byłoby już po nas.

Potem poszłam do swojej roboty, bo wiecie, odkąd matka choruje, wszystko się na mnie skupia. Chłopcy także odeszli.

Było już około dziesiątej godziny, gdym poszła spać. Właśnie się rozbierałam, a tu uderza w okno: puk, puk, puk! Byłam przekonana, że to jest Milla, myślałam, że znów czegoś zapominał, bo ciągle

czegoś zapomina, tak że mu już raz powiedziałam:

— Jeszcze kiedy głowę u nas zostawisz!

— Już się to stało! — rzekła Babunia, kiwając głową na potwierdzenie.

— Odziałam się prędko chustką, pobiegłam do okna, otworzyłam i... zgadnijcie, kto był pod oknem? Włoch!

Zatrzasłam okno w tej samej chwili i splunęłam ze strachu.

Potem mnie zaczął prosić i bezustannie do mnie przez okno mówił, chociaż wie, że go ani słowa nie rozumiem. W końcu zdjął złote pierścienie z palców i chciał mi podać przez okno. To mnie dopaliło! Wzięłam dzban wody, stanąłam przy oknie i zawołałam:

— Precz ztąd! wynoś się, pozyturo! i szukaj niecnych rzeczy tam w twoim kraju, nie tu u nas. Wynoś się, bo cię obleję!

Wobec tego odstąpił kawałek od okna. Wtem wyskoczyli żernowscy chłopcy z krzaków, chwycili go pod gardło i zatkali mu usta, aby nie mógł krzyczeć.

— Poczekaj, ty zakazany Włochu; będziesz się miał z pyszna, — zawołał Mila.

Prosiłam, aby go nie bili i zawarłam okno, właściwie tylko przywarłam, bo byłam ciekawa i chciałam się przypatrzeć, co z Włochem robić będą.

— Co zrobimy z nim, Mila? Ten gałgan serce ma jak zajac, trzęsie się ze strachu, jakby miał febrę, — rzekł jeden.

— Wysmagajmy go pokrzywami, — odezwał się drugi.

— Wysmarujmy go smołą, — radził znów inny.

— Nic z tego! — zawołał Mila. — Tomaszu! ty go trzymaj, a wy, chłopcy, chodźcie tylko ze mną.

Za małą chwilę wrócili z kopyścią i beczułką smęły.

— Ściągnijcie mu buty i podnieście nogawki do góry, — rozkazał Mila.

Chłopcy oboje usłuchali; a gdy Włoch ko-

pać zaczął, gładzili go po karku jak konia, mówiąc przytem:

— Cicho, mały, cicho!

— Nie dostaniesz podków, więc nie bój się! — uspokajał Mila, — tylko ci nóżki wysmarujemy, aby ci się lepiej do domu biegło!

— Będzie cię zdrowym zapachem czuć, — drwił Tomasz, — bo śmierdzisz tak perfumem, żebym wolał po twarzy dostać, aniżeli cię powąchać.

Wysmarowawszy mu nogi smołą, położyli mu kopyśce na plecy i przywiązali mu do niej ręce na krzyż. Włoch usiłował krzyczeć, ale Tomasz położył mu dłoń na ustach i trzymał go jak w kleszczach, mówiąc przytem:

— Nie zaszkodzi takim leniuchom gnaty wyprostować, inaczejby ci się żyły skurczyły!

— Zwiążcie buty, — zakomenderował znów Mila, — i przewieście mu je przez ramiona, potem go wyprowadzimy na ulicę; niech wraca, z kądem przyszedł!

— Poczekajcie jeszcze chwilę! Wsadzimy mu kwiatek za guzik, aby ludzie wiedzieli, że wraca ze zalotów, — odezwał się Witek, urwał potem sporą garść pokrzyw i ostu i włożył Włochowi za kołnierz.

— Tak! teraz masz, coś chciałeś; wyglądasz wcale ładnie; możesz się wszędzie pokazać, — drwił Mila i wypchnął go z ogrodu.

Potem przyszedł jeszcze Mila pod okno i opowiedział mi, jak się Włoch złościł i z kopyściami na plecach uciekał.

— A jakim sposobem dowiedzieliście się, że tu przyszedł, — zapytałam Milę.

— Było tak: chciałem ci jeszcze powiedzieć „dobra noc“, więc kazałem chłopcom pójść do młyna a ja się udałem sam do zagrody. Naraz widzę, zbliża się ktoś po cichutku jak złodziej i zakrada się ku twojemu oknu. Tyle com poznał, kto taki, opuściłem ostrożnie zagrodę i poszedłem po chłopców do młyna, resztę wiesz; udało nam się. Myślę, że już więcej razy nie przyjdzie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(46)

(Ciąg dalszy).

Wczoraj się śmiałam z tej pozytury cały dzień. Lecz gdy wieczorem przyszedł Kogutek, stróż nocny do gospody, on wstępuje do nas codzień, bo lubi wypić i potem wszystko, co wie, wygada i opowiadał jak Włoch wracał do domu.

— Te szelmy, którzy mu to wyprawili, — powtarzał ciągle i opisywał Włocha, że aż zgroza było słuchać. Z komara, jak wam wiadomo, zrobi wielbłąda. Mówił, że wszystkie psy na niego wypadły, taki był straszny, a stróżowa miała z nim do samego rana robotę, zanim go ze smoły obmyła. Dał jej za to srebrnego talara i prosił, aby nie w zamku nie powiedziała, a sprawcom zaprzysiął straszną zemstę. Obawiam się więc o Milę, bo ludzie mówią, że włosi, to ludzie źli i mściwi. Kogutek opowiadał dalej ojcu, że Włoch się zaleca Marylce, córce rządzcy zamku i zapewniał, że rodzice dziewczyny myślą naprawdę o weselu. Bo księżna lubi Włocha, więc myślą, że mu da dobrą posadę w dominium, gdy się ożeni. Właśnie wtem sęk. Bo Mila chce pójść na rok w służbę dworską, aby się tym sposobem zwolnić od wojskowości. Wiecie, Babuniu, najlepiej, jak się to dzieje na świecie. Gdy Włoch obczerni Milę przed rządcą, nie przyjmą go do służby i z wojskowością będzie bieda. To sobie wszystko rozważyłam, i już się wcale z tej psoty nie cieszę, którą chłopcy Włochowi wypłacali. Dzisiejszy sen mnie wprawdzie pocieszył, ale cóżby to wszystko potem pomogło! Cóż wy na to, Babuniu?

— Mądrze chłopcy nie postąpili, ale zkad im się ma rozmyśleć? Kiedy im się...

ciła. Mój nieboszczyk Jerzy także pewnego razu podobnego figla wyplatał i musiał za niego odpokutować, — odpowiedziała Babunia.

— A cóż takiego zrobił, Babuniu?

— Możebyś chciała, aby się rozsiadła i opowiadać zaczęła? Inny raz o tem. I tak o wszystkim zapomniałam, a tu słyszę już, zdaje mi się, turkot nadjeżdżającego powozu; to nasi z kościoła wracają. Chodźmy do izby! Muszę sobie wprawdzie wszystko rozważyć, coś mi powiedziała. Może mi potem jaka dobra myśl do głowy przyjdzie, — rzekła Babunia, przestępując próg przedsionka.

Prawie równocześnie z powozem przybyli do „Starego Bielidla“ pan ojciec i pan leśniczy.

Pan Proszek, widząc się w gronie przyjaciół i rodziny, którą tak bardzo kochał, a której się przez rok cały tak mało mógł poświęcić, był więcej wzruszony, a gdy Baśka wygłosiła wiersz, rzewnie się rozplakał. Dzieci widząc ojca, matkę i Babunię płaczących, jąkały się w deklamacyach i w końcu same szlochać zaczęły. Elżbieta i Urszula stały przy drzwiach i przystuchiwały się powinszowaniom, potem nakryły oczy niebieskimi fartuchami i plakały jedna więcej od drugiej. Pan ojciec obracał tabakierę pomiędzy palcami jak koło młyńskie, a leśniczy, chcąc wzruszenie ukryć, ocierał rękawem piękny kordelas, był bowiem dzisiaj w świątecznym ubraniu. Krystyna zaś stała przy oknie i nie wstydzila się swych łez, aż tu naraz pan ojciec przystąpił do niej i tabakierą trącając ją w ramię, rzekł:

— Aha! już wiem: myślisz sobie: kiedyż mnie tak winszować będą?

— Wy, panie ojcze, musicie zawsze człowieka gniewać, skarżyła się dziewczyna, ocierając łzy fartuchem.

Ze łzami w oczach, ale z radością i zadowoleniem . . . sercu, przystąpił pan Proszek do stołu, aby nalać w kielichy wina.

— Na zdrowie wszystkich! — zawołał potem, wypróżniając pierwszy puhar.

Następnie wszyscy obecni wypili zdrowie gospodarza domu i wnet im się twarze z radości rozpromieniły. Janek był najszcześniejszy ze wszystkich, bo dostał od leśniczego dwa króliki, od pani matki wielki kołacz, z wszystkimi temi przyprawami upieczony, które najwięcej lubił, od Babuni zaś otrzymał jedną z dwudziestograjcarówek, które miała schowane we węzełku w skrzyni, od rodziców zaś miał różne podarunki; a gdy wreszcie po obiedzie księżna pani z księżniczką w ogrodzie się zjawiły i państwo Proszkowie z Babunią i dziećmi wybiegli na ich przywitanie, odebrał Janek od księżniczki piękną książkę, w której były wymalowane najróżniejsze zwierzęta.

— Przyjechałam się przypatrzeć, jak się dziś weselisz, Janie, — odezwała się księżna.

— W rodzinie i z dobrymi przyjaciółmi zawsze dobrze, Jaśnie Pani, — odpowiedział pan Proszek.

— A kto jest u ciebie? — zapytała księżna?

— Moi sąsiedzi; młynarz z rodziną i ryzemburski leśniczy.

— Nie chcę ci dłużej przeszkadzać; wróc spokojnie do ich grona; za chwilę odjadę, — rzekła księżna.

Pan Proszek nisko się uklonił, bo nie miał odwagi zatrzymać swej pani, lecz prostoduszna Babunia zawołała:

— A to by było pięknie, gdybyśmy miłościwej Pani i miłościńce ani kołacza nie podali! Idź, Teresko, idź i przynieś kołacza!

Ty, Baśko, pobiegnij po koszyczek i urwij trochę tereśni!

Możeby miłościwa księżna Pani na trochę śmietany lub wina zezwoliła?

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(47)

(Ciąg dalszy).

Proszkowie byli w rozpacz, obawiali się bowiem, że Babunia obraziła księżnę swoim zaproszeniem. Lecz stało się przeciwnie, bo księżna z uprzejmym uśmiechem zeskoczyła z konia, podała Janowi lejce i siadając na ławie pod gruszą, rzekła:

— Wasza gościnność będzie mi miła, ale nie chcę, abyście dla mnie zaniedbali swoich gości, niech więc i oni przyjdą do nas.

Pani Proszkowa pobięła do domu, pan Proszek uwiązał konia u drzewa, potem przyniósł z izby stół, a za chwilę nadszedł pan leśniczy i głęboko się księżnej ukłonił; stanął i pan młynarz na miejscu, ale był mocno zakłopotany. Lecz gdy księżna pana ojca zapytała, co teraz mele i ile ma rocznego dochodu z młyna, uczuł się pan ojciec w swoim żywiole i tak daleko się ośmielił, że poszestował księżnę tabaką.

Księżna zamieniła z każdym kilka słów, potem przyjęła od pani Proszkowej kołacz i szklanę śmietany od Babusi.

Dzieci tymczasem obstały Janka, który im pokazywał zwierzęta w świeżo odebranej książce. Księżniczka stała obok malców i cieszyła się z ich radości i zadziwienia nad nieznanymi zwierzętami, o których im chętnie dawała bliższe objaśnienia.

— Mamusiu, popatrzcie, to jest nasza sarenka! — zawołał Wojciech leśniczego, gdy Janek przewrócił w albumie stronę ze sarną, a matka i dzieci zetknęły głowy i wpatrywały się w książkę.

— Sułtan! to jest Sułtan! — zawołał Wilemek; a gdy na ten okrzyk Sułtan przybiegł, pokazał Janek psu książkę i rzekł:

— Widzisz, to ty jesteś!

Był tam i olbrzymi słoń, którego się Adelka aż przestraszyła, potem koń, krowa, zając, wie-
wiórka, jaskółka, jaszczurka, gad, ryba, żaba, mo-
tyl, biedronka i nawet mrówka. Wszystkie te zwie-
rzęta były dzieciom znajome, a Babunia widząc
jaszczurkę i gada, pomyślała:

— Co ludzie wszystko nie robią! i gada na-
malują!

Pani młynarzowa chciała widzieć smoka, któ-
remu ogień i siarka z paszczy pryska, lecz na to
księżniczka oświadczyła, że takie zwierze nie istnieje,
a jeżeli się coś podobnego na obrazkach widzi, to
trzeba wiedzieć, że to przez ludzką fantazyę wy-
myślony potwór.

Pan młynarz, słysząc te słowa, obrócił taba-
kierę pomiędzy palcami, przymrużył jednego oko
i rzekł:

— Miłościnko, nie jest to wymyślone stworze-
nie, bo takich jadowitych, złych smoków z ohy-
dnymi językami jest dość na świecie, lecz nie po-
między zwierzętami tylko pomiędzy ludźmi, dlatego
też tu pomiędzy temi niewinnemi zwierzętami smoka
nie ma.

Księżniczka się rozśmiała, a pani matka ude-
rzyła zlekka pana ojca w rękę i rzekła:

— Dużo mówicie, panie ojcze!

Księżna tymczasem rozmawiała z leśniczym
i Janem i pomiędzy innemi zapytała, czy w okolicy
jest dużo kłusowników.

— Jest jeszcze dwóch takich gałganów, — od-
powiedział leśniczy, — najwięcej nieostrożnego z nich
kazałem kilkakrotnie ukarać, siedzi i obecnie za
piecem, ale ci dwaj inni, to chytre lisy. Nie mogę
ich nijako dostać, chyba, żebym im wpalił trochę
prochu za skórę. Pan nadleśniczy mi tę radę dał,
ale człowiek się zastanawia, czy dla zająca zrobić
bliźniego kaleką.

— I ja się temu sprzeciwiam, — oświadczyła
księżna.

— Co do mnie, to tak myślę, — odezwał się
znów leśniczy. — dla takich drobnostek księżna

pani nie zubożeje, na wysoką zaś zwierzynę kłusownik się nie odważy w rewirze.

— Ale doniesiono mi, że ludzie dużo drzewa kradną, — rzekła księżna.

— Tak, tak! — rozpoczął leśniczy, — służę miłościwej pani już ładne lata i mogę zaręczyć, że szkoda, którą ludzie przez ten długi czas w lesie zrobili, nie jest wielka. Możliwyby dużo o tem mówić; na przykład ja sam bym mógł dać ściąć kilka drzew do roku i sprzedać na własny rachunek, a gdyby mi się nie udało tego zrećcznie ukryć, oświadczyłbym: „Ludzie ukradli!“ Lecz po co sobie świadomie sumienie obciążać? Na jesień, gdy grabią ściółkę, a ubodzy ludzie przyjdą po drzewo, jestem zawsze w pobliżu i gromię, aż się las trzęsie, aby mieli strach i szkody nie robili. Czy mam na wpół zabić taką staruszkę, która grubszą gałąź wzięła, co się czasem zdarza? Myślę zawsze, że miłościwa pani i bez tego będzie żyła, a ubogi lud sobie dopomoże i powie: „Niech to Pan Bóg księżnej tysiąckrotnie wynagrodzi!“ Nie uważam tego za żadną szkodę!

— Dobrze postępujesz, — rzekła księżna, potem dodała:

— A jednakowoż lud musi być zły w tej okolicy! Bo przedwczoraj w nocy wracał Piccolo z miasta do domu i chciano go obrabować w bażanterni, a gdy się bronił i krzyczał ratunku, zbito go tak strasznie, że dotąd leży chory. Tak mi doniesiono.

— To mi się wydaje niepodobnem, jaśnie pani, — odezwał się pan Proszek.

— Jak długo żyję nie słyszałem, żeby byli zbójnicy w bażanterni lub tu w pobliżu, — zawołał leśniczy i młynarz prawie równocześnie.

— Co się stało? — zapytała Babunia.

Leśniczy jej opowiedział, o co chodziło.

— A to kłamca, gałgan! — zawołała Babunia, podparłszy się ręką w bok.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(48)

(Ciąg dalszy).

— Ze się ten człowiek Pana Boga nie boi, — narzekala staruszka, opowiem ja to miłosciwej pani inaczej, — dodala i opowiedziala księżnej czemprędej wszystko, co jej Krystyna rano powierzyła.

— Nie jakobym to pochwalala, co żernowscy chłopcy zrobili, lecz cóż zrobić, każdy się domaga swego. Gdyby kto był tego wietrznika widzial stojącego w nocy pod oknem dziewczyny, roztrąbilby nowinę po całej wsi, a dziewczyna miałaby dobre imię skalane i szczęście zniszczone na całe życie. Bo zarazby wszyscy powiedzieli:

— Co nas to obchodzić może! Panowie do niej w nocy chodzili, dla nas się nie nadaje!

— Teraz dziewczyna się obawia, aby się Włoch nie pomścił, — odpowiedziala Babunia.

— Niech się niczego nie obawia, ja wszystko załagodzę, — odpowiedziala księżna.

Krótko potem panie dosiadły koni i uprzejmie się całemu towarzystwu kłaniając, odjechały szybkim cwałem do zamku.

— To prawda, żeby się rzadko kto odważył z księżną panią tak mówić, jak nasza Babunia, — odezwala się pani Proszkowa.

— Tak, tak, ja myślę, że zawsze lepiej mówić „z cesarzem jak z pisarzem“, a dobre słowo padnie i na dobry grunt. Gdybym nie była mówiła otwarcie, kto wie, coby z tego nocnego zajścia było powstało, — odpowiedziala Babunia.

— A ja zawsze powiadam, że księżna pani jest źle powiadomiona, bo ją okłamują, gdzie mogą, — oświadczył pan leśniczy, wracając z panem Proszkiem i młynarzem do izby.

Pod wieczór przyszedł Kudrna z katarynką. Śdy dzieci usłyszały muzykę, puściły się z Krystyną, Baską i Urszulą w taniec. Bawili się wszyscy odhocz a szocerze; w końcu nawet pili szampań-

skie wino, które księżna do „Starego Bielidła“ przysłała, chcąc w ten sposób uczcić pana Proszka. Nie zapomniano także o Wikci, bo Babunia zaniosła o zmroku poczęstunek do tamy i położyła na omszonym pniu.

Na drugi dzień rano skarżyła się pani matka Babuni, że pan ojciec tak dużo mówił, a wracając do domu, gęsi pędził, lecz Babunia uśmiechając się, odrzekła:

— Ale pani matko, wszak to raz do roku, a nie ma kaplicy, w którejby nie było choć raz kazania!

X.

Na żernowskie wzgórze wchodziły pątnice, było ich pięć: Babunia, pani matka, Krystyna, Andzia i Baśka. Pierwsze dwie miały na głowie białe chustki, które, złożone na wzór dachu, ochraniały pątnicom twarze od promieni słońca. Dziewczęta były w okrągłych kapeluszach. Dwie starsze kobiety nosły na plecach tłomoczki, w których żywność była umieszczona.

— Mnie się zdaje, że słyhać śpiew, — odezwała się Krystyna, gdy doszły na szczyt wzgórza.

— Tak jest, słyhać śpiew, — przytakiwały dziewczęta.

— Chodźmy prędko, Babuniu, aby nas nie odeszli, nagliły dzieci Babunię i chciały się puścić w bieg.

— O wy głuptasie! — odparła Babunia, — wszak przewodnik wie o nas, to poczeka za nami.

Uspokojone tem przemówieniem dziewczyny kroczyły znów równo ze starszymi.

Na wierzchu wzgórza pasł owczarz trzodę i kłaniał się już z daleka pątnicom.

— Nie zmokniem przecież, Józefie? — zapytała pani matka.

— Nie róbcie sobie kłopotu! — odrzekł zapytany, — do pozajutra pogoda wytrzyma. Ofiarujcie i za mnie jedno „Ojcze nasz“. Szczęśliwej drogi! — dodał owczarz.

— Daj, Panie Boże! Nie zapomnimy! — odpowiedziały pątnice.

— Babuniu, zkąd to Józef wie? — zapytała Baśka.

— Gdy ma być deszcz, — rzekła Babunia, — wychodzi robactwo z ziemi. Czarne krzeczki wyglądają z dziur, jaszczurki i pająki się kryją, a ja-skółki latają tuż nad samą ziemią. Owczarze zaś są cały boży dzień pod gołym niebem, a nie mając nic do roboty, obserwują te zwierzątka, jak żyją. Najlepszy kalendarz, to góry i niebo. Po jasności gór i kolorze obłok poznają, czy będzie pogoda, czy słońce, czy nastąpią wichry, czy spadną krupy, czy śnieg.

Przed żernowską kaplicą stała gromada pa-tników: mężczyźni, kobiety, dzieci. Niejedna matka zabrała ze sobą dziecię w pierzynie, aby je ofiarować Matce Boskiej i prosić o przywrócenie zdrowia lub oddać pod opiekę Matki Najświętszej.

Przewodnik Marcin stał w progu kaplicy, wysoka postać jego była widoczna ponad wszystkich, tak że jednym spojrzeniem zdołał objąć powierzona sobie gromadę pa-tników. Gdy spostrzegł, że Babunia ze swojemi nadchodzi, rzekł:

— Teraz zebraliśmy się wszyscy, możemy się więc udać w drogę, a wpierw zmówimy „Ojcze nasz” na intencję szczęśliwej drogi. Pa-tnicy uklękli do modlitwy, a wieśniacy na drodze modlili się razem z nimi. Potem przeżegnali się święconą wodą, jeden z młodzieńców podniósł wysoki krzyż, który narzeczona Tomaszka ozdobiła wiankiem, a Krystyna czerwoną wstęgą, i stanął na czele zgromadzonych. Mężczyźni ustawili się około niego, za nimi kobiety według wieku. Lecz nie ruszyli się jeszcze, bo gospodynie dawały ostatnie rozporządzenia swym domownikom, gospodarze napominali czeladź, aby uważała na ogień i pilnowała gospodarstwa, dzieci wołały do rodziców: „Przynieście nam pamiątkę z odpustu!”, staruszki zaś groziły: Zmówcie za nas jedno „Zdrowaś!” Wtem przewodnik Marcin zaintonował doniosłym głosem: „Bądź pochwalona — Zdrowaś Marya!”, pa-tnicy zaśpiewali pieśń chórem, młodzieniec podniósł krzyż w górę i kompania ruszyła do Swiatanowic.

(Ociąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(49)

(Ciąg dalszy).

W drodze zatrzymali się pątnicy przed każdą kaplicą, każdą „Bożą Męką“, każdym krzyżem, fundowanym z powodu zaszłego na tem miejscu nieszczęścia, przed każdym obrazem „Matki Boskiej“ i odmawiali „Ojcze nasz“, „Zdrowaś Marya“ i „Wierzę w Boga Ojca“.

Baśka i Andzia uważały początkowo bacznie na przewodnika Marcina i śpiewały zarówno z drugimi pątnikami. Gdy kompania już za „Czerwoną Górą“ była, Baśka zapytała nagle Babunię:

— Babuniu, gdzie jest Turyń, gdzie to nieme dziewczę mieszkało?

Lecz dziś nie miała szczęścia, bo Babunia szorstko odrzekła:

— Gdy idziesz na odpust, masz pamiętać o Panu Bogu, a nie myśleć o innych rzeczach! Śpiewaj, a jak nie, to się módl po cichu!

Dziewczęta więc znów chwilę śpiewały. Lecz gdy przyszły do lasu i spostrzegły tu i owdzie w trawie czerwone poziomki, zabrały się do zbierania smacznego owocu, wszak byłoby szkoda zostawić je w trawie, przyczem sobie powykrzywiały kapelusze, a w dodatku opadły im zakasane suknie. Nie mało więc miały kłopotu i nie mogły brać udziału w nabożnym śpiewie. Naraz przyszedł im na myśl kołacz w tłomoczku i bez namysłu zabrały się do smacznej pracy. Ni Babunia, ni pani matka nie uważały na dzieci, bo były zatopione w modlitwie. Za to Krystyna, która Adelkę za rękę prowadziła, często je upominała, a nareszcie się szyderczo do nich tak odezwała:

— Wyście tu bardzo potrzebne! Z pewnością zyskacie wielki odpust!

Gdy zmrok zapadał, doszli pątnicy do Swiatanowic. Przed miasteczkiem zatrzymali się. Kobiety obuły trzewiki, poprawiły sukien i dopiero potem ruszyła kompania do miasta. Pątnicy udali się wpieryw do studzienki pod kościół, gdzie woda wv-

tryska siedmiu promieniami z pod drzewa, ozdobionego wizerunkiem Matki Boskiej. Tu ukłękli i odmawiali modlitwy. Pokrzepiwszy się następnie źródlaną wodą, omyli twarze i oczy po trzykroć. Bo ta czysta, źródłana woda ma cudowną moc, a tysiące ludzi zawdzięcza jej przywrócone zdrowie.

Z studzienki udali się do oświetlonego kościoła, w którym się rozlegał odgłos przeróżnych melodyi. Zgromadzone tu bowiem były kompanie z przeróżnych okolic, a każda śpiewała własną pieśń na własną melodyę.

— Ach, Babuniu, jak tu pięknie — odezwała się po cichu Baśka.

— Slicznie! ukłęknij i módl się, — rzekła Babunia.

Dziewczę padło na kolana obok Babuni. Starszuszka schyliwszy głowę do samej ziemi, zasyłała rzewne modły do Najświętszej Boga Rodzicielki, której obraz, ozdobiony wiankami, promieniał w ołtarzu, oświetlonym przeróżnymi światłami. Wianki i różeczki ofiarowały panny i narzeczone, ażeby Przenajświętsza Panna błogosławić raczyła ich miłości.

Cudowny obraz był odziany drogą sukienką i obwieszony drogocennymi wotami. Były to ofiary tych, którzy w chorobach i dolegliwościach na tem miejscu ulgi i pociechy szukali i takowe znaleźli.

Po ukończonych modłach zamówił przewodnik Marcin u kościelnego, co było do zamówienia i następnie poprowadził powierzone owieczki na nocleg, którego im atoli szukać nie potrzebował, bo jak jaskółki na wiosnę wróciwszy, same stare gniazda odnajdą, tak pospieszali pątnicy na miejsca, gdzie rok rocznie noclegowali, i nie zabrakło nigdzie ni chleba, ni soli, ni czystej pościeli.

Pani matka i Babunia noclegowały w domu pewnego dozórcey kopalni węgla. Dozórca i żona jego, to starzy uczciwi ludziska, „ludzie ze starego zakonu“ mawiała Babunia; człowiek był u nich jak we własnym domu.

Pani dozorczyńni, dowiedziawszy się, że pątnicy z Zernowa na odpust przybędą, oczekiwała gości pod wieczór na ławie przed domem, aby dobrych znajomych już w progu przyjąć.

Przed nocnym odpoczynkiem otworzyła gospo-

dyni domu obszerną skrzynię, i z upodobaniem wyłożyła przed przybyłemi znajomkami swe zasoby: była tam wielka ilość płótna, kanawasów i przędzy własnej roboty, którą z roku na rok pomnażała.

— Dla kogóż to wszystko odkładacie, kiedy córka już dawno wyszła za mąż? — zapytała zdziwiona pani młynarzona.

— Mam trzy wnuczki, a wiadomo wam przecież, że:

„Płótno i przędza,
Z domu wypędza!“

odpowiedziała pani dozórczyni.

Tego samego zdania była i pani młynarzowa; lecz pan dozorca, wróciwszy do domu, rzekł:

— Ah! matka znów te stare klamory wyklada; może kazać na licytację zadzwonić?

— O panie ojcze; byłoby szkoda; wszak to wszystko mocne jak żelazo; taki towar nie pójdzie na licytację ani za pięćdziesiąt lat.

Pani dozórczyni bardzo żałowała, że nie mogła poczęstować Babuni niczem innym jak chlebem, bo staruszka, wybierając się na odpust ślubowała, nie innego w usta nie wziąć jak chleb i wodę; a ślub był dla niej święty i nie byłaby się dała niczem w świecie od raz powziętego postanowienia odwieść.

Pani matka wychwalała bardzo nocleg, a leżąc w pierzynach z puchem, rzekła do siebie wielce zadowolona:

— Nie ma co mówić; przyjemne legowisko; człowiek leży mięko jak w śniegu.

Krystyna i Andzia były na noclegu u pewnej wdowy. Miały spać na górze w sianie, gdzie im gospodyni wyznaczyła legowisko. Dziewczyny były takie zmęczone, żeby się i na kamieniu były dobrze wyspały. Tej nocy jednakowóż nie zostały na górze, lecz zeszły po drabinie do sadu.

— Nie jest tu tyśiąkroć lepiej aniżeli na górze? Zagroda to nasza komora, gwiazdy nasze świece, a zielona trawa nasza pierzyna, — rzekła Krystyna, owijając się w suknię i kładąc się na murawie pod drzewem.

— Zag dalszy nastąpi.

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(50)

(Ciąg dalszy).

— Słuchaj tylko, Krystyno, stara Fuskowa chrapie, jakby kamienie meł, — roześmiała się Andzia.

— Tak, tak! Obok niej spać, to prawdziwa rozkosz! — odpowiedziała Krystyna, — a zwracając się do znajomej przyjaciółki, zapytała:

— Co myślisz, Frania, przyjdą-li jutro?

— Na pewno! — zawołała Frania, — Tomasz przypędzi jak na koniu, zaś niepodobno, aby Mila nie miał przyjść, wszak on cię kocha!

— Kto wie, czy tak jest, jeszcze mi tego nie powiedział.

— Powiedzieć nie potrzeba, to się i tak wie. Ja sama nie wiem, czy mi kiedy Tomasz oświadczył, że mnie kocha, a mimo to się kochamy i niezadługo będzie wesele.

— A kiedy będzie na pewno wesele? — zapytała Krystyna.

— Myślę tak około św. Katarzyny *), bo ojciec nam chce puścić gospodarstwo i pójść na „wymowę“ do osobnej chałupki, jak ją wybuduje, będzie wesele. Pięknieby było, gdybyśmy w ten sam dzień ślub miały, odpowiedziała Frania.

— Co ty mówisz, myślisz, że już ręka w rękawie, a tu jeszcze wszystko het za górami.

— Co nie jest, jeszcze być może. Stary Mila będzie rad, że się Jakób do was przyżeni, a twój ojciec dostanie sprawnego syna. Nikt się do waszego gospodarstwa i do ciebie lepiej nie nadaje. Co prawda, to prawda: Jakób jest najprzystojniejszy młodzieniec z całej wsi, a ludzie mówią, żeby nawet Łucya sołtysowa o niego płakała.

— Widzisz, oto kamień, który nam leży w drodze! — westchnęła Krystyna.

*) 26 listopada przypada św. Katarzyny.

— Cha! więcej jak kamień, — rzekła Frania, — czy myślisz, że Łucya sama z siebie mało zna-
czy? a do tego da ojciec jeszcze worek guldenów.

— Tem gorzej! — rzekła po cichu Krystyna.

— Lecz dla tego sobie nie łam głowy, bo aczkolwiek ojciec Łucyi jest sołtysem, to jeszcze nie Panem Bogiem, a Łucya się i ze swemi guldenami z tobą równać nie może. Zresztą, Mila sama zdrowe oczy.

— Lecz gdy mu się nie poszczęści i nie przyjmą go w służbę do dworu i będzie musiał pójść do wojska? — zapytała Krystyna.

— Nie myśl o tem, gdy pan rządca będzie zbyt czarno patrzył, zaklei mu się oczy, rozumiesz?

— Toby może pomogło, chociaż się nie zawsze uda. Lecz w świętojańską noc mi się śniło, że Mila do mnie przyszedł, więc z tegoby wynikało, żebyśmy się mieli pobrać. Lecz sen, to mara. Babunia także mówi, że się nie godzi wierzyć w sny lub podstępem dochodzić, co Pan Bóg z nami uczynić zamierza, — rzekła Krystyna.

— Wszak Babunia, to nie ewangelia święta, — odparła Frania.

— Ja wierzę w Babunię, jak w pismo święte, bo poradzi człowiekowi otwarcie i sumiennie, a każdy przyznać musi, że jest kobietą szczerą i nie zna obłudy, a co powie, jest świętą prawdą! — odpowiedziała Krystyna.

— I ja staruszkę za taką uważam, ale pomimo to dałabym sobie palec u ręki uciąć, że w młodości swej w to samo wierzyła, co i my! Na starość się wszyscy zmieniają. Tak i nasza matka skarży się ustawicznie na nas, że my młodzi tylko do zabawy, do tańca i wesela, i że nie mamy tyle rozumu w głowie, ileby się w makówce zmieściło; powiada, że za jej młodych lat tak nie bywało, a ja wiem bezsprzecznie, że nasza prababunia nie była w młodości swej o włos lepsza od nas, jako też zapewnić mogę, że gdy my się postarzejemy, taką samą piosenkę nucić będziemy. Ale teraz polećmy się opiece Matki Boskiej i śpijmy, — skończyła Frania. owineła się następnie w suknie,

a gdy Krystyna po chwili w jej twarz spojrzała, spała już na dobre.

Na ziemi obok karmiła obca kobieta niemowlę, które się żadną miarą uspokoić nie chciało.

— To wam, matko, dziecię każdą noc tak kazuje? — zapytała tejże sąsiadka, która się płacz dziecka ze snu obudziła.

— Już od dwóch tygodni każda noc jest taka, jak dzisiejsza. Gotowałam już, co tylko kto poradził, jako to: główki makowe, powój pachnący i t. p., ale to nic nie pomogło. Kowalowa powiedziała, że mu się strupy na trzewach porobiły. Postanowiłam ofiarować dziecko na ołtarzu Matce Boskiej: Niechaj wyzdrowieje albo niech je Pan Bóg odwoła do siebie, — skarżyła się kobieta.

— Połóżcie niemowlę juuro pod odpływ źródła przy studziencie i to tak, aby woda trzykroć przez nie przeszła, bo moja dziewczyna od tego wyzdrowiała, — radziła kobieta, a obróciwszy się na drugi bok, za chwilę głośno chrapać zaczęła.

W następny dzień rano podawali sobie zgromadzeni przed kościołem pątnicy ręce na znak wzajemnego przeproszenia i przebaczenia, odzywając się przytem w te słowa:

— Przebaczymy sobie, aby i nam było odpuszczone!

Wtem odezwały się tuż za Krystyną i Adelką dwa znajome głosy:

— Niech i nam będzie odpuszczone!

— I bez spowiedzi macie rozgrzeszenie, — odpowiedziała Frania, podawając rękę Tomaszowi, Krystyna zaś, rumieniąc się, przywitała się z Miłą.

Młodzieńcy powierzyli się opiece Marcina i poszli z kompanią do kościoła.

Po nabożeństwie udali się pątnicy po zakupna, Pani matka nakupiła całe paczki obrazków, różańców, figurek i rozlicznych innych przedmiotów.

— Mam czeladź, ludzie przychodzą ze zbożem, a każdy się ogląda, czy co z odpustu nie dostanie — tłumaczyła się pani matka Babuni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(51)

(Ciąg dalszy).

Obok Babuni stała przy kramie stara Fuskowa, także już babka. Byłaby rada różaniec z kłokocinowego drzewa kupić, lecz gdy jej handlarz oświadczył, że dwadzieścia grajcarów dobrych pieniędzy kosztuje, smutnie odłożyła paciorki, mówiąc, że różaniec jest za drogi.

— Drogi? kobieto! mówicie, że ten różaniec drogi? — rozsierdził się handlarz. — To wyście, osobo, jak długo żyjecie różańca z kłakocinowego drzewa jeszcze w ręce nie miała! Kupcie sobie różaniec z piernika!

— Ale, panie ojczy, może komu innemu nie będzie za drogi, lecz dla mnie z pewnością, bo nie mam więcej przy sobie jak pół papierowego reńskiego; to całe moje bogactwo! — odpowiedziała babka.

— Za to nie kupicie kłokocinowego różańca, — oświadczył handlarz.

Fuskowa oddaliła się od kramu, ale Babunia poszła za nią i radziła jej, aby się udały razem do innego handlarza, który ma daleko tańszy towar.

I rzeczywiście! Drugi handlarz dawał wszystko za cenę, jaką Babunia sama wyznaczyła, tak że Fuskowa za pół papierowego reńskiego kupiła nie tylko kłokocinowy różaniec, ale i obrazki i różne inne drobnostki.

Gdy dwie babki odeszły od kramu i Fuskowa się z Babunią pożegnała, zapytała Baśka starszuskę:

— Nie prawda, Babuniu, wyście handlarzowi dopłacili, co Fuskowa za mało dała; wszak dobrze widziałam, jakście na niego mrugali, gdy Fuskowa na was nie zważała.

— Kiedyś widziała, nie mów o tem dalej, bo co daje prawica, o tem nie ma wiedzieć lewica, — odpowiedziała Babunia.

Krystyna kupiła srebrny pierścionek z dwoma gorejącami sercami, wobec czego kupił Mila obrączkę, na której były wytłoczone dwie złożone ręce.

Pątnicy dali wszystkie zakupione przedmioty poświęcić i relikwiami świętymi pocierać, a następnie otaczali każdą pamiątkę z odpustu, czy to różaniec, obrazek, pierścionek, lub książkę szczególną czcią i chowali w takim szacunku jak relikwię samą.

W końcu pątnicy podziękowali swoim gospodarzom za nocleg i fatygę, pomodlili się jeszcze raz przed obrazem przy cudownem źródle, polecili się opiece Matki Boskiej i udali się w drogę do Żernowa.

Przy studni w lesie retyńskim, niedaleko od dziewięciu krzyży, zatrzymali się na krótki wypoczynek. Spragnieni jak byli ustawili się około studni, a spostrzegłszy, że Krystyna daje pić Mili z złożonych dłoni, żądali wszyscy od niej wody, na co się dziewczyna chętnie zgodziła.

Starsi się potem rozsiedli na trawie i opowiadali, jakie zakupna porobili i jaką cenę zapłacili, a nareszcie gwarzyli o kompaniach, które zarówno z nimi były na odpust przybyły.

Dziewczyny pobiegły do lasu zbierać kwiaty na wianki, młodzieńcy zaś tczasem naprawiali wielki grób i drewniane na nim krzyże.

— Na jaką pamiątkę wystawiono tu dziewięć krzyży, — zapytała Baśka Andzię, dla której równała kiście kwiatów do wianków.

— Słuchaj! opowiem ci krótko, — rzekła Andzia.

Niedaleko od tego grobu stoi stare zburzone zamczysko, ryzenburskiem zamkiem zwane. Przed dawnymi czasy mieszkał w tym zamku rycerz Herman, który się zakochał w prostej dziewczynie.

zamieszkałej w jednej z pobliskich wsi. Dziewczy-
nie zalecał się jeszcze drugi młodzieniec, którego
atoli nie lubiła, bo już Hermanowi była miłość
ślubowała.

W dzień ślubu rano przyniosła matka Her-
mana synowi czerwone jabłka i zastała go smutnego
i zamyślonego w pokoju, a gdy go o przyczynę
smutku zapytała, odrzekł, że sam nie wie, czemu
się smuci. Zatrwożona matka prosiła Hermana, aby
na wesele nie jechał, gdyż miała zły sen. Lecz
Herman się nagle z zamyślenia zerwał, pożegnał
się krótko z matką, dosiadł konia i pojechał.

Lecz koń stanął we wrotach zamku jak wryty
i nie chciał ruszyć z miejsca.

Matka przybiegła do bramy i błagała syna
powtórnie:

— Synu, zostań w domu, koń się opiera; to
zły znak, nieszczęście cię czeka.

Ale rycerz nie usłuchał matki, dał koniowi
ostrogę i popędził przez most. Za mostem koń sta-
nął dęba!

Po raz trzeci matka prosiła syna, aby się
wrócił, ale Hermann na nic nie zważał i pomimo
przestróg pojechał do narzeczonej.

Gdy orszak weselny mijał to właśnie miejsce,
gdzie dziś krzyże stoją, napadł drugi zalotnik ze
swojami przyjaciółmi na uczestników wesela.
Wszczęła się zaciekle bójka między konkurentami,
w której Herman poległ. Młoda pani przebiła się
z rozpaczny nożem, weselnicy zabili napastnika i je-
szcze dziewięć ludzi zginęło w walce.

Złożyli wszystkich do jednego grobu i po-
stawili na pamiątkę krwawego zajścia dziewięć
krzyży.

Od tego czasu ludzie krzyże poprawiają, a gdy
z żernowską kompanią latem tu przechodzimy, za-
wieszamy na krzyżach świeże wianki i odmawiamy
„Ojcze nasz” za spokój dusz poległych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(52)

— — —
(Ciąg dalszy).

Tak opowiedziała Andzia historję grobu i krzyży. Lecz stara Fuskowa, która w pobliżu grzyby zbierała i słowa Andzi po części słyszała, odezwała się tak:

— Rzecz się nieco inaczej miała, Andziu! Bo Herman był rycerzem zamku litoburskiego a nie ryzenburskiego; dziewczyna zaś była ze Swiatanowic; a zabili Hermana, zanim do młodej pani dojechał, razem z świadkami i družbami. Niewiasta czekała i czekała, lecz nadaremnie.

Gdy weselnicy usiedli do stołu, zadzwonił dzwonek konający. Młoda pani pytała się po trzy razy matki, komu na skonanie dzwonią. Matka się wymawiała jak mogła, aż nareszcie zaprowadziła córkę do komory, gdzie leżał Herman zabity. Gdy młoda pani widziała, co się stało, wbiła sobie nóż w serce. Pogrzebali ich wszystkich w jednym grobie. Tak ja historję słyszałam — skończyła Fuskowa.

— Któż rozstrzygnie, która z nas prawdę mówi, gdyż się to działo przed pradawnymi czasy. Zresztą, tak czy tak, źle się stało. Lepiej, gdyby się byli mogli pobrać i szczęśliwie żyć.

— Ale w takim razie niktby nie był o nich wiedział, nie wspominalibyśmy o nich, nie uwieczalibyśmy ich grobów, — odezwał się Tomasz, naprawiając jodłowy krzyż, który się rozpadł.

— Nie chciałabym być taką nieszczęśliwą niewiastą, — rzekła Andzia.

— Ja także nie! — zawołała Krystyna, wychodząc z zarośla z wiankami.

— Ale i ja bym nie chciała w dzień ślubu zo-

stać trupem, — odrzekł Mila; — a jednak Herman był szczęśliwszy od swego rywala, który wiele cierpieć musiał, gdy patrzył, że tę, którą kochał, inny prowadził do ołtarza. Dla tego powinniśmy się za niego rzewniej modlić, bo umarł w złości i gniewie, a Herman w szczęściu i łasce Bożej.

Dziewczyny powiesiły wianki na krzyżach, rozsypały ostatnie kwiaty na mchem porośnięty grób i pomodliwszy się chwilę, wróciły do reszty pątników. Po chwili młodzieniec podniósł krzyż w górę, przewodnik zaintonował nabożną pieśń i pątnicy zdążali do domu. Na rozdrożu, niedaleko Zernowa, oczekiwali ich domownicy. Dzieci usłyszawszy zdaleka śpiew a zoczywszy czerwoną wstęgę na krzyżu, pędem pobięły matkom naprzeciwko, nie mogąc odczekać upominków z odpustu. Nie doszła kompania jeszcze do wsi, a chłopcy już trąbili na nowych trąbkach, piskali na piszczałkach, ujeżdżali na drewnianych konikach, dziewczęta niosły lalki, koszyczki, obrazki i serca z marcepanu.

Po wspólnej modlitwie w kaplicy podziękowali pątnicy przewodnikowi, powiesili wieniec z wstęgą na ołtarzu, młodzieniec ustawił powierzony mu krzyż na swoim miejscu i potem wszyscy rozeszli się do domu.

Gdy Krystyna podała rękę Andzi na pożegnanie, spojrziała dziewczyna na srebrny pierścionek, błyszczący na palcu Krystyny, i z uśmiechem zapytała:

— Wszak to nie ten sam, któryś kupiła?

Krystyna się zarumieniła, lecz nim się na odpowiedź zdobyła, rzekł Mila:

— Krystyna mi dała serce, a ja jej rękę.

— Słuszna zamiana; daj Boże szczęście! — zawołała ucieszona Andzia.

Pod lipami przed młynem siedzieli Proszkowie z panem ojcem i spoglądali ciekawie na żernowskie wzgórze. Gdy słońce zasyłało ostatnie promienie na wierzchołek wzgórza, kąpiąc w złocie korony

szerokich dębów i smukłych jesionów, zabłysnęły w niskich gąszczach białe chustki i słomiane kapelusze migały się pomiędzy zielenią.

— Idą! — zawołały dzieci, które były najpilniej na wzgórze uważały i pierzchnęły wszystkie trzy ku mostu.

Proszkowie z panem ojcem poszli śladem malców Babuni i pani matce naprzeciwno. Dzieci Babunię całowały i obskakiwały, jakoby jej rok cały nie były widziały. — Baśka zaś chwaliła się, że ją ani trochę nogi nie bolały. Babunia dowiadywała się od dzieci, czy o niej pamiętały, a pani matka zapytała pana ojca:

— Cóż nowego?

— Łyse mu włosy obcięli! Co to była za operacya! moja pani matko! — odpowiedział pan ojciec, robiąc przytem wielce poważną minę.

— Od was się człowiek nigdy prawdy nie dowie, — rozśmiała się pani matka, uderzając pana ojca zlekka przez rękę.

— Gdy jesteście w domu, to was pan ojciec gniewa, a gdy was niema, chodzi zamroczony i nie może znaleźć sobie miejsca, — odezwała się pani Proszkowa.

— To święta prawda, pani kumotro; mężowie nas tylko wtenczas umieją ocenić, gdy nas braknie, — rzekła pani matka.

Następnie mówili o tem i owem i opowiadaniom nie było końca. Swiatowicki odpust był dla mieszkańców małej doliny, chociaż nie nadzwyczajnem, bo się powtarzał rok w rok, ale jednak tak znamiennem zdarzeniem w ich życiu, że mówili o nim całe czternaście dni; a gdy się który z sąsiadów do Wambrzye wybrał, to mówiono o tem ćwierć roku, a już o pątnikach do Marya Cel opowiadano rok cały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(53)

(Ciąg dalszy).

XI.

Księżna odjechała, a z nią księżniczka Hortenzya i pan Proszek.

Odleciały i szczebiotliwe jaskółki z pod strzechy „Starego Bielidla“, gdzie było przez kilka dni jak po pożarze. Matka płakała, a dzieci, widząc matkę płaczącą, płakały z nią.

— Nie płacz, Teresko, — pocieszała Babunia córkę, — bo to się na nic nie zda. Wszak wiedziałś, co cię czeka, nim za niego wyszłaś, więc znoś teraz wszystko cierpliwie.

— A wy, dzieci, uspokójcie się także, módlcie się za ojca, aby go Pan Bóg utrzymał przy zdrowiu, bo gdy za pomocą Boską doczekamy się wiosny, ojciec znów wróci do nas.

— Jak jaskółki przylecą, nieprawda? — zapytała Adeika.

— Tak jest, — odpowiedziała Babunia, — i dzieci przestały płakać.

W okolicy „Starego Bielidla“ robiło się smutno i cicho. Las stał się przejrzysty. Gdy Wikcia schodziła w dolinę, było ją już z daleka widać. Wzgórze żółkło, wiatr i woda unosiły suche liście, Bóg wie najlepiej, w które strony świata. W ogrodzie kwitły już tylko astry, nogietki i nieśmiertelniki. Na łące za tamą rumieniły się rozsiadki, a w nocy wyprawiały tam świetlaki swoje tańce.

Gdy Babunia się z dziećmi na przechadzkę wybrała, chłopcy zabierali ze sobą papierowe latawce, które potem na wierzchu wzgórza puszczali w powietrze. Adeika gonila za nimi, chwytając na brzd naci babskiego lata, które w powietrzu latały.

Baśka zbierała czerwone kaliny i tarki dla Babuni do przyrządzenia lekarstw i rwała głóg dla domowej potrzeby, urywała jarzębiny i robiła z nich korale dla Adelki. Babunia rada siedziała z dziećmi na wzgórzu po nad zamkiem położonem. Ztamtąd bowiem było widać całą dolinę i zielone łąki, na których popasało pańskie bydło; było widać miasteczko i zamek, położony na małym pagórku w pośrodku doliny i okolony starym, pięknym parkiem.

Zielone zaluzye w oknach były spuszczone, na balkonie nie było kwiatów, róże około kraty z białego piaskowca powiędły, miasto wystrojonych lokai i państwa chodzili po ogrodzie robotnicy, przykrywali chojnami grzędy, na których nie było już różnobarwnego kwiecia, ale w ziemi spoczywał już zasiew piękniejszych jeszcze roślin, które miały rozweselić oko księżny, gdy wróci na przyszły rok do swej siedziby. Rzadkie, zagraniczne drzewa, pozbawione zielonej odzieży, były owinięte słomą, fontanna, wytryskająca srebre promienie wody w powietrze, była przykryta deskami i mchem, a złote rybki skryły się na dno rybnika, w którym woda, zwykle tak czysta i przezroczysta, była całkiem porośnięta liściem, żabincem i zielonawą wstężyką. Dzieci spoglądały na rozportarty u ich nóg krajobraz, wspominały dzień, w którym chodziły z Hortenzyą po ogrodzie, śniadały w salonie i pomyślały w duchu:

— Gdzież księżniczka jest dzisiaj?

Babunia spoglądała z ulubieniem po ślicznem wzgórzu, wsiach, lasach, gajach, stawach, borach; wzrok staruszki sięgał het w strony nowego miasta, Opoczna do Dobruszki, gdzie mieszkał jej syn. Za Dobruszką, wśród gór, była mała wioska, w której mieszkało tyle miłych staruszcze ludzi. Gdy zwróciła oczy na wschód, ujrzała przed sobą piękne półkole obrzymich gór, od długiego grzbietu Hejszowiny aż do sięgającego w obłoki „Snieżnika“.

Babunia wskazując ręką na Hejszowiny, rzekła do dzieci:

— Tam znam każdą ścieżkę, tam w tych górach jest Kłodzko, gdzie się wasza matka urodziła, tam są Wambrzyce i Warta, tam w tych okolicach spędziłam kilka szczęśliwych lat.

Staruszka umilkła i zamyśliła się głęboko, lecz wtem Baśka nagle zapytała:

— Nieprawda, we Warcie siedzi Sybilla na marmurowym koniu?

— Ludzie mówią, — odpowiedziała Babunia, — że to jest w okolicy Warty na pewnym pagórku. Tam siedzi Sybilla, wyciosana z marmuru, na marmurowym koniu, z podniesioną w niebo ręką. Gdy się cała w ziemię zapadnie, tak że nie będzie ani końca palców widać, wtedy wypełnią się jej proctwa. Mój ojciec ją widział i mówił, że koń był już po piersi w ziemi.

— A kto była Sybilla? — zapytała Adelka.

— Sybilla była mądra niewiasta, która umiała przyszłość przepowiadać.

— A cóż takiego przepowiedziała? — zapytały dzieci.

— Już wam to nie raz opowiedziałam, — rzekła Babunia.

— Lecz my już wszystko zapomnieli! — rzekły dzieci.

— Mówiłam wam, ażebyście sobie spamiętały!

— Ja sobie długo spamiętałam, Babuniu, — odezwała się Baśka, która się zawsze Babuni najuważniej przysлуchiwała.

— Nieprawdaż, Sybilla przepowiadała, że przyjdzie na czeską ojczyznę dużo biedy, że będą wojny, głód i mór, lecz najgorzej będzie wtenczas, gdy ojciec syna, syn ojca, brat brata nie będzie rozumiał, gdy nie będzie ważne ani słowo, ani przyrzeczenie, bo wtedy ziemia czeska na kopytach końskich będzie rozniesiona.

— Dużo spamiętałaś, lecz nie daj Boże, aby się to kiedy stać miało! — westchnęła Babunia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(54)

— — —
(Ciąg dalszy).

Baśka klęcząc u nóg Babuni, złożyła ręczki na kolanach staruszki i niebieskimi wiernymi oczami patrząc w poważną twarz staruszki, zapytała:

— Jakie to są proroctwa, któreście nam opowiadali; wiecie, o Blanickich rycerzach, o świętym Wacławie i świętym Prokopie?

— To jest proroctwo ślepego młodzieńca, — odpowiedziała Babunia.

— Ach, Babuniu, ja się poniekąd tak boję, że wam tego ani opowiedzieć nie mogę; nie prawda, wy byście także nie chcieli, ażeby czeska ziemia na końskich kopytach była rozniesiona?

— Jakaś ty nie mądra! Miałabym takiego nieszczęścia chcieć, gdy się codzień modlimy za szczęście czeskiej ojczyzny; wszak to jest nasza matka! Więc gdybym matkę w nieszczęściu widziała, miałoby mi to być obojętne? Cóż byście wy zrobiły, gdyby ktoś chciał waszą matkę zabić?

— Krzyczelibyśmy i płakali, — zawołali chłopcy i Adielka.

— Jesteście jeszcze dziećmi, — rozśmiała się Babunia.

— Musielibyśmy jej bronić, nieprawdaż Babuniu? — rzekła Baśka, a oczy jej się iskrzyły.

— Tak jest, dziewczyno! Bo sam krzyk i płacz na nic się nie zda, — rzekła staruszka, kładąc ręce na głowę wnuczki.

— Ale, Babuniu, my jeszcze mali, jakby my więc pomódz mogli? — odezwał się Janek, który się gniewał, że Babunia za mało na niego liczyła.

— Czy nie wiecie, com wam opowiadała o Dawidzie, który Goliata pokonał? Widzicie z tego najlepiej, że i mały i słaby wiele może, gdy ma silną wiarę w Boga! Pamiętajcie to sobie! Gdy dorosnięcie i dostaniecie się w świat, poznacie tam

złe i dobre, będą was zwodzić, kusić. Wtedy przypomnijcie sobie, co wam Babunia na przechadzkach mówiła. Wiecie dobrze, że porzuciła wygodne życie, jakie mi król pruski ofiarował, i wołałam pracować do upadku, aniżeli bym sobie dała dzieci wynarodowić. Kochajcie i wy czeską ojczyznę nade wszystko, jak waszą matkę; pracujcie dla niej jako godne dzieci, a proroctwa, których się obawiacie, nie wypełnią się. Ja się was dorosłych już nie doczekam, ale mam nadzieję, że nie zapomnicie słów Babuni waszej, — skończyła Babunia wzruszonym głosem.

— Nigdy nie zapomnę, — rzekła Baśka, tuląc się do Babuni.

Chłopcy nie rzekli ani słowa, bo nie zrozumieli jeszcze doniosłości słów staruszki tak, jak Baśka; Adelka zaś tuląc się do Babuni, z płaczem zawołała:

— Ale Babuniu, wy jeszcze nie umrzecie; wszak tak, że nie umrzecie?

— Wszystko jest na świecie do czasu, kochane dziecko i mnie Pan Bóg odwoła, — odpowiedziała staruszka.

Dzieci umilkły, Babunia się zamyśliła, malce nie wiedziały co robić.

Wtem usłyszeli ponad sobą szum skrzydeł, a gdy podnieśli oczy ku niebu, ujrzeli nad sobą kluczników.

— To są dzikie gęsi, — rzekła Babunia, — nie ciągną one nigdy wielką gromadą, tylko zawsze gniazdami, w locie mają odrębny porządek. Patrzą, dwie lecą naprzód, dwie w tyle, reszta jedna za drugą, w dół albo w szerz, rzadko kiedy się zdarzy, że zatoczą półkole. Kawki, wrony, jaskółki lecą wielkimi kupami; kilka ich leci naprzód i szukają miejsca dla spoczynku, w tyle i po bokach leci straż, która w chwili niebezpieczeństwa broni samiczek i młodych, bo często spotykają się nieprzyjacielskie gromady i wtenczas rozpoczyna się pomiędzy nimi wojna.

— Ale, Babuniu, jak to ptaki wojnę prowa-

dzieć mogą, kiedy nie mają rąk, aby trzymać szable i strzelby? — zapytał Wilemek.

— Prowadzą wojnę na swój sposób i przyrodzoną bronią. Uderzają na siebie dziobami i biją się skrzydłami tak okrutnie, jak ludzie ostrą bronią. Po każdej takiej potyczce spada ich wielka ilość na ziemię.

— To dopiero głupcy! — rzekł Janek.

— Tak, kochany chłopcze, ludzie mają rozum, a biją się o drobnostkę, często o nic, aż się zabijają, — odpowiedziała Babunia, podnosząc się i nawołując dzieci do powrotu.

— Patrzcie, dzień już na schyłku, słońce zachodzi czerwono, będzie jutro deszcz. — A spojrzawszy na odległe góry, Babunia dodała:

— Śnieżnik ma czepiec, będzie deszcz na pewno!

— Biedny pan Beyer nie mało ucierpi, gdy będzie musiał pójść do boru, — rzekł litościwie Wilemek, przypomniawszy sobie leśniczego z gór olbrzymich.

— Każdy stan ma swoje uciążliwości, a kto sobie raz zawód obrał, musi już złe z dobrem pogodzić, choćby czasem i o życie chodziło, — rzekła Babunia.

— Ja i tak leśniczym zostanę i z radością do pana Beyera w naukę pójde, — zawołał Janek, i puściwszy latawca w powietrze, pędził prędkim biegiem w dolinę. Wilemek pobiegł za nim, bo się odezwały dzwonki bydła, wracającego z pastwiska, a dzieci cieszyły się nie mało, że krowy, kroczące na samym przodzie, miały różnobrzmiące dzwonki na czerwonych, skórzanych naszyjnikach, a było po bydłociach poznać, że to odznaczenie zrozumiały w zupełności, bo podnosiły dumnie głowy, skręcały karki to w lewo, to w prawo, aby kołysające się w ten sposób dzwonki wesoło brzmiewały.

Baśka z radości zaśpiewała:

Hu, hu, ha! Krowa idzie
Mleko i śmietana będzie!

(Ogag dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z českého Paweł Rybok.

(55)

(Ciąg dalszy).

Babunia zatrzymała się na chwilę i obejrzała się za Adelką, która wciąż jeszcze stała na wierzchołku wzgórza i spoglądała w obłoki, tworzące na zachodzie najpiękniejsze obrazy. Na jasnym tle występowały ciemne góry w ogromnych zarysach, przedziwnych kształtach; tu rozpościerały się długie grzbiety gór, porośniętych lasami, tam podnosiły się z doliny niskie pagórki, uwieńczone zamkami i kaplicami; z równiny sterczały smukłe słupy i łuki bram ku niebu jakoby greckie świątynie, a cała zachodnia część nieba była czerwona i oblamowana złotymi hieroglifami i arabeskami. Góry, lasy, budowle rozstępowały się nagle i znikły, a w miejsce ich wstępowały jeszcze dziwniejsze obrazy. Zjawiska te tak się dziewczynie podobały, że wołała Babunię do siebie; lecz staruszka nie chciała już wrócić na wzgórze i wymawiała się, że to za wielka dla niej fatyga, więc Adelka chcąc nie chcąc, musiała wracać do domu.

W dzień „wszystkich świątych“ rano poszły dzieci jak w każdą niedzielę Babuni idącej z kościoła naprzeciwko i mówiły w drodze do siebie:

— Dziś nam przyniesie Babunia z kościoła świece!

I Babunia przyniosła świece.

— Gdy nie będziemy mogli pójść na cmentarz

ofiarować za dusze zmarłych, zaświecimy świece w domu, — rzekła Babunia.

Tak obchodziła staruszka co rok dzień zaduszny z dziećmi w domu. W „zaduszki“ wieczorem przyklepiła Babunia zapalone świece na stole, wymieniając przy każdej dusze, za którą świeczkę ofiarowała. W końcu przyklepiła jeszcze kilka świec bezimiennych i rzekła:

— Te się niech świecą za duszyczki, od wszystkich opuszczone. które znikąd pomocy nie mają!

— Babuniu, zaświecę jedną świecę za nie-szczęśliwe wesele w hertyńskim lesie, — rzekła Baśka.

— Zaświeć, dziewczyno, zaświeć, może modlitwa nasza będzie dla nich zbawienna! — odpowiedziała Babunia.

Zapalono więc jeszcze jedną świecę. Potem Babunia uklękła z dziećmi około stołu i tak modlili się wszyscy za dusze zmarłych, póty świece nie zgorzały.

— A światłość wiekuista niechaj im świeci, niech odpoczywają w pokoju wiecznym“, — zakończyła Babunia modlitwę za umarłych.

— Na wieki wieków, amen! — odpowiedziały dzieci.

Gdy za tydzień po zaduszkach Babunia rano budziła dzieci, oznajmiła malcom, że święty Marcin przyjechał na białym koniu. Dzieci czempredziej wyskoczyły z łóżek, pobiegły do okna — i o dziwo! wszystko było białe. Nie było śladu zielonego liścia na wzgórzu, ani na wierzbach nad rzeką, ani na olszach nad potokiem. W lesie tylko zieleniały się jodły i sosny, konary ich uginały się pod ciężarem śniegu. Na jarzębiu obok „Starego Bieli-

dła", na którym jeszcze kilka zmarzniętych jarzębin wisiało, siedziała wrona, a drób w podwórzu patrzył z zadziwieniem na zmienione otoczenie. Tylko wróble świergotały wesoło i zbierały resztę zasypanego drobiu ziarna. Kotka, wracając z łowu nocnego, otrząsała za każdym krokiem łapki ze śniegu i pospieszała za ciepły piec do kuchni. Tylko psy aczkolwiek zmoczone po kolana, biegały wesoło po śniegu.

— Śnieg, śnieg; ha! to dobrze: będziemy jeździć na sankach" — wołały uradowane dzieci, witając z szczerą radością zimę, z którą nastały dla nich nowe zabawy.

Święty Marcin przyniósł malcom świeże rogaliki, a po św. Marcinie rozpoczęło się darcie pierza. Dzieci by się były więcej ucieszyły kołowrotkom, bo przy przędzeniu miały więcej swobody. Lecz gdy kobiety i dziewczyny zasiadły do darcia pierza w kuchni za wielkim stołem, znalazła się niebawem wysoka kupa pierza na nim, jak zawieja śnieżna, a od tej chwili trzymała Babusia Adelkę i chłopców ustawicznie w pewnej oddali od stołu. Zdarzyło się bowiem raz, że Janek, który się krzątał pomiędzy dziewczynami przy stole, w taką świeżo nasypaną kupę pierza wpadł. Jaki zamęt wskutek tego powstał, snadno pomyśleć. Odtąd mawiała Babunia, że nie radzi przypuszczać dzieci do stołu. Ba! dzieci nawet porządnie biegać nie śmiały, ani dmuchać, ani drzwi otwierać, bo wnet ich łajano. Jedyną radością dla dzieci były przy darciu pierza orzechy i opowieści o strachach i zbójnikach, o świetlakach i ognistych mężach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(56)

(Ciąg dalszy).

Podczas długich i mgławych wieczorów, kiedy kobiety chodziły do przedy lub darcia pierza od chałupy do chałupy, często nawet od wsi do wsi, można było często nowinę słyszeć, jak:

— Wczoraj straszyło tu, przedwczoraj tam, — a gdy zaczęto o tych zdarzeniach mówić, nie było już opowiadaniom końca, albowiem każda kobieta, każda dziewczyna wiedziała o podobnym przypadku. I kramlowscy złodzieje, którzy z wiosną szli do kryminału, a z początkiem zimy wracali do domu, ludzie o nich mówili, że „wracają ze studyów“, bo się tam za każdą razą coś nowego nauczyli, byli często przedmiotem różnych opowiadań. Potem mówiono o złodziejach wogóle, a nareszcie o leśnych wozbójnikach.

Dzieci siedziały jak przykute, nie odzywały się ani słówkiem i tak się bały, żeby za nie w świecie nie były wyszły za drzwi. Dla tego Babunia nie była rada podobnym opowiadaniom, ale nie była w stanie zmienić raz zaprowadzonego zwyczaju.

Po św. Marcinie był w mieście jarmark. Pani Proszkowa wybrała się z Elżbietą i Urszulą do miasteczka, aby zakupić różnych zasobów na przyszłą zimę. Dzieci nie mogły się matki doczekać, która im corocznie z jarmarku przyniosła jaką zabawkę i smacznego marcepanu; Babunia zaś dostała co rok wełniane pończochy, ciepłe filcowe trzewiki i pół tuzina sznurków do kołowrotka.

Staruszka, kładąc sznurki do półskrzyńka, rzekła do Janka:

— Gdyby ciebie nie było, starczyłby mi jeden sznur.

Adelce przyniosła matka tego roku z jarmarku drewnianą tablicę, z pięknie wymalowanem abecadłem.

— Gdy jutro przyjdzie pan nauczyciel, możesz rozpocząć naukę, bo i tak się nudzisz, gdy się ci inni uczą, a kiedy spamiętałaś „Ojcze nasz“ i pieśni kościelne, spamiętasz sobie i „a, b, c, d, i t. d.“ — rzekła matka.

Dziewczynka aż podskoczyła z radości i spoglądała uważnie na litery. Usłużny Wilemek ofiarował się siostrzyczkę nauczyć: i, e, a, o, u, lecz Adelka, kryjąc tabulkę za plecy, rzekła:

— Nie chcę od ciebie nic wiedzieć, bo ty tego tak nie umiesz, jak pan nauczyciel.

— Jakaś ty głupia! nie umiałbym abecadła, a już czytam z książki! — zawołał rozgniewany i obrażony chłopiec.

— Ale w książce to nie jest tak! — odparła siostrzyczka.

— Jej! jej! jakaś ty głupia! — parsknął chłopak i klasknął niecierpliwie w ręce.

— Niech tam! — rzekła Adelka i poszła z tabulką do okna.

Podczas, gdy ci dwaj się o mądrość sprzecjali, wyprawiał Janek w kuchni psom koncert, trąbił na trąbce i bębnił zarazem na bębnie, który mu matka na jarmarku kupiła. Psom nie była ta muzyka bardzo przyjemna, bo podniosły pyski w górę, Sul-tan szczekał, a Tyras wył, aż groźno słuchać było. Babunia była z córką w komorze, gdzie układała zakupione na jarmarku przedmioty. Usłyszawszy przeraźliwą muzykę i szczekanie psów, natychmiast staruszka do kuchni przybiegła, wołając:

— Zaraz sobie pomyślałam, że to jest ten lacyper, w tobie ani jednej żyłki dobrej nie ma. chłopaku! Bedziesz zaraz milczał!

Janek odjął trąbkę od ust, lecz jakby nie był słyszał, co Babunia powiedziała, wybuchnął głośnym śmiechem i rzekł:

— Patrzcie, Babuniu, jak się te psy złością że im koncert wyprawiam!

— Gdyby lepszy rozum miały, powiedziałyby ci, że takiej muzyki ani stary koziół nie słuchał, rozumiesz! Zaraz mi to odłóż! Wierz mi, jeżeli się nadal tak źle prowadzić będziesz, powiem św. Mikołajowi, ażeby ci nie „nie nakładł“, — odgrażała się Babunia, pokazując Jankowi drogę do izby.

— To dopiero będzie! a w mieście opowiadali, że św. Mikołaj zakupił pełen wóz podarków i że będzie tego roku dla dzieci szcudroblwszy, niż po inne lata, to jest dla dzieci posłusznych! — odezwiała się Urszula, gdy usłyszała słowa Babuni.

Gdy nazajutrz pan nauczyciel przybył, wyciągnęła Adelka swoją tabulkę i przysiadła do starszych dzieci. Uważała dobrze, a po lekcyi przybiegła do Babuni i z wielką radością oznajmiła staruszce, że już umie wszystkie litery na pierwszym rządku i zaraz je Babuni z wielką radością na pamięć powiedziała razem ze znakami, jakie pan nauczyciel dopisał dla lepszego spamiętania.

Matka i Babunia były z niej zadowolone, zwłaszcza, że i na drugi dzień wszystko jeszcze pamiętała, a ponieważ co dzień litery Babuni pokazywała i często chciała być przez staruszkę przesłuchaną, umiała je w końcu Babunia tak dobrze, jak wnuczka.

— Patrzcie, — mówiła często Babunia, — nie myślałam, żebym się jeszcze kiedy mogła nauczyć abecadła, a teraz na stare lata mi się to przydało! Ale tak to bywa: chcesz wychować dzieci, musisz się niekiedy sam stać dzieckiem!

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z českého Paweł Rybok.

(57)

— — —
(Ciąg dalszy).

Pewnego dnia wpadł Janek do izby, krzyząc:
— Dzieci, dzieci, chodźcie podziwiać! Babunia zniosła kołowrotek z góry!

— Czy to jaki cud? — łajęła matka dzieci, widząc, że wszystkie, nie wyjąwszy Baški, do drzwi się pchały.

Nie był to cud, ale matka ani pomyślała, jaką radość Babunia z kołowrotkiem do izby przyniosła. Bo za kołowrotkiem przyszły prządnice, a z niemi zawitały do „Starego Bielidla“ piękne opowieści i wesołe piosenki.

Pani Proszkowej nie zajmowały wprowadzie ani opowieści, ani piosenki, wołała bowiem siedzieć w swoim pokoju i czytać książki z biblioteki zamkowej, a gdy Babunia się odezwała:

— Opowiedz nam też raz, Teresko, coś z tych kronik zamkowych, — a matka rzeczywiście opowiadała, nie zajmowało to ani dzieci, ani nikogo z dorosłych tak bardzo, jak gdy pani Proszkowa o Wiedniu opowiadała. Wtedy wszyscy z upodobaniem słuchali, a prządnice mawiały:

— Tam musi dopiero być pięknie, w takim wielkiem mieście!

Dzieci zaś w duchu pomyślały:

— Gdybyśmy były wielkie, wszystko byśmy to już teraz widzieć mogły!

Ale nader miło im było wszystkim oprócz pani Proszkowej, gdy Babunia opowiadała bajki o księżniczках z złotymi gwiazdami na czole, o rycerzach i księciach zaklętych w lwy i psy, lub nawet w kamienie, o orzechach, w których złożone są całe drogocenne szaty, o złotych zamkach i o morzach, na dnie których piękne wodne wróżki mieszkają. Matka ani się domyślała, gdy Baška często przy robieniu pończoch zamieszona oknem patrzyła na gołe podgórze i śniegiem pokryte doliny, że dziewczyna tam widziała rajske ogrody, pałace z drogich kamieni, ptaki z przepysznyemi miórami, panie

złotowłose, że zamarznęta rzeka zamieniła jej się we wzburzone morze, na którego falach kołysały się śliczne morskie panny.

Sułtanowi, który wyciągnięty jak długi chrapał na podłodze, ani się śniło o zaszczycie, jaki mu chłopcy przypisywali, uważając go za jakiegoś księcia zaklętego.

A przytem było tak miło w izbie, gdy zmrok zapadał! Urszula zamknęła okiennice, na kominku trzaskały smolne szczapy, w pośrodku izby ustawiono wysoki, drewniany świecznik, w żelazne ramiona tegoż nałożono zapalone łuczywa, w koło ustawiono ławy i stołki dla przednic, oprócz tego ustawiła Babunia na dorędziu słomiankę suszonego owocu, dla „odwilżenia języka“, jak mówiła.

Z jaką niecierpliwością czekały dzieci, prędko-li drzwi od sieni zaskrzypią i przednice się ukążą w pokoju! bo Babunia nie opowiadała prędeż, aż się wszystkie nie zgromadziły.

Przez dzień śpiewała staruszka adwentowe pieśni.

Póki dzieci Babuni jej dobrych i złych kolei życia, które przeszła, jeszcze tak dobrze nie znały, były przekonane, że każdej chwili od niej bajkę wydusić mogą.

Lecz Babunia poniekąd prędko się z niemi uporała, bądź to, że zaczęła opowiadać o pasterzu, który pasł trzysta owiec, i prowadząc je na pastwisko, przyszedł nad rzekę, przez którą tak wązki most prowadził, że owce tylko jedna za drugą przechodzić mogły.

— Teraz musimy poczekać, aż przejdą, — rzekła Babunia i umilkła.

A gdy po chwili dzieci zapytały:

— Babuniu, czy już owce przeszły przez most?

— odpowiedziała staruszka:

— Co wy myślicie, wszak dobre dwie godziny potrwa, zanim przejdą!

Dzieci wtedy wiedziały, co to orzeczenie znaczy.

Bądź też tak Babunia mówiła:

— Gdy już koniecznie chcecie, będę wam opowiadać. Wyobraźcie sobie, że mam siedemdziesiąt kieszeni, a w każdej kieszeni jedną bajkę; z której kieszeni wiec mam opowiadać?

— Niech będzie z dziesiątej! — zawołały dzieci.

— Więc z dziesiątej, dobrze. W dziesiątej kieszce jest taka bajka:

Był pewien król,
Miał za piecem dół,
A w tym dole kocura, —
Słuchajcie, bajka będzie długa!

I znów było po bajce. Najgorsze było, gdy Babunia wspomniała o „czerwonej czapeczce“. Tej bajki dzieci wcale słuchać nie chciały i wnet ich w izbie nie było.

Wiedząc, że się Babunia uprosić nie da, czekały cierpliwie na przedznicę.

Najpierwszą była zawsze Krystyna, za nią przychodził Mila, potem Cilka Kudrnowa z dworu, za tą znajomki Elżbiety i Urszuli, często i pani matka z młyna z Andzią lub żona leśniczego, a raz na tydzień przyprowadziła Krystyna ze sobą młodą Tomaszową, a wtedy się i Tomasz regularnie stawiał.

Nim się niewiasty ogrzały i do kołowrotek usiadły, rozmawiały o tem i owem. Miała która jakąś przygodę w gospodarstwie lub słyszała jakąś nowinę, zaraz o tem mówiono. Nadeszło święto, z którym połączony był obrządek ludowy, to i o tem mówiono. Naprzykład w wieczór przed św. Mikołajem zapytała Krystyna Adelkę, czy pończochę za okno zawiesiła, bo św. Mikołaj się już w okolicy pokazał.

— Babunia zawieszaj, jak spać pójdą, — odpowiedziało dziewczę.

— W takim razie nie dawaj twojej małej pończoszki, lecz poproś Babunię, ażeby ci swej wielkiej pożyczyła, — radziła Krystyna.

— To nie uchodzi, — zaprzeczył Janek, — bo my byśmy byli oszukani.

— Tobie i tak św. Mikołaj włoży tylko różgę, — szydziła Krystyna.

— Wszak św. Mikołaj wie, że Babunia ma różgę jeszcze z przeszłego roku, i że nas nią nigdy nie bije, — rzekł Janek; a Babunia oznajmiła, że Janek częściej na różgę zasłużył.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(58)

(Ciąg dalszy).

Dzień Łucyi był dla dzieci bardzo niemiły. Było bowiem podanie, że w tę noc chodzi Łucya, biała, wysoka, rozczochrana niewiasta i straszono dzieci, że je zabierze ze sobą, gdy będą nieposłuszne.*)

— Bojaźń to niemądrość, — mawiała Babunia i nie lubiła, gdy dzieci niepotrzebnie straszono. Staruszka bowiem dzieci pouczała, ażeby się niczego nie bały prócz gniewu Bożego; ale nie umiała im wybić z głowy niektórych zabobonów, jak to pan Proszek potrafił, gdy mu dzieci zaczęły opowiadać o utoplcu, o złych duchach, świetlakach, ognistych mężach, którzy poniekąd człowieka jak snop słomy przed sobą kulają, a którym w dodatku za takie „poświęcenie w drodze“ jeszcze pięknie podziękować potrzeba. Wiary w te podania u dzieci zachwiać Babunia nie była wstanie, bo sama w nie wszystkie mocno wierzyła.

Dla niej była cała przyroda ożywiona dobrymi i złymi duchami, wierzyła i w złego ducha z piekła, którego Pan Bóg na świat posłał, aby kusił lud Boży, ale nie bała się, bo miała w sercu mocną, niezłomną wiarę w Boga, w którego mocy jest cały świat, niebo i piekło, a bez którego woli człowiekowi włos z głowy nie spadnie.

Tę silną wiarę usiłowała zaszcześcić także w serca swoich wnuków.

Gdy więc Urszula w dzień Łucyi zaczęła mó-

*) I u Słowieńców jest podanie, że Łucya, niewiasta rozczochrana, owinięta w chustkę, z rzeszotem na głowie, chodzi po wsi.

wić o białej niewiaście, Babunia zaraz na służącą krzyknęła, objaśniając, że Łucya jest tylko zmyśloną postacią.

Najlepiej się Mila z dziećmi obchodzić potrafił. Wyrzynał chłopcom sanki, pługi, wózki, lub robił łączywa i chłopcy go nie odstępowali przez cały wieczór. Gdy była mowa o czemś strasznem i Wilemek się ze strachu do Tomasza tulił, mawiał tenże:

— Nie bój się Wilemku; na czarta wieźmiemy krzyż, na strachy kół i wymłócimy ich porządnie.

To się chłopcom podobało i byliby z Milą poszli o północy, dokądby był zechciał. Babunia zadowolona przytakiwała Tomaszowi, mówiąc:

— Co mężczyzna, to mężczyzna!

— Prawdę mówicie, Babuniu, — odezwała się Tomaszowa, — a i Jakób się ani czarta, ani rządcy nie boi, który jest gorszy od czarta!

— A jakże Jakóbie, że właśnie mowa o rządcy, czy masz nadzieję dostać się do służby dworskiej? — zapytała Babunia.

— Gdzie tam! Myślę, że nic z tego nie będzie, bo idą na mnie z dwóch stron, a wtrącają się jeszcze do tego różne złośliwe kobiety, i te mi dadzą resztę.

— Nie mów tak; może się to jeszcze da naprawić, — odezwała się smutnie Krystyna.

— Pragnąłbym tego sam, ale nie wiem. Córka rządcy się okrutnie na mnie gniewa, żeśmy Włochowi tego figla wypłatali. Miała zamiar za niego wyjść, a gdy go księżna nagle z obowiązków zwolniła, wpadło wszystko w wodę. Teraz rządcy ustawicznie brzęczy w uszy, ażeby mnie do dworskiej służby nie przyjmował. To macie pierwszą, drugą jest sołtysowa Łucya. Ta mnie kazała prosić, abym był „w długą noc“ jej królem, a ponieważ jej tej przysługi uczynić nie mogłem, sołtys

się na mnie gniewa i da Bóg na wiosnę będę, zdaje się, śpiewał:

„Gaj — gaj — gajeczku zielony,
Już jestem na wojnę chwycony!“

Mila zaśpiewał, dziewczyny mu wtorowały i tylko Krystyna płakała.

— Nie płacz, dziewczyno; do wiosny jeszcze daleko; kto wie, co Pan Bóg zrządzi, — pocieszała Babunia.

Krystyna otarła wprawdzie łzy, ale tego wieczoru już się nie rozweseliła.

— Nie myśl o tem, — rzekł Mila, — może to ojciec jako naprawi.

— A nie mógłbyś tym królem być? Wszak nie potrzebujesz się wiązać? — zapytała Babunia.

— A i owszem Babuniu! Wszak niektórzy chłopcy u nas chodzą do dwóch i trzech dziewczyn, zanim sobie nareszcie jedną wezmą za żonę, a dziewczyny postępują tak samo. Nie byłbym ja Łucyi pierwszym zalotnikiem i nie musiałbym być ostatnim; lecz u nas jeszcze tego nie było, ażeby młodzieniec do dwóch dziewczyn naraz chodził; a gdy się idzie za króla, to znaczy tyle, że się pójdzie na ślub.

— W takim razie dobrze zrobisz, jak nie pójdiesz, — rzekła Babunia.

— Co sobie Łucya umyśliła, że tylko ciebie chce, jakoby nie było dość innych chłopaków we wsi, — odezwała się rozgniewana Krystyna.

— Pan ojciec by rzekł: Co do upodobań, nie można się sprzeczać, — rzekła Babunia z uśmiechem.

Przed świętem Bożego Narodzenia były wieczory jeszcze więcej urozmaicone. Opowiadano bajki, śpiewano pasterki, rozprawiano o pieczeniu strucli i jasnej mące i maśle. Dziewczyny mówiły o laniu ołowiu, dzieci cieszyły się na orzechy, świeczki i Dzieciątko!

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z českého Paweł Rybok.

(59)

(Ciąg dalszy).

XII.

Było zwyczajem tak w młynie, jak u leśniczego i w „Starem Bielidle“, że ktokolwiek przyszedł w dzień uroczystości familijnej lub we wigilią Bożego Narodzenia, dostał jeść i pić do syta, a gdyby nikt nie był przybył, Babunia byłaby szła szukać gościa, chociażby na rozstajne drogi. Jaka więc radość uczuła, gdy we wigilią Bożego Narodzenia zupełnie niespodzianie zjawił się w „Starem Bielidle“ Kaspar, syn staruszki, z Oleśnicy wraz z synem. Babunia z radości całe pół dnia płakała i co chwilę odbiegała od pieczenia strucl i wchodziła do izby gościnnej, gdzie przybyli goście z dziećmi się bawili, aby się to synowi przypatrzeć, to bratanka zapytać, co ten lub ów ze znajomych w Oleśnicy porabia, a przytem często do wnuków mówiła:

— Patrzcie! tak wasz dziaduś wyglądał, jak ten tu wasz stryj, stryj tylko nie ma tego samego wzrostu, co dziaduś.

Dzieci przypatrywały się stryjowi z wszech stron, bo go bardzo polubiły, zwłaszcza dla tego, że chętnie na każde ich zapytanie odpowiadał.

Co rok chciały dzieci pościć, aby złote cielę zobaczyć, lecz nigdy do tego nie doszło, bo wola była dobra, ale ciało słabe. We wigilię Bożego Narodzenia otrzymały dzieci liczne upominki. Nie zapomniano także o bydle i drobiu, i podano zwierzętom cokolwiek z wszystkich potraw, jakie domownikom tego wieczora zastawiono.

Po wieczerzy zaś wzięła Babunia trochę z każdej potrawy i wrzuciła jedną część do potoku, aby woda czysta i zdrowa była, druga zagrzebała w sa-

dzie pod drzewem, aby ziemia rodziła, pozbierane okruchy zaś wysypała w „ogieniaszek“, aby nie „szkodził“.

Po wieczerzy poszła Baśka za chlew i trzęsąc bez, wołała:

„Trzęsę, trzęsę bez,
Powiedz mi ty pies,
Gdzie mój miły jest?“

W izbie lały dziewczyny ołów i wosk, a dzieci puszczały świeczki w orzechowych skorupach na wodę. Janek trącił potajemnie misę z wodą i gdy się skorupa jego z świeczką w pośrodek dostała, zawołał radośnie:

— Patrzenie, jak się daleko w świat dostanę!

— Ach! kochany chłopcze, gdy się dostaniesz w prąd życia pomiędzy wiry i skały, gdy rozburzone fale poczną łódką twego życia rzucać, wspomnisz wtedy na cichą przystań, z której wypłynąłeś, — pomyślała matka, krając jabłko chłopca „na szczęście“ poprzek w dwie części. — Jędra tworzyły gwiazdę, trzy paski były czyste, ale dwa napsute przez robaka. Odłożyła je matka z ciężkim sercem i rozkroiła jabłko Baśki, a widząc i tu gwiazdę przyémioną, pomyślała:

— Więc ani jedno, ani drugie nie będzie zupełnie szczęśliwe!

Rozkroiła potem jabłko Wilemka i Adelki, i w tych były zdrowe gwiazdki o czterech promieniach.

— Ci może będą szczęśliwi! — pomyślała matka.

Wtem Adelka zbudziła matkę ze zdumienia, skarżąc się, że łódka jej od brzegu nie chce odpłynąć, a tu już świeczka pali się do końca.

— Wszak moja świeczka także gaśnie i tak samo nie zapłynęła daleko, — pocieszał Wilemek siostrę.

Tu ktoś niespodzianie trącił misę, woda się wzburzyła, a łódki w pośrodku misy stojące utoneły.

— Widzicie, widzicie? Wy prędzej umrzecie od nas! — zawołał Wilemek z Adelką razem.

— Cóż takiego, kiedyśmy tylko daleko w świecie byli! — odpowiedziała Baśka, przyczem jej Janek przytakiwał.

Lecz matka smutno spoglądała na zgasłe światełka, a duszę jej opanowało przeczucie, czy może ta niewinna gra dzieci nie wieszczy ich prawdziwej przyszłości.

— A dzieciątko co nam przyniesie? — pytały dzieci potajemnie Babunię, gdy zaczęto sprzątać ze stołu.

— Czy nie wiecie, że Dzieciątka Jezus nie można ani widzieć, ani słyszeć? — zapytała Babunia.

— Dzieciątka Jezus, — ciągnęła staruszka dalej, — siedzi w niebie na świecącym tronie i zesłała dary dobrym dzieciom przez anioły, którzy przybywają na złotych obłokach, nie słysząc wtedy nic, jak tylko odgłos dzwonków.

Dzieci wpatrywały się w okna, słuchając nabożnie opowiadań Babuni. Nagle zamigotał blask światła przed oknami i w podwórzu rozległ się odgłos dzwonka. Dzieci złożyły ręce, jak do pacierza, Adelka zaś z cicha szepnęła:

— Nieprawdaż, Babuniu, to światło — to było Dzieciątko?

Babunia przytaknęła a w tem i matka weszła do pokoju i oznajmiła dzieciom, że im w Babuninej izbie Dzieciątka dary złożyło.

Co za radość ogarnęła dzieci na widok przepięknie ozdobionej i rześście oświetlonej choinki, pod którą piękne dary były rozłożone!

Aczkolwiek Babunia tego zwyczaju nie знаła, bo pomiędzy wiejskim ludem nie był rozpowszechniony, bardzo jej się podobał. Już rychło przed wigilią pamiętała staruszka o choince i pomagała córce przy jej ozdobieniu.

— W Nysie i Kłodzku panuje ten zwyczaj powszechnie, — rzekła Babunia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(60)

(Ciąg dalszy).

— Przypominasz sobie jeszcze, Kaspar? Byłeś wtedy już duży chłopak, — zapytała Babunia, siadając do niego na ławie przy piecu i zostawiając dzieci, które się podarkom dość nacieszyć nie mogły.

— Jakżebym nie miał pamiętać! Wszak to piękny zwyczaj, i dobrześ, Teresko, zrobiła, żeś go w famalii zaprowadziła. Dzieci będą miały piękne wspomnienia, gdy się kiedyś znajdą w trudach tego życia. Ten dzień człowiek najchętniej wspomina, szczególnie gdy jest na obczyźnie. Doznałem tego sam na sobie, gdym był kilka lat w świecie. Choć dosyć dobrze mi się powodziło, to jednak mi wciąż na myśl przychodziło:

— Gdybym dziś siedział u matki i jadł kaszę z miodem, kluski z makiem i kapustę z grochem, darowałbym wam chętnie wszystkie te dobre potrawy.

— Nasze potrawy, — przytaknęła Babunia, kiwając głową, — ale zaponiałeś o miészance*).

— O tę, jak wam wiadomo, nigdy nie dbałem; w Dobruszce nazywali miészankę „muzyką“. Myślałem o czemś innem, czegośmy zawsze wszyscy radzi słuchali.

— A już wiem, co masz na myśli; kolendę pastuszków, mamy ją tu także. Bądź cierpliwy, a niedługo ją usłyszysz, — rzekła Babunia, a nim skończyła, odezwała się już w podwórzu tuż pod

*)-Miészanka = suszone owoce.

oknami pasterska trąba. Muzyk odegrał wprzód melodyę pasterki, poczem zaczął śpiewać:

Pasterze, wstańcie, wesola nowina,
W Betleem w stajni rodzi Panna syna!

— Wierz mi, synku, gdybym tej pieśni nie słyszała, i wigilia by mi się tak nie podobała.

Potem wyszła staruszka w podwórze i obdarowała hojnie pasterza.

W święto św. Szczepana poszli chłopcy na kolendę do młyna i do leśniczego, bo inaczej byłaby pani matka myślała, że koniec świata, i sama by była do „Starego Bielidla“ przyszła.

Święta Bożego Narodzenia minęły. Dzieci już mówiły o „Trzech Królach“ i o nauczycielu, który podczas kolendy napisze na drzwiach „K. M. B.“ i o „długiej nocy“, którą potem przedniczki obchodzić miały.

Wprawdzie w „Starem Bielidle“ i w młynie nie obchodzono „długiej nocy“ tak jak we wsi, gdzie było dużo młodzieży.

Tam była muzyka, wybierali królową i króla, stroili kądziel i dawali warkocz.

W „Starem Bielidle“ i w młynie nie obchodzono „długiej nocy“ tak hucznie, ale wyprawili dobrą wieszczkę, przedniczki się poschodziły, więc śpiewali, jedli i tańczyli, a gdy się nagle za drzwiami odezwała katarzynka, rozpoczęły się w kuchni tańce.

Przyszedł także Tomasz, pan ojciec, leśniczy i kilku innych mężczyzn więc taniec się udał.

Kuchnia była wprawdzie wyłożona cegłami, lecz dziewczęta na to nie zważały, a którym trzewików żal było, tańczyły boso.

— Cóż, Babuniu? Moglibyśmy społem trochę pohasać, — odezwał się pan ojciec, wchodząc z izby gościnnej do kuchni, gdzie młodzież tańczyła, a Babunia dzieci pilnowała, które się z Tyrasem i Sultaniem bawiły.

— Ba! panie ojcze! Były czasy, kiedy nie zważałam na nogi, chociaż i pełno odcisków na nich miałam. Czym się to w gospodzie, czy to latem w stodole na boisku pokazała, zaraz chłopcy wołali:

— Dziewczyna przyszła, zagrajcie kołomyjkę, chyżo! — i już się w koło kręciłam. Lecz dzisiaj? Mój ty miły Boże! jestem jak para nad garnkiem.

— Cóż tam! Jesteście jeszcze zwrotna jak przepiórka, Babuniu, moglibyście spróbować, — namawiał pan ojciec, obracając swoją tabakierę w palcach.

— Tu jest dla was taniecznica, panie ojcze, a kręci się jak wrzeciono, — rzekła Babunia z uśmiechem, biorąc za rękę narzeczoną Tomasza, która właśnie tuż za panem ojcem stała.

Dziewczyna wzięła ochoczo pana ojca pod rękę i zawołała na Kudrnę, aby zagrał „obracanego“. Kudrna, trzymając w jednej ręce bryłę jagieł, które co chwilę do ust przytykał, zagrał „obracanego“, i pan ojciec musiał chcąc nie chcąc tańczyć. Towarzystwo się ożywiło jeszcze bardziej, młodzież klaskała w ręce, a pani matka, zaciekawiona, co się stało, weszła z izby gościnnej do kuchni. W tem samym okamgnieniu Tomasz poprosił panią młynarzewą do tańca, a pan ojciec, roztańczywszy się na dobre, wyprowadził panią Proszkową, i tak pewną chwilę tańczyła starszyzna.

Babunia się zaś potem z pana ojca naśmiewała.

Tyle co „długa noc“ minęła, nadszedł kiermasz w młynie. Pan ojciec zabił tuczego wieprza i zaprosił przyjacieli z „Starego Bielidla“ i pana leśniczego na smażone kiszki. Pan ojciec posłał po gości sanki.

Kilka dni później była uczta u leśniczego, na samym końcu u Proszków.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(61)

(Ciąg dalszy).

Potem nadszedł dzień św. Doroty. Królem Dyoklecyanem był Kudrnów Wacław, panną Dorotą tegóż siostra Lida, dwoma dworzanami, sędzią, katem i tegóż pomocnikami byli chłopcy z Zernowa. Pomocnicy i dworzanie nieśli worki na podarunki. W pobliżu domu Proszków była długa ślizgawka, przy której się aktorzy zatrzymali, aby ślizgania spróbować. Dorota panna musiała im się zdała przyglądać, trzęsąc się od dotkliwego zimna na całym ciele. Nawoływała wprawdzie do odejścia, lecz głos jej ginął wpośród radosnych okrzyków ślizgających się chłopaków, którzy się i śniegiem rzucali, gdy jeden o drugiego na lodzie zawadził.

Nareszcie doszli do „Starego Bielidla“, gdzie ich psy przywitały straszdem szczekaniem, a dzieci okrzykiem radości. Ustawili się około pieca, uporządkowali swe ubrania i złożyli worki na ziemię.

Kostyумы ich były proste: Panna Dorota była w bótach swego braciszka, w katunowych białych szatach, pożyczanych od Andzi, na szyi miała koralę, a zamiast welonu, miała białą chustkę od matki, na głowie papierową koronę. — Chłopcom zwieszały się na codziennych ubraniach białe koszule, w pas mieli różnobarwne chustki przewiązane, na głowach zaś czapki z papieru. Dyoklecyan miał także koronę na głowie, z ramion mu spadał długi płaszcz, — był to matki niedzielny fartuch w kwiaty.

Gdy się aktorzy trochę ogrzali, ustawili się w pośrodku izby i rozpoczęli przedstawienie, które dzieci wprawdzie co rok widziały, ale co rok się na nie szczerze cieszyły. Gdy nareszcie król Dyoklecyan, poganin, Dorotę, niewinną pannę i chrześciankę zasądził na śmierć przez kata, porwali ją pomocnicy i zaprowadzili na miejsce stracenia. Kat stał w groźnej postawie z obnażonym mieczem, a gdy panna Dorota stawała przed nim, krzyknął straszny głosem:

„Doroto panno, klękaj!
Mego miecza się nie lękaj,
Skłoń twą głowę jak przystoi,
Zetnę ci ją, jak kat w zbroi!

Dorota panna uknęła, skłoniła głowę, a kat ściał jej groźnym zamachem papierową koronę z głowy.

Potem się aktorzy ukłonili, Dorota panna wsadziła koronę na głowę i odeszła ku piecu.

— Widzicie, jak dzieci dobrze wiersze umieją, aż miło słuchać! — odezwała się służąca Urszula.

I Babunia miała dla nich słowa szczerego uznania.

Odebrawszy hojne podarki, aktorzy odeszli.

Przed „Starem Bielidłem“ zatrzymali się małą chwilkę, aby zobaczyć, co dostali.

Co było można zjeść, król natychmiast pomiędzy swych ludzi rozdzielił, pieniądze zaś wziął do swej kieszeni; bo jako przedsiębiorca całej wyprawy miał do tego prawo, zwłaszcza, że i wydatki wszelkie i odpowiedzialność był wziął sam na siebie.

Po takim sprawiedliwym podziale, puścili się aktorzy w drogę do Ryzenburka.

Dzieci w „Starem Bielidle“ powtarzały przez dni kilka wiersze i odgrywały „Dorotę pannę“. — Tylko matka nie mogła ich pojąć, że im się takie głupstwo podobało.

Nadeszły „ostatki“. W niedzielę zajechały z miasta piękne sanki z dzwonkami przed „Stare Bielidło“. Dzwonki przy każdym poruszeniu się koni tak silnie dzwoniły, że wrona, zimowy gość w Proszkowem podwórzu, ze strachu uleciała na wysoki jarzab, a kury i wróble z wielkiem zdziwieniem i przerażeniem w około spoglądały, myśląc zapewne:

— Co to jest? Czy po króla jadą?

Przyjechali po Proszków na „mięsopust“ do kumotra Stanickiego. Babunia tam dotąd nigdy nie chciała jechać, wymawiając się:

— Takie państwo, to nie dla mnie; ja zostanę w domu.

Stanicecy byli zaci ludzie, lecz ponieważ mieli gościniec, zjeżdżało się do nich w „mięsopust“ dużo gości, nawet kilka mil od miasteczka mieszkający

przybywali. W tak liczmem towarzystwie nie czuła się skromna Babunia swobodną.

Proszkowie wrócili z „mięsopestu“ późno wieczorem. Dzieci przyniosły Babuni „wysługę“ od Stanickich, chwaliły huczną muzykę, jaką tam sły-
szwały i opowiadały o gościach, jakich poznały.

— Kogóż takiego? — zapytała Babunia.

— Kupca Włocha, który do nas jeździ i nas zawsze figami częstuje. Nie bylibyście go wcale poznali, bo nie był taki brudny, jaki tu do nas przyjeżdża; był wystrojony jak książę pan i miał złoty łańcuszek przy zegarku.

— Czego dużo jest, w tem snadno pływać! — rzekła Babunia; — a zresztą, — dodała staruszka, — wy także nie idziecie pomiędzy ludzi w tem samem ubraniu, w którem się w domu walacie. Człowiek winien chodzić w czystem ubraniu, gdy mu na to starczy.

— Ale ten dopiero musi być bogaty, nie prawda? — pytały dzieci dalej.

— Nie wiem; nie patrzałam w jego skrzynkę, lecz być może, że tak jest, bo z niego dobry kupiec.

W dzień po „mięsopestu“ przyszły maski z samym „mięsopestem“ na czele, który był grochowi-
winą owiązany i miał wygląd niedźwiedzia.

W każdej chałupie urywały kobiety z tejże grochownicy po garści i kładły później przy sadze-
niu jaj gęsiom w gniazda, aby dobrze siedziały.

Mięsopest minął i stał się koniec wszelkim zimowym zabawom i rozrywkom.

Babunia śpiewała „gorzkie żale“, opowiadała dzieciom żywot Chrystusa Pana, a w pierwszą nie-
dziele postu ubrała się w żałobę.

Dni stawały się dłuższe, słońce było cieplej-
sze, łagodny wiatr lizał śnieg na polach.

Kury gdakały wesoło w podwórzu, a gdy się gospodynie spotkały, mówiły o sadzeniu jaj i zasie-
wie lnu.

Gospodarze naprawiali pługi i brony.

Gdy rano pan ojciec tamę dojrzał i chciał wstąpić na chwilę do „Starego Bielidla“, aby z Ba-
bunią „słówko pomówić“, nie mógł prostą drogą przejść, bo lód puszczał na rzece i kawał za kawa-
łem „płynął w świat“, jak mawiał pan ojciec.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(62)

(Ciąg dalszy).

Minęła niedziela „Oculi“, minął potem znów tydzień jednostajnego życia w „Starem Bielidle“. Lecz z początkiem następnego tygodnia dzieci cieszyły się znów na przyszłą niedzielę i gdy tylko ranek niedzielny zawitał, biegały wesoło w podwórzu, czyniąc różne przygotowania, bo po południu miały „wynosić śmierć“; dziewczynki zaś radośnie wołały:

— Dziś jest nasza kolenda!

Dziewczyny zgromadziły się po południu w młynie, aby „ustroić śmierć“. Celinka zrobiła ze słomy wielką lalkę, każde z dziewcząt ofiarowało coś ze swej odzieży, aby lalkę ustroić, bo im piękniejsza Marzana *) była, tem większa chluba dla dziewcząt. Ustrojoną Marzanę wzięły dwie dziewczyny pod pachy, reszta młodzieży ustawiła się parami za niemi, i tak idąc z młyna do rzeki, śpiewali:

„Śmierć niesiemy ze wsi
Nowe lato do wsi!“

Starsza młodzież szła opodal za niemi, chłopcy wyśmiewali się z ustrojonej lalki i chcieli Marzanie zerwać czepiec z głowy, lecz dziewczynki na to nie zezwoliły. Stanąwszy przy rzece, czempredziej rozebrały śmierć i cisnęły słomianą lalkę z wielkim krzykiem w wodę. Potem zgromadzona młodzież obojga płci zaśpiewała:

„Płynie śmierć po wodzie,
Lato do nas idzie!
Kraszonymi jajkami,
Słodkimi kołaczkami
Gościć je będziemy“.

A potem dziewczynki same zanuciły:

„Lato, lato, lato,
Gdzieś tak długo było?“

*) Marzana czyli śmierć w słowiańskiej mitologii.

U studzienki, u wody,
Myło ręce i nogi!
Fiołek, ani róża kwitnąć nie może,
Póki ich Pan Bóg nie wspomóże!“

Nareszcie sami chłopcy tak się chórem odezwali:

„Święty Piotrze z nieba,
Daj wina i chleba,
Abyśmy się napili,
Pana Boga chwalili!“

— Chodźcie, chodźcie, kolendziarze! — zawołała pani Proszkowa, — wina wam nie dam, ale może co innego dla rozweselenia.

Młodzież weszła do izby, a Krystyna i starsze znajomki, śpiewając i żartując, podążyły za niemi do „Starego Bielidla“.

W palmową niedzielę rano pobiegła Baśka nad rzekę po „kotki“, które kwitły w sam czas, jakoby wiedziały, że ich właśnie potrzeba, i zabrała je z sobą do kościoła, gdzie je ksiądz podczas sumy poświęcił.

W wielką środę wyniosła Babunia kołowrotek na górę, co widząc Adelka, zawołała:

— Szkoda! kołowrotek wędruje na strych, Babunia będzie prząść na wrzecionku!“

— Da Pan Bóg dożyć zimy, to zniesiemy znów kołowrotek do izby, — rzekła Babunia.

W wielki czwartek wiedziały dzieci, że nie dostaną niczego innego na śniadanie, jak „judaszki“ *) z miodem.

W „Starem Bielidle“ nie było wprawdzie pszczół, ale ile razy pan ojciec zaglądał do swoich uli, tyle razy przysyłał plaster miodu do państwa Proszków. Pan ojciec był zawołanym pszczelarzem i miał dużą pasiekę; przyobiecał także pani Proszkowej jeden rój, bo nieraz słyszał od Babuni, żeby sobie staruszka niczego więcej nie życzyła, jak pszczół.

— Człowiekowi weselej na sercu, — mawiała Babunia, — gdy widzi, jak pszczoły bezustannie opuszczają ule i bezustannie wracają z pól i drzew, niezmordowane nigdy w pracy.

*) Koiaczki z miodem.

— Baśko, wstawaj! Słońce już wschodzi! —
budziła Babunia w wielki czwartek rano wnuczkę,
klepiąc dziewczynę z lekka po plecach.

Baśka miała lekki sen, więc zaraz się obudziła,
a spostrzegłszy Babunię przy łóżku, przypomniała
sobie, że wczoraj wieczorem była prosiła staruszkę,
aby ją obudziła na ranne nabożeństwo. Podniosła
się więc czempredzej, ubrała w sukienkę, zarzuciła
chustkę i poszła z Babunią do kościoła. Urszulę i
Elżbietę także staruszka obudziła.

— Dzieci niech śpią, bo jeszcze tego nie rozu-
mieją, zmówimy za nie „Ojcze nasz“, — rzekła
Babunia.

— Jak tylko drzwi u sieni zaskrzypiały, wnet
się odezwał drób i cały dobytek, psy wyskoczyły
z bud. Babunia psy odpędziła, a do reszty dobytku
rzekła:

— Miejcie cierpliwość, aż wrócimy z kościoła.

Baśka umyła sobie, jak Babunia rozkazała,
twarz w potoku i potem udały się niewiasty na
wzgórze, aby tam zmówić dziewięć „Ojcze nasz“ i
„Zdrowaś“ i prosić Pana Boga o czystość ciała,
jak to było zwyczajem, przez rok następny.

Staruszka uklękła, złożyła wychudłe ręce do
rzewnej modlitwy, zwróciła spokojne oczy pełne
wiary na wschód, gorejący od rannej zorzy.

Baśka klęczała obok staruszki, świeża, ru-
miana, jak pączek róży. I ona się chwilę modliła
nabożnie, ale potem jej jasne, wesołe oczy zwróciły
się na lasy, łąki i góry. Brudne fale rzeki płynęły
leniwie w dolinę, unosząc ze sobą kawały lodu i
śniegu; w przerwach podgórze bielał jeszcze śnieg,
ale tu i tam zieleniła się trawa, kwitły wczesne
gęsie kwiatki, drzewa i krzaki puszczały, cała przy-
roda budziła się radośnie do nowego życia. Czer-
wone zorze zbladły na firmamencie, na wierzchoł-
kach gór zabłysnęły złote promienie słońca, które
się coraz wyżej wzbijało, aż się nareszcie pokazało
w całej swej piękności i rozlało światło po całej
przestrzeni. Przeciwnie wzgórze było jeszcze w
pomroku zatopione; nad tamą opadała mgła niżej,
coraz niżej, z ponad której było widać obok piły
klęczące dziewczyny pilarza.

(Ciąg dalszy nastąpi)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(63)

— — —
(Ciąg dalszy).

— Patrzcie, Babuniu, jak pięknie słońce wschodzi, — zawołała Baśka, cała pogrążona w przedudne zjawisko natury.

— Gdybyśmy teraz klęczały na śnieżniku! — dodała dziewczyna.

— Jeżeli się chcesz rzewnie do Pana Boga modlić, możesz to wszędzie uczynić, bo ziemia jest wszędzie piękna, — rzekła Babunia, żegnając się krzyżem św. i podnosząc się z ziemi.

Niewiasty spojrzały wokoło siebie i spostrzegły na najwyższym wierzchołku wzgórza Wikcie, opartą o drzewo. Czarne jak krucze skrzydło włosy, zwilżone rosą, zwieszały się na twarz obłąkanej, odzież miała podartą, szyję i piersi obnażone, czarne oczy, żarzące się dziwnym ogniem wlepiła w słońce, w ręce trzymała kwitnący pierwiosnek. Babuni nie zauważyła.

— Patrzcie! Gdzież ona ten kwiat znalazła? — zapytała Baśka.

— Może gdzie na wierzchach gór, wszak tam błądzi po każdym kącie! — odpowiedziała Babunia.

— Poproszę ją o kwiat! — rzekła Baśka i pobiegła na wzgórze.

Wtem się Wikcia z zamyślenia obudziła i chciała prędko odejść, lecz gdy Baśka zawołała:

— Wikcio, proszę cię, daj mi ten kwiatek, — zatrzymała się nagle, spuściła oczy na ziemię i nie mówiąc słowa, podała kwiatek dziewczynie. Potem wstrząsała się, jakby ją coś ukłuło, i prędko jak strzała pobiegła w dolinę.

Baśka wróciła do Babuni.

— Nie była już dawno u nas, — odezwała się Babunia.

— Wczoraj, gdy byliście w kościele, przyszła

do nas; mamusia jej dała bochenek chleba i jeden kołaczek“, — rzekła Baśka.

— Teraz będzie biednej lepiej w lesie, ale Bóg wie, ta niewiasta nie ma czucia. Całą zimę chodzi w lekkim ubraniu i boso. Wszak zostawały po niej krwawe ślady na śniegu, a szła dalej, jakby nigdy nic. Jak chętnieby jej pani komotra w leśnicy dała codziennie ciepłego jedzenia do syta, ale nie przyjmie niczego innego jak kawałek chleba. Nieszczęsne stworzenie!

— Z pewnością jej w jaskini nie jest wcale zimno, Babuniu, inaczejby gdzieindziej schroniska szukała. Wszak my już często prosiły, ażeby u nas została, — rzekła Baśka.

— Pan leśniczy mówił, że w takich podziemnych dziurach jest w zimie ciepło, a ponieważ Wikcia nigdy nie przyjdzie do ogrzanego pokoju, nie odczuwa zimna tak jak my. Są w tem rzędy Boskie; On daje aniołów stróżów dzieciom, aby je strzegły od wszelkiego złego, a i Wikcia jest Jego dzieckiem, — rzekła Babunia, wchodząc do mieszkania.

W inne dni roku rozlegał się na „Anioł Pański“ w południe i wieczór dzwonek w kaplicy na żernowskim wzgórzu, lecz dzisiaj wybiegli Janek i Wilemek z terkotkami w podwórze i tak terkotali, że wróble z dachu spłoszyli.

Po połupniu wybrała się Babunia z dziećmi do miasteczka do „Bożego grobu“ i wstąpiła po drodze do miyna po panią matkę i Andzię.

Pani matka zaprowadziła Babunię do komory i pokazała staruszce pełną słomiankę kraszonych jaj dla koleudziarzy, cały rząd kołaczy i tuczego baranka. Potem dała pani matka dzieciom po małym kołaczku, lecz pominęła Babunię, wiedząc dobrze, że staruszka nie brała nic w usta od pierwszego śniadania w wielki czwartek aż do wieczery po zmarłychwstaniu.

Pani matka wprowadziła także pościła w wielki piątek, lecz stanowczo twierdziła, żeby tak ściśle pościć jak Babunia nie była w stanie.

— Niech każdy pości jak mu sumienie nakazuje, pani matko, — mawiała Babunia, — ja bowiem myślę tak:

— Gdy ma być post, niech będzie post!

Obejrzawszy wszystko dokładnie, wychwalała Babunia sztukę pani matki, i w końcu rzekła:

— My się jutro do pieczenia zabierzemy, przygotowałyśmy już wszystko; dzisiejszy zaś dzień poświęcamy modlitwie.

Tego zwyczaju trzymano się w „Starem Bielidle“, gdzie słowo Babuni było święte. Za to we wielką sobotę był tam już od wczesnego rana ruch jak na pragskim moście: w izbie, kuchni, podwórzu, przy piecu, wszędzie spotykało się pilne ręce, a do którejkolwiek z niewiast dzieci się ze swojemi potrzebami zwracały, każda się skarżyła, że nie ma czasu, że nie wie, gdzie jej głowa stoi; nawet Baśka miała tyle pracy, że zapomniała jedno przez drugie.

Lecz pod wieczór było po wszelkiej robocie, a Babunia, pani Proszkowa i Baśka wybrały się do kościoła na zmartwychwstanie.

Kościół był rzęsiście oświetlony i przepełniony nabożnym ludem.

Gdy cała gmina zaśpiewała potężnym głosem: „Chrystus zmartwychwstał! Alleluja!“ opanowało Baśkę tak gwałtowne uczucie radości, że ją mocą pchało z kościoła w szeroką dolinę, aby wykrzykiwać z radości, która jej serce przepełniała. I błogie jakieś rozrzewnienie trzymało przez cały wieczór w swej mocy dziewczynę, która na „Dobra noc!“ padła Babuni na szyję i cicho płakać zaczęła.

— Co tobie jest? Dla czego płaczesz? — zapytała Babunia.

— Nie mi nie jest, Babuniu; czuję taką radość, że muszę płakać, — odpowiedziała Baśka.

Staruszka schyliła się i pocałowała ją w czoło, nie mówiąc słowa.

Wszak znała swoją Baśkę!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(64)

(Ciąg dalszy).

W pierwsze święto wielkanocne zabrała Babunia ze sobą do kościoła kołacze, wino i jaja, aby uzyskać ich poświęcenie. Wróciwszy do domu, podzieliła święconem każdego z domowników i poczęstowała święconem winem. Resztki i okruchy święconego przeznaczyła dla drobiu i dobytku jak w wigilią Bożego Narodzenia, aby się zwierzęta trzymały domu i dawały hojny pożytek.

W poniedziałek wielkanocny miały niewiasty zły dzień, bo nań przypadał dyngus i kolenda.

Tyle, co w „Starem Bielidle“ wstali, a już się odezwał głos za drzwiami:

— Jestem mały kolendziarek itd. i naraz zapukał ktoś w drzwi. Baśka poszła otworzyć, ale otwierała ostrożnie, bo mogli to być chłopcy, a było wiadomem, że nikt ze znajomych nie oszczędzał różgi. Lecz był to pan ojciec z młyna; stawił się najpierwszy ze wszystkich.

Przyszedł jak święty, winszował „szczęśliwych i wesołych świąt“, a pod kabatem miał schowaną różgę wierzbową, którą nagle wyciągnął i zaczął okładać niewiasty co nie miara. Dostały wszystkie swoje; nie pominął ani gospodyni domu, ani Adelki, ani Babuni, uderzając wszystkie po łądach, aby je „pchły nie szczypały!“

Za to otrzymał pan ojciec jak każdy inny kolendziarz jajko i jabłko.

— A wy chłopcy, jakieście kolendowali? — zapytał pan ojciec.

— To mi ładni bracia! Inny raz nie chcą się z łóżka ruszyć, ale dzisiaj, tyle com wstała, już byli na nogach i w izbie, aby mnie różgą chłostać, — skarżyła się Baśka, a pan ojciec i chłopcy się śmiali i zacierali ręce z radości.

Później przyszedł pan leśniczy, Miła i Tomasz; krótko mówiąc: nie było spokoju przez cały dzień.

Zrobiła się wiosna na dobre; ludzie pracowali już w polu; na wzgórzu wygrzewały się jaszczurki i gady, o których dzieci z bojaźnią opowiadały, idąc na zamkową górę po fiołki i konwalie.

Babunia uspokajała dzieci i tłumaczyła im, że do św. Jerzego żadne zwierzę nie jest jadowne i zapewniała, że żmiję przed tym czasem spokojnie można wziąć w rękę, i pouczała, że wtedy dopiero jest w robactwie jad, gdy słońce stoi już wysoko na niebie.

Na łące za tamą kwitł kołotocznik i ranunkul; na podgórzu modrzał zawilec i świecił się złoty pierwiosnek. Dzieci zbierały pączki do polewki, przynosiły pokrzywy dla gąsiąt, a ilekroć Babunia szła do obory, przyrzekała „krasiatej“, że już niedługo pójdzie na pastwisko.

Drzewa się prędko pokryły liściem; chrabąszcze brzęczały o zmroku, skowronki wzbijały się w powietrze, śpiewając wesoło. Kukułka kukła w lesie, a dzieci, ciekawe, jak długo żyć będą, pytały na głos:

— Kukułeczko, powiedz nam, ile lat będziemy żyć!

Niekiedy kukułka odpowiadała, lecz niekiedy milczała uporczywie, i Adelka się potem na nią gniewała, twierdząc, że umyślnie nie chce zakukać.

Chłopcy nauczyli Adelkę robić wierzbowe pieszczalki, a gdy zrobiona według ich wskazówek pieszczalka nie piskała, obwiniali dziewczę, że przy robieniu nie powiedziała dokładnie słów, jakie była powiedzieć powinna.

— Wy dziewczyny nie umiecie ani pieszczalki zrobić! — naśmiewał się Janek.

— Bo to nie nasza rzecz; ale ty nie umiesz zrobić takiego czepca jak ja! — odcinała się Baśka, pokazując braciom czapkę z olszowego liścia ozdobioną kokartką, jaką za pomocą szpilek zrobiła.

— Chm! to jest sztuka, — zawołał chłopak, kręcąc głową.

— Dla mnie to sztuką nie jest, ale dla ciebie, — odpowiedziała szyderezko Baśka i zrobiła w taki sam sposób jeszcze sukienkę i lajbik.

Janek położył wierzbowy pręcik na kolanie i rzekł do Adelki:

— Teraz uważaj i słuchaj, jak ja to robię! —
I uderzając wierzbowy pręt trzonkiem noża, mówił

„Leniej mi się piszczałeczko,
Bo jak mi się nie wyleniesz,
Naskarzę u króla Pana,
Który przyśle szambelana
Srogo cię ukarać.
Husz, husz, husz.
Weźmie z kabzdy nóż;
Rozpruje pół brzucha,
I wyzioniesz ducha;
Rozetnie ci flaczek
Będziesz pisać jak żaczek“.

Piszczałka była gotowa i piskała dobrze, ale Wilemek twierdził, że ani w przybliżeniu tak pięknie nie piska jak Wacławowa fujarka. Wyrabianie piszczałek znudziło się chłopcu, zrobił sobie więc z prętów wózek, zaprzął się do niego i pobiegł z psami na łąkę. Baśka dała Adelce gotową lalkę i rzekła:

— Masz; ale naucz się sama wyrabiać, bo któż się z tobą bawić będzie, gdy pójdziemy do szkoły? Będiesz potem sama.

— Z Babunią się bawić będę, — odpowiedziała dziewczynka z miną, z której było można wyczytać, że jej się samotność wprawdzie bardzo podobać nie będzie, lecz gdy jej tylko Babunia zostanie, będzie zupełnie kontenta.

Wtem nadszedł pan ojciec i wręczając Baśce list, rzekł:

— Oddaj list matce i powiedz, że młynarczyk był w mieście i otrzymał pismo na poczcie.

— To z pewnością tatuś pisze! — zawołały dzieci radośnie i pobiegły do domu.

Pani Proszkowa przeczytała list z wielką radością i oznajmiła wszystkim, że ojciec wróci z księżną w połowie maja.

— Ile razy jeszcze do powrotu tatusia spać pójdziemy? — zapytała Adelka.

— Może czterdzieści razy, — rzekła Baśka.

— Oje! jeszcze tak długo, — zawołała dziewczynka.

— Wiesz co? — zapytał Wilemek, — ja zrobię czterdzieści kresek na drzwiach i co rano, jak wstanę, jedną zmażę.

— Zrób to. ubiegnie ci prędzej czas, — rzekła matka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(65)

(Ciąg dalszy).

Pan młynarz idąc od tamy, zatrzymał się przed „Starem Bielidłem“. Patrzył pónuro, ust nie wykrzywiał, oka nie zmrużał; tabakierę trzymał w ręce, lecz jej nie obracał jak zwykle, tylko od czasu do czasu uderzał palcami po wieku.

— Wiecie co nowego, ludkowie? — zapytał wchodząc do pokoju.

— Co się stało? — zapytały Babusia i pani Proszkowa jednogłównie, spostrzegłszy wielką zmianę w zachowaniu się pana ojca.

— Będzie powódź!

— Nie daj Boże, aby nadeszła nagle i niespodzianie — odezwała się przestraszona Babunia.

— Właśnie tego się obawiam — rzekł młynarz — mieliśmy bowiem już od kilku dni wiatr z południa, a w górach były deszcze, jak mi ludzie w młynie mówili; wszystkie potoki wzbierają, śnieg taje nagle. Tego roku będzie źle, jak mi się zdaje. Pójdę zaraz do domu, aby wszystko nieproszonemu gościowi uprzętnąć z drogi. Radziłbym, ażebyście się mieli na pogotowiu, bo przezorność nigdy nie zaszkodzi. Po południu przyjdę zobaczyć, coście zrobili. Uważajcie, jak woda przybiera, a ty, mała czeczotko, odprowadź mnie do potoku — rzekł pan ojciec i odszedł z dziewczynką.

Babusia poszła popatrzeć ku tamie. Po obydwóch brzegach były usypane groble, wzmocnione dębowymi belkami, pomiędzy którymi wyrastała paproć.

Po groblach widziała Babusia wyraźnie, że wody przybывało; najniższe krzaki paproci zanurzały się już w wodzie. Mętne fale unosiły ze sobą drzewa, darnie i gałęzie.

Staruszka wróciła stroskana do domu.

Zdarzało się wiosną, że kra zatrzymywała się często przy tamie, wskutek czego prąd rzeki skierował się do młynówki i zalał domostwo młynarza.

Tego się pan ojciec zawsze obawiał, gdy lód pękał; dla tego rozkazał pomocnikom swoim, ażeby się ustawili przy tamie i ciągle byli w pogotowiu, aby zapobiedz niebezpieczeństwu. Lecz przed powodzią górską obrony nie było.

Jak rozhukany koń przypędziła z gór, zabierając ze sobą, co w drodze napotkała; rozdzierała groble i brzegi, wrywała drzewa, zmiatała domy i to wszystko następowało prędko i niespodzianie.

Wróciwszy do domu, radziła Babusia, która już nie jedną powódź pamiętała, ażeby wyniesiono sprzęty z izby na górę, co się też niebawem stało.

Tymczasem nadszedł pan leśniczy, który przechodząc około piły, był się dowiedział, że się zbliża wielka woda, i naocznie się o tem nad rzeką przekonał.

W końcu rzekł pan leśniczy tak:

— Dzieciby wam tu tylko przeszkadzały, a gdyby się stała bieda, cóżbyście tu z niemi robili?! Myślę, że będzie najlepiej, gdy je ze sobą zabiorę.

Niewiasty były zato leśniczemu wdzięczne.

Uprzątano i przenoszono wszystko w „Starem Bielidle“; drób umieszczono na wzgórzu w suszarni, krowę u pana leśniczego.

Gdy było wszystko uporządkowane, odezwała się Babusia do córki i Elżbiety:

— Idźcie za dziećmi, ażeby pani kumotra nie miała z niemi zbyt wiele kłopotu, ja zostanę z Urszulą tu na miejscu. Przyjdzie woda do izby, schronimy się na górę, a da Bóg, nie będzie tak źle, ażeby nas powódź z chałupą zabrała. Wszak dom nie jest tak nisko położony, jak młym; z tymi tam biedakami będzie gorzej.

Pani Proszkowa nie chciała długo zezwolić, aby Babusia została, lecz gdy staruszka koniecznie przy swoim obstawała, odeszła nareszcie.

— Ażeby wam psy nie uciekły! — zawołała jeszcze z drogi pani Proszkowa.

— Nie obawiaj się, psy dobrze wiedzą, gdzie szukać schronienia; one nas nie opuszczą — odpowiedziała Babunia.

I rzeczywiście tak Sułtan jak Tyras nie odstępowały od staruszki ani na chwilę, a gdy Babunia usiadła z wrzcionem przy ~~oknie~~ skąd widziała

rzekę, położyły jej się u nóg. Urszula przyzwyczajona do ustawicznej roboty, zabrała się do chędożenia obory, ażeby chociaż coś robić, i ani pomyślała, że może za godzinę chlew będzie przepelniony wodą i błotem.

Zmrok zapadał. Wody coraz więcej przybywało, koryto rzeki było już prawie przepelnione. Łąka za tamą stała już pod wodą. Aczkolwiek „Stare Bielidło“ było nisko położone i brzegi rzeki były wysoko usypane widziała Babuina wyraźnie kołysające się w wąskim korycie brudne fale wody. Odłożyła wrzeciono, złożyła ręce i zaczęła się modlić. Urszula weszła do izby.

— Woda huczy, aż groźno słuchać; zwierzęta jakoby czuły, że będzie się coś działo, pokryły się; ani jednego wróbla nie widać — rzekła służąca, ocierając ławę pod oknem.

Wtem rozległ się tentent kopyt końskich; drogą od tamy jechał szalonym pędem jeździec; przed „Starem Bielidłem“ zatrzymał się na chwilę i zawołał:

— Ratujcie się ludzie, woda idzie! — i popedził potem jak wichur do młyna i miasta.

— Bóg z nami! W górach musi być źle, że posłali wiadomość! — rzekła Babunia i zbladła jak ściana.

Lecz pomimo strachu przymawiała Urszuli, ażeby się niczego nie obawiała, potem poszła jeszcze raz zobaczyć, czy niebezpieczeństwo blisko i czy woda już wylała. Nad rzeką spotkała pana ojca.

Pod wieczór przyszedł Mila z Kudrną do „Starego Bielidla“, ofiarując Babuni swoją pomoc. Lecz staruszka odprawiła Kudrnę i tak rzekła:

— Wy macie dzieci, gdyby was tu nieszczęście spotkało, nie miałabym już nigdy spokojnego sumienia; a gdy już koniecznie kto z nami ma zostać, niech zostanie Jakób, jemu to lepiej przystoi, w gospodzie zaś nie jest potrzebny, bo tam się nie mają czego obawiać; w najgorszym razie dostanie im się woda do chlewa.

Kudrna odszedł.

O północy było już „Stare Bielidło“ otoczone dokoła woda.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(66)

(Ciąg dalszy).

Kudrna wrócił z doliny i opowiadał o wyrządzonej tam przez powódź szkodie. I tak zabrała woda w Zliszczu dwa domy; w jednym mieszkała staruszka, która pomimo nawoływań wysłanego z gór posłańca wytrwała na miejscu i dopiero wtedy o ratunku pomyślała, gdy już było za późno. Mosty, drzewa, jednym słowem wszystko, co rozhułkanemu żywiołowi było w drodze, uległo zniszczeniu.

W młynie musieli się schronić na górę. Krystyna przyszła się dowiedzieć, czyby odciętym nie mogła przynieść ciepłego obiadu, lecz okazało się, że przebrodzić do „Starego Bielidla“ było już niemożliwym.

Powódź trwała dwa dni w całej pełni; dopiero na trzeci dzień woda opadać zaczęła.

Dzieci się nie mało zadziwiły, wróciwszy z leśnicy. Ogródek przed domem stał jeszcze pod wodą, w sadzie leżał spław na kilka stóp wysoko, miejscami były głębokie dziury wymulone, wierzby i cisze do wpół obłoczone gliną, most woda zabrała, chlewy głęboko podmyła.

Chłopcy poszli z Adelką za dom. Rosły tam młode drzewka, które przed rokiem z boru przynieśli i z pomocą Babuni zasadzili. Na szczęście zastali wszystkie nieuszkodzone. Pod gruszą byli wystawili małą chatę, naokoło niej założyli ogródek, ogrodzili płotem, naokoło niego wykopali rowek, ustawili młynki, które ściekająca po deszczu woda obracała. Obok wymurowali piec gdzie Adelka chlebaszki z gliny wypiekała.

Z całej tej osady nie zostało ani śladu.

Babunia, słysząc płacz i narzekanie wnuków, rzekła:

— Dzieci! jakże się wasze cacka przed żywiołem ostać miały, gdy stuletnie drzewa i murowane domy okazały się za słabe.

W kilku dniach osuszyło słońce pola, łąki i drogi, wiatr rozwiał suche błoto na wszystkie strony świata; trawa zieleniała się świeżej jak przedtem, i mało tylko zostało smutnych pamiątek po powodzi, ale ludzie długo o niej mówili.

Jaskółki wróciły. Dzieci z radością witały miłych gości i cieszyły się niezmiernie, że już teraz nie długo pan Beyer przybędzie, a potem wróci do domu ukochany tatuś.

W dzień św. Filipa i Jakóba pod wieczór naznaczyła Babunia trzechkrólową kredą wszystkie drzwi w domu i chlewie trzema krzyżykami i poszła z dziećmi na zamkową górę. Chłopcy nieśli na ramionach stare miotły. Na szczycie góry zgromadziła się czeladź dworska, nie brakło i pana ojca z Andzią i Mili z Krystyną. Wacław Kudrna pomagał z braćmi Mili namaczać smołą miotły, a reszta chłopców układali stos z drzewa i choin.

Noc była piękna; ciepły wiatr powiewał po zielonem zbożu i roznosił woń kwiecia z parku i ogrodu po całym pagórku. W pobliskim lesie lukała sowa, kos szczebiotał na wysokiej topoli przy wiejskiej drodze, z krzaków w parku rozlegał się śliczny śpiew słowika.

Nagle wybuchnął płomień na zliczkiem wzgórzu, chwilę później pokazał się słup ognia na żernowskim wierzchu, a po podgórzach zabłysnęły większe i mniejsze ognie. W oddali na wierzchołkach nachodzkich gór i het daleko pod Nowem Miastem płonęły ognie, migotały światła.

Teraz i Mili zapalił smołą namoczoną miotłę i rzucił na stos drzewa i choin. Po kilku chwilach wzbił się słup ognia ku niebu. Zgromadzeni przygnęli z radości, każdy chwycił osmoloną miotłę.

zapalił i cisnął w powietrze jak mógł wysoko, wołając przytem:

— Leć, czarownico, leć!

Potem młodzi się ustawili z płonącemi pochodniami do tańca, dziewczyny zaś, trzymając się za ręce, utworzyły koło naokół ognia, a gdy stós się już dopalał, skakały przez ogień i im dalej która skoczyła, tem większe oklaski zyskała.

— Patrzcie! ta stara czarownica musi najwyżej wylecieć! — zawołał Mila i chwyciwszy miotłę, cisnął ją z taką siłą w górę, że powietrze zaświastało i miotła spadła dopiero na zielonem polu, gdzie widze stali.

Wszyscy klasnęli w ręce na znak uznania.

Z żernowskiego i zliczkiego wzgórza było słychać hałas, śmiech i śpiew. Około czerwonego ognia przesuwały się fantastyczne postacie, wyprawiające dziwne tańce. Od czasu do czasu wyleciał ognisty snopek w górę, przewrócił się wysoko w powietrzu i rozsypał się w tysiące iskier.

— Patrzcie! tam ta się wysoko wzbija! — zawołała Andzia, pokazując palcem na żernowskie wzgórze.

Wtem zgięła jedna z starszych kobiet dziewczynie rękę ku ziemi, upominając Andzię, ażeby czarownice palcem nie pokazywała, boby jej mogły „zadać postrzał“ w rękę.

Dopiero późnym wieczorem wracała Babunia z dziećmi do domu.

— Nie słyszycie nic, Babuniu? — zapytała Baśka, zatrzymując staruszkę w pośrodku kwitnącego ogrodu już blisko domu, — tak mi się zdaje, jakoby coś zaszumiało, — dodała dziewczyna.

— To nic nie jest, może wiatr poruszył liściem, a dobrze wiatr robi, — odpowiedziała staruszka.

— Czemu dobrze? — zapytała Baśka.

— Bo drzewa do siebie zgina, a ludzie mówią, że dużo owocu będzie, gdy kwitnące drzewa się całują i ściskają.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(67)

— — —

(Ciąg dalszy).

— O Babuniu, jaka szkoda, że musimy siedzieć cały dzień w szkole, a tu tereśnie i poziomki dojrzewają i tak wesoło wszędzie, — skarżył się Janek.

— Zmienić tego nie możemy, chłopcze; zawsze w domu być nie możesz, a zawsze się bawić, także nie. Teraz was czekają inne troski i inne radości, — odpowiedziała Babunia.

— Ja chętnie będę do szkoły chodzić, Babuniu, — odezwała się Baśka, — tylko za wami tęsknić będę, gdy was cały dzień nie będę widzieć!

— I mnie was brakować będzie, kochane dzieci, lecz tak to już bywa na świecie: drzewo kwitnie, dziecię rośnie; drzewo okwitnie, owoc opadnie; odrośnie dziecko, opuści rodzice! Takie jest postanowienie Boskie. Dopóki drzewo jest zdrowe, daje użytek, lecz gdy uschnie, wytniesz je i wrzucisz w ogień, a popiołem zgnoisz ziemię, która znów inne drzewa wyda. Tak i wasza Babunia doprzedzie swej nici, i złożycie ją w ziemię na wieczny odpoczynek, — rzekła Babunia przyciszonym głosem.

W ogrodzie zaśpiewał słowik; dzieci mówiły „nasz“ słowik, bo ptak wracał co rok do ogródka i słał gniazdo w krzakach pod płotem. Od tamy dolatywał odgłos smutnej kołysanki. Dzieci chciały się jeszcze zatrzymać w ogrodzie, lecz Babunia nagle do domu, i rzekła:

— Wiecie dobrze, że się jutro nauka w szkole rozpoczyna, i rychło wstać musicie; chodźcie więc spać, ażeby się matka nie gniewała.

Rano przy śniadaniu pouczała matka dzieci, z wyjątkiem Adelki, która jeszcze spała, jak się w szkole uczyć mają, jak pana nauczyciela słuchać, jak się w drodze zachowywać; dawała im same dobre rady i tak im do serca przemówiła, że się dzieciom na płacz zbierało. Babunia przygotowała tymczasem malcom drugie śniadanie, które miały wabrać ze sobą.

— Tu ma każde swoją porcję, — rzekła staruszka, kładąc na stół trzy wielkie kawały chleba; — tu macie noże, które wam dotąd przechowałam. Widzisz Janku, byłbyś już dawno twój scyzorek zgubił i nie miałbyś teraz czym chleba ukroić — dodała Babunia, wyciągając z skórzanej torby trzy noże z czerwonymi trzonkami. Potem wykroiła w każdym kawałku chleba sporą dziurę, nałożyła do niej masła, przykryła znow wydlubaną strzódką i włożyła jeden kawał Baśce do czerwonej torebki, drugie dwa chłopcom w skórzane torby. Do chleba dodała jeszcze suszonych owoców.

Po śniadaniu wybrały się dzieci w drogę do szkoły.

— Idźcie z Bogiem i nie zapominajcie, com wam powiedziała, — upominała matka jeszcze raz w progu.

Dzieci pocałowały matkę w rękę i oczy im się zalały łzami. Babunia nie pożegnała się jeszcze z niemi, lecz odprowadziła wnuki przed sad; Sułtan i Tyras biegły także za niemi.

— Słuchajcie Baśki, chłopcy, gdy was będzie upominać, bo jest z was najstarsza, — odezwała się Babunia; — idźcie drogą spokojnie, nie biegajcie za prędko, i nie skakajcie nieostrożnie. W szkole nie siedźcie na darmo; bo byście tego kiedyś gorzko żalowali. Każdemu człowiekowi się grzecznie kłaniajcie; wozom i koniom zchodźcie z drogi. Ty, Wilemku, nie zaczepiaj każdego psa, bo niektóre są złe i mogłyby cię ukąszyć. Nie chodźcie blisko wody i nie pijcie za prędko, gdybyście byli zgrzane. Ty zaś, Janku, nie zjedz chleba przed czasem, abyś potem u innych nie żebrał. A teraz idźcie z Bogiem; na wieczór wam wyjdę z Adelką naprzeciwko.

— Babuniu, nie zapomnijcie nam zostawić obiadu, — prosił Janek.

— Idź, niemądry; któżby o tem zapomniał! — rzekła Babunia.

Potem przeżegnała staruszka dzieci święconym krzyżykiem i wróciła się, lecz przypomniawszy sobie coś jeszcze, zawołała:

— Gdyby miała przyjść burza, ale myślę, że nie przyjdzie, nie bójcie się i idźcie spokojnie swą drogą dalej, módlcie się, a nie stańcie pod drzewem, bo w drzewa często piorun uderza, rozumiecie?

— Rozumiemy, Babuniu; tatuś nam także już o tem mówił, — odpowiedziały dzieci.

— Idźcie z Bogiem i opowiedzcie panu nauczycielowi, żem go kazała pozdrowić.

Potem się Babunia prędko obróciła, ażeby dzieci nie spostrzegły łez, które jej mimowoli stanęły w oczach. Psy biegały naokoło dzieci i myślały zapewne, że pójdą z niemi na przechadzkę, lecz Janek im oświadczył, że dziś idzie do szkoły i odpędził je. Na głos Babuni psy się wróciły, lecz się jeszcze często za dziećmi oglądały. Babunia przystawała co chwilę w drodze, tęsknie spoglądając za wnukami, i spostrzegłszy nareszcie dzieci za mostem, raźnie kroczyła do domu. Na moście spotkali się malce z Andzią, która się także po raz pierwszy była do szkoły wybrała.

Staruszka była przez cały dzień zamyślona i chodziła niespokojnie z kąta do kąta, jakby czegoś szukała. Tyle co czwarta godzina wybiła, wzięła staruszka wrzeciono pod pachę i rzekła do Adelki:

— Chodź dziecko, pójdziemy uczniom naprzeciwno; zaczekamy na nich przed młynem.

Poszły.

Pod figurą przed młynem siedziała pani matka, pan ojciec i kilku ludzi, którzy ze zbożem do młyna przyjechali.

— Idziecie dzieciom naprzeciwno, nie prawdaż? — zawołała pani matka już zdaleka; my także czekamy na naszą Andzię; usiądźcie na chwilę Babuniu!

Staruszka usiadła.

— Cóż nowego? — zapytała pana ojca.

— Właśnie mówiłem, że na przyszły tydzień pójdzie młodzież do asenterunku, — odpowiedział jeden z gości.

— Niech ich Pan Bóg pocieszy — rzekła Babunia.

— Tak to bywa, gdy człowiek nie jest kaleką, — odezwał się pan ojciec, a wykrzywiając usta i zmrużając oko, dodał:

— Gdyby Mila był kaleką, byłby wolny od wojskowości; lecz ta nieszczęsna zazdrość sołtysowej Łucyi i złość córki pana rządcy zaświecą mu świeczki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(68)

(Ciąg dalszy).

— Może ojciec jego jeszcze złemu zaradzi — rzekła Babunia — bo Jakub całą nadzieję w tem pokładał, gdy go rządzca nie przyjął w nowy rok do dworskiej służby.

— Staremu Miliby o stówkę lub dwie nie chodziło — rzekła pani kumotra.

— Dwie stówki nie starczą — odpowiedział pan ojciec — a tyle Mila dać nie może, bo gospodarstwo ma małe a dzieci dużo. Najlepiejby sobie Mila pomógł, gdyby wziął sołtysową Łucyę za żonę, lecz co do gustu nie ma dysputy. Wiem na pewno, że Jakub woli zostać żołnierzem, aniżeli sołtysowym zięciem.

— Bicz zostanie biczem — zawołał jeden z gości — kto Łucyę dostanie, nie potrzebuje mówić: „Boże nie karz mnie,“ bo już będzie dosyć ukarany.

— Najbardziej mi Krystyny żal; co ta dziewczyna dokazywać będzie! — rzekła Babunia.

— Co tam dziewczyna! — zawołał pan ojciec — popłacze, postęka i — koniec; Jakubowi gorzej będzie!

— To prawda, kto nie zostaje chętnie żołnierzem, ciężko mu się przyzwyczaić do nowego zawodu, lecz z czasem się wżyje, jak we wszystko na świecie. Wiem dobrze, panie ojcze, jak się to dzieje; nieboszczyk mój Jerzy, daj mu Panie niebo, musiał się do gorszego życia przyzwyczaić, a ja z nim; wprawdzie rzecz się nieco inaczej miała z nami, aniżeli z Krystyną i Milą. Jerzy bowiem dostał pozwolenie na ślub, pobraliśmy się i żyliśmy spokojnie. Ale o tem tu ani mowy być nie może, niema się zresztą czemu dziwić, że Mila niechętnie odchodzi, gdy się pomyśli, że biedak czternaście lat musi na Krystynę czekać.

— Da Bóg, może mu się poszczęści, i uchyli się od służby — dodała staruszka, a twarz jej się ~~na~~ ~~wy~~ ~~rodziła~~ ~~bo~~ ~~so~~ ~~czyła~~ ~~praca~~ ~~z~~ ~~zako~~

dzieci, które spostrzegłszy Babunię puściły się ostrym krokiem naprzód.

— Nie jesteś głodną, Andziu? — zapytał pan ojciec córeczki.

— O tak; wszyscyśmy głodni, bośmy nie jedli obiadu — odpowiedziała Andzia.

— A chleb, kołaczek, suszone gruszki, czy to wszystko rosa? — zawołał pan ojciec, obracając tabakierę w palcach.

— To nie obiad, tatusiu — odpowiedziała dziewczyna z uśmiechem.

— Po takiej drodze, to się i jeść zachce, nieprawdaż dzieci? — rozśmiała się Babunia, a biorąc wrzeciono pod pachę, dodała;

— Chodźmy dzieci, abyście mi z głodu nie pomarły!

Starsi przyjaciele powiedzieli sobie „dobra noc”. Andzia przyobiegała Baśce, że będzie jutro znów czekać na moście, potem pospieszyła za matką do młyna.

— Powiedźcie mi teraz, jak wam się powiodło, czegoście się w szkole nauczyły i jakieście się zachowały? — zapytała Babunia.

— Widzicie, Babuniu, jestem pierwszym w ławce i „bankautseherem” — zawołał Janek, i podskakiwał z radości.

— Proszę cię, chłopcze, co to znaczy? — zapytała Babunia.

— Wiecie Babuniu, to jest tak: kto siedzi w ławce pierwszy od brzegu, ten ma dozór nad resztą chłopców w tejże samej ławce, i zapisuje tych do kary, którzy nie uważają — objaśniała Baśka.

— U nas rzekła Babunia — mówiliśmy dozorca, a mógł nim być tylko najpilniejszy i najskromniejszy uczeń z całej ławki, i pan nauczyciel nie prędko kogo mianował dozorcą.

— Wszak nam też Antoś Kaprzywa w drodze se szkoły wyczytał, żeby pan nauczyciel tak z nami nie postępował, gdybyśmy nie byli Proszkowie — skarżyła się Baśka.

— Tak nie jest — zawołała Babunia — pan nauczyciel nie będzie robił z wami żadnych wyjątków; jak zasłużycie, ukarze was tak samo jak Antosia. Uczynił to tylko dla tego żebyście obaczycie.

do szkoły chodzili i pilnie się uczyli. — A czego-żeście się dziś nauczyli?

— Diktanda — odpowiedzieli wszyscy razem.

— Co to właściwie znaczy? — zapytała Babunia.

— Pan nauczyciel nam przepowiada z książki, my piszemy, a potem musimy to samo przełożyć z niemieckiego na czeskie i z czeskiego na niemieckie.

— A rozumieją dzieci po niemiecku? — zapytała Babunia, która przy wszystkim miała własne zdanie, i jak księżna wchodziła w najmniejsze szczegóły.

— Ach, Babuniu, nikt nie umie po niemiecku, tylko my trochę, bośmy się już w domu od tatusia nauczyli, ale to nic nie szkodzi, że dzieci po niemiecku nie umieją, kiedy tylko zadania dobre przynoszą — objaśniała Baśka.

— Dzieci są srogo skarane — opowiadała Baśka — gdy zadań nie umieją zrobić; pan nauczyciel robi im czarne kreski w książce, lub też muszą stać na miejscu hańby, a niekiedy dostaną na ręce trzcinką. Sołtysowa Anina, która obok mnie siedzi, byłaby dziś także musiała stać na miejscu hańby, bo nie umiała niemieckiego diktanda. Uskarżała mi się, gdyśmy w południe przed szkołą siedziały, że nie umie zrobić zadań; ze strachu biedna ani nie jadła. Napisałam jej wszystko i dostałam za to dwie gomółki.

— Nie powinnaś była niczego przyjąć — rzekła Babunia.

— Wszak nie chciałam przyjąć, lecz mi powiedziała, że ma jeszcze dwie gomółki w kabdzie. Tak się cieszyła, że jej zadanie napisałam, i przyobiecowała, że mi każdego dnia coś przyniesie, jeżeli jej w niemieckiem pomagać będę; a czemuż bym jej nie miała pomódz; nie prawda?

— Pomódz jej możesz, lecz nie zrobić całych zadań, bo tak się niczego nie nauczy — rzekła Babunia.

— Co jej potem; tego nie potrzebuje umieć. Wszak się niemieckiego tylko uczy, że pan nauczyciel tego wymaga.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(69)

(Ciąg dalszy).

— Pan nauczyciel dla tego wymaga, aby z was później co było; a im więcej się nauczycie, tem łatwiej przez świat przejdziecie; niemiecki język zaś jest potrzebny w życiu.

— W Zliczu jednak mówi się tylko po czesku, więc Anina nie potrzebuje umieć po niemiecku. Powiedziała, że nie musi umieć, bo do Niemiec nie powędruje, lecz pan nauczyciel wymaga swego. Zresztą się nikt niemieckiego diktanda chętnie nie uczy, bo jest trudne, gdyby to czeskie diktando było, szłoby nam wszystkim jak pacierz.

— Wy tego jeszcze nie rozumiecie, ale macie być posłuszne i wszystkiego się chętnie uczyć. A chłopcy byli posłuszni?

— Tak; tylko Janek dokazywał z chłopcami. Tyle co pan nauczyciel ze szkoły wyszedł, skakał po ławach, ale za to mu też powiedziałam...

— Tyś mi powiedział! ty! sam z własnej woli przestałem, bom słyszał, że pan nauczyciel wracał — zawołał Janek.

— Ładnych rzeczy się dowiedziałam, masz innych doglądać, a sam dokazujesz, jak to pogodzić? — zapytała Babunia.

— Ale Babuniu! — odezwał się Wilemek, który dotąd słowa nie był przemówił, bo pokazywał Adelce wielki kawał słodkiego drzewa i książeczkę z pozłotkiem, które w szkole od chłopca za grajcara wytargował, — Babuniu, słuchajcie; chłopcy są tacy niegrzeczni w szkole, dokazują, chodzą po ławkach i biją się, a dozórcy z nimi.

— A cóż pan nauczyciel na to?

— To się dopiero dzieje, gdy pan nauczyciel szkołę opuści, a gdy ma wrócić, wraca każdy czempredziej na swoje miejsce, położy ręce na ławce i siedzi cicho jak pień!

— To kłują! — zawołała Babunia.

— A dziewczyny nie lepsze; bawią się lalkami, wszak to dobrze widziałem, — bronił się Janek.

— Dziękuję, pan nauczyciel musi mieć z wami świętą cierpliwość, — rzekła staruszka.

Dzieci opowiadały Babuni jeszcze dużo o szkole i o tem, co w drodze widziały. Była to bowiem pierwsza ich podróż, więc nie mało były dumne na swą samodzielność, jakoby były z Paryża wróciły.

— A gdzie macie gomołki; czyście je także zjadły? — zapytała Babunia z obawy o zdrowie wnuków.

— Jedną my się podzielili, drugą chciałam przynieść do domu, — odpowiedziała Baśka, — ale mi ją Antoś Koprzywa z puszki wyciągnął podczas gdy na tablicy pisała. Nie mu nie powiedziałam, boby mnie był po szkole wybił; to dopiero hultaj!

Staruszka nie przyznała wnukom słuszności, lecz w duszy pomyślała:

— Wszak my także lepsze nie były!

Dzieci dobrze wiedziały, że Babunia więcej cierpliwości z niemi miała aniżeli matka; wszak nie raz na wybryki chłopców nie zważała, nie raz zbyt wesołej zabawy Baśki umyślnie nie widziała. Dla tego się dzieci z wszystkiem prędzej Babuni aniżeli matce zwierzały, która na wszystko daleko surowiej się zapatrywała.

XIV.

Było to na początku maja w czwartek. Dzieci nie miały nauki i podlewały z Babunią kwiaty w ogródku, wino, które na murze zielenić się począł i świeżo zasadzone, młode drzewka. W tym tygodniu wogóle miały dzieci dużo do pracy, bo już od trzech dni Baśka zaniedbała lalki, chłopcy nie ujeżdżali na konikach. Wózki, strzelby i piłki odpoczywały w kącie. Nawet do gołębnika chłopcy nie zajrzeli, a króliki żywiła Adełka.

Gdy z podlewaniem skończyli, pozwoliła Babunia dzieciom na zabawę, a sama usiadła na miodrym bzem na ławeczce z darni ułożonej iabrała

się do przędzy, chcąc, jak to jej zwyczajem było, każdą chwilę czasu wyzyskać.

Staruszka była smutna, nie śpiewała jak zwykle pieśni nabożnych, nie zauważyła nawet kury, która weszła przez otworzoną furtkę do ogrodu i na grzędzie grzebała.

Siwa gęś popasała przy płocie, a żółte gąsienki przetykały pomiędzy sztachetami główki i ciekawie do ogrodu wglądały, lecz Babunia dziś ani okiem na nie nie spojrzała, a przecieź bardzo do gąsienki była przywiązana.

Nie dziw! Myśli jej były daleko w świecie. Nadeszła bowiem od Proszka z Wiednia wiadomość, że nie wróci w połowie maja, bo księżniczka Hortenzya ciężko zaniemogła. Da-li Bóg, że wyzdrowieje, to może księżna dominium zwiedzi, ale pewne to nie było.

Gdy list nadszedł, pani Proszkowa gorzko zapłakała, nie mniej dzieci. Wilemek miał na drzwiach już tylko kilka kresek do zmazania, a tu cała radość dzieci od razu się na niczem skończyła. Że dobra Hortenzya mogłaby umrzeć, nie chciało im się wcale w to wierzyć, lecz nie zapominali pomimo to przy codziennej modlitwie ofiarować „Ojczy nasz“ za przywrócenie jej zdrowia.

Dzieci uspokoiły się w końcu, pani Proszkowa za to, już z natury małomówna, milczała teraz prawie zawsze, a ilekroć Babunia weszła do jej pokoju, ujrzała córkę zapłakaną. Posyłała ją więc staruszka w odwiedziny, aby się rozerwała. Wogóle Babunia rada była, gdy Tereska często wychodziła z domu, bo wiedziała dobrze, że jej smutno na sercu być musiało, i że tęskni za wielkiem miastem, do którego się była przez długie lata przyzwyczaiła. Żyła w szczęśliwym małżeństwie i tylko z tego była niekontenta, że Jan był zmuszony przez większą część roku bawić w Wiedniu, a ona była skazana na życie osamotnione i żyła w ciągłej obawie i trosce o męża. A teraz miała rok cały nie widzieć męża, ojca swych dzieci.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(70)

(Ciąg dalszy).

Razem z Janem miała Joanna przyjechać, druga córka Babuni, bo chciała i matkę zobaczyć, jakoteż zasięgnąć jej doświadczonej rady, bo wkrótce miała wyjść za mąż. Babunia była z tej nowiny wielce ucieszona, a tu nagle staruszkę wszelka nadzieja gorzko zawiodła.

Oprócz tego niepokoiła się staruszka z powodu zaciągnięcia Mili do wojska. Ponieważ Mili był przystojny i uczciwy człowiek a Krystyna dobra dziewczyna, więc Babunia bardzo pragnęła, aby się pobrali.

— Gdy się równy z równym zejdzie, bywa zgoda i miłość i sam Pan Bóg się z takiego małżeństwa raduje! — lubiła mówić.

Lecz tej radości zagrażało poważne niebezpieczeństwo, gdyż Mili dziś rano z ostatnimi poszedł do stawki. To wszystko przechodziło Babuni przez głowę i dla tego była taka smutna i zamyślona.

— Babuniu, Babunia, patrzcie! czarna jest na grzędzie; poczekaj! Sssia, sssia! — wołała Baśka, a Babunia podnosząc głowę, ujrzała kure, odlatającą z ogrodu, a na pośrodku grzędę wygrzebany dołek.

— To dopiero psota z kury, tak niespodzianie wnijsć! Baśka, weźm grabie i popraw zagonek! A patrzcie i gęsi tu są, przyszły mnie wołać; już czas; chce im się do cielewika. Spóźniłam się; zaraz im muszę zasypać.

To mówiąc, odłożyła Babunia wrzeciono i poszła nakarmić drób.

Baśka została w ogródku i równała grabiami zagonek.

Za chwilę nadeszła Krystyna.

— Jesteś sama? — zapytała, zaglądając przez płot.

— Chodź bliżej! Babunia niedługo wróci; szła zasypać drobiu, — odpowiedziała Baśka.

— A gdzie jest matka? — zapytała Krystyna.

— W mieście z wizytą u pani kumotry, wszak wiesz, że mamusia ciągle płacze, bo tatuś może wcale w tym roku nie wróci, więc Babunia wyseła mamusię z domu, aby się pomiędzy znajomymi rozweseliła. My się wszyscy tak na tatusia cieszyli, a na księżniczkę także, a teraz z wszystkiego nic nie będzie. Biedna Hortensya!

To rzekłszy oparła Baśka, która klęczała na jednym kolanie, łokieć o drugie kolano i wsparłszy głowę na dłoni, zamyśliła się.

Krystyna usiadła pod bzem; złożone ręce opadły jej na łono; głowę spuściła na piersi. Była zrozpaczona; oczy miała czerwone od płaczu.

— To musi być zła choroba, ten tyfus. Może księżniczka umrze? Mój Boże! Krystynko, nie miałaś ty jeszcze nigdy tyfusu? — zapytała po chwili milczenia Baśka.

— Nie! jak długo żyję, jeszcze nie chorowałam; ale teraz już po mojem zdrowiu na zawsze, — smutno odpowiedziała Krystyna.

— Teraz dopiero Baśka dobrze się Krystynie przypatrzała, a widząc zmienioną jej twarz, aż podskoczyła ze zdziwienia i podszedłszy do niej, zapytała:

— Co ci jest? Czy Milla został żołnierzem? Zamiast odpowiedzieć, Krystyna głośno zapłakała.

Wtem wróciła Babunia i zapytała prędko.

— Czy już wrócili?

— Nie wrócili, — odrzekła Krystyna, — lecz darmo się jeszcze ludzi nadzieją. Mówili mi, że Lucya się zaprzysięgła, że gdy ona nie dostanie Mily, to i ja go nie dostanę; a co ona zechce, to sołtys zrobi, bo jest z niej dumny, a pan rządca zaś robi wszystko według woli sołtysa. W doda-

tku córka rządcy nie może zapomnieć [krzywdy; jaką Mila jej narzeczonemu wyrządził i doleje jeszcze oliwy do ognia, — rzekła Krystyna.

— Wszak ojciec Mili był w kancelaryi i jak słyszałam, zabrał ze sobą sporą garść złotych; była by więc nadzieja....

— Prawda, to jedyna nasza nadzieja, że go wysłuchają i uwolnią; ale zdarzyło się już nie jeden raz, że wysłuchali, a nie uwolnili. Oświadczyli krótko, że nie idzie, i trzeba było być cicho.

— Może to samo Mily nie spotka, a gdyby go spotkać miało, myślę, byłoby lepiej, ażeby ojciec jego pieniądze, które chce zużyć na „łapówki“, a o których niewiadomo, czy się na co przydadzą, zebrał, zaś twój ojciec dodał resztę, i ażeby wykupili Milę jak prawo nakazuje i byłoby po kłopotcie.

— Gdyby nie było tego „gdyby“, kochana Babuniu! Bo po pierwsze są pieniądze, które stary Mila dotąd wydał, już stracone, po drugie nie ma mój ojciec więcej gotówki, jak tylko to, co potrzebuje na domowe obejście i gospodarstwo, a po trzecie byłoby ojcu milej, gdyby zięć do gospodarstwa coś wniósł, aniżeli wyniósł, aczkolwiek przyznać muszę, że lubi Jakóba i nie wzbrania mi za niego wyjść; a w końcu przypuścemy, że by był gotów pieniądze dać, toby znów Mila w swej dumie i hardości niczego od ojca ani odemnie nie przyjął i nigdyby nie dopuścił, ażeby ludzie mówili, że go mój ojciec wykupił.

— Być może, — rzekła Babunia, — że Mila tak rozumuje: Dostaniesz wielki posag, będziesz miała i więcej w gospodarstwie znaczyć a tego każdy mężczyzna unika, kochana Krystynko: chociażby w tym wypadku powolność nie była niecnotą. — Lecz cóż mówić o zamiarach, których wykonać nie będzie potrzeba, a które w razie potrzeby ciężko by się urzeczywistnić dały.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(71)

— — —
(Ciąg dalszy).

— Szkoda, wielka szkoda, że się to stało z tym Włochem; wtędym się śmiała, a gdy teraz o tem pomyślę, zbiera mi się na płacz — rzekła Krystyna.

Gdyby nie było tego zajścia, byłby się Jakub dostał do służby dworskiej i po dwuletniej służbie byłby się zwolnił od wojskowości, a przytem mnie najwięcej trapi, że sama jestem wszystkiemu winna.

— Jakaś dziecinna! Tak się właśnie oskarżasz, jakoby ta tu stokrotka winna była, gdybyśmy jej obie pożądały i o nią się pokłóciły. W takim razie i ja bym się obwiniać musiała, że przypro-wadziła mego nieboszczyka w podobne położenie. Był to nieomal taki sam przypadek jak z tobą i Milą.

Moja droga, czy myślisz, że człowiek w gniewie, zazdrości, miłości lub jakiegokolwiek innej namiętności rządzi się rozumem? Chociażby się w tej samej chwili zgubił, na nic nie zważa, a i najdoskonalszy człowiek ulega słabościom.

— Babuniu. mówiliście już przeszłego roku w imieniny pana Proszka, że wasz nieboszczyk, wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, coś podobnego zrobił jak Mila, a dzisiaj wspomnieliście to samo, proszę was, opowiedzcie mi, jak to było; minie nam i czas prędzej i przyjdą nam inne myśli do głowy — rzekła Krystyna.

— Dobrze — odpowiedziała Babunia i zawołała na Baškę:

— Idź, dziewczynko, i uważaj na dzieci, ażeby w wodę nie wpadły!

Gdy Baška odeszła, Babunia tak opowiadać zaczęła:

— Byłam już dorosłą dziewczyną jak Prusacy wszczęli wojnę z Maryą Teresą. Nie mogli się o coś pogodzić. *) Cesarz Józef przybył z wojskiem

*) Spór o dziedzictwo bawarskie w r. 1777.

w okolicę Jaromierza, Prusak zaś stał nad granicą. W całej okolicy było wojsko rozłożone nawet po chatach. Do nas przekazano kilku prostych szeregowców i jednego oficera. Był to człowiek lekki, jeden z tych, którym się zdaje, że każdą dziewczynę w swoje sidła dostaną jak pajak muchę. Odprawiłam natręta szorstko, lecz on o słowa nie dbał, i wszystko z siebie strząśł jakby kroplę rosy. Gdy nic nie pomagało, urządziłam się tak, że się nigdy z nim sam na sam spotkać nie potrzebo-
wałam.

Wiesz dobrze jak to bywa. Dziewczyna musi kilka razy na dzień biegnąć to w pole, to na trawę; zdarzy się, że domownicy wszyscy wyjdą, i zostanie sama; krótko mówiąc, ponieważ nie ma zwyczaju ani potrzeby doglądać dziewczyny, wymaga się, ażeby sama siebie pilnowała, lecz tym sposobem daje się bezsumiennym zwodzicielom dosyć sposobności do prześladowania cnoty.

Pan Bóg mnie ostrzegł. — Na trawę chodziłam wczas rano, gdy jeszcze wszyscy spali. Od najpierwszej młodości wczas rano wstawałam, bo matka mi zawsze mówiła:

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje!

I miała słuszność, bo chociażbym z rychłego wstania nie była miała żadnego pożytku, byłaby mi fatygę wynagrodziła sama radość, jaką o tej porze odczuwałam. Bo wyszedłszy z rana do sadu lub w pole, widziałem zieloną łąkę, pokrytą świeżą rosą, na widok której sercem się z radości śmiało. Każdy kwiatek stał jak panna z podniesioną głową i wesołemi oczami. Powietrze było napełnione wonią, jaka z każdego kwiatka, każdej trawki wychodziła. Skowronki wzbijały się nademną wysoko w powietrze i śpiewały Bogu na chwałę; zresztą wszędzie w kółko panował spokój — święta cisza.

Gdy słońce wschodziło nad górami, zdawało mi się, że jestem w kościele; śpiewałam wesoło, a praca mi szła od ręki jakby grała.

Pewnego dnia z rana kosiłam trawę w sadzie; naraz usłyszałam za sobą głos:

— Boże pomagaj, dziewczyno!

Chcąc odpowiedzieć: Daj Panie Boże! — spoj-

rzałem za siebie, ale nie mogłam ze strachu ani słowa wymówić; sierp wypadł mi z ręki.

— Zobaczyliście oficera, wszak tak? — zapytała Krystyna.

— Zaczekaj, pomalutko — rzekła Babunia — nie zobaczyłam oficera, bo inaczejbym nie była sierpa upuściła, złączyłam się z radością: Jerzy stał przede mną! a musisz wiedzieć, że go trzy lata nie widziałam! Jak ci wiadomo, był Jerzy synem naszej sąsiadki Nowotny, tej samej, która ze mną była, gdyśmy z cesarzem Józefem mówiły.

— Tak, mówiliście mi także, że zamiast księdzem został tkaczem!

— Nie jego wina, że nie został księdzem — rzekła Babunia — to sprawa stryja. Bo chłopcu szła nauka jakby grał. Ile razy ojciec do Rychnowa zajechał, zawsze tylko pochwały o nim słyszał. Podczas wakacyj wyręczał w każdą niedzielę ojca w czytaniu pisma św., który się znakomicie na czytaniu znał; lecz Jerzy tak gładko czytał, żeśmy go z prawdziwą przyjemnością słuchali. — Nowotna zawsze mówiła:

— Jakbym go na ambonie widziałam!

Obchodziliśmy się z nim jak z księdzem, a gdziekolwiek we wsi coś dobrego ugotowano lub upieczono, zewsząd mu kobiety, co najlepsze przynosiły, a gdy się Nowotna wymawiała:

— Boże, cóż my wam za to damy — odpowiadały niewiasty:

— Jak Jerzy będzie księdzem, da nam błogosławieństwo!

Zyliśmy jak brat z siostrą. Lecz gdy przybył na drugie i trzecie wakacje, nie miałam już do niego tej śmiałości, co dawniej; wstydziłam się przed nim, a zdarzyło się, że przyszedł do ogrodu, i pomimo mego zakazu pomagał mi trawę rznąć i znosić, bo poczytywałam sobie po prostu za grzech, że na coś podobnego pozwalałam, i wciąż mu mówiłam, że taka robota na księdza nie przystoi. Wtedy się Jerzy śmiał i wywodził, że jeszcze duża woda upłynie, zanim będzie miał pierwsze kazanie! — Bywa to już na świecie, że człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(72)

(Ciąg dalszy).

Podczas trzecich wakacyi nadszedł list od stryja z Kłodzka z prośbą, ażeby chłopak czempredzej do niego przybył. Stryj był tkaczem, wyrabiał najkunsztowniejsze roboty i dorobił się wielkich pieniędzy! Ponieważ był bezdzietny, nie zapomniał o Jerzym.

Kumotra nie chciała się na odjazd syna zgodzić, ale mój ojciec sam ją namawiał, ażeby chłopaka wysłała i tłumaczył, że to może być jego szczęściem.

Jerzy się więc wybrał w drogę. Kumotra i mój ojciec daleko go odprowadzili, bo się w tym samym czasie razem na odpust do Wambrzyce wybrali.

Oni wrócili; Jerzy został.

Tęskniliśmy za nim wszyscy, najwięcej kumotra i ja, tylko z tą różnicą, że kumotra często o synie mówiła, ja się zaś z tęsknotą nie wyda wałam.

Stryj przyrzekł, że się będzie o chłopca starał, jak o własnego syna.

Kumotra mniemała, że Jerzy uczęszcza nadal do szkół w Kłodzku, cieszyła się już na jego przy mięcie, a tu za rok wrócił Jerzy jako — wycuczony tkacz!

Kumotra strasznie płakała i rozpaczała, lecz to nic nie pomogło.

Jerzy przeproszał i przyznał się, że nie czuł powołania do stanu duchownego, aczkolwiek chętnie by był dalej studyował. Lecz stryj go od tego zamiaru odwiódł, perswadując, jak długoby się jeszcze musiał męczyć i tłuc po szkołach i urządach, zanimby doszedł do kawałka chleba; namó wił chłopca do rzemiosła, o którym lubił mówić, że ma złote pole, i dodał, że tem lepiej Jerzemu popłacać będzie, bo był w szkołach.

Krótko mówiąc, Jerzy się dał namówić do tka ctwa, a że się do wszystkiego cała duszą brał, stał się i ~~zawziętym~~ biegłym.

Za rok zrobił stryj Jerzego czeladnikiem i wysłał go potem dla wydoskonalenia się w świat, a nasamprzód do Berlina do pewnego znajomego. Przed odjazdem przybył jeszcze do nas do Czech i przyniósł mi ten oto różaniec na pamiątkę z Wambrzyca.

To mówiąc, wydobyła Babunia z zanadrza różaniec z kokocinowego drzewa, który zawsze przy sobie nosiła, popatrzała nań chwilę, i znów dalej mówiła:

— Mój ojciec nie brał Jerzemu za złe, że się stał rzemieślnikiem i uspokajał Nowotną, ażeby się więcej nie martwiła.

— Kto wie, czy to nie dobrze, — mawiał ojciec, — zresztą jak sobie pościele tak się wyśpi.

Niech będzie rzemiosło jakie chce, gdy się tylko człowiek dobrze na niem zna i zostanie uczciwym, zacnym człowiekiem, zasługuje na tę samą cześć i szacunek jak każdy inny.

Jerzy się cieszył, że się mój ojciec na niego nie gniewał; wszak go kochał jak rodzzonego ojca.

Nowotna się z czasem udobruchała, bo jakże inaczej być mogło, wszak Jerzy był jej dzieckiem, które kochała, nie mogła więc pragnąć, ażeby się czuł nieszczęśliwym w swoim zawodzie.

Po kilkudniowym pobycie u nas poszedł Jerzy w świat i trzy lata nie o nim nie wiedzieliśmy ani nie słyszeli aż do chwili, gdy wtedy rano przedemną stanął. Możesz sobie pomyśleć, jak się ucieszyłam. Zaraz go poznałam, aczkolwiek się bardzo zmienił. Był nadzwyczaj wysoki, a przytem taki urodny jak rzadko człowieka spotkać.

Schylił się do mnie, ujął mnie za rękę i zapytał, czemu się tak zlekłam.

— Jak się nie zleknać, — rzekłam, — gdyś spadł jak piorun z jasnego nieba. Kiedy i z kąd wróciłeś?

— Prosto z Kłodzka, — odpowiedział, — bo tam wszędzie werbują i stryj się obawiał, żeby i mnie do wojska nie zabrali. Tyle com wrócił z wędrówki, wysłał mnie zaraz do Czech, sądząc, że się tu prędzej od wojskowości uchylę. Przedostałem się szczęśliwie przez góry, i jestem tutaj.

— Na Boga! — zawołałam, — by cie tylko nie odnaleźli. Cóż matka na to mówi?

— Matki jeszcze nie widziałam. Staiałem na miejscu o drugiej w nocy, nie chciałem matki budzić.

— Połóżysz się w trawę pod okno dziewczyny, poczekasz do rana, przywitasz się i pójdiesz dalej, — pomyślałem i położyłem się na murawie.

Na prawdę! nie na darmo o tobie we wsi mówią: zanim skowronki zaśpiwają, już wracasz z trawą do domu! Jeszcze dobrze nie świta, a już jesteś przy robocie.

Widziałem, jak się przy studni myłaś i cesałaś, całą siłą mnie do ciebie ciągnęło, lecz nie chciałem ci w modlitwie przeszkadzać, ale teraz mi powiedz, czy mnie jeszcze kochasz.

— Cóż miałam innego powiedzieć, jak że kocham! Wszak kochaliśmy się od małych dzieci i jak żywam, o nikim innym w życiu swoim nie pomyślałam.

Po krótkiej pogawędce poszedł Jerzy do matki, a ja pobiegłam czempredzej do ojca z miłą nowiną.

Ojciec był mądry człowiek, więc nie podobało mu się, że Jerzy przybył do domu w tak niebezpieczną chwilę.

— Nie wiem, — rzekł, — ujdzie-li tu białego kabata; zrobimy, co będzie można, ażeby go ochronić, tymczasem nie mów do nikogo, że tu jest.

Obok wielkiej radości zażyła Nowotna nie mało strachu, bo Jerzy był do wojska zapisany i ucieki przed assenterunkiem. Trzy dni ukrywał się na górze w sianie. Za dnia była u niego matka, wieczorem przychodziłam i ja i tak opowiadaliśmy sobie we troje do późnej nocy. Obawiałam się sama tak bardzo o niego, że chodziłam przez całe dni jak błędna i zapomniałam nawet unikać oficera i weszłam mu sama kilka razy w drogę. Mysłał zapewne, że chcę naprawić, com szorstkiem obejściem się z nim popsowała i zaczął znów śpiewać starą piosenkę.

Nie odpowiadałam nic, i nie byłam już taka sztywna jak dawniej, a to dla tego, że się o Jerzego obawiałam. Jak już mówiłam, ukrywał się Jerzy na górze w sianie. Oprócz mnie, moich rodziców i pani kumotry nikt o nim nie wiedział.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(73)

(Ciąg dalszy).

Gdym na trzeci dzień późno wieczorem od Jerzego wracała, wieczór był ciemny, zastąpił mi oficer niespodzianie drogę. Dowiedział się widocznie, że chodzę co wieczór do kumotry Nowotny i zaczął się na mnie w sadzie.

Cóż tu robić? — Krzyczeć?

Jerzy by każde głośniejsze słowo na górze usłyszał, a obawiałam się go zawołać. Spuściłam się więc na własne siły, i gdy nie mogłam dojść z oficerem po dobremu do końca, puściłam się na pięści.

Nie śmieję się, Krystynko, i nie patrz niedowierzająco na mnie: bo wtedy inaczej wyglądałam jak dzisiaj. Nie byłam wprawdzie wysoka, ale krępa, a ręce miałam twarde od ciężkiej roboty. Byłabym mu dobrze wyrobiła, gdyby z wściekłości i gniewu nie był kłął i krzyczał na głos. Tem się zdradził; bo Jerzy wpadł pomiędzy nas niespodzianie jak piorun z jasnego nieba i chwycił oficera za gardło.

Jerzy usłyszał na górze łajanie, spojrział oknem, a poznawszy mnie w półmroku, wyskoczył oknem, i prawdziwy cud, że karku nie skręcił. Lecz nie zważał na niebezpieczeństwo, byłby zeskokczył i na palący się stós drzewa.

— Co to znaczy panie, bić się w nocy z uczciwą dziewczyną? — krzyczał Jerzy.

Przymawiałam i prosiłam, ażeby pomyślał, w jakim położeniu się obecnie znajduje, lecz trzymał oficera jak w kleszczach i trząsał nim ze złości jak chwiejną trzcina.

Nareszcie przestał biedaka dusić.

— W inny czas i na innym miejscu nieco inaczej byśmy się rozmówili, — wołał — lecz tu nie jest miejsce po temu; ale to sobie spamiętaj, panie oficerku: ta dziewczyna tu, jest moja narzeczona; nie przestanieś na przyszłość za nią chodzić i jej niepokoić; rozmówimy się wtedy inaczej; a teraz

precz ztąd! i jednym zamachem przerzucił oficera przez płot jak zgniłą gruszką. Potem mnie wziął za szyję i rzekł:

— Nie zapomnij mnie dziewczyno; pozdrów matkę; zostańcie tu wszyscy z Bogiem; muszę w tej chwili umykać, boby mnie tu przytrzymali. Nie obawiaj się o mnie; znam każdą ścieżkę i dostanę się do Kłodzka, a tam już znajdę kryjówkę. Proszę cię, przyjdź do Wambrzye na odpust; tam się spotkamy!

Zanim słowo wymówić mogłam, już Jerzego nie było. Pobiegnęłam natychmiast do Nowotny i opowiedziałam, co się stało. Poszłyśmy razem do moich rodziców; byliśmy wszyscy jak bez zmysłów; baliśmy się najmniejszego szelestu.

Oficer rozesłał żołnierzy na wszystkie strony sioła, bo myślał, że Jerzy był człowiek z sąsiedniej wioski, i że mu się uda, wzięść go do aresztu.

Nie udało mu się; Jerzy uszedł szczęśliwie.

Od tego wieczoru schodziłam oficerowi z drogi, gdzie tylko mogłam, a on, nie mogąc się inaczej na mnie pomścić, oczerniał mnie po wsi i rozsiewał plotki, jakobym była najgorsza nierządnicą. Na szczęście wszyscy ludzie we wsi mnie znali i nie miał powodzenia z oszczerstwem.

Niedługo potem nadszedł rozkaz dla wojska do odmarszu, bo Prusak przekroczył granicę. Wojna nie trwała długo i chłopci ją nazwali wojną chlebową, a to dla tego, że wojsko wróciło do domu, gdy zabrany ze sobą chleb zjadło.

— A cóż się stało z Jerzym? — zapytała Krystyna.

— Nie dowiedzieliśmy się o nim nic aż do wiosny; bo nikt w tym niespokojnym czasie nie przechodził przez granicę. Było nam wszystkim, jakbyśmy na nożach stali.

Przyszła wiosna, a jeszcze nie było wiadomości. Poszłam na odpust, jak Jerzemu przyrzekłam. Wybrało się bowiem dużo znajomych do Wambrzye i rodzice mnie powierzyli ich opiece. Przewodnik nasz był już poprzednio kilka razy w Kłodzku i znał tam każdy kąt. Ojciec mu polecił, ażeby mnie odprowadził do samego miasta.

— Pójdziemy do pani Liduszki i przyprowa-

zimy się trochę do porządku, — rzekł przewodnik, gdyśmy przyszli do miasta.

Wstąpiliśmy do małej gospody na przedmieściu, gdzie wszyscy przybywający z Czech stawali; bo gospodyni była Czeszką i pochodziła z naszej okolicy. Podówczas mówiono jeszcze w całym Kłodzku po czesku.

Pani Liduszka witała nas z wielką radością i zaprowadziła nas do prywatnego pokoju.

— Siadajcie; zaraz wrócę; tylko wam trochę polewki z wina zgotuję, — rzekła i znikła w drzwiach.

Serce mi biło gwałtownie z radości na samą myśl, że zobaczę Jerzego, ale ogarniał mnie i smutek, bom się obawiała, że go może jakie nieszczęście spotkało od czasu, gdym go ostatni raz widziała.

Wtem usłyszałam głos Liduszki w przed-sionku:

— Proszę bardzo, panie Jerzy; proszę wstąpić; mam dzisiaj gości z Czech!

Drzwi się otwarły i do pokoju wszedł Jerzy! Na pierwszy rzut oka poznałam całe nieszczęście i padłam jak gromem rażona na stołek. Jerzy był żołnierzem! Stało mi się ciemno przed oczami.

Jerzy mi podał rękę i prawie z płaczem rzekł:

— Ja nieszczęśliwy człowiek; tyle com się wyuczył rzemiosła i strząśł z siebie jarzmo, które mię przygniatało, włożono na mnie nowe, dokuczliwsze. Dostałem się z deszczu pod rynnę. Gdybym był w Czechach został, byłbym służył ale swojemu cesarzowi, a tu muszę służyć za żołd i u obcego pana.

— Na Boga! cóżeś zrobił, że cię zabrali! — zapytałam.

— Moja droga! młodość, pichość, nierozum! Nie słuchałem doświadczonego stryja.

Gdy od was uciekłem, nie miałem nigdzie miejsca, wszędzie mi się nudziło, tęskniłem za domem.

Raz w niedzielę poszedłem z kilkoma znajomymi do gospody pomimo przestrogi stryja. Piliśmy, aż my sobie dobrze podpili; w tem weszli werbunkowi do gospody.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(74)

— — —
(Ciąg dalszy).

— Te łotry! — zawołała Liduszka, wracając z polewką z wina — gdyby pan Jerzy był u mnie przestawał, nie byłoby go to spotkało, bo ja kłamstw i namów tych judaszow nie cierpię; wszak stryj też nigdzie indziej nie wstąpi jak do Liduszki! Bo człowiek już ma doświadczenie, lecz ta nasza młodzież nie ma rozumu! Trudna rada! Lecz nie dajcie sobie teraz nowego zawodu zohydzić, panie Jerzy.

— Niech się dzieje wola Boska — rzekł Jerzy — co się stało, już się nie odstanie. Nie byliśmy przy trzeźwym rozumie; werbunkowi nas obalamucili, a gdyśmy wytrzeźwieli, byliśmy, t. j. ja i Lechotski już w mundurach. Myślałem, że sobie głowę urwę, lecz cóż było robić? Stryj także nie mało narzekał; w końcu zaczął przemyśliwać, jakby sprawę zmienić na lepsze, gdy się cofnąć już nie dała. Poszedł więc do generała i uprosił tyle, żem został tu na miejscu, i że wkrótce będę kapralem, i — o tem później pomówimy. Tylko mi teraz nie rób przykrości, dziewczyno; jestem szczęśliwy, że cię widzę.

Pocieszaliśmy się, jak się dało. Później mnie Jerzy zaprowadził do swego stryja, który mnie chętnie przyjął. Wieczorem przybył Lechotski, człowiek bardzo dobry i uczciwy. Był Jerzemu wiernym przyjacielem aż do śmierci.

Dawno już obaj w wieczności, a ja jeszcze żyję!

— Wszak nie wróciliście już do domu, Babuniu, i wyszliście tam za dziadusia? — zapytała Baszka, wyrywając staruszkę z zamyślenia, w jakie się pogrążyła na wspomnienie owych błogich chwil, które szczęśliwie przeżyła.

— Tak jest, wzięliśmy ślub, bo Jerzy tak chciał. Pozwolenie do zawarcia małżeństwa wyro-

bił mu stryj u generała, więc tylko czekali, ażebym przyszła na odpust.

Na noc odszedł Jerzy do koszar, ja zaś zostałam na noclegu u stryja. Był to dobry staruszek, daj mu Boże niebo!

Na drugi dzień przybył Jerzy już wczas rano i długo się z stryjem naradzał. Potem przyszedł do mojego pokoju i rzekł:

— Dziewczyno, powiedz mi otwarcie, przy trzeźwym rozumie, czy mnie kochasz tak bardzo, żebyś ze mną szczęście i nieszczęście zносиła? Ojca i matkę opuściła?

Powiedziałam, że tak jest.

— Kiedy tak, więc zostań tu i będziesz moją żoną — rzekł i uściskał mnie serdecznie. — Nigdy przedtem mnie nie pocałował, bo to nie jest zwyczajem u prostego ludu, ale wtedy biedak nie wiedział, co z radości czynił.

— Ale cóż powiedzą rodzice moi? — zawołałam i serce mi zadrżało z radości i tęsknoty zarazem.

— Cóżby mieli powiedzieć? Wszak nas kochają, więc nie będą chcieli, abyśmy się martwili — odpowiedział Jerzy.

— Ale, mój Boże, Jerzy, wszak nam mogą dać błogosławieństwo!

Jerzy na to nic nie odpowiedział, ale w tej chwili wszedł stryj do pokoju, a wyprosiwszy Jerzego, rzekł:

— Dziewczyno, jesteś nabożną dziewczyną i dla tego mi się podobasz; widzę teraz, że Jerzy będzie z tobą szczęśliwy, i że nie darmo za tobą tęsknił. Sprzeciwiałbym się waszemu małżeństwu, gdybym nie wiedział, jaki z niego jest człowiek i jaki ma rozum.

Gdyby mnie tu nie było, jak go do wojska wzięli, byłby głowę stracił; lecz potrafiłem go pocieszyć, a zwłaszcza tem, że mu wyrobiłem pozwolenie na ślub.

Kłamać nie byłoby na miejscu, więc wiedz: Jerzy nie może wrócić do Czech, a gdybyś ty wróciła do rodziców, kto wie, czyby cię nie odmówili. Lecz gdy się pobierzecie, pojedziemy wszyscy razem

do Oleśnic, i wtedy wam rodzice błogosławieństwa nie odmówią. Przez pątników pošlemy im list. Pojutrze odbędzie się wasz ślub w wojskowym kościele; ja zastąpię rodziców i wezmę wszelką odpowiedzialność na moje sumienie.

Dziewczyno! Spojrzyj na mnie, mam głowę białą jak śnieg. Czy myślisz, żebym uczynił, za coby nie mógł przed Bogiem odpowiedzieć?

Tak stryj mówił do mnie, a łzy mu spadały po licach jak groch.

Zgodziłam się na wszystko. Jerzy o mało co rozumu z radości nie stracił.

Nie miałam innej odzieży jak tę, co na sobie. Lecz Jerzy mi kupił nową suknię, kabatek i granaty na szyję. Są to te same granaty, które mam po dziś dzień, ta sama suknia, i ten sam kabatek, które leżą w skrzyni.

Pątnicy wrócili z listem, w którym stryj rodzicom doniósł, że jeszcze kilka dni zostanę w Kłodzku a potem razem z nim wrócę do Oleśnicy; więcej nie pisał.

— Lepiej będzie — rzekł — gdy wszystko ustnie załatwimy.

Na trzeci dzień mieliśmy ślub; wojskowy ksiądz miał mszę św., pani Liduszka była starości-
ną, Lehotski drużbą, tegoż siostra drużką, stryj i jeszcze jeden obywatel miasta świadkami, więcej nie było nikogo.

Pani Liduszka wyprawiła nam śniadanie, i tak spędziliśmy cały dzień w bojaźni Bożej i radości, wspominając ciągle pozostałych w domu.

Pani Liduszka nasmiewała się z Jerzego przy stole i rzekła:

— Patrzcie, patrzcie, młody panie, wcale was nie poznaję, to już nie ten wiecznie zamroczony Jerzy; ale nie ma się czemu dziwić, że wam teraz twarz promienieje jak słońce!

Tak i podobnie żartowano i mówiono, jak to bywa na weselu.

Jerzy chciał, ażebym się zaraz do niego wprowadziła, lecz stryj na to nie zezwolił, póki nie wrócimy z Czech i z odpustu z Wamberzyc.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(75)

— — —
(Ciąg dalszy).

Kilka dni później pojechaliśmy ze stryjem do Oleśnic. Nie mogę wam opisać, jak się matka Jerzego zdziwiła, że byłam z jej synem już po ślubie i jak bardzo ubolewała, że Jerzy służył przy wojsku. Moja matka zaś załamywała ręce i ustawicznie narzekała, że ją chcę opuścić i w obcy kraj pójść za żołnierzem i tak rozpaczała, że mi włosy na głowie stawały.

Lecz zawsze wyrozumiały i mądry ojciec rzekł:

— Stało się! Jak sobie posłali, tak się wyśpią. Kochają się i będą wszystko razem znosić; wszak, matko, sama dobrze wiesz, żeś tak samo ojca i matkę opuściła, a zresztą jest to już takie przeznaczenie każdej dziewczyny.

Któż temu winien, że Jerzego spotkało nieszczęście? A potem służba w Prusach nie jest taka długa, jak wysłuży swoje lata, wróci do nas.

Wy, kumotro, uspokójcie się, bo Jerzy jest mądry człowiek, a nudzić mu się tam także nie będzie, temu już zapobiegł.

Ty, dziewczyno, nie płacz. Niech cię Pan Bóg błogosławi; z kim poszłaś do ołtarza, z tym wytrzymaj wiernie do samego grobu.

Temi słowy dał mi ojciec błogosławieństwo, i łzy mu stanęły w oczach.

Matki także się rozplakały, a moja matka, lękliwa i bojaźliwa przez całe życie, nie wiedziała, gdzie jej głowa stoi.

— To dopiero rozum, — łajęła, — nie masz tam kawałka pierzyny, ani sprzętów, ani odzieży i wyszłaś za mąż. Jak żyję, nie widziałam takich przewrotnych ludzi.

Rodzice mi dali piękną wyprawę i całym

wszystko miała w porządku, wróciłam do Jerzego i nie opuściłam go już do śmierci.

Nieszczęsna wojna! Gdyby jej nie było, mógłby żyć po dziś dzień!

Widzisz, dziewczyno, wiem dobrze, co jest radość i smutek, wiem co młodość i nierozsądek, — skończyła Babunia, kładąc wychudłą rękę na okrągłe ramię Krystyny.

— Doświadczyliście dużo, Babuniu, ale byliście szczęśliwi, bo było wam w końcu dane, czego serce pragnęło. Gdybym i ja wiedziała, że po wszelkiem utrapieniu będę szczęśliwa, chętniebym wszystko znosiła, chociażbym i czternaście lat na Miłę czekać miała, — rzekła Krystyna.

— Przyszłość jest u Boga, co On przeznaczył, to się i stanie, zdaj wszystko na Niego i ufaj Jemu.

— Łatwo powiedzieć, Babuniu, ale człowiek nie ma zawsze silnej wiary; jak mi wezmą Jakóba, będę narzekała, bo z nim odejdzie moja cała radość, z nim stracę wszystko.

— Cóż mówisz, Krystyno; nie masz-li ojca?

— Mam zacnego ojca, niech mu Pan Bóg da zdrowie, lecz ojciec jest stary i niecierpliwy. Dla tego już przeszłego roku chciał na gwałt zrobić wesele, ażeby dostać pomocnika i zastępcę w gospodarstwie. Więc cóż ja biedna zrobię, gdy Jerzego do wojska zaciągną? Wszak innego nie wezmę, chociażby się wszyscy na głowę postawili; będę pracować do upadłego, ażeby ojciec nie miał powodu do skargi, ale zmusić się nie dam! Ach, Babuniu, wy ani nie wierzycie, co mam za utrapienie w gospodarstwie! Nie myślcie, że się skarżę na pracę, broń Boże! pracuję chętnie, ale co się człowiek nasłuchać musi, aż uszy bołą!

— I nie umiesz temu zaradzić? — zapytała Babunia.

— Proszę was, jakim sposobem? Ilekroć mówiłam do ojca: Widzicie, tatusiu, tak i tak jest, nie cierpiecie takich gości, zawsze mi odpowiadał: Mów, dziecko, co chcesz, tylko nie zostawiaj po gru-

bijańsku i nie zrażaj mi gości, bo wiesz dobrze, że to nasz chleb, gości tracić nie chcę!

Więc nie mam po grubijańsku postępować, a gdy jestem uprzejmą, zaraz po całej wsi mną trzęsą. Gdyby to byli goście ze wsi, prędkobym z nimi skończyła, ale pan pisarz i rządzca z zamku, to gorzcy panowie, mam ich pełen żołądek. Wstydzę się wam przyznać, jak mnie ten stary koziół rządzca prześladowuje, a sumienie mi mówi, że się wszelkimi siłami Mili pozbyć stara, bo wie, że Jakób jest moim obrońcą i obawia się, ażeby mu się tak nie powiodło, jak wtedy Włochowi. Udaje, jakoby sołtysowi łaskę wyświadczył, że pomścił jego córkę, a tymczasem stary złodziej sam o sobie myśli. Jestem bezradna, ojciec się boi, a biedna matka jakby już nie na tym świecie, więcej w łóżku, niż na nogach, więc jej też tem wszystkim nie niecierpliwie.

Gdybym była mężatką, byłoby inaczej. Bo niepodobałby mi się jaki gość, powiedziałałabym Mili, a nie mógłby go się Jakób otwarcie pozbyć, uważałby na niego, i taki człowiekby się ani nie odważył, pożądliwie na mnie spojrzeć. Ach, Babuniu, gdybym wam mogła powiedzieć, jak mnie Jakób kocha, a ja jego, ale powiedzieć się tego nie da!

Dziewczyna podparła ręką twarz i długo milczała.

Wtem wstąpił Mila do ogrodu. Nikt go nie spostrzegł. Na twarzy jego było widać ślady wewnętrznej boleści, oczy były mętne. Ciemnokasztanowe włosy miał krótko przystrzyżone, na głowie wojskową czapkę z jodłową różczką.

Baśka się Mili przelekkła; Babuni opadły ręce, twarz jej zbladła, nareszcie rzekła staruszka przyciszonym głosem:

— Niech cię Pan Bóg pocieszy, Jakóbie!

Lecz gdy Krystyna podniosła głowę, a Mila podając jej rękę, rzekł:

— Jestem żołnierzem, i za trzy dni muszę się stawić do Królewskiego Grodu, — padła dziewczyna na ziemię i straciła przytomność.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(75)

(Ciąg dalszy).

XV.

Na drugi dzień, gdy Babunia, jak zwykle wyszła dzieciom naprzeciwko, było jej pierwsze słowo:

— Zgadnijcie, dziatki, kto jest u nas?

Dzieci się namyślały i nijako zgadnąć nie mogły, nareszcie Baśka zawołała:

— Pan Beyer! Nieprawdaż, Babuniu?

— Zgadłaś! i przywiódł tym razem synka ze sobą! — rzekła Babunia.

— To dobrze! Z tego się cieszę; pobiegnijmy do niego! — krzyknął Janek i już go nie było.

Wilemek zaś gonił za nim, aż mu torebka z książkami od plec odskakiwała. Babunia wołała na chłopców, aby szli jak ludzie a nie pędzili jak dzikie zwierzęta. Lecz gdzie tam już chłopcy byli!

Wpadli bez tchu do izby. Matka chciała malców łajać, ale pan Beyer wyciągnął do nich swe długie ręce, a podnosząc potem jednego i drugiego w górę całował ich w czoło.

— A coście przez cały rok robili? — zapytał pan Beyer głębokim głosem, który się w małej izbie silnie rozlegał.

Chłopcy od razu nie odpowiadali, bo wzrok ich utkwiał na chłopaku we wieku Baśki, który stał obok pana Beyera. Był to ładny chłopiec, całkiem do ojca podobny, o rumianej twarzy, a z ócz mu patrzyła radość dziecięcia.

— A tak! wy się przypatrujecie mojemu synkowi; więc to się już raz dobrze przypatrzcie i podajcie sobie ręce, abyście się stali dobrymi przyjaciółmi. To jest mój Orzeł!

To mówiąc, posunął pan Beyer chłopca naprzód, który swoim rowiennikom podał śmiało rękę.

Wtem nadeszła Babunia z Adelką i Baśką.

— A tu widzisz Baśkę, o której w domu opowiadałem, że podczas mojego pobytu w „Starem Bielidle“ zawsze najpierwsza rano przychodzi mi powiedzieć: dzień dobry! — Ale tego roku zmienił się zapewne porządek domowy, gdyż chodzicie już do szkoły, będzie więc musiał Janek zarówno z

Baśką wstawać. A jak wam się w szkole podoba, Janku? Wołałbyś zapewne biegać po lesie! Słuchaj, mój Orlik musi porówno ze mną chodzić po borach i górach, a niedługo potrwa, to będzie/tak dobrze strzelał jak i ja.

Tak wypytywał i opowiadał pan Beyer, a dzieci otoczyły go kołem i uważnie jego słów słuchały.

— Ani im o takich rzeczach nie wspominajcie, — rzekła Babunia. — Bo Janek zaraz się rozpłacze i będzie chciał oglądać strzelbę Orlika.

— Cóż w tem złego? Niech ogląda; idź, Orliku i przynieś strzelbę; wszak nie jest nabita? — rzekł pan Beyer.

— Nie tatusiu! ostatni wystrzał dałem, jak wiesz, na kanię, — odpowiedział chłopak.

— A nie chybiłeś; możesz się pochwalić; idź i pokaż ptaka chłopcom, — rzekł pan Beyer.

Chłopcy wybiegli z Orlikiem z pokoju, lecz Babunia się niepokoiła, aczkolwiek pan Beyer za Orlika zaręczał, więc wyszła za dziećmi.

— Ty masz imię, jak ptak! — odezwała się Adelka, podczas gdy Janek i Wilemek oglądali zastrzeloną kanię.

— Nazywam się właściwie Aurel, — odpowiedział chłopiec z uśmiechem, — ale tatuś lubi mnie nazywać Orlikiem, a mnie także się to imię podoba; bo rzeź to piękny ptak; nasz tatuś raz orła zastrzelił.

— Wierzę, — zawołał Janek. — Lecz teraz chodź ze mną; pokażę ci orła i dużo innych zwierząt. Mam je wymalowane w książce, którą przeszłego roku od księżnej Hortenzyi dostałem.

To mówiąc, wciągnął Janek Orlika do izby, gdzie mu wnet w książce wymalowane zwierzęta objaśniał. Orlikowi się wszystkie okazy bardzo podobały, a i pan Beyer oglądał stronnicę po stronicy z wielkiem upodobaniem.

— Wszak nie miałeś jeszcze tej książki, gdy tu ostatni raz był? — zapytał pan Beyer Janka.

— Dostałem ją od księżniczki, od Krystyny zaś mam parę gołębi, od pana leśniczego parę królików, od Babuni dwudziestograjcarówkę, a od rodziców nowe ubranie! — chwalił się Janek.

— Szczęśliwy chłopak z ciebie, — rzekł pan Beyer, patrząc wciąż w książkę, a gdy zobaczył lisa, zawołał z szyderczym uśmiechem: — Jak żywy, oj czekaj ty gałganie, zadam ci pieprzu!

Wilemek obawiając się o malowanego lisa w książce, bojaźliwie spoglądał na pana Beyera, który, zauważywszy zatrwożenie malca, łagodnie się uśmiechając, rzekł:

— Nie bój się; temu tu nic nie zrobię; ale taki sam jest w górach, jakby go z oka wydłubał; tego muszę sprzątnąć; robi zbyt wielką szkodę!

— A może go Piotr dostanie! Przed naszym odejściem zastawiłem z nim razem żelaza — odezwał się Orlik.

— Chłopcze! lis jest dziesięć razy chytrzejszy od Piotra; on ma swoje drogi, o których człowiek ani nie myśli; a cóż dopiero o tym mówić, na którego czyhamy! Był już raz w kleszczach. To dopiero mądrala. Wzięliśmy go na pieczęń, sądząc, że go tak dostaniemy. Miał głód, więc przyszedł i złapał się. Lecz cóż do kaduka zrobił? Ugryzł nogę w żelazach i uciekł! Teraz go trudniej dostać; bo przez szkodę i człowiek zmądrzeje a lis ma, wierzcie mi, rozum człowieka, — zapewniał pan Beyer, przeglądając stronę po stronie w książce.

— Wszak nie nadarmo mówią: mądry jak lis, — odezwała się Babunia.

— Tu jest orzeł, patrzcie tu! zawołali chłopcy, pokazując palcami pięknego ptaka z rozciągniętymi skrzydłami.

— Zastrzeliłem swego czasu prawie takiego samego. Był to piękny ptak; aż mi go żal było. Lecz cóż było robić? Taka sposobność nie częste się człowiekowi nadarzy. Trafiłem go dobrze, a to główna rzecz, aby się zwierzę nie męczyło, — rzekł pan Beyer.

— Ja to samo mówię, — przytaknęła Babunia.

— A nie żal wam zwierzęta strzelać? — zapytała Baśka, dodając równocześnie: — Ja bym żadnego zwierzęcia zastrzelić nie mogła!

— Ale zarznąć, — odparł pan Beyer szyderczo, a zarazem zapytał: — Jakaż śmierć jest lepsza, czy ta, że zwierzę niespodzianie i od razu padnie, czy też ta, że je dopiero gonicie, płoszycie, straszycie, a często tak niezgrabnie poderzniecie gardło, że jeszcze nawpół żywe uciecze?

— My nie zarzynamy drobiu, — odparła Baśka — tylko Urszula, bo go nie „żałuje“, więc też zawsze prędko z niem koniec.

Dzieci bawiły się jeszcze chwilę książką, potem ie Babunia zawołała na wieczerzę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(76)

(Ciąg dalszy).

Innym razem wypytywały dzieci pana Beyera o góry. Chciały się dowiedzieć, czy znów się zabłądził do rybcalowego ogrodu, i dowiadywały się o różnych innych rzeczach. Tym razem zapytywały się Orlika i słuchały z wielkiem skupieniem, gdy im chłopak opowiadał o niebezpieczeństwach, w których się z ojcem znajdował, i o zwierzętach, które sam zastrzelił. Gdy im opisywał ogromne bałwany śnieżne, które się w górach tworzą i zasypują całe osady tak grubo, że ludzie chcąc się wydostać na wolność, są zmuszeni kominami wychodzić lub od samych drzwi drogę przebijać. Lecz to wszystko Janka nie odstraszało. Chłopak z apragnieniem oczekiwał chwili, w której skończy odpowiedni wiek, aby mógł wstąpić w naukę do pana Beyera.

— To tylko szkoda, że w domu nie zostajesz — zawołał żałośnie Janek.

— Nie będzie ci się nudzić; mam jeszcze dwoje rodzeństwa, brata Wicka, który jest taki wielki jak ty, i siostrę Marylkę, która ci się szczerze ucieszy — pocieszał Orlik przyjaciela Janka.

Podczas gdy dzieci siedziały w podwórzu, słuchając Orlika i oglądając piękne kryształy, które im był przyniósł, przysłuchiwał się w izbie pan Beyer Babuni, która mu opowiadała o ostatniej powodzi i wszystkich innych zdarzeniach, jakie w ostatnim roku zaszły.

— A rodzina mojego kolegi na Ryzenburku zdrowa? — zapytał pan Beyer.

— Wszyscy zdrowi — odpowiedziała pani Proszkowa — Anusia już dorasta, chłopcy chodzą do szkoły na „Czerwoną Górę“, bo tamdotąd mają bliżej aniżeli do miasta. — Dziwno mi, że tu jeszcze pana leśniczego nie ma, bo mówił, że się przyjdzie z wami przywitać, gdy pójdzie na stanowisko. Był tu rano i przyniósł mi wiadomość z zamku, że nadszedł list z Wiednia. Poszłam zaraz po nowinę

księżna zapewne przyjedzie na wieniec, pobędzie tu jakie dwa tygodnie, i potem się uda do Florencyi.

Mam więc nadzieję, że nam ojciec zostanie na zimę w domu, bo podobno księżna nie zabierze ze sobą żadnych sług. Od kilku lat po raz pierwszy będziemy mogli dłuższy czas razem spędzić.

Pani Proszkowa już dawno nie była taka wymowna, ani taka spokojna i ucieszona jak w dzień dzisiejszy, kiedy odebrała radosną nowinę, że mąż jej przyjedzie.

— Chwała Panu Bogu — odezwała się Babunia — że księżniczka chorobę przemogła. Byłaby wielka szkoda tego młodego, dobrego stworzenia. Wszyscyśmy Pana Boga prosili, aby ją wspomógł; Celinka Kudrny wczoraj tu dopiero o nią płakała.

Pan Beyer zapytał, jak to ma rozumieć, więc Babunia mu opowiedziała o swych odwiedzinach w zamku, przyczem najwyraźniej księżniczce przypisała zasługę, dzięki której rodzina Kudrny miała teraz utrzymanie i dobrobyt.

— Słyszałem — rzekł pan Beyer — że księżniczka jest córką...

Wtem zapukał ktoś w okno.

— To jest kumotr leśniczy; poznaję go po pukaniu. Prosimy, prosimy! — zawołała głośno pani Proszkowa.

— Ludzie mają złośliwe języki — odpowiedziała Babunia na pytanie leśniczego — a kto w słońcu chodzi, ma za sobą cień! to już inaczej nie jest. Co nas to zresztą obchodzi, niech jest córką, czyją chce.

Tyle, co leśniczy próg przestąpił, witali się starzy przyjaciele serdecznie.

— Gdzieście bawili, że was tak długo nie było? — zapytała Babunia leśniczego, spoglądając troskliwym okiem na strzelbę, którą leśniczy zawiesił właśnie na ścianie.

— Miałem nader miłego gościa — pana rządcę! — odpowiedział pan leśniczy.

— Przyjechał po drzewo. Wprzód sprzedał swój deputat, a terazby chciał drzewa po raz drugi i wprowadziłby człowieka w nieszczęście. Tenby mi się udał! Zaraz się domyśliłem, po co jedzie, bo podchodził do mnie jak łasica. Ale usłyszał

mi żal chłopca, a nie mniej Krystyny. Dziś rano wstąpiłem do gospody na szklaneczkę, i aż się przelałem, tak się dziewczyna zmieniła. A to wszystko ma ten przekl... — tu się leśniczy uderzył ręką w usta, przypominając sobie, że Babunia słucha — na sumieniu!

— Co się stało? — zapytał pan Beyer.

Babunia odpowiedziała więc, że i dla czego Miła zabrali do wojska.

— Tak to jest na tym świecie: gdzie się człowiek obróci, wszędzie napotka na strapienie i biedę, pomiędzy wielkimi i małymi, a kto biedy nie ma, ten jej sobie narobi — rzekł pan Beyer.

— Przez nieszczęście i boleści oczyści się człowiek od wszelkich poszlak jak złoto przez ogień. Bez boleści nie ma radości. Gdybym wiedziała jak, pomogłabym chętnie dziewczynie, ale nie wiem sposobu. Tymczasem musi wszystko cierpliwie znosić. Najgorszy będzie dla niej jutrzejszy dzień, bo Miła jutro odjeżdża.

— Już jutro odjeżdża? To się bardzo spieszą; a dokąd go wyślą? — zapytał pan Beyer zdziwiony.

— Do „Królewskiego grodu“!

— W takim razie mamy tę samą drogę, tylko z tą różnicą, że ja pojedę po wodzie, a Miła po ziemi — rzekł pan Beyer.

Chłopcy wbiegli do izby. Jan i Wilemek pokazywali leśniczemu kanię, którą Orlik zastrzelił; Orlik zaś opowiadał ojcu, że był z chłopcami przy tamie i widział „głupią“ Wikcię.

— Zyje jeszcze ta osoba? — dziwił się pan Beyer.

— Ba! Lepiejby jej było w ziemi, aniżeli na ziemi — odpowiedziała Babunia — biedna się już pochyla, — starzeje. Rzadko kiedy już słyhać jej śpiew, z wyjątkiem, jasnych, letnich nocy.

— Lecz przy tamie jeszcze wysiaduje i patrzy w wodę; często długo, jeszcze po północy tam siedzi — rzekł leśniczy.

— Wczoraj wieczorem przechodziłem okół niej. Łamała pręciki wierzbowe i rzucała w wodę. Była już późna godzina.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(77)

(Ciąg dalszy).

— Co tu robisz? — zapytałem, ale nie odpowiedziała ani słowa. Pytam po raz drugi — wtem obróciła się nagle do mnie, oczy jej się zaiskrzyły, myślałem, że się na mnie rzuci; ale widocznie mnie poznała, lub jej jakieś wspomnienie przez głowę przeleciało, bo obróciła się zaraz i pręcik za pręcikiem rzucała w wodę przez tamę. Niekiedy nie z nią począć nie można. Żal mi jej i życzę jej końca tego nędznego życia; lecz gdybym jej nie widział przy tamie, nie słyszał jej piosenki na stanowisku, brak by mi czegoś było — tęskniłbym za czemś — rzekł leśniczy, trzymając ciągle jeszcze kanię w rękach.

— Gdy człowiek przywyknie do czego, ciężko mu odwyknąć — rzekł pan Beyer, kładąc rozdmuchaną gąbkę do glinianej, drutem obciążonej fajki, a zaciągnąwszy się kilka razy, dodał: — i nie ma różnicy, czy się przyzwyczai do człowieka, do zwierzęcia lub do rzeczy jakiej. Tak ja się przyzwyczaiłem zabierać tę oto fajkę w podróż. Moja matka paliła z podobnej; przypominam sobie, jakbym ją dziś widział siedzącą na progu.

— Jakto, wasza matka fajkę paliła? — zawołała zdziwiona Baśka.

— W górach dużo kobiet pali, zwłaszcza starszki. Ale zachodzi ta różnica, że zamiast tytoniu, palą kartoflaną nać, albo wiśniowe liście.

— Nie wierzę, żeby to smaczne było — rzekł leśniczy, zapalając także fajkę, ale porcelanową, ładnie malowaną.

— Tak mam i pewne miejsca w lesie — zaczął znów pan Beyer, gdzie się mimowoli zatrzymuję, bądź to, że je pokochałem, bądź to, że mi przypominają pewne osoby, i zresztą miłe lub nie-miłe zajścia w mojem życiu. Gdyby zabrakło w tych miejscach jednego drzewa, jednego krzaka i mnieby czegoś brakowało.

Głęboko w lesie na stromej skale stoi omszały świerk. Stare to drzewo: konary z jednej strony

chyła się nad głęboką przepaścią, porośniętą tu i owdzie w czeluściach paprocią i krzakami jałowcowymi; dołem pędzi huczący potok po przerwach skalistych, tworząc wodospad po wodospadzie. Sam nie wiem, jak się stało, ale zawsze do tego drzewa zabłądziłem, gdy miałem zmartwienie, lub gdy mnie spotkało jakie nieszczęście.

Tak było, gdym chodził do mojej żony. Zdawało mi się, że jej nigdy nie dostanę. Bo jej rodzice ani słyszeć o mnie nie chcieli, wzdraniali stanowczo małżeństwu i dopiero później na ślub pozwolili.

Tak samo było, gdy mi umarł najstarszy syn, gdy starą matkę śmierć zabrała. Wychodziłem z domu, szedłem bez celu, nie patrzyłem ni w prawo ni w lewo, mimowoli zaniosły mnie nogi do dzikiej przerwy, a gdym się ocknął nad przepaścią pod omszonym świerkiem i spojrzałem w piętrzące się przedemną strome skały: jakby mi z serca cały ciężar spadł... nie wstydzilem się płakać.

Gdym objął chropowaty pień drzewa, zdawało mi się, że w nim jest dusza, która pojmuje mój smutek, mój żal, a szumiące nademną gałązki świerka zdawały się wzdychać nademną i opowiadać o podobnych boleściach.

Pan Beyer umilkł; wielkie jego oczy były zwrócone na gorejącą świecę na stole, z ust puszczał kłęby dymu, które lekko podnosiły się do pułapu, a myśli jego zdawały się ulatywać z nimi.

— Na prawdę, człowiekowi się niekiedy zdaje, jakoby w drzewach życie było — odezwał się znowu ryzemburski lesniczy.

— Doświadczyłem tego sam. Pewnego razu — jest temu już lat kilka — wyznaczyłem drzewa do wycięcia. Borowy miał inne zajęcie, więc sam musiałem roboty doglądać. Rębacze nadeszli i zabierali się do ścięcia pięknej, młodej brzozy. Ani zmazy na niej nie było, stała piękna jak panna. Spojrzałem na nią, a tu mi się zdawało — jakby mi się do nóg kłaniała, jakby mnie gałęziami objąć chciała, a w uszy mi coś szemrało:

— Czemu chcesz położyć kres mojemu młodemu życiu? Com tobie uczyniła?

Wtem zaskrzyptało ostrze piły po korze, raniąc głęboko jej ciało. Nie wiem, czym krzyknął z bólesci, ale pamiętam, że zakazałem rębaczom da-

lej rznąć. Lecz gdy zdumieni na mnie spojrzeli, zawstydzilem się, dałem rozkaz do dalszej pracy, a sam odszedłem daleko w las.

Całą godzinę chodziłem bez celu i bezustannie prześladowała mnie myśl, że mnie brzoza prosiła, abym jej życia nie odbierał. Gdym się na końcu przemógł i wrócił, była już ścięta; ani listek nie zachwiał się na niej, jak martwe ciało leżała na ziemi. Owładnął mną żal, jakobym był popełnił zbrodnię. Kilka dni nie miałem spokoju, ale nie zwierzyłem się nikomu, a gdyby dziś właśnie rozmowa na ten temat nie była weszła, nie byłbym się z tem nikomu zdradził.

— Coś podobnego i mnie się zdarzyło — odezwał się swym głębokim głosem pan Beyer. — Miałem odstawić zwierzynę do zarządu; idę więc do boru, a tu kroczy prosto na mnie sarna: piękne zwierzę, jak z marmuru wytoczone. Popasając co chwilę, oglądało się wesoło po lesie. Zrobiło mi się żal, ale pomyślałem:

— Co z ciebie za błazen!

Strzeliłem więc, ale ręka mi drgnęła i raniłem ją w nogę; przykłękała, — uciec nie mogła! Pies się do niej rwał, lecz go wstrzymałem; coś mi nakazywało, abym jej ubliżyć nie pozwolił. Podszedłem do niej, i nie mogę wypowiedzieć, z jaką boleścią sarna na mnie spojrzała, prosząc niby i żaląc się zarazem. Wyciągnąłem kordelas i wbiłem jej w serce. Drgnęła silnie i — było po niej. A ja rozplakałem się i od tej chwili — czegobym się miał wstydzić...

— Tatusz nie strzela do sarn — dodał prędko Orlik.

— Tak jest; ilekroć mierzę, widzę przed sobą tę ranną sarnę i jej oczy pełne bóleści. Obawiam się, że chybię, że zwierzę zranię i odkładam strzelbę.

— Powinniście tylko złe zwierzęta strzelać, a dobrym dać spokój, bo ich szkoda — odezwał się Wilemek, który o mało co się nie rozplakał.

— Żadne zwierzę nie jest tak dobre, ażeby nie mogło być złe, jak żadne nie jest tak złe, żeby nie mogło być dobre, właśnie tak jak ludzie — rzekł pan Beyer.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(78)

(Ciąg dalszy).

— Błędem jest sądzić, — mówił dalej, — że to zwierze, które na zewnątrz ładnie i spokojnie wygląda, musi być dobrem, zaś to, które nam się nie podoba, musi być złe. Piewierzchowność często zawodzi. Pochodzi to stąd, że człowiek, tego, co mu jest obojętne i mniej przyjemne, łatwiej się pozbywa, aniżeli tego, co jest piękne, jemu miłe, i dla tego, co do pierwszego, staje się często niesprawiedliwym.

Byłem pewnego razu w „Królewskim Grodzie“ *), krótko przed straceniem dwóch zbrodniarzy. Jeden z nich był piękny człowiek, drugi ohydny, niepokąźny, wstrętny. Ostatni pochodził z naszej okolicy. Po zapadnięciu wyroku poszedłem do niego, aby zapytać, czy nie ma jakiego zlecenia do domu, bo chętniebym mu tę przysługę uczynił.

Popatrzał na mnie, rozśmiał się głucho, potrząsał głową, nareszcie rzekł:

— Mam dać zlecenie, pozdrowienie przesłać!
— Komu?! Nieznam nikogo!

Odwrócił się ode mnie, wsparł twarz na dłoni i siedział tak chwilę nieruchomy; wraz się zerwał z zadumania, wstrząsał się, założył ręce na piersiach i wyprostowawszy się przedemną rzekł:

— Człowieku, uczynisz mi, o co cię prosić będę?

— Chętnie! — odpowiedziałem i podałem mu rękę.

Wtem okamgnieniu przybrała twarz zbrodnia-
rza wyraz tak niezmiernej boleści, żebym dla niego był wszystko uczynił. Rysy twarzy straciły wszelki

*) Königgrätz.

wstręt; wzbudzały tylko litość i współczucie. Musiał mi do głębi serca spojrzeć, bo ujął mnie za rękę, mocno uścisnął i przyduszonym, półcichym głosem rzekł:

— Gdybyś mi był przed trzema laty tak rękę podał, nie byłbym tu dzisiaj! — Czemuż myśmy się nie spotkali?! Czemu spotkałem tylko takich ludzi, którzy mnie w błoto wtrącali, dla brzydkiej twarzy mnie wyśmiewali; którzy mnie piołunem i jadem poili? Matka mnie nie kochała, brat wypędził z domu, siostra się mnie wstydziła, a ta, w której miłość uwierzyłem, dla której życie nastawiłem, na której rozkaz bym był po gwiazdy na niebie sięgnął, dla której żałowałem, że życie moje za krótkie, aby jej się za miłość odwdzięczyć, — ta mnie błąznem zrobiła! A gdym chciał z jej własnych ust usłyszeć, co ludzie jawnie mówili, psem mnie za drzwi wyszczuła!

Zbrodniarz rozplakał się jak dziecko.

Po chwili otarł łzy rękawem, uchwycił mnie za rękę i cichym głosem rzekł:

— Gdy przyjdziecie do marszowskiego lasu, idźcie do dzikiej doliny. Nad przerwą stoi tam stary, omszały świerk; temu zanieście moje pozdrowienia i dzikim ptakom, które nad nim latają i piętrzącym się tam skałom. Pod konarami tego drzewa sypiałem całe lata, jemu powierzałem, czego się nikt nie dowiedział; w cieniu jego czułem się biednym Łazarzem, byłem...

Zamilkł nagle, usiadł na ławie, nie przemówił już ani słowa, ani już więcej na mnie nie spojrział. Odszedłem z bólem serca.

Ludzie łajali i przeklinali brzydkiego zbrodniarza. Zasłużył na śmierć, twierdzili, bo już z ócz mu łotrowska dusza patrzy, bo nie chce księdza, nie chce nikogo widzieć, pokazuje ludziom język i idzie na śmierć jak na kiermasz.

Ładnego zaś łotra żalowali, wydzielali sobie piosenkę, którą w więzieniu ułożył i pragnęli szczerze, aby go ułaskawiono. Wszak z zazdrości zabił

tylko przyjaciela, mówili, lecz ten tam zastrzelił z sprosnej zmysłowości dziewczynę, która mu nie zrobiła i mordował ludzi!

Tak sądzi każdy według swego widzi mi się; co głowa, to rozum; co oko, inaczej widzi; więc trudno orzec:

— Tak jest, inaczej być nie może!

Bóg jedyny zna świat, On zajrzy w najskrytsze tajniki serca ludzkiego i osądzi; On rozumie mowę zwierząt, przed nim się otwierają kielichy kwiatów, On zna ścieżki każdego robaka; szum wiatru rządzi się Jego rozkazem; prąd rzek biegnie korytem, jakie On wskazał.

Leśniczy zamilkł; fajka mu zgasła. Oczy mu się żarzyły, twarz promieniała jak w jesiennym słońcu górzysty padolek, który się jeszcze zieleni i kwitnie, gdy góry pokrywa już śnieg.

Wszystkich oczy zwrócone były na pana Beyera, aż nareszcie Babusia przerwała milczenie:

— Miło was słuchać, panie Beyerze; mówicie prawdę, jak pismo święte; lecz czas już dzieci w łóżko położyć; a myślę, że i wasz Orlik będzie drogą zmęczony jako i wy także.

— Orliku! Twą kanię zabiorę dla pułacza; bo co tobie po niej? — odezwał się pan leśniczy, zawieszając strzelbę przez ramię.

— A i z radością wam ptaka odstąpię, — odpowiedział Orlik.

— Przyniesiemy kanię wczas rano do was, — odezwali się chłopcy.

— Wszak musicie pójść do szkoły — rzekł pan leśniczy.

— Wyprosiłam dzieci na jutro u nauczyciela, aby mogli gościa użyć, — rzekła pani Proszkowa.

— Jeżeli tak, to i moich swojaków zatrzymam w domu, aby się wszyscy razem zabawić mogli. Przyjdźcie więc jutro, dzieci; dobra noc! — rzekł pan leśniczy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(79)

(Ciąg dalszy).

— Łagodny pan brat nadolny, jak leśniczego pan Beyer lubiał nazywać, podał każdemu przyjacielską dłoń, zawołał na Hektora, który Orlikowi bardzo wpadł w oczy, i opuścił „Stare Bielidło.“

Rano, zanim się dzieci pobudziły, stał Orlik już na tratwach.

Po śniadaniu udał się pan Beyer z chłopcami do „pana brata łagodnego“, zaś Babusia z Baską i Adelką do gospody na pożegnanie się z Milą.

Pokój gościnny w gospodzie był przepełniony. Rodzice, przyjaciele, siostry i znajomi zaciągniętych rekrutów byli tam zgromadzeni, i chociaż jeden drugiego trunkiem częstował i sami sobie usługiwali, gospodarz i Krystyna pomimo pomocy Mili, z nalewaniem napojów zdążyć nie mogli. Rekruci nucili piosenki wesołe i wojackie, i aczkolwiek każdy pragnął nabrać otuchy, nikt się nie zapomniał i nie upił się, jak to miało miejsce przed stawką. Wtedy mieli zielone różeczki za czapkami, krzykali wesoło, pili, śpiewali, aby utopić, ogłuszyć strach i bojaźń; bo wtedy najprotszy i najsiłniejszy chłop miał garść nadziei, że od wojskowości zwolniony zostanie; niektórym znowu pochlebiało, że dziewczyny o nich płakały, znów inni radowali się z okazanej miłości rodziców, która w podobnych okolicznościach wytryska na powierzchnię jak strumień wody gorącej, ukryty w głębi ziemi, a jeszcze inni dufali w orzeczeniach doświadczonych znajomych, którzy mówili:

— Co tam! ten nie wróci; taki chłop, rosły jak sosna i prosty jak byś go ułal! właśnie takich żołnierzy lubiał!

Takie pochwały osładzały gorzki napój, jaki twarda konieczność przed nich stawiała. Ale to, co pocieszyło rośliych, pięknych chłopców, martwiło nie mało tych, którzy z góry nie mieli się czego obawiać. Niejeden z nich byłby wolał podjąć się uciążliwości i zostać żołnierzem, aniżeli słyszeć cierpkie słowa jak:

— Nie potrzebują o ciebie płakać, bo na bęben przysięgać nie będziesz; wszak nie sięgasz suce do podwiązki; lub:

— Chłopcze! daj się do konnicy zapisać, bo masz nogi, jak wół rogi!

Takimi to docinkami starsi jątrzyli bezustannie rekrutów.

Babusia przyszła do gospody ale nie wstąpiła do gościnnego pokoju, a to nie dlatego, że tam powietrze było duszne, lecz dla ciężkiego smutku, jaki ogarnął wszystkich i jak ponura powłoka legł na ich twarzach. Współczuła głęboki smutek zasnuconych matek, z których niejedna załamywała ręce w niemej rozpacz, inna ciche łzy roniła lub narzekała głośno. A cóż dopiero dziewczyny cierpiały, które wstydziły się z swym żalem wyjawić, a jednak suchem okiem nie mogły patrzeć na blade twarze młodzieńców, którzy im więcej pili, tem widoczniej smutnieli, a gdy w końcu piosenkę zanucić chcieli, głosu wydobyć nie mogli. Współczuła z ojcam, którzy ponuro za stołami siedzieli, nic nie mówili i tylko o tem myśleli, kim w gospodarstwie zastąpić pilnych synów, którzy im dotąd we wszystkim prawą ręką byli.

Jak tu za nimi nie tęsknić, jak się bez nich obyć przez lat czternaście!

Babunia usiadła z dziećmi w ogrodzie.

Po chwili nadeszła Krystyna, zmartwiona, zaplakana, blada jak śnieg. Chciała przemówić, ale na piersiach leżało jej coś jak kamień, gardło msało, — nie mogła słowa przemówić. Opamiętała się

w świętojańską noc wianek była rzuciła. Wianek przeleciał wtedy na drugą stronę, a teraz, gdy się wszelkie nadzieje spełnić miały, gdy z swym kochankiem połączyć się miała na zawsze, miała się rozstać z nim na długo, bardzo długo. Zakryła twarz białym fartuchem i głośno szlochać poczęła. Babunia jej nie przeszkadzała.

Do ogrodu wszedł Mila.

Gdzie się podziały rumieńce z twarzy młodzieńca? gdzie żywy blask jego ócz?

Mila stał jak z marmuru wykuty! Milcząc podał Babuni rękę, milcząc objął ukochaną dziewczynę i wyszywaną chusteczką, jaką każdy kawaler w dowód miłości od swej dziewczyny był dostał, ocierał jej łzy. Nie mówili, jak bardzo cierpią; lecz gdy się w izbie gościnnej rozległ śpiew:

„Bo jak my się rozłączymy,
Dwa serduszka zasmucimy,
Dwa serduszka, cztery oczy
Będą płakać we dnie w nocy!“

rzuciła się Krystyna w objęcia Mili i rozplakała się na głos.

Pieśń ta była oddźwiękiem melodyi, która w jej sercu bezustannie brzmiała.

Babunia wstała, i położywszy rękę Mili na ramieniu, rzekła:

— Niech cię Bóg prowadzi i pocieszy, Jakubie! Rób chętnie, co robić musisz, a nie będzie ci ciężko. Gdy Pan Bóg pomyślnie wojennemi zamiarami pokieruje, rozłączenie wasze nie potrwa długo. Pokładajcie nadzieję w Bogu. — A ty, dziewczyno, jeżeli go kochasz, nie obciążaj mu jeszcze więcej serca twem narzekaniem. — Idź z Bogiem, Jakubie!

To mówiąc przeżegnała Babunia Milę, uścisnęła mu rękę i odeszła z tem uczuciem w sercu, że pocieszyła dwoje zmartwionych ludzi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(80)

(Ciąg dalszy).

Krystyna i Mila, w których serca babusine słowa padły jak rosa na zwiędłe kwiaty, krzepiąc i budząc je do nowego życia, trzymali się w objęciach pod kwitnącą jabłonią, nie słysząc wcale, że przed karczmę zajechał już wóz po rekrutów, nie słyszeli nawet, gdy ich w podwórzu po imieniu wołali; tulili się do siebie, zapominając o świecie; wszak jedno drugiemu było światem całym.

Po południu pożegnał się pan Beyer ze swymi gospodarzami. Pani Proszkowa jak dawniej tak i dziś napełniła ojcu i synowi kieszenie, aby w dalekiej drodze głodu nie mieli. Każdy z enłopców ofiarował Orlikowi upominek. Baśka dała wstążkę do kapelusza, a Adelce poradziła Babunia, aby młodemu przyjacielowi ofiarowała różę, którą była od księżniczki otrzymała.

— Wszak mówiliście mi, że różę będę nosić za pasem, gdy dorosnę, rzekła stroskana dziewczynka.

— Jeżeli chcesz uczyć miłego gościa, musisz mu dać, co ci miłe i drogie! a zresztą dziewczynkom najlepiej przystoi darować kwiaty, oświadczyła Babunia.

Wobec tego zatknęła Adelka Orlikowi różę za kapelusz.

— Moja Adelko! Nie wiem, jak długo twoja róża potrwa, — rzekł pan Beyer, — bo Orlik, to dziki ptak; cały dzień w deszczu i wichrze pnie się po skałach i wierzchołkach gór.

Zatrwożona Adeika pytająco spojrziała na Orlika.

— Nie kłopotcie się tatusiu, — zawołał chło-

pak, — wszak w powszedni dzień, gdy po górach biegać będę, zostawię różę w domu i dobrze schowam, a tylko w niedzielę i święta nią się szczyścić będę, więc długo zostanie piękna.

Adelka się uspokoiła.

Nikt nie przypuszczał, że dziewczynka sama jest różą, za którą kiedyś Orlik zateškni; którą zaprowadzi w śnieżne góry, i w zaciszu leśnym ochraniać będzie na swą pociechę, a miłość do niej jego życia gwiazdą przepowiednią się stanie.

XVI.

Było już po świętach, które Babunia nazywała „zielonemi;“ widocznie dla tego, że omiała cały dom wewnątrz i zewnątrz brzoźowemi gałęziami; nawet stoły i stołki były omajone, a w łózkach spali wszyscy jak pod zielonym dachem. Minęło i piękne święto „Bożego Ciała“ i święto św. Jana Chrzciciela.

Słowik przestał śpiewać w zagajeniu, jaskółki wywodziły młode z pod strzechy, pomiędzy kotami na piecu znalazł się majowy kotek, z którym się Adelka rada pieściła. Czarna kura wodziła już podrosłe kurczęta, psy skakały noc w noc za myszami do wody, co spowodowało stare przedniczki, aby opowiadały, że koło „Starego Bielidla“ straszy jakiś utopiec.

Adelka wyganiała z Urszulą krowę na pastwisko, zbierała z Babunią zioła, lub siedziała z staruszką w podwórzu pod lipą i słuchała, jak Babunia głośno z książki czytała. A gdy wieczorami wychodziły na przechadzkę, szły zawsze polami. Babunia oglądała lna, wpatrywała się w szerokie pańskie pola, gdzie ciężkie kłosa żółkły, a gdy wiatr po nich gnał, uginając zboże jak fale morskie, oka z nich spuścić nie mogła. Spotykała się tu często z dozórca Kudrą, i nie raz rzekła do niego:

— Serce człowiekowi rośnie, gdy się widzi, jak hojnie Pan Bóg pobłogosławił; — od kleski racz zachować nas Panie!

— Tak, tak! mamy wielki skwar, — odpowiedział wtedy Kudrna, spoglądając na niebo.

Gdy przechodzili koło grochu, nie zapomniał Kudrna nigdy narwać Adelce z pół fartucha młodych strączków, uspokajając przytem sumienie twierdzeniem, żeby i księżna sama się temu nie sprzeciwiała, bo Babunię i dzieci bardzo lubi.

Baśka nie przynosiła już siostrze ani słodkiego drzewa ani słodkiej smoły*), które to łakocie bądź to po grajcarze kupowała, bądź to otrzymywała w nagrodę od dzieci za wykończenie niemieckich zadań. Bo od chwili, gdy sprzedawczka niedaleko od szkoły rozłożyła kram z tereśniami, Baśka prawie co dzień na nie traciła grajcara. Wracając ze szkoły dębina, zbierała dziewczyna poziomki. W tym celu zrobiła sobie z brzozonej kory koszyczek, który zawsze pełny nazbierała, a gdy zabrakło poziomek, zbierała jagody, a jeszcze później przynosiła do domu borówki i laskowe orzechy. Babunia zaś zbierała w lesie grzyby i uczyła dzieci je rozpoznawać.

Niedługo nadszedł koniec lipca, a z początkiem sierpnia miała wrócić księżna i pan Proszek. Na ten sam czas przypadały ferye szkolne.

Pani Proszkowa spędzała już teraz całe dnie w zamku, aby najdrobniejszy pył nie został niewymieciony. Pan ogrodowy sobie o mało co nóg nie zmógł od biegania po ogrodzie, bo nie zapomniał najmniejszego zagonka i doglądał wszędzie, czy też kwiaty rosną, jak sobie życzył. Zdarzyło się, że gdziekolwiek zauważył wyżej wyrosniętą trawkę obcinał ją natychmiast i równał z innymi; przeglądał krzak po krzaku z obawy, czy tam przypadkiem robotnice nie zapomniały o jakiej pokrzywce, a znalazłszy zielsko, czempredzej je wyrwał i rzucał przez płot.

* Lukrecya.

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(81)

(Ciąg dalszy).

Wszędzie było pełno roboty około przygotowań na przyjęcie księżny. Jedni się cieszyli z jej przyjazdu, bo im przynosił pożytek, drudzy się nim martwili.

Rządzca co dzień niżej spuszczał głowę, a gdy we dworze się rozeszła pogłoska, że księżna na pewno jutro przyjedzie, pan rządzca się tak ponizył, że na uniżony ukłon dozórce Kudrny raczył podziękować, czego w zimie nigdy nie uczynił, bo wtedy był pierwszą osobą w zamku.

Babunia życzyła księżnej wszystkiego dobrego i modliła się za nią codziennie. Lecz gdyby z jej przyjazdem nie był połączony także przyjazd zięcia, byłaby na to wszystko patrzyła daleko obojętniej. Doroska z niecierpliwością oczekiwała przyjazdu. Miała jakiś plan, ale się nikomu z nim nie zwierzyła.

Z początkiem sierpnia rozpoczęły się żniwa i księżna nareszcie z całą służbą wróciła.

Córka rządzczy oczekiwała Włocha, ale nie długo się dowiedziała, że księżna zostawiła ldkaja w stolicy.

Pani Proszkowa promieniała z radości, a dzieci cieszyły się ukochanemu tatusiowi. Tylko Babunia się nieco smuciła, bo córka Joanna nie przybyła z panem Proszkiem. Za to odebrała list, w którym jej córka przysłała tysięckrotne pozdrowienia od cioci Doroty i od stryja, a zarazem donosiła, że nie mogła przyjechać dla choroby stryja. Nie uchodziłoby bowiem zostawić ciocię samą z chorym i całym gospodarstwem. Pisała dalej, że narzeczony jest zacny człowiek, że ciotka jest zatem, aby za

niego wyszła, i że im chce na św. Katarzynę wyprawić wesele, i że czekają tylko jeszcze na błogosławieństwo Babuni.

— Gdy się pobierzemy, przyjedziemy do Czech, kiedy tylko będziemy mogli, abyście nam osobiście dali błogosławieństwo i poznali Jerzego, którego tu Jurą nazywają. On także nie jest Czechem; pochodzi tam z kądś od tureckiej granicy, ale będziecie się z nim mogli dobrze porozumieć, bom go nauczyła po czesku. Rada bym była wzięła Czecha, bo wiem dobrze, żeby wam to było wielką radość sprawiło; lecz cóż robić? — Serce nie służy, — nie da się rozumem kierować; a mnie się spodobał ten właśnie Krobot.*)

Na tem się list skończył.

Tereska przeczytała list w obecności Jana, który rzekł:

— Jakbym Joannę słyszał; tę zawsze wesołą Joannę. Dobra to dziewczyna, a z Jury jest porządny człowiek. Znam go dobrze; jest pierwszym towarzyszem u stryja, a ilem razy był wszedł do kuźni, cieszyłem się z Jury. Chłop mocny i rosły jak dąb, a przytem rzemieślnik, jakiego szukać.

— Ale jedno słowo tam było, któregom nie zrozumiała, Teresko; przy samym końcu, Proszę cię, przeczytaj mi jeszcze raz ostatnie zdania, — prosiła Babunia, pokazując palcem na ostatnie wiersze listu.

— Czy słowo „Krobot“?

— Tak! Krobot. Co to jest?

— Tak nazywają we Wiedniu Chorwatów! — powiedział pan Proszek.

— A! tak. Niech im Pan Bóg błogosławi! Ale ktoby był pomyślał, z jakich krańców świata się ci ludzie zejdą; a do tego mu Jerzy na imię, jak jej ojcu! — rzekła Babunia.

Staruszka złoła list i poszła do swej izdebki, aby go schować w wolskiej wnuku.

Dzieci były niezmiernie szczęśliwe, że miały ukochanego ojca w domu. Nie mogły mu się napatrzyć i jedno przez drugie się dobijało, aby ojcu opowiedzieć, co przez cały rok się stało, a o czem ojciec już dawno z listów matki się dowiedział.

— Wszak zostaniesz u nas przez całą zimę; nieprawdaż tatusiu? — zapytała Adelka, tuląc się do ojca i gładząc mu wąsy, co było zawsze znakiem jej szczególnej łaski.

— A nieprawdaż, tatusiu, gdy będzie sanna, to pojedziemy malowanymi sankami, a konie będą miały dzwonki? Pan Stanicki przysłał raz w zimie po nas sanki; pojechaliśmy z mamusią do miasta, Babunia została w domu. Co to była za jazda, jaki odgłos dzwonek! Gdyśmy jechali przez miasto, ludzie wybiegali z domów, aby patrzeć, kto taki jedzie, — opowiadał Wilemek.

Lecz ojciec nie mógł odpowiedzieć, bo już Jan zaczął:

— A wiesz już, tatusiu, że będą leśniczym? — Jak wyjdę ze szkoły, pójdę w naukę do pana Beyera w góry, a Orlik pójdzie do Ryzenburku.

— Dobrze; lecz ucz się wpierw pilnie w szkole, — odpowiedział z uśmiechem ojciec, nie chcąc się chłopakowi sprzeciwić.

Przyszli i przyjaciele, pan leśniczy i pan młynarz, aby powitać miłego gościa. W „Starem Bielidle“ stało się wesoło; nawet psy z jakąś nadzwyczajną radością biegły Hektorowi naprzeciwko, jakby się z nim chciały podzielić wesołą nowiną. Wszak pan Proszek lubił psy, batów już nie dostały od czasu, kiedy kaczęta rozszarpały, a ile razy się do swego pana zbliżyły, gładził je po sierci Babunia, widząc ich radość, zaraz zaznaczyła, że zwierzęta dobrze wiedzą, kto je lubi i pamiętają to długo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(82)

— — — — —
(Ciąg dalszy).

— A księżniczka wyzdrowiała? — zapytała żona leśniczego, która także z dziećmi na przywitaniu pana Proszka przyszła.

— Powiadają, że tak. Lecz ja myślę, że tak nie jest. Coś ją dręczy. Była wprawdzie zawsze subtelna, ale teraz wygląda jak duch, a oczy jej patrzą, jakoby już nie na ziemi chodziła. Płakać mi się chce, gdy ją widzę, bo to prawdziwy anioł. Dla tego też i księżna jest bardzo przygnębiona i od czasu choroby księżniczki ustały w naszym domu wszelkie zabawy. Przed samą chorobą miała być zaślubioną pewnemu hrabiemu. Jest z dobrego rodu; księżna jest z jego familią zaprzyjaźniona i bardzo wiele jej na tem zależy, aby to małżeństwo przyszło do skutku, lecz nie wiadomo, co będzie, — rzekł pan Proszek, kiwając niedowierzająco głową.

— A co hrabia na to? — zapytały ciekawie kobiety.

— Co ma mówić? Musi wszystko z spokojem znosić i cierpliwie czekać, aż dziewczę wyzdrowieje, a umrze, będzie nosił żałobę, jeżeli ją prawdziwie kocha. Mówią, że ma przyjechać do księżnej do Włoch.

— A księżniczka kocha hrabiego? — zapytała Babunia.

— Któż to może wiedzieć? Jeżeli nie ma innego w sercu, mogłaby go pokochać, bo jest to człowiek bardzo przystojny, — odpowiedział Jan.

— Wtem właśnie sęk, czy jej się inny więcej nie podoba, — rzekł pan młynarz, podawając panu Proszkowi otwartą tabakierę. — I Krystyna miałaby już swego młodego pana i nie chodziłaby jak wymoczona, gdyby jej nie byli zabrali do wojska tego, którego prawdziwie kocha, — dodał pan młynarz, zażywając jako ostatni tabakę i spoglądając z boku na Krystynę, która także przyszła powitać pana Proszka.

— Żałowałem was obojga, gdy mi o tem Tereska napisała, — rzekł pan Proszek, patrząc w bladą, wynędzniałą twarz Krystyny.

— A czy się już Mila wprawił w nowy swój zawód?

— Cóż ma robić! Musi, acz mu to trudno, — odpowiedziała Krystyna, odwracając się do okna, aby ukryć łzy.

— Wierzę, — rzekł pan leśniczy, — wsadźcie ptaka do złotej klatki, las mu będzie miłszy.

— Zwłaszcza, gdy go tam samiczka wabi, — dodał pan młynarz, przymykając jedno oko i wykrzywając usta.

— Ja także byłem żołnierzem, — wtrącił pan Proszek, uśmiechając się błogo i spoglądając oczyma pełnemi miłości na Tereskę, która wybuchnęła śmiechem:

— No, no, z ciebie dopiero bohater!

— Tylko się nie wyśmiewaj, Teresko! Ile razy przyszłaś z ciotką Dorotą przypatrywać się ćwiczeniom na wałach, tyle razy obydwieście się popłakały.

— A ty z nami, — naśmiewała się dalej pani Tereska. — Lecz wówczas nikomu z nas się nie zbierało na śmiech, chyba tym, którzy nam się przyglądali.

— Muszę się przyznać, — rzekł dobroduszny

gospodarz domu, żem wtedy wcale o to nie dbał, czy mnie kto brał za bohatera, czy za kobietę, nie byłem wcale ambitny. Podczas całych czternastu dni mojej służby wojskowej wzdychałem i płakałem, prawie nic nie jadłem, nic nie spałem.

— Więc tylko czternaście dni byliście żołnierzem? Toby się, myślę, Mili także podobało, gdyby mu dni za lata policzono, — rzekł pan młynarz uśmiechając się.

— Wszakbym ja się wcale nie był martwił, gdybym był wiedział, że dobry przyjaciel traktuje o moje wykupienie, i że brat się za mnie stawi. Zaskoczyła mnie nowina jak piorun z pogodnego nieba. Bratu się w wojsku podoba i bez porównania lepiej się nadaje na żołnierza aniżeli ja. Lecz nie myślcie, że ze mnie baba! Gdyby chodziło o rodzinę i ojczyznę, pierwszybym do szeregu stanął. Nie wszyscy ludzie jednacy; jednemu się podoba to, drugiemu owo. Nie prawda, moja Teresko?

To mówiąc położył pan Proszek żonie rękę na ramieniu i spojrział jej w oczy.

— Tak, tak, Janku! Ty należysz do nas, — odpowiedziała Babunia zamiast córki i wszyscy jej w duchu przyklasnęli, znając dobrze delikatne usposobienie gospodarza domu.

Gdy się przyjaciele rozeszli, weszła ukradkiem Krystyna do babusinej izby, i wyciągnawszy ze zadzwa list, na którego pieczęci był odcisnięty guzik wojskowy, rzekła przyciszonym głosem:

— Mam list od Jakóba!

— To pięknie; cóż pisze? — zapytała Babunia, ciesząc się razem z dziewczyną.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(83)

(Ciąg dalszy).

Krystyna, rozłożywszy list, czytała słowo w słowo:

— Moja droga Krystynko! Nasamprzód cię pozdrawiam i całuję cię sto razy. Ach, mój Boże! cóż to pomoże! Wołałbym cię jeden raz rzeczywiście pocałować, aniżeli sto razy na papierze, lecz cóż zrobić? Trzy mile drogi nas dziela, nie możemy się widzieć. Wiem, że często przez dzień myślisz:

— Cóż teraz Mila robi? Jak mu się powodzi?

Roboty mam dużo, lecz cóż to za robota? Ciało jest przy pracy, a myśli gdzie indziej, źle mi tu.

Gdybym był wolny, jak Witków Tomasz, możeby mi się wojskowy stan podobał. Kamraci coraz więcej przywykają i zanedługo im wcale tęskno nie będzie. I ja się wszystkiego uczę i wcale nie szemrę... ale mnie nic nie cieszy i zamiast się przyzwyczajać, z dnia na dzień mi wszystko większe trudności sprawia... Od świtu do zmroku myślę o tobie, mój kochany gołąbku, i gdybym tylko wiedział, że jesteś zdrowa, gdybym jedno pozdrowienie od ciebie dostał, byłbym spokojny. Gdy stoję na straży i widzę, jak ptaki ku naszej stronie lecą, myślę zawsze: czemuż nie umieją mówić, aby ci pozdrowienie moje mogły zanieść lub też sam bym chciał być ptakiem, aby do ciebie zalecieć. Nie mówiła nic Babunia? Co staruszka mogła mieć na myśli, gdy wtedy rzekła, że rozłączenie nasze nie potrwa długo? Nie wiesz? Gdy mi najciężej na sumieniu, zawsze mi się ostatnie jej słowa przypominają, a wtedy taka nadzieja w me serce wstę-

puje, jakby mnie sam Pan Bóg pocieszył, i jestem przekonany, że Babunia poradzi, jak i co zrobić. Ona nie na darmo nie mówi. Napisz mi chociaż parę słów, abym się uradował, wszak ci tam kto napisze. Pisz mi wszystko, rozumiesz? Sprząta-licie siano za pogody? A jakie żniwa będą? Tu już żniwują. Gdy widzę kośników w polu, trzasł-
bym najchętniej wszystko i uciekł. Proszę cię, nie chodź sama na „pańskie“, bo wiem, że będą się py-
tać, będą ci serce krwawić, nie chodź! A dopiero ten darmołata, ten pisarz!

— Jaki Mila głupi, on się może boi, żeby m...

— wybuchnęła gniewem Krystyna, lecz wnet czy-
tała dalej:

— Nie dałby ci spokoju! Trzymaj się To-
masza, bo go prosiłem, żeby ci był prawą ręką we
wszystkiem. Pozdrów jego i Andzię. Dojdź także
do naszych i zanieś im pozdrowienia, a waszych
także stokrotnie pozdrów, i Babunię i dzieci i wszy-
stkich znajomych i przyjacieli. Miałbym jeszcze
tyle do pisania, żeby się ani na takim arkuszu nie
zmieściło, którymbyś żernowskie wzgórze przykryła,
ale nie mam więcej czasu, muszę pójść na odwach.
Gdy w nocy czatuję, śpiewam:

„O gwiazdeczko, piękna, mała...“

Śpiewaliśmy tę piosenkę razem we wieczór
przed naszym rozstaniem, tyś potem płakała. Mój
Boże! Cieszyliśmy się z tych małych gwiazdeczek
na niebie, ale Bóg wie najlepiej, czy się jeszcze
kiedyś z nich cieszyć będziemy. Zostań z Bogiem!

Krystyna złożyła list i badawczem okiem spo-
glądała w twarz Babuni.

— Winszuję ci, Krystynko! taki godny czło-
wiek! pozdrów go odemnie i napisz mu, aby po-
kładał nadzieję w Bogu, bo nie było złego, coby
nie wyszło na dobre. I Mili znów słońce zaświeci.
Chwilowo wprawdzie jeszcze nie mogę powiedzieć:
tak i tak sprawa stoi! Tego nie mogę, póki nie

mam pewności; na „pańskie“ chodź spokojnie, gdy będzie potrzeba; chciałabym, abyś na żniwnem wręczyła księżnej wieniec, a gdy będziesz chodzić na robotę, to i tak się żadna inna dziewczyna o ten zaszczyt dobijać nie będzie.

Krystyna czuła się pocieszona i ślubowała we wszystkim słuchać Babuninej rady. Babunia się dopytywała pana Proszka, kiedy księżna bawi w domu, dokąd chodzi na przechadzki, a czyniła to tak często, że to zwróciło uwagę pana Proszki. Bo nigdy przedtem Babunia nie była ciekawa, co się w zamku dzieje. Zamek dla niej jakby nie istniał, więc z kąd teraz te częste pytania? Lecz Babunia nic więcej nie mówiła, Proszkowie zaś pytać nie chcieli, więc się bliższych szczegółów nie dowiedzieli i wzięli zachowanie się staruszki za prostą ciekawość.

Kilka dni później wyjechał pan Proszek z żoną i dziećmi do miasta, chciał im sprawić przyjemność.

Urszula i Elżbieta poszły na pole. Babunia pilnowała domu. Usiadła z wrzecionem w podwórzu pod lipą, jak to jej zwyczajem było. Siedziała cicho, nie śpiewała nabożnych pieśni, jak zwykle, była głęboko zamyślona. Nareszcie podniosła stanowczo głowę, jakby była już zrobiła ostateczne postanowienie i rzekła:

— Tak to zrobimy!

W tem ujrzała księżniczkę, idącą ze wzgórza do „Starego Bielidła“. Miała białe szaty, na głowie okrągły kapelusz słomiany. Lekko jak nimfa schodziła w dolinę, nogi jej zdały się ziemi nie dotykać. Babunia podniosła się prędko i przywitała księżniczkę ze szczerą radością, lecz serce staruszkę zabolalo, gdy księżniczce spojrzeła w twarz, bladą, wycieńczoną, na pozór spokojną, ale przenikniętą tak głęboką boleścią, że nie było można w nią spojrzeć bez litości.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(84)

(Ciąg dalszy).

— Tak tu samotnie i spokojnie, — odezwała się księżniczka.

— Jestem dziś sama; odjechali mnie wszyscy do miasta. Dzieci nie mogą się nacieszyć przyjazdem ojca, gdyż go też długo nie widziały, — rzekła Babunia, otarła fartuchem ławkę i prosiła księżniczkę, aby usiadła.

— Tak jest; długo na ojca czekały; w tem moja wina, — odezwała się księżniczka.

— Jakto, miłoscinko? Gdy Pan Bóg chorobą nawiedzi, co człowiek przeciw temu może? Wszyscyśmy miłoscinkę żalowali i modliliśmy się, aby Pan Bóg zechciał miłoscinkę przywrócić do zdrowia. Tak! zdrowie, to wielki skarb, a człowiek go dopiero wtedy ceni, gdy go stracił. Byłoby was szkoda, miłoscinko; tacyście młodziutcy, a i miłosciwa pani księżna miałyby wielki smutek i żal.

— Wiem to, — westchnęła księżniczka, kładąc złożone ręce na piękne album, które na łonie była oparła.

— Tacyście bladzi, miłoscinko; co wam jest? — zapytała z wielkiem współczuciem Babunia Hortenzyę, która obok niej siedziała jak wcielone cierpienie.

— Nic, Babuniu, — odpowiedziała księżniczka, zmuszając się do uśmiechu, przez który widocznie skryta boleść przebijała.

Babunia nie ośmieliła się więc dopytywać, ale było jej jasnym, że księżniczka nie tylko cieleśnie cierpiała.

Po chwili zapytała księżniczka staruszkę, jak się wszystkim w tem małym domostwie powodziło; czy dzieci ją wspominały itd.

Babunia chętnie na wszystkie pytania odpowiadała, i zapytała nawzajem, jak się księżna ma i co robi.

— Księżna pojechała do leśniczego — odpowiedziała księżniczka — a mnie pozwoliła pojsć

na spacer w dolinę, abym mogła nieco rysować i was odwiedzić; księżna tu po mnie przyjedzie.

— Jakby ją sam Pan Bóg zesłał! — uradowała się Babunia; — muszę pójść po świeży fartuch; człowiek się od przędzy zbrudzi; pozwólcie, miłościnko, zaraz wrócę!

To rzekłszy weszła Babunia do domu, a nie trwało długo, wróciła w czystym fartuchu, świeżej chustce na głowie i szyi, przynosząc zarazem chleb, miód, masło i śmietanę.

— Może miłościnka ma smak na świeży chleb? — zupełnie świeży, wczoraj pieczony! Lecz wprzód usiadziemy w sadzie, jest tam zieleniej. Pod lipą także dobrze; jest cień. Rada pod nią siedzę, bo widzę wokoło jak drób biega i grzebie.

— To też tu zostaniemy; dobrze się tu siedzi, — oświadczyła księżniczka, biorąc zarazem nieco z podanych potraw; wiedziała bowiem, żeby starszkę zmartwiła, gdyby nic nie spożyła.

Przytem otworzyła album i pokazywała Babuni szkice, które była robiła.

— Panie Boże! toć to cała dolina nad tamą: łąka, wzgórze, bór, tama, i jak w Boga wierzę, jest tu i Wikcia! — zawołała zdziwiona Babunia.

— Wikcia należy do tej zacisznej samotności. Spotkałam ją na wzgórzu; strach jak wygląda. Czyż jej nie można żadnym sposobem pomódz? — zapytała litościwie księżniczka.

— Tak miłościnko, ciała możnaby pomódz; ale cóż to pomoże, gdy rozumu brak. Dusza jej zablądziła; co czyni, to wszystko tak, jakby we śnie. Wszak to dobrodziejstwo od Pana Boga, że jej odebrał pamięć, co do przeszłości. Musiała przejść straszne doświadczenia; gdyby przyszła do zupełnej świadomości, być może, żeby i duszę postradała. Co zgrzeszyła, ciężko odpokutowała. Pan Bóg jej winy odpuści, — rzekła Babunia i przewróciła stronę w albumie.

Nowe zdziwienie!

— Zbawicielu! to „Stare Bielidło! podwórza, lipa, tu jestem ja, dzieci, psy, wszystko. Mój Boże, czego ja się doczekałam! Gdyby to nasi widzieli! — woiała zdziwiona i zachwycona Babunia.

— Ja nigdy ludzi, których polubiłam, nie zapomnę, — rzekła księżniczka. — lecz aby ich rysy

wyraźniej w duszy zatrzymać, maluję miłe osoby. To samo robię z okolicami, gdzie spędziłam dni przyjemne; rzucam je na papier, na miłą pamiątkę. Zaś ta tu dolina jest rozkoszna. Gdybyś, Babuniu, zezwoliła, chętniebym cię wymalowała; dzieciom na pamiątkę.

Babunia się zarumieniła i kręcąc głową, wstydliwie się wymawiać zaczęła:

— Mnie, starą kobietę malować, toby nie uchodziło, miłościnko!

— Pozwól tylko Babuniu; jak będziesz znów kiedy sama w domu, przyjdę i wymaluję cię; zrobię to dla twoich wnuków, aby miały twą podobiznę.

— Jeżeli już koniecznie chcecie, miłościnko, to zezwolę, — rzekła Babunia, — ale proszę, aby się o tem nikt nie dowiedział, boby ludzie powiedzieli, że się Babuni na starość głupstwa trzymają. Póki żyję, nie potrzebują obrazu, a gdy mnie zabraknie, niech się dzieje, co chce.

Księżniczka przyobiegała milczenie.

— A gdzież się to miłościnka tego nauczyła? Ja w życiu nie słyszałam, aby kobieta umiała malować, — rzekła Babunia, odwracając nową kartę w albumie.

— A to piękne! — zawołała Babunia, patrząc na obraz, który był luźno w album włożony.

Przedstawiał on pod staremi drzewami porośniętą skałę, o którą się bałwamy morskie odbijały.

Na wierzchołku skały stał młody mężczyzna, trzymał w ręku pączek róży i spoglądał na morze za odpływającą w dal łódką żaglową.

— Ten obraz także miłościnka zrobiła? — zapytała Babunia.

— Nie! malarz, który mnie uczył, — odpowiedziała księżniczka półgłosem.

— A mężczyzna na skale, to może on?

Księżniczka nie odpowiedziała słowa, twarz jej rumieńcem się zalała, nagle podniosła się i rzekła:

— Zdaje mi się, że księżna jedzie.

Babunia się czegoś domyśliła; wiedziała od tej chwili, czego księżniczce brak.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł N. Bok.

(85)

(Ciąg dalszy).

Księżna nie nadjechała, więc księżniczka znów usiadła a Babunia zręcznie skierowała mowę na Krystynę i Milę. Zwierzyła się ze swym zamiarem i prosiła, aby miłościnka się u księżnej za nimi wstawiła.

Po chwili księżna zajechała przed „Stare Biedlidło“. Przywitawszy się bardzo serdecznie z Babunią, podała księżniczce wiązkę świeżych kwiatów, mówiąc:

— Ty lubisz gwoździki! Nazbierałam ich przy cieźce.

Księżniczka ukłoniła się nisko, pocałowała księżną w rękę i zatknęła różczkę kwiatów za pas.

— Gwoździki, to symbol łez! — odezwała się Babunia, spoglądając na kwiatki.

— Symbol łez? — zapytały zdziwione panie.

— Tak jest; to są łzy Matki Boskiej. Ludzie tak mówią o tych kwiatkach: Gdy żydzi Chrystusa Pana prowadzili na Golgotę, Matka Boska szła za Nim i serce jej pękało z boleści, a gdy spostrzegła na drodze ślady krwi Syna, gorzko zapłakała. Z tych łez Matki Boskiej i Syna Jej jedynego wyrosły na drodze do Kalwaryi gwoździki, — rzekła Babunia.

— Są więc kwiatami miłości i łez, — powiedziała księżna.

— Kochający się nigdy nie dawają sobie tych kwiatów z obawy, żeby płakać musieli, — dodała Babunia, podawając księżnej szklanekę śmietany z unizoną prośbą, aby posiłek przyjąć raczyła.

Księżna nie odmówiła.

— Mój Boże, — rzekła Babunia, nawiązując do poprzednich słów, — zawsze jest powód do płaczu; gdzie jest miłość, tam są i łzy. Jeżeli kochający się są szczęśliwi, to im inni ludzie piółunu do szczęścia domieszają.

— Droga księżno! Babunia chce za dwóch kochających się orędownic, — odezwała się w tej chwili księżniczka, — racz wysłuchać jej prośby, proszę cię, i dopomóż im, droga księżno.

Księżniczka złożyła ręce i błagającym spojrzeniem spoglądała na księżnę.

— Mów, staruszeko, wszak ci już raz powiedziałam, abys się wprost do mnie zwracała. Życzeniom twoim chętnie zadość uczynię, bo wiem dobrze, żebyś się nie wstawiała za niegodnymi ludźmi, — rzekła księżna, gładząc bujne włosy ulubionej wychowawicy i spoglądając łaskawie na Babunię.

— Nigdybym się nie odważyła, miłościwa pani, gdybym nie wiedziała, że na to najzupełniej zasługują, — rzekła Babunia i opowiedziała sprawę Krystyny i Mili i objaśniła, jakim sposobem Jakóba do wojska zaciągnięto.

Zamilczała, że pan rządca ciągle jeszcze Krystynę prześladowuje. Nie chciała mu bowiem więcej zaszkodzić, aniżeli było potrzeba.

— To ci sami młodzi ludzie, którzy mieli sprawę z Piccolem?

— Ci sami, miłościwa pani!

— Czy dziewczyna taka ładna, że się wszyscy o nią biją? — zapytała księżna.

— Dziewczyna jak malina, miłościwa pani; na żniwnem poniesie wieniec, to miłościwa pani ją zobaczy. Wprawdzie boleść i cierpienia piękności nie dodają, bo gdy miłość dziewczynę trapi, wnet zwiesi głowę, jak zwiędły kwiat. Tak i Krystyna chodzi jak cień: ale jedno słowo ją pokrzepi i oży-

wi i będzie piękna jak dawniej, — a zwracając się do księżniczki, dodała:

— Miłośćinka także bladziutka, ale gdy za pomocą Boską ujrzy ojczyznę i to, co sercu miłe, rozkwitnie i zarumieni się twarzyczka jak pączek róży.

Staruszka słowa: „i to, co sercu miłe” z takim naciskiem wymówiła, że księżniczka się zmięszała.

Księżna bystro spojrzała na księżniczkę, jak i na Babunię, ale staruszka ze spokojem wytrzymała jej spojrzenie, jakby nic nie zaszło. Chciała tylko księżnej uwagę zwrócić, o więcej jej nie chodziło.

— Zależy jej na szczęściu księżniczki, sama dalej śledzić będzie, — pomyślała Babunia.

Księżna po krótkim milczeniu wstała, a położywszy rękę Babuni na ramieniu, rzekła:

— Dla tych tam coś uczynimy, a ty, Babuniu, — dodała, — proszę przyjdź jutro o tej porze do mnie do zamku.

— Droga księżno, — odezwała się księżniczka, biorąc album w rękę, — Babunia się zgodziła, abym ją malowała, lecz wymaga, aby zachowane tajemnicę póki żyje. Jak to więc zrobić?

— Przyjdź tylko do zamku, staruszko; Hortenzya cię wymaluje; obraz zaś zostanie u mnie, póki żyć będziesz. Wymaluje także twoje wnuki, a ten drugi obraz ty zatrzymasz, staruszko, abyś miała pamiątkę, gdy dzieci dorosną i pójdą w świat.

Tak rozporządziwszy, ukłoniła się księżna łaskawie i wsiadła z księżniczką Hortenzyą do karocy.

Babunia weszła do domu wielce ucieszona.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Rożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(86)

(Ciąg dalszy).

XVII.

Już wczas rano było parno.

Kto mógł, czy stary, czy młody, pracował na polu, chociaż to zboże sprowadzić do stodół, które było zrżęte.

Chłopi musieli pracować nawet w nocy, aby podołać robocie w własnem gospodarstwie i odrobić „pańszczyznę“.

Słońce piekło, ziemia się o mało nie rozpekła od ognistego żaru.

Ludziom było duszno. Kwiaty więdły, ptaki latały nad samą ziemią, zwierzęta szukały ochrony w cieniu.

Od samego rana występowały na niebie chmury, małe, białe, szare, tam i owdzie były rozrzucone na widnokręgu. Im później w dzień, tem więcej ich było. Skupiały się, posuwały się coraz wyżej, piętrzyły się, tworzyły długie smugi, przybierały kolor coraz ciemniejszy. W południe było całe zachodnie pokryte ciężkimi obłokami, które się leniwie zbliżały do słońca.

Zeńcy bojaźliwie spoglądali na niebo i chociaż im tchu brakowało, rwali się sami do pracy i nie zważali na pisarza, który niepotrzebnie ciągle na nich wołał. To bezustanne łajanie stało się jego drugą ustawą. Chciał przez to ludziom przypomnieć, że ma coś do powiedzenia i rozumował, że sobie tak doda powagi.

Babunia siedziała w ogródku przed domem i spoglądała stroskana na obłoki, które już stały nad „Starem Bielidłem“.

Chłopcy bawili się z Adelką. Malcom było tak gorąco, żeby najchętniej byli ubrania z siebie zrżucili i wskoczyli do chłodnego potoku, gdyby Babunia na to zezwoliła. Nawet zawsze gadatliwa Adelka, zawsze wesółka i niezmordowana przy zabawie uczuła się dziś znużoną; usiadła zaczęła

ziewać i usnęła. I Babuni zaczęły się powieki kleić.

Jaskółki coraz niżej i niżej nad ziemią latały, w końcu schroniły się do gniazd. Pająk, któremu się Babunia zrana przyglądała, jak osaczał i dusił muchy, schował się w swoją kryjówkę. Drób zbierał się w podwórzu w kupki, psy leżały u nóg Babuni i oddychały prędko, jak po ostrem polowaniu, a wyciągnawszy języki, ciężko ziajały. Drzewa stały nieruchome, ani listek nie drgnął.

Proszkowie wrócili ze zamku.

— Ludzie, straszna burza nadchodzi! Czy wszyscy w domu? — odezwała się gospodyni domu.

Płótno z bielidła prędko sprzątnęli, drób zamknęli w kórniku, a dzieci zabrali ze sobą do izby.

Babunia położyła na stole chleb, zapaliła gromnicę i zamknęła okna.

Nastała grobowa cisza, stało się prawie ciemno.

Pan Proszek stał na drodze przed domem i rozglądał się w koło. Spostrzegł w lesie Wikcię pod wysokim drzewem. Nagle powstał ostry wiatr, zagrzmiało ciężko, niebo oświeciło się oślepiającym blaskiem.

— Boże! Ta kobieta stoi pod drzewem, — rzekł pan Proszek do siebie. — Następnie wołał i kiwał na Wikcię, aby z pod drzewa odeszła. Ale za każdym piorunem, każdą błyskawicą Wikcia wybuchała dzikim śmiechem, klaskała w ręce, a na pana Proszka wcale nie zważała. Wielkie krople deszczu zaczęły spadać, błyskawice krzyżowały się w czarnych obłokach, grom po gromie spadał, burza szalała z wściekłością.

Pan Proszek wszedł do domu. Babunia modliła się przy gorejącej gromnicy z dziećmi, które za każdą błyskawicą, za każdym gromem zrywały się i bładły z przerażenia. Pan Proszek chodził od okna do okna i spoglądał niespokojnie na niebo. Deszcz lał jak z konwi, niebo się nie zamykało, błyskawica za błyskawicą, grom padał za gromem. Na chwilę stało się ciszej, wtem modre światło zamigotało w oknach, błyskawice się skrzyżowały, niebo się otwarło, rozległ się straszny huk, piorun uderzył prawie w sam dom. Babunia chciała wy-

mówić: „Bóg z nami!“ ale słowo zamarło na jej ustach. Pani Proszkova chwyciła się stołu, pan Proszek zbladł jak ściana. Urszula i Elżbieta padły na kolana, dzieci płakały na głos. Od tej chwili burza złagodniała, jakoby tem jednym gwałtownem uderzeniem cała jej siła się złamała i coraz bardziej się oddalała; tylko od czasu do czasu słychać było słaby odgłos gromu. Chmury się rozstąpiły, potem deszcz ustał i modre niebo zaświeciło wesoło dawniejszą pięknnością. Burza minęła.

Co za zmiana w naturze! Ziemia spoczywa jeszcze omdlała, cała drżąca, lecz słońce spogląda na nią wprawdzie zroszonem jeszcze ale iskrzącem się okiem. Tu i owdzie widać na niebie chmurki, ostatki rozwścieklonej burzy.

Trawa, kwiaty, wszelkie rośliny pochylają się do ziemi, z dróg cieką strugi brudnej wody do bystrego potoku, z drzew spadają tysiące kropel, błyszczących się w cudownych barwach.

Ptaki znów krążą w powietrzu, gęsi i kaczki cieszą się z licznych kałuż i strug, kury zbierają robactwo, od którego się mrowi na ziemi, pająk opuszcza kryjówkę, wszystko, co żyje, spieszy oświeżone, aby od nowa szukać pokarmu i od nowa toczyć walkę o byt.

Pan Proszek wyszedł z izby, a chodząc naokoło domu, spostrzegł naraz, że starą gruszę, która tyle lat ochraniała strzechę swojemi konarami, rozdarł piorun na dwie części. Połowa gruszy leżała na dachu, druga połowa chyliła się do ziemi. Ta stara palna grusza nie rodziła już kilka lat; owoce jej zaś nigdy nie były zbyt dobre, ale wszyscy ją kochali, bo pokrywała strzechę cieniem od wiosny do późnej jesieni.

Na polach wyrządziła burza szkodę, ale ludzie się tem nie martwili i pocieszali się, że gorzej byłoby, gdyby był spadł grad. Po południu ścieżki już były suche, pan ojciec stał jak zawsze w pantoflach, przy tamie, gdzie go spotkała Babunia w drodze do zamku. Użalał jej się, że burza w sadzie szkodę wyrządziła, nareszcie poczęstował staruszkę tabaką, zapytał, dokąd idzie i odszedł swoją drogą, a Babunia swoją.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(87)

(Ciąg dalszy).

Lokaj Leopold miał widocznie rozkaz, zaprowadzić natychmiast Babunię do księżnej, bo jak tylko staruszka w przedsionku stanęła, otworzył bezwłocznie drzwi do saloniku, w którym księżna bawiła.

Księżna była sama; poprosiła Babunię, aby zajęła miejsce, co też staruszka zwołała i ostrożnie uczyniła.

— Podoba mi się bardzo twoja prostota i otwartość, staruszko, — odezwała się księżna — i mam przekonanie, że mi otwarcie na moje pytania odpowiesz.

— A jakby inaczej być miało, miłościwa pani — rzekła Babunia, która nie mogła sobie zdać sprawy, czegoby księżna od niej dowiedzieć się chciała.

— Powiedziałaś wczoraj, — odezwała się księżna, — gdy tylko księżniczka wróci do swej ojczyzny i zobaczy, czego jej serce pragnie, to i blade jej lica znów się rumieńcem pokryją. Powiedziałaś zaś słowa te z takim naciskiem, że to zwróciło moją uwagę. Proszę więc, powiedz mi, staruszko, czy omyliłam się, czy też na prawdę tak było.

Księżna patrzyła bystrem okiem na Babunię; lecz staruszka się nie zmięszała, i po krótkim namyśleniu rzekła:

— Umyślnie powiedziałam, com miała na myśli; padło mi tak na język. Chciałam miłościwej Pani zwrócić uwagę. Bo poniekąd jest dobrze, powiedzieć odpowiednie słowo w odpowiednim miejscu.

— Czy ci się księżniczka zwierzyła? — badała księżna.

— Boże zachowaj! Miłościnka nie należy do tych, co płaczą na ulicy; ale czego człowiek sam doświadczył, to i u innych zauważy. Domyśliłam się sama, bo nie da się wszystko ukryć, co człowiekiem szarpie.

— Czegóż się domyśliłaś, cóż słyszałaś? Powiedz, bo nie ciekawość, lecz troska o dziecko, które kocham jak własne, zmusza mnie do tego, oświadczyła księżna markotnie.

— Mogę to powiedzieć, com słyszała; nie jest to nic złego, ani jestem zobowiązana do milczenia, — odpowiedziała Babunia i następnie powiedziała księżnej, co słyszała o zaręczynach i chorobie księżniczki.

— Myśl rodzi myśl — dodała; — inaczej człowiek widzi z bliska, inaczej z daleka; a co głowa, to rozum.

— Tak i mnie, miłościwa Pani, przyszło na myśl, że miłoscinka możeby nie chętnie wyszła za hrabięgo, może nie z przywiązania i miłości, ale z posłuszeństwa dla was, miłościwa Pani.

Przypatrywałam się wczoraj miłościńce, chciało mi się płakać nad nią.

Oglądałyśmy obrazy, które sama malowała, są podziwienia godne, i przytem mi się dostał do rąk obrazek, malowany i ofiarowany księżniczce, jak mi miłoscinka sama oświadczyła, przez jej nauczyciela. Zapytałam potem, kto ten przystojny pan na obrazku, bo człowiek stary ciekawy jak dziecko, a miłoscinka się zarumieniła jak róża, wstała prędko, nie odpowiedziała ani słowa, a oczy załaly jej się łzami. To było dla mnie wystarczającą odpowiedzią; zaś miłosciwa Pani teraz najlepiej osądzi, czy stara Babunia ma szlachność, czy nie.

Księżna się podniosła, chodziła chwilę po pokoju i jakby sama do siebie rzekła:

— Nigdy nie nie spostrzegłam; zawsze była wesoła, posłuszna; nigdy o nim nie wspomniała.

— Bo to, — odpowiedziała Babunia na to głośne rozmyślanie, — każda natura jest inna. Niekiedy człowiek byłby nieszczęśliwym, gdyby każdej radości, każdego smutku całemu światu na podziw nie wystawił; inny nosi wszystko w zanderzu przez całe życie i zabiera ze sobą tajemnicę do grobu. Mnie się ludzie wydają jak rośliny. Niektórych nie potrzeba daleko szukać, wszędzie je znajdziesz, na każdej łące, na każdej miedzy, a chcesz znów odnaleźć inne, musisz je szukać w cieniu lasów, wykopywać z pod liścia drzew, piąć się

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(88)

(Ciąg dalszy).

W tem dzieci, pani i pan Proszek wyszli z domu, a słysząc smutną nowinę, zamilkli wszyscy jak ogłuszeni.

— Obawiałem się o nią przed burzą, gdy stała pod wysokim drzewem. Wołałem, kiwałem, aby odeszła, lecz tylko głuchem śmiechem odpowiadała. Teraz jej lepiej. Niech jej Bóg da wieczny odpoczynek.

— A kto ją odnalazł? Gdzie? — zapytali.

— Po burzy, — rzekł leśniczy, — udałem się do boru, aby zobaczyć, czy drzewa bardzo uszkodzone. Doszedłem do zrosniętych jodeł na wzgórzu, wiecie do tych, pod którymi się znajduje jaskinia Wikci, i spostrzegłem coś podejrzanego pomiędzy chojnami na ziemi. Wołałem na głos, nikt się nie odezwał; pomyślałem, zkad się świeże choiny wzięły? Patrząc w górę, obie jodły po wewnętrznej stronie odarte z choin i kory od wierzchołków aż do samych korzeni. Odgarnąłem prędko choiny, pod nimi leżała Wikcia bez życia. Była już zimna. Od ramienia do palców lewej nogi miała cały lewy bok spalony.

Niezawodnie uradowała się burzy, zawsze się bowiem z radości śmiała, gdy widziała błyskawicę, wybiegła na szczyt wzgórza, gdzie miała ładny i daleki widok, usiadła pod jodły i znalazła tam śmierć.

— Jak nasza grusza, — dodała Babunia.

— A dokądście ją odnieśli?

— Kazałem zanieść trupa do leśnicy, bo tam dotąd najbliżej. Wyprawię jej pogrzeb na własny koszt, pomimo, że się krewni nieboszczycy temu sprzeciwiają. Byłem w Żernowie i wszystko już zarządziłem. Nie przypuszczałem, że ją tak prędko stracimy. Będzie mi w boru czegoś brak. — skończył leśniczy.

Wtem odezwał się dzwonek za umarłych w Zernowie. Wszyscy się przeżegnali i odmawiali pacierz za spokój duszy biednej Wikci.

— Pójdziemy ją zobaczyć! — prosiły dzieci rodziców i Babunię.

— Jutro! gdy będzie ubrana w trumnie, — rzekł leśniczy, pożegnał się i odszedł smutny do domu.

— Wikcia do nas nigdy już nie przyjdzie, przy tamie nie będzie więcej śpiewała, już jest w niebie! — mówiły dzieci pomiędzy sobą. Potem poszło każde do swego zajęcia.

— Zapewne, że jest w niebie! Na ziemi dosyć wycierpiała! — pomyślała Babunia w duchu.

Wiść o śmierci „głupiej“ Wikci rozeszła się prędko po całej dolinie. Wszyscy mieszkańcy tego cichego zakątka dobrze ją znali, wszyscy jej żalowali i życzyli jej śmierci jako wybawienia z codziennych cierpień, a zwłaszcza śmierci takiej, jaka ją spotkała.

Mówiono dawniej o niej z litością i żalem, — odtąd wspominało imię jej z poszanowaniem i czcią.

Gdy następnego dnia przybyła Babunia z dziećmi do zamku, i księżna wspomniała o Wikci. Księżniczka, dowiedziawszy się, jak bardzo nieszczęśliwa dziewczyna była lubiana w „Starem Bielidle“ i w leśnicy, przyrzekła skopiować obraz, na którym nieboszczyca przedstawiona była w postawie stojącej pod jodłami, aby jedną kopię ofiarować panu Proszkowi, drugą panu leśniczemu na pamiątkę.

— Chciałaby każdemu sprawić jakąś radość przed odjazdem; najchętniejby was wszystkich ze sobą zabrała, — odezwała się księżna.

— A gdzież człowiekowi lepiej, jak pomiędzy ludźmi, którzy go lubią? Największem szczęściem człowieka jest bliźnim dobrze czynić i im radość sprawiać, — rzekła Babunia.

Dzieci cieszyły się bardzo na swe podobizny, o babusinej nikt nie wiedział, i z radością oczekiwały podarków, jakie im księżniczka przyobiecowała pod warunkiem, że będą siedzieć spokojnie.

Siedziały więc cicho jak... pnie.

Babunia patrzyła z lubością, jak za umiejętnymi pociągnięciami pędzla rysy ukochanych twarzyczek coraz żywiej występowały, więc sama napominała wnuków do spokoju, gdy się który niecierpliwić zaczynał.

— Cicho siedź, Janku! Nie przebieraj nogami, aby cię miłościnka dobrze trafiła; a ty, Baśka, nie kręć nosem jak królik, bo komuż byś potem była podobna! Wilemku! nie dźwigaj ciągle ramienia jak gęś skrzydła, gdy piórko straci, — łajała Babunia, a gdy się Adelka tak bardzo zapomniała, że palce w usta włożyła, staruszka ostro zawołała:

— Wstydzilibyś się! Taka panna, mogłaby już sama chleba ukroić! Muszę ja ci koniecznie pieprzu na palce nasypać!

Księżniczkę to nie mało bawiło i często się śmiać musiała. Z dnia na dzień była weselsza, rumieńce jej kwitły na licach, a Babunia mawiała, że jej się już nie wydaje jak róża kwitnąca, ale jak różowy kwiat jabłoni. Oczy jej weselej i szczęśliwiej patrzyły na świat. Dla każdego miała miły uśmiech, z każdym rozmawiała o tem, o czem wiedziała, że mu przyjemność sprawia.

Pewnego razu wpatrzyła się w Babunię. Wtedy oczy jej zalały się łzami, odłożyła pędzel, głaskała staruszkę po czoło i gładziła jej siwe włosy. Nagle pochyliła się i pocałowała Babunię w rękę.

Tego się staruszka nie spodziewała i wyrwała rękę, jakby się sparzyła.

— Co robicie, miłościnko! To na mnie nie przystoi!

— Wiem co robię, staruszko, — rzekła księżniczka. — Jak ci mam podziękować? Tyś była moim aniołem! — i upadła Babuni do nóg.

— Niech wam Pan Bóg błogosławi i darzy szczęściem, jakiego sami pragniecie, — odezwała się Babunia, kładąc ręce na czoło księżniczki, to czoło białe, czyste, niewinne jak kwiat lilii.

— Będę się modlić za was i za księżnę, bo to pani wyrozumiała i dobra!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

przez skały i urwiska, przebijając przez ciernie i głogi.

Ale tę fatygę roślina stokrotnie wynagrodzi.

Nasza korzeniarka, która nam corocznie korzonki z gór przynosi, mówi zawsze tak, gdy naś pachnącym mchem darzy: Dużo mam pracy, zanim roślinę odnajdę, ale się to hojnie opłaca, bo pachnie jak najlepsze fiołki i przypomina ludziom w zimie piękną wiosnę.

Przebacz, miłościwa Pani, że zeszła z drogi. Chciałam jeszcze dodać, że miłośnica, być może, dlatego dotąd była wesoła, że żyła nadzieją, a teraz dopiero, gdy wszelką nadzieję straciła, być może, tem więcej się miłość w niej obudziła. Zdarza się bowiem, że nie wiemy, co mamy, i dopiero po stracie poznajemy, czegośmy cenić nie umieli.

— Dziękuję ci za szczerłość, staruszko, — rzekła księżna, — czy przez to co zyskam, nie wiadomo, chyba, że Hortenzya będzie szczęśliwa, a wtedy będzie twoją dłużnicą, bo bez twojej pomocy nie byłabym wpadła na właściwy trop.

Nie chcę cię dłużej zatrzymywać. Księżniczka przygotowuje wszystko na jutro do malowania, przyjdź i nie zapomnij przyprowadzić ze sobą dzieci.

Tymi słowy pożegnała księżna Babunię, która opuszczała zamek z błogiem uczuciem w sercu, bo była przekonana, że dopomogła dobrem słowem księżniczce do upragnionego szczęścia.

Przed samym domem spotkała się Babunia z leśniczym, który niezwykle prędkim krokiem zbliżał się do „Starego Bielidła“.

— Słuchajcie, co się stało! — zawołał wzruszonym głosem na Babunię.

— Nie straszcie mnie długo i powiedźcie, co takiego?

— Wikcię piorun zabił!

Babunia załamała ręce, nie mogła ani słowa wymówić, dwie łzy polały się, jak groch wielki, po zmarszczonych licach staruszki.

— Pan Bóg ją miłował; niech jej da wieczny odpoczynek, — rzekła cichym głosem.

— Miała lekką śmierć! — odezwał się leśniczy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Boženy Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(89)

(Ciąg dalszy).

Na drugi dzień po burzy przyszedł pan leśniczy do „Starego Bielidla“ i oznajmił, że dzieci mogą przyjść zobaczyć Wikcię. Pani Proszkowa została w domu; pani młynarzowa zaś czuła wstręt przed umarłymi, czyli, jak pan młynarz bez ogródki zdradził, obawiała się, aby jej się w nocy Wikcia nie pokazała. Krystyna była na „pańskim“, więc oprócz Babuni i dzieci poszła jeszcze tylko Andzia do leśnicy.

Narwali w ogródki rezedy, chłopcy wzięli ze sobą święcone obrazki, które im była Babunia przyniosła ze Światonowskiego odpustu. Babunia niosła różaniec, Andzia miała także święcone obrazki, w drodze narwali jeszcze polnych kwiatów.

— Ktoby się był spodziewał, że będziemy mieli pogrzeb! — odezwała się żona leśniczego, witając Babunię w progu.

— Jesteśmy tu wszyscy tylko do czasu, rano wstajemy a nie wiemy, czy się wieczorem jeszcze kłaść będziemy — odpowiedziała Babunia.

Sarna przybiegła, położyła głowę Adelce na łono, chłopcy leśniczego nadeszli, a psy obskakiwały gości i łasiły się koło nich.

— A gdzie leży? — zapytała Babunia, wchodząc do sieni.

— W domku w ogrodzie — odpowiedziała kumotra, a wzięwszy Anusię za rękę, zaprowadziła gości do domku, który był wyłożony i ozdobiony świeżą chojną.

W pośrodku niewielkiej izby spoczywała Wik-

cia w otwartej trumnie, na marach z nieociosanych konarów brzozowych. Nieboszczyca była ubrana w białą śmiertnicę; ciało było okolone zielonym wieńcem; ręce miała złożone, jak zawsze za życia, na piersiach, głowa spoczywała na zielonym mchu.

Trumna i wieko były ozdobione choinami; w głowach gorzała lampka, w nogach stał półmisek z święconą wodą i kropidłem z żytnich kłosów.

Zona leśniczego zrobiła wszystko sama i doglądała do domku po kilka razy na dzień.

Babunia przystąpiła do trumny, przeżegnała trupa, uklękła na ziemię i odmawiała modlitwy za umarłych.

Dzieci uczyniły tak samo.

— A teraz powiedzcie, czy wam się podoba, czy my też wszystko dobrze zrobili? — zapytała żona leśniczego, gdy babunia od modlitwy wstała.

— Nie daliśmy więcej kwiecica i obrazków, bo wiedziałam, że i wy będziecie jej chcieli dać jakąś pamiątkę do grobu.

— Wszystko dobrze, bardzo dobrze — pochwaliła Babunia kumotkę, która odebrała dzieciom kwiaty i obrazki i włożyła umarłej do trumny. Babunia założyła różaniec na wychudłe ręce Wikci i patrzyła długo w twarz umarłej.

Nie była to już twarz obłąkanej. Czarne, żarzące się oczy zamknęły się na wieki, ich ogień zgasł na zawsze. Czarne, rozczochrane zawsze włosy, były uczesane, około bladego jak marmur czoła wił się czerwony wianek, jak węzeł miłości. Twarz była łagodna, nie ściągnięta kurczowo, jak za życia, co jej zwiaszcza w stanie gniewu nadawało wstrętny wyraz. Na ustach spoczywał, jak myśl ostatnia, nagle urwana — przenikający, gorzki uśmiech.

— Co cię bolalo, co cię trapiło, biedna dziewczyno? Jaka krzywdę ci wyrządzono? — pytała

Babunia cichym głosem. — Cierpień twych ci już nikt nie wynagrodzi; winnego Bóg sądzić będzie, znalazłaś teraz spokój i odpoczynek!

— Kowalowa chciała podłożyć Wikci trzosek pod głowę, ale myśmy jej dali mchu — rzekła żona leśniczego. — Obawiamy się, żeby nas ludzie, a przede wszystkim krewni nieboszczycy nie obmówili, żeśmy wzięli pogrzeb na siebie i tylko tak „lada było” go odbyli — troszczyła się pani kumotra.

— Na nic teraz malowane łóżko, kochana kumotro! Nie troszczcie się o nie. Niech sobie ludzie mówią, co chcą. Po śmierci oprawiliby w złoto, a za życia nie pytają: Człowieku, co ci jest, co cię trapi? Zostawcie Wikci tę zieloną poduszkę, wszak przez lat piętnaście nie położyła głowy na inną.

Babunia podniosła kropidło, pokropiła umarłą po trzykroć święconą wodą, przeżegnała trupa, kazała dzieciom to samo uczynić, i cicho opuścili potem wszyscy domek w ogrodzie.

Za Ryzenburkiem, w romantycznie położonej dolinie, przy huszyńskim kościółku, fundowanym ongi przez pana Turyńskiego za uzdrowienie niemej córeczki, jest cmentarz, na którym złożono zwłoki biednej Wikci.

Pan leśniczy zasadził na grobie jodłę.

— Jodła zieleni się latem i zimą, a Wikcia kochała jodły — rzekł pan leśniczy do Babuni, gdy o nieboszczycy mówili.

Pamięć po Wikci nie wygasła, pomimo, że nie rozlegała się już jej kołysanka przy tamie, że jaskinia pustką stała, że z czasem i jodły wycięto. Nieśczęsne imię Wikci żyło długie lata w okolicy, bo poeta Berla z Zernowa uczył jej pamięć smutną pieśnią.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(90)

(Ciąg dalszy).

XVIII.

Hortenzya zatrzymała dla siebie podobiznę Babuni, a staruszce ofiarowała obraz wnuków, z którego się rodzice wielce cieszyli, a najwięcej Babunia sama. Bo Hortenzya potrafiła wlać w twarz duszę i życie i prawdą było, co Babunia wszystkim, którym obraz pokazywała, a wszyscy znajomi musieli go widzieć, mówiła:

Potrzeba tylko, aby usta otworzyli i mówili!

Często mawiała po latach jeszcze, gdy już wnuków w domu nie było:

— Nie jest to wprawdzie zwyczajem u prostego ludu dać się malować, ale na darmo to nie jest. Bo chociaż dobrze pamiętam, jak kto wygląda, to jednakowóż z czasem człowieka pamięć opuszcza, i rysy, kiedyś dobrze znajome się zacierają; a ile razy popatrzę na obraz, szczerze się cieszę.

Z pańskich pól zwozili już ostatnie mendele pszenicy. — Było wiadomo, że księżna nie zabawi już długo w swych dobrach dla zamierzonej podróży do Włoch, więc rządca wyznaczył dzień obchodzenia wieńca na koniec żniw pszenicznych.

Krystyna była najprzystojniejszą i najładniejszą dziewczyną w całej okolicy. Babunia miała słusność, gdy radziła, aby właśnie Krystyna wręczyła księżnej wieniec.

Zaraz za dworem było wielkie pastwisko, porośnięte bujną trawą. W pośrodku tegoż ustawili parobcy wysoki słup, który ozdobili zielonymi gałązkami, barwnymi wstęgami i chusteczkami. Po między zielenią przezierały różeczki polnych kwiatów i kłosek zboża. Na krańcach pastwiska tuż obok stogów ustawili ławy, a około słupa udeptali ziemię do tańca.

— Babuniu, Babuniu! — skarżyła się Krystyna, — pocieszaliście mnie przez cały czas, wierzyłam waszym słowom i żyłam nadzieją. Milowi posłałam także miech nadziei, a tu już żniwne nadeszło, i nie wiemy jeszcze, czego się spodziewać

mamy. Powiedzcie mi, proszę was, czy może nie pocieszaliście nas na to tylko, abyśmy z czasem łatwiej o sobie zapomnieli?

— Byłaby to arcyniemądra pociecha, dziwna dziewczyno! Com przyobiecała, tego dotrzymam. Jutro się pięknie przyodziej, bo księżna lubi czyste, świąteczne ubranie. A zresztą, gdy dożyję i będę zdrowa, przyjdę także na wieniec. Wtedy mnie zapytaj, a będę ci mogła powiedzieć prawdę, — rzekła Babunia z uśmiechem.

Bo wiedziała dobrze, co się z Miłą stało, i gdyby nie była księżnej przyrzekła, że będzie o wszystkim milczała, nie byłaby omieszkała wybawić Krystynę z niepewności i trapiących myśli.

Wszyscy, którzy chodzili na „pańskie“ jakoteż czeladź dworska, zgromadzili się na drugi dzień w świątecznych ubraniach na zielonym trawniku. Potem nałożyli kilka snopów zboża na wóz i zapręgli różnemi wstążkami ustrojone konie. Jeden z parobków powoził. Na snopach zajęła miejsce Krystyna z kilku znajomkami. Młodzież ustawiła się szeregiem za wozem. Na samym końcu szli starsi robotnicy i robotnice. Zniwiarze nieśli sierpy i kosy, żniwiarki sierpy i grabie. Zniwiarki przypinały sobie do kaftaników różeczki z kłosów zboża, modraków i innych polnych kwiatów. Zniwiarze zaś zatknęli takie same różeczki za czapki i kapelusze. Woźnica trzasnął z bicia, zaciął konie, cała gromada zaśpiewała piosenkę i tak zdążył cały pochód do zamku.

Przed zamkiem pochód stanął. Dziewczyny zeskoczyły z woza na ziemię. Krystyna niosła na czerwonej poduszce wieniec z kłosów, czeladź ustawiła się za nią i tak weszli nareszcie wszyscy, śpiewając wesoło, do przedsionka, gdzie ich księżna oczekiwała.

Krystyna drżała ze strachu na całym ciele i rumieniła się ze wstydu. Ze spuszczonej oczami i drżącym głosem winszowała księżnej bogatego i szczęśliwego żniwa, a życząc w końcu i na przyszły rok dobrego zbioru, położyła z niskim ukłonem wieniec do nóg księżnej.

Zniwiarze rzucali czapki w górę i wiwatowali na „Swą Panią“, która im uprzejmie dziękowała, odprawiając ich na ucztę i poczęstunek do rządzcy.

— A tobie, dziewczyno, jestem za powinszowanie i wieniec szczególnie wdzięczna, — odezwała

się do Krystyny, biorąc wieniec z jej rąk. — Widzę tu same pary, tylko tyś jedyna sama. Myślę więc, że ci się najlepiej odwdzięczę, gdy cię zaopatrzę w tanecznika! — a uśmiechając się, otworzyła drzwi do salonu, w których stanął, jakby z nieba spadł, Mila w chłopskim ubraniu.

— Jezus, Marya! to Jakób! — krzyknęła dziewczyna i byłaby jak długa runęła na ziemię, gdyby jej Jakób nie był pochwycił.

Księżna cofnęła się do saloniku.

— Wychodźmy, prędzej! — zawołał Mila, — księżna nie chce, abyśmy jej dziękowali!

Gdy się znaleźli przed zamkiem, dźwignął Mila worek do góry i zawołał radośnie:

To mi dała miłościnka, abym pomiędzy was rozdzielił, — a zwracając się do Tomasza, który jak wszyscy inni wielce zdziwiony na Milę spoglądał, dodał: — Bierz przyjacielu i rozdzielaj!

Za zamkiem zaczęli krzyczeć z całego gardła, a Jakób ściskając swoją dziewczynę, opowiadał głośno, że księżnej zawdzięcza wyzwolenie z wojska.

— I Babuni, — rzekła Krystyna; — bo gdyby tej nie było, nie byłoby niczego.

Rozpoczęły się tańce. Przyszli potem i urzędnicy z rodzinami; następnie Proszkowie, leśniczy i młynarzowie, a Babunia była dziś najpierwszą, bo radość nad złączeniem dwóch ukochanych ludzi nie dała jej spokoju w domu.

Krystyna i Mila o mało co staruszki nie uściskali.

— Mnie nie dziękujcie; bom tylko co nieco nadmienila, księżna dopomogła, a Pan Bóg pobłogosławił, — rzekła Babunia.

— Ale Babuniu! wyście dobrze wiedzieli, że Mila wrócił i był ukryty u Wacława, a nie powiedzieliśmy mi ani słowa, — zarzucała Krystyna żartobliwie staruszce.

— Nie było mi wolno nic mówić! a zresztą powinno ci było moje oświadczenie wystarczyć, że go zanieślęgo zobaczysz. Pamiętaj sobie Krystynko, cierpliwemu wszystko na dobre wyjdzie.

Muzyka, okrzyki, śpiew i śmiech rozlegały się około przystrojonego słupa.

Panowie pisarze tańczyli z wiejskimi dziewczynami, córki zaś urzędników nie wstydziły się wstępować w koło z wiejskimi parobkami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(91)

(Ciąg dalszy).

Piwo i tańce rozogniły głowy wszystkich, a gdy księżna z księżniczką przybyła na miejsce zabawy, wyprowadzili przed niemi narodowy taniec i radość i wesołość doszła do najwyższego stopnia. Wtedy ustała wszelka nieśmiałość. Czapki i kapelusze latały w powietrzu, a każdy krzyczał:

— Niech żyje długo nasza księżna Pani! — i wychylał na jej zdrowie do dna kufelki.

Księżna i księżniczka cieszyły się szczerze z zabawy ludowej. Mięszały się pomiędzy lud i rozmawiały serdecznie z wieśniakami.

Krystyna zbliżyła się do księżniczki, aby jej rękę ucałować. Hortenzya zamieniła kilka serdecznych słów z dziewczyną i życzyła jej w końcu szczęśliwego małżeństwa z Milą; potem zagadnęła leśniczego i młynarza i wdała się w dłuższą, poufałą rozmowę z Babunią, co widząc pani rządczyni i teź córka, o mało z zazdrości nie zżółkły. Nie mogły bowiem znieść Babuni, która im wszystkie plany popsuła.

Starszym mężczyznom, popijającym za stołem, kurzyło się już mocno z głowy, wygadywali więc na niesprawiedliwość i krzywdę i odgrażali się pisarzom i rządcy. Najwięcej podchmielony z pomiędzy nich dopadł garnek wódki, aby pójść do księżnej i wypić jej zdrowie, lecz zamiaru nie wykonał, bo księżnej i księżniczki nie było już na miejscu zabawy.

Kilka dni po zniwnem odjechała księżna z księżniczką do Włoch. Hortenzya odwiedziła przed odjazdem Babunię i dała staruszce piękne granaty, które Babunia w dzień ślubu Krystynie jako pamiątkę wręczyć miała.

Babunia była zadowolona, bo wszystko wypadło według jej zamiarów. Jedna tylko troska jej dopiekała, a tą był list do córki Joanny we Wiedniu.

Tereska byłaby wprowadziła matkę w napisaniu listu wyręczyła, lecz staruszka się obawiała, że w takim razie list nie wypadnie tak, jakby sobie tego życzyła.

Dla tego też zawołała pewnego dnia Baškę do swej izdebki i zamknawszy drzwi, wskazała na stół, na którym leżał papier, inkaust i pióro i rzekła:

— Usiądź Baško, będziesz pisać do ciotki Joanny.

Posłuszna Baška zajęła miejsce przy stole, a Babunia usiadłszy tak obok dziewczyny, aby mogła patrzeć na papier, zaszęła dyktować:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”

— Babuniu! — zawołała dziewczynka, — tak się przecież nie zaczyna listu; jako nagłówek trzeba napisać:

„Kochana Joanno!”

— Nic innego nie napiszesz, jak to, com powiedziała. Bo dziadek i pradziadek twój tak listy pisywali a ja będąc dzieckiem tak samo pisałam. Wszak gdy wstępujesz do kogo w dom, najprzód pozdrawiasz. Więc zaczynaj spokojnie:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Stokrotnie cię pozdrawiam i ściskam kochana córko Joanno, i daję ci do wiadomości, że jestem, chwała Panu Bogu! przy zdrowiu. Wprawdzie mi kaszel trochę dokucza, ale nie ma się czemu dziwić, gdyż niedługo liczyć będę ośm krzyżyków mego życia. Jest to piękny wiek, kochana córko, a Panu Bogu należy się podziękować, gdy się takie lata zdrowo spędzi jak ja je spędziłam. Przytem słyszę i widzę dobrze i mogłabym się jeszcze obszyć, gdyby mnie w tem Baška nie wyręczyła. Na nogi jestem także dość czerstwa. Mam nadzieję, że ten list was zastanie przy zdrowiu. Stryj choruje, jak się z twojego listu dowiedziałem. Żal mi go bardzo, lecz mam nadzieję w Bogu, że choroba długo nie potrwa. Bo stryj często na zdrowiu zapada, a ludzie mówią: Częste choroby nie prowadzą żałoby!

Pisałaś mi także, że wychodzisz za męża i prosisz o moje pozwolenie. Kochana córko! Cóż ja na to mam odpowiedzieć, kiedyś już sama zrobiła wybór według skłonności serca twojego? Błagam Pana Boga o szczęście i błogosławieństwo dla ciebie i Jerzego, abyście na cześć i chwałę boską żyli i na pożytek ludziom. Czegożbym ci miała wzbraniać, jeżeli Jerzy jest godny człowiek, a tyś go pokochała? Jest to twoja rzecz, bo nie ja będę z nim żyła, tylko ty. Myślałam wprawdzie zawsze, że wyjdiesz za Czecha, bo swój do swego się najlepiej nadaje, lecz gdy ci to nie było dane, nie gniewam

się na ciebie, bośmy wszyscy dzieci jednego Ojca, jedna ziemia nas wszystkich żywi; mamy więc obowiązek miłować się wszyscy wzajemnie, chociaż byśmy i rodakami nie byli. Pozdrów Jerzego, a jeżeli da wam Pan Bóg zdrowie i urządzenie sobie domostwo, zajrzyjcie i w nasze okolice, bo i dzieci Tereski się ciotce cieszą. Niech wam Pan Bóg da zdrowie dobre i błogosławieństwo. Zostańcie z Bogiem!”

Baska musiała jeszcze raz list przeczytać. Potem złożyła i zapieczętowała staruszka pismo i włożyła do półskrzyńka, aby po drodze do kościoła oddać list na pocztę.

Kilka dni przed św. Katarzyną zebrała się wieczorem gromada wiejskiej młodzieży w gospodzie. Dom był wewnątrz i zewnątrz rzęsiście oświetlony, drzwi owieńczone, w izbie gościnnej sterczały za każdym obrazem zielone chojny, franki w oknach były białe jak śnieg, podłoga czysta jak kreda. Długi lipowy stół był pokryty białym obrusem i nałożony kupą rozmarynu, białymi i czerwonymi wstążkami, do których się zabrały družki, zajmwszy wokoło stołu miejsca.

Zeszły się do wicia wieńców na wesele Krystyny, która siedziała u góry stołu najpiękniejsza z pomiędzy wszystkich.

Była dziś wolna od wszelkich obowiązków domowych i stała pod opieką starosty i starościanki, z których to zaszczytnych godności pierwszą piastował Marcin, przewodnik pątników, drugą Babunia. Nie mogła staruszka odmówić Krystynce tej przysługi, aczkolwiek zwykle uchylała się od podobnych zaszczytów. Zastępowała teraz Krystynie matkę, która niedomagała na nogi. Kudrnowa zaś dopomagała z Celinką staruszce w wypełnianiu zaszczytnego obowiązku. Babunia zajęła miejsce pomiędzy družkami, a sama nie wijąc ani nie wiążąc pomagała słowem i doradzała, gdzie tylko mogła. Młoda pani wiała rozmarynową różczkę dla starszego družby i starosty, młodsza družka zaś wiązała wianek dla młodej pani, starsza družka dla młodego pana, a reszta dziewcząt robiła różczki każda dla swego družby. Ostatek rozmarynu przeznaczyły družki na różczki dla gości, postanowiły przystroić nawet konie, którymi młoda para na ślub jechać miała i oznaczyły zaraz wstążki, które do szor miały być przypięte.

alszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(92)

(Ciąg dalszy).

Oczy Krystyny żarzyły się blaskiem radości, ilekroć spojrzała na przystojnego, młodego pana, przechadzającego się z drużbami po pokoju. Młodzieńcy mieli dziś najlepszą sposobność rozmawiać swobodnie ze swojemi družkami; młody pan za to, chcąc zadość uczynić staremu zwyczajowi, tylko od czasu do czasu spoglądał na młodą panią. Krystynie towarzyszył starszy družba, młody pan zaś musiał się krzątać około starszej družki. Dzisiaj było wszystkim wolno weselić się, dokazywać, śpiewać, żartować, a przede wszystkim wymagano tego od starosty Marcina. Lecz młoda pani i młody pan nie śmieli pokazywać otwarcie swej radości. Krystyna i tak mało mówiła; oczy wlepiła w stół, pokryty zielonym rozmarynem, i milczała.

Gdy najmłodsza i najstarsza dróżka przystąpiły do wicia ślubnego wianka i wszyscy chórem zaśpiewali:

„Gdzieś gołębico chodziła,
— ach chodziła,
Żeś białe pióreczka zmoczyła,
— ach zmoczyła?“

młoda pani zakryła twarz białym fartuchem i głośno płakała.

Zatrwożony młody pan spoglądał bezradnie na Krystynę, nareszcie zapytał starostę: „Dla czego tak młoda pani płacze?“

— Bo wiesz — rzekł starosta — radość i smutek w jednym łóżku sypiają; dla tego często jedno drugie budzi. Bądź spokojny; dzisiaj płacz — jutro radość.

Śpiewali piosenkę za piosenką; po wesołych następowały poważne, które wychwalały młodość, piękność i młodeść, swobodę kawalerskiego stanu, — aż nareszcie družki i družbowie zaczęli śpiewać, jak

piękny jest małżeński stan, gdy kochający się małżonkowie żyją zgodnie jak dwa gołąbki, razem zawsze stojąc w codziennej walce o byt, jak ziarnko przy ziarnku w kłosie zboża.

Potem poprosił starosta Marcin o solo dla siebie i oznajmił, że zaśpiewa zgoła nową, nieznaną piosenkę.

— Przemennie samego na świat wydaną, w ciemności zrodzoną pieśń wam zaśpiewam — wołał starosta na głos.

— A to dalej, piejcie! — krzyknęła młodzież; — zobaczymy, co umiecie!“

Starosta rozstawił się w pośrodku izby i zanucił żartobliwym głosem:

„O anielska radości!
Nie ma nad małżeńską zgodność!
Mówisz jej: gotuj groch, —
Zastawi ci krupy;
Mówisz jej o flaczki.
Upiecze ci placki!“

— Piosenka i śpiewak nie są warci złamanego szeląga! — zawołały dziewczyny i same zanuciły piosenkę, aby popsować radość drużbom, którzy prosili Marcina o resztę zwrotek.

Przy śpiewie i żartach ukończono nareszcie różdżki. Dziewczyny wzięły się do wianków. Po ukończonej robocie podały sobie ręce i tocząc koło, śpiewały:

Wszystko już ukończone,
Wszystko jest gotowe,
Kołacze już napieczone,
Wieńce zamoczone.“

W tem weszła do pokoju pani matka, z pełnemi misami jedzenia. Pan ojciec zaś i starszy družba przynieśli trunek. Zasiedli więc wszyscy powtórnie do stołu, który jak przedtem rozmarynem, tak teraz był pokryty potrawami, plackami i butelkami. Drużbowie siedzieli razem z družkami. Młody pan zajął miejsce pomiędzy starszą družką i starostą, młoda pani zaś usiadła pomiędzy starszym družbą i młodszą družką, która jej pieczeń krajala i nakładała na talerz, do czego i starszy družba był zobowiązany wobec młodego pana. Starosta krecił

się bezustannie około stołu, przyjmował i zjadał kawałki potraw od družek, znosił cierpliwie ich łajania, za co dziewczyny słuchać musiały jego żartów, poniekąd bardzo pieprzonych, bo Marcin nie przebierał w dowcipach.

Gdy nareszcie wszystkie naczynia odniesiono ze stołu, przyniósł starosta jako podarek od siebie dla młodej pani trzy misy i postawił na stole. Pierwszą, napełnioną pszenicą, podał jej z życzeniem, aby była „urodzajna“. W drugiej było trochę popiołu, zmieszanego z prosem, które młoda pani musiała wybierać, aby się nauczyła cierpliwości; a trzecia misa była „tajna“ i szczelnie przykryta. Była bowiem podana celem stwierdzenia, czy młoda pani potrafi zapanować nad ciekawością. Krystyna miała więc przyjąć, ale tego samego wieczora do niej nie zaglądnąć. — A która kobieta dokazałaby tego? Więc i Krystynie nie dało spokoju i z wolna, gdy nikt nie uważał, uchyliła róg białego obrusa, którym misa była przykryta, a tu — frrr..., wyleciał wróbel, w misie przykryty, do pułapu.

— Widzisz, Krystynko — zawołała Babunia, klepiąc dziewczynę po ramieniu — tak to bywa z ciekawością. Człowiek by wolał umrzeć, jak nie dochodzić tego, co przed nim ukryto; a gdy spojrzymy pod obrus, i tak niczego nie przyłapiemy.

Późno do nocy bawiła się młodzież w gospodzie, bo po sutej wieczerzy nastąpiły tańce. Młody pan z starszym družbą odprowadzili starościankę do domu, której musieli przyrzec, że się rano rychło stawiają.

Wczas rano byli wszyscy mieszkańcy doliny i Zernowa na nogach. Niektórzy z proszonych na wesele poszli tylko do kościoła, drudzy znów tylko na obiad i tańce, a wcale nieproszeni chcieli chociaż zobaczyć wesele, o którym już tyle niedziel naprzód mówiono, że będzie bardzo huczne, że młoda pani pojedzie do kościoła w pańskiej karecie i pańskimi końmi; że będzie miała drogie granaty na szyi, wyszywany biały fartuch, kabat z czerwonego sukna, a suknię z mieniającego się jedwabiu.

Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(93)

(Ciąg dalszy).

O tem wszystkim wiedzieli mieszkańcy Zernowa prędzej aniżeli młoda pani o tem pomyślała. Wiedzieli wszystko dokładnie, byli powiadomieni o najmniejszych szczegółach; wiedzieli, ile i jakie dania na ucztę weselnej będą, w jakim porządku przyjdą na stół; wiedzieli, ile koszul, pierzyn, jakie sprzęty domowe młoda pani z wyprawą dostanie; słowem, wiedzieli wszystko tak dokładnie, jakby sama młoda pani była im o tem napisała.

Nie pójść się popatrzeć na tak świetne wesele, nie widzieć, jak młodej pani wieniec do twarzy, jak płakać będzie; nie widzieć strojnych gości, tego wszystkiego nie widzieć, byłoby po prostu nie do przebaczenia. Wesele stanowiło całą ilość wypadków w historii tych ludzi, dawało im zasób do rozmów na co najmniej pół roku, mieliby więc to wszystko pominąć?

Gdy się Proszkowie z leśniczym, który wprzód do „Starego Bielidla“ wstąpił, do gospody zbliżyli, musieli się w podwórzu po prostu przecisnąć przez licznie zebranych widzów. W izbie gościnnej zgromadzili się weselnicy, zaproszeni ze strony młodej pani. Pan ojciec jako świadek Krystyny był wykwintnie ubrany; bóty mu się szklily jak zwierciadło; w ręce trzymał srebrną tabakierę. Pani matka miała jedwabną suknię, na szyi białe perły, na głowie złoty czepiec. Babunia była także w świątecznem ubraniu. Drużbów, drużek i starosty nie było jeszcze w gospodzie, bo poszli po młodego pana do Zernowa; tak samo brakowało w gościnnej izbie młodej pani, która się skryła do komory.

Naraz odezwały się w podwórzu głosy:

— Jada! jada!

A ode młyna dolatywał odgłos klarnetów, fleatów i skrzypiec.

Przyjechali z młodym panem.

Pomiędzy widzami powstał szmer i szept: je-

den drugiego szturchał łokciem i odzywały się głosy, jak:

— Patrz! Miłowa córka jest młodszą družką; a Tychanowiczowa starszą.

— Ano tak!

— Gdyby Tomaszowa była jeszcze niezamężna, żadna inna by nie była starszą družką.

— Tomasz jest świadkiem młodego pana.

— A gdzie jest Tomaszowa? Nigdzie jej nie widać! — Pomaga młodej pani przy ubieraniu.

A kobiety szeptały między sobą:

— Do kościoła nie pójdzie, gdyż „chodzi na ostatnią chwilę“.

— To młoda pani może „wiązanie“ mieć na pogotowiu; wszak żadna inna nie będzie kumotą; trzymają się jak palce u ręki!

— To się wie!

— Ale patrzcież! Sołtys idzie na wesele. Dziwna rzecz, że go Miłowie zaprosili. Wszak on jedyny był winny, że Jakuba do wojska wzięli! — rozwodzili się zdziwieni wieśniacy.

— Co tam! Sołtys jeszcze nie najgorszy człowiek, — odezwał się ktoś w tłumie; — Łucya go namówiła, a pan rządca resztę przysolił. Nie ma się czemu dziwić! Dobrze Jakub zrobił, że mu nie odplacił pięknem za nadobne. Łucyi to chyba dziś żółć pęknie.

— Wszak ona już po zaręczynach! — odezwała się starsza kobieta.

— Jakto! Nic jeszcze nie słyszałam, — rzekła inna.

— Przedwczoraj się z Józefem Nywełtą zaręczyła.

— Tak! To się dobrze stało, bo ten już dawno za nią chodzi!

— Prawda! Lecz go nie chciała, bo myślała, że dostanie Jakuba!

— Nie dziw! Młody pan, to chłop, aż miło patrzeć!

— Tą piękną chusteczkę ma od młodej pani; zaiste dziesięćguldenówka za nią pękła, — mówiły kobiety.

Takie i podobne głosy odzywały się, gdy młody pan zbliżał się do progu, gdzie go gospodarz pełnym puhaem witał.

Gdy młody pan odnalazł młodą panią w komorze, gdzie musiała płakać, póki Jakub nie nadszedł, przystąpiła młoda para do rodziców; starosta miał w ich imieniu długą przemowę, dziękował za wychowanie i prosił o błogosławieństwo.

Wszyscy się rozplakali.

Gdy nowożeńcy odebrali błogosławieństwo rodzicielskie, ujął starszy družba młodą panią pod jedną, młodsza družka pod drugą rękę, młody pan prowadził starszą družkę, świadkowie przyłączyli się do starościny, družbowie do družek, i para za parą opuszczali izbę gościnną, z wyjątkiem starosty Marcina, który na czele sam kroczył i wsiadali do podwodów i karoc, które przed domem stały.

Družki powiewały chusteczkami, śpiewały piosenki, družby wtórowali. Tylko młoda pani płakała, oglądając się chwilami za siebie, gdzie w drugim powozie jechał pan młody z świadkami i starościna.

Widze się rozbiegli, a izba gościnna opróżniła się na chwilę. Stara matka siedziała sama przy oknie i patrzyła za odjeżdżającymi i modliła się za dziecko, które już tyle lat miejsce jej w domowym gospodarstwie zastępowało i z świętą oierpliwością znosiło wszystkie jej humory, uważając je za konieczne objawy uciążliwej, długoletniej choroby matki.

Lecz wnet zaczęto w izbie gościnnej stoły ustawiać i nakrywać białymi obrusami. Gdzieś spojrzeń, stała kucharka lub jakaś pomocnica kucharki. Pierwszą osobą, której wszystko było powierzzone, była Tomaszowa. Wzięła chętnie na siebie obowiązek gospodyni domu, jak to już była uczyniła za panią młynarzową przy wiciu wianków.

Wracających z kościoła weselników przywitał gospodarz w progu pełnym puharem. Młoda pani przebrała się w inne szaty i zajęła miejsce u stołu; obok niej na pierwszym miejscu siedział młody pan.

Starszy družba krzątał się około družek, które mu podawały na swych talerzach „wysługę“, nakładając mu najlepsze kawałki. Za to mu starosta wymawiał, że się ma „jak Pan Bóg w raju!“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Bożeny Němcowé. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(94)

(Ciąg dalszy).

I Babunia była dobrego humoru i docinała niejednym dowcipem staroście, który wszędzie nadskakiwał, wszędzie się kręcił, a wszystkim swoją okazałą niezgrabną figurą zawadzał.

W domu nie byłaby Babunia dopuściła, aby ziarnko grochu na ziemię upuszczono, ale gdy tu goście zaczęli się rzucać pszenicą i grochem, sama pełną garścią obsypała młodą parę, wołając na głos:

— Oby was i Pan Bog tak obsypać raczył Swem boskiem błogosławieństwem!

Porozrzucany groch ani pszenica się nie zniszczyły, bo Babunia widziała dobrze, jak oswojone gołębie zbierały ziarno pod stołem.

Było po uczcie i niejedna głowa kiwała się ciężko ze strony na stronę.

Każdy gość miał przed sobą „wielką usługę“ ułożoną, a gdzie jeszcze takiej nie było, wnet się Tomaszowa o taką postarała. Bo za hańbę by po prostu uchodziło, gdyby gość z wesela miał wrócić bez „usługi“ do domu. Przecież było wszystkiego dosyć.

Kto tylko około gospody przechodził, dostał jeść i pić do syta.

Dzieci, które węszyć przyszły, wracały z pełnymi rękami placków.

Po uczcie składali się goście „młodej pani“ na „kolebkę“, a składka posypała się tak obficie, że się młoda pani aż przelekła, bo i talary w fartuchu znalazła.

Drużbom zaś, podającym drużkom białe ręczniki i w wielkich misach wodę do mycia rąk, wrzucali dziewczyny pieniądze w wodę, a że żadna się nie chciała dać przez drugą zawstydzić, błyszczało same srebro we wodzie.

Za tę składkę wyprawili drużbowie w następny dzień gościnę z muzyką.

Wotem poszła młoda pani z drużkami się przebrać, bo niebawem miały się rozpocząć tańce.

Babunia skorzystała z tej chwili i odprowa-

dziła do domu dzieci, które się bawiły w pokoju Krystyny przy sutym obiedzie.

Staruszka musiała wrócić do weselników, bo dopiero późno w nocy miało się odbyć „czepienie“, przy którym była niezbędnie potrzebna.

Babunia zabrała z domu czepiec, który własnym kosztem, jak to było obowiązkiem starościny, kupiła z Tereską w mieście.

Wszysey tańczyli ochoczo; młodej pani już prawie tchu brakowało i nie dziw, bo musiała z wszystkimi gośćmi tańczyć, chociażby tylko raz wkoło. Nareszcie dała Babunia niewiastom znak, że już po północy, więc młoda pani odtąd do „kobiet“ należy. Drużbowie i drużki przegadywali i targowali się z kobietami o młodą panią, a sam młody pan i starszy družba sprzeciwiali się temu, aby kobiety pozbawiły Krystynę pięknego wieńca, lecz się to wszystko na nic nie zdało, bo kobiety w końcu zwyciężyły i odwiodły młodą panią ze sobą. Dziewczyny śpiewały pod drzwiami smutnym głosem, aby sobie nie dała zdjąć zielonego wianka, bo gdy go raz utraci, już się nigdy z nim nie spotka.

Lecz to wszystko nic nie pomogło. Młoda pani siedziała już na stołku; Tomaszowa jej rozplatała warkocz; korona z kwiatów i zielony wianek leżały na stole, a Babunia trzymała czepiec z wstążkami na dorędziu. Młoda pani płakała, kobiety śpiewały, krzykały, tylko Babunia była poważna, a chwilami rozweseliła się jej spokojna twarz błogim uśmiechem, potem oczy jej się załzawiły, wspomniała może na córkę, która, kto wie, czy tego samego dnia nie obchodziła wesele.

Czepiec był młodej pani bardzo do twarzy. Pani miynarzowa twierdziła, że w nim wygląda jak cukrowe „jabłuszko“.

— Teraz chodźmy do młodego pana. Któraż będzie z niego kpić? — zapytała Babunia.

— Najstarsza, — rozstrzygnęła pani matka.

— Poczekajcie chwilę, zaraz mu przyprowadzę żonę — zawołała Tomaszowa i wróciła z starą praczką, która w kuchni pomywała.

Kobiety zarzuciły jej białą płachtę na głowę, starościanka wzięła ją pod ramię i zaprowadziła do młodego pana, aby ją kupił. Młody pan uważnie oglądał zamaskowaną kobietę i tak długo wokoło niej chodził, aż mu się poszczęściło dźwignąć płachtę w górę, — spojrzał w starą, zmarszczoną twarz!

Było z tego nie mało śmiechu, bo młody pan nie chciał się do takiej żony przyznać!

Przyprowadzono mu drugą żonę.

Ta się wydawała tak starości jak i młodemu panu nadobniejszą, a w tej chwili przezorny starosta zawołał:

— Co to? Kto kupuje kota w worku? —
dźwignął płachtę w pórę i... odsłonił tłustą twarz pani młynarzowej, której czarne oczy się do starosty filutarnie uśmiechały.

— Kupcie ją, kupcie; spuszczę wam ją łącno, — zawołał pan ojciec, wykrzywając usta i obracając tabakierę w palcach, lecz obracał zwolna, bądź to, że tabakiera była cięższa, bądź to, że dziś miał palce zdrewniałe.

— Milczcie lepiej, panie ojczy, — naśmiewała się tłusta pani matka, — dziś byście chcieli sprzedać, a jutro byście radzi kupili. Kto się targuje, ten kupi!

Wprowadzono trzecią żonę.

Była to smukła, wysoka niewiasta. Starosta dawał za nią starego szeląga, lecz młody pan sypanął zaraz srebrem i kupił.

Kobiety zgromadziły się teraz wszystkie, zataczyły koło, wzięły młodego pana pomiędzy siebie i zaczęły wesoło śpiewać:

Wszystko już zrobione,
Wszystko ukończone,
Młoda pani zaczepiona,
Kołacze zjedzone,
Młoda pani zaczepiona,
Kołacze zjedzone!

Młoda pani należała odtąd do kobiet. Za pieniądze, które młody pan zapłacił za żonę, gościły się niewiasty na drugi dzień przed południem, gdy przyszły „słać pościel“. I przy tem śpiewały liczne piosenki i żartowały wesoło.

Starosta twierdził, że „porządne wesele ma trwać trzy dni“, co też zwykle przy każdym huczkiem weselu miało miejsce.

Wicie wianków przed weselem, wesele samo, słać pościeli, przyjacielski obiad u młodego pana, drugi taki obiad u młodej pani i przepicie wianka: tak minął cały tydzień, zanim mogli nowożeńcy odetchnąć i rzec:

— Nareszcie jesteśmy sami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Ry' ok.

(95)

(Ciąg dalszy).

Kilka tygodni po weselu Krystyny odebrała pani Proszkowa list z Włoch, w którym pokojówka księżnej donosiła, że księżniczka Hortenzya wkrótce wychodzi za młodego malarza, dawniejszego nauczyciela swego, i że jest bardzo szczęśliwa, a kwitnie jak róża, z czego księżna jest bardzo ucieszona.

Gdy Babunia usłyszała radosną nowinę, pokiwała głową i rzekła:

— Chwała Panu Bogu; wszystko się dobrze ułożyło!

*

*

*

Nie jest celem tej książki opisać życie młodzi, która około Babuni dorastała, nie chcę także nudzić czytelnika przechadzkami z domu leśniczego do młyna i z powrotem przez małą dolinę, w której było zawsze to samo jednostajne życie. Młodzi dorastała, aż dorosła. Jedni zostali w ojczyźnie, dziewczyny poszły za mąż, chłopcy się pożenili, a starsi im ustąpili miejsca, tak jak z dębu stare liście opada, gdy młode wyrasta. Inni opuścili spokojną dolinę i poszli szukać szczęścia w innych stronach, jak ziarnka, które wiatr rozwieje, daleko od brzegu zanieśie, na innej ziemi, innych wybrzeżach korzonki puszczają.

Babunia nie opuściła małej doliny, w której znalazła drugą ojczyznę. Z spokojnem sumieniem patrzyła, jak wszystko koło niej rosło i kwitło, radowała się nad szczęściem bliźniego, pocieszała zasnuconych, pomagała, komu pomocy udzielić mogła, a gdy ją wnuki jeden po drugim opuszczali, odlatając jak jaskółki z pod strzechy, spoglądała za

nimi z załzawionem okiem, pocieszając się: „Da Bóg, to się jeszcze zobaczymy!”

I widzieli się, bo co rok dzieci przyjeżdżały w odwiedziny, a Babunia żarzącemi od radości oczyma na nie spoglądała, gdy opowiadali o dziwnych rzeczach wielkiego świata. Pochwalała ich zamiary na przyszłość i była pobłażliwa na ich młodociane wybryki, z jakimi się przed staruszką nie taili. Słuchali chętnie dobrych rad i upomnień Babuni, aczkolwiek nie zawsze według nich postępowali. — Dorosłe już teraz dziewczyny powierzały Babuni swe tajemnice i wszystko, o czem marzyły i do czego wzdychały. Tak młynarzowa Andzia chodziła się zwierzać i czerpać pociechę, gdy jej ojciec wzbronił kochać przystojnego i pilnego wprawdzie, lecz ubogiego młynarczyka. Babuni się udało panu ojcu wyperswadować, a gdy po latach jeszcze Andzia była niezmiennie szczęśliwa, a mienie się pod rządkiem kierownictwem zięcia, który pana ojca czczył i miłował, z dnia na dzień powiększało, lubił młynarz powtarzać:

— Babunia miała słuszną rację; za ubogim chodzi Pan Bóg z skarbem!

Dzieci młodego pokolenia kochała Babunia, jakoby własne wnuki; wszak i malcy staruszki inaczej nie nazywały, jak „Babunią”.

Gdy księżna dwa lata po weselu Krystyny wróciła do dominium, kazała Babunię do siebie zawołać, aby z płaczem pokazać staruszce pacholę, potomka księżniczki, która po pierwszym roku małżeństwa umarła, zostawiając dziecko sierotą, a męża i księżnę w smutku. — Babunia, trzymając niemowlę na rękach, zalała się łzami. Stała jej przed oczyma jego młodziuteńka, dobra, piękna matka; lecz oddając księżnej pacholę, odezwała się już spokojnym głosem:

— Nie płaczmy! Życzmy jej nieba, bo ona nie była dla świata; dla tego ją też Pan Bóg zabrał. Bo Pan Bóg tego najwięcej miłuje, którego w największem szczęściu do siebie odwoła!

Ludzie ani nie spostrzegli, jak się Babunia podstarzała i z dnia na dzień nikła; lecz staruszka sama czuła to dobrze. Często mawiała do Adelki — która już była na piękną pannę wyrosła — i pokazywała przytem na starą, pochyłą jabłoń, która co rok bardziej usychała i coraz rzadszą zielenią się okrywała:

— Myśmy sobie równe, pójdziemy też razem spać!

A pewnego roku, gdy wszystkie drzewa w sadzie zazieleniały, stara jabłoń stała smutna — bez liścia. Musieli ją wykopać i spalić.

Tego samego roku Babunia bardzo kaszlała. Nie mogła już dojść do miasta do „bożego kościółeczka“, jak zwykle była mówić. Ręce jej chudły więcej i więcej, głos stawał się słabszym, coraz słabszym.

Pewnego dnia rozesłała Tereska listy na wszystkie strony świata, aby się dzieci zjechały.

Babunia się położyła, nie mogła już utrzymać wrzeciona.

Przyjaciele z leśnicy, z młyna, z gospody i z Zernowca przychodzili się dowiadywać kilka razy na dzień, jak się Babunia miewa — ale staruszcze nie było lepiej. Adelka odmawiała z nią pacierze, musiała co rano i wieczór opowiadać, co się działo w sadzie, zagrodzie, z drobiem; musiała rachować, ile dni jeszcze minie, nim pan Beyer przyjedzie, i często powtarzała:

— Może i Janek z nim przybędzie!

Pamięć zaczęła ją opuszczać. Często wołała Baški zamiast Adelki, a gdy jej Adelka przypomniała, że Baški w domu nie ma, opamiętywała się staruszka i odzywała się z westchnieniem:

— Tak jest; Baški nie ma; jest-li szczęśliwa? Już ja jej się nie doczekam!

Ale doczekała się dziewczyny.

(Dokończenie nastąpi.)

BABUNIA.

Boženy Němcové. Tłóm. z czeskiego Paweł Rybok.

(96)

(Dokończenie).

Pan Proszek wrócił z Wiednia a z nim student Wilemek i Joanna; przybył Kaspar, syn Babuni, a z gór przyprowadził pan Beyer, wyrosłego młodzieńca Janka; przyjechał i Aurel ze szkoły leśniczej, dokąd go księżna oddała, poznawszy zamiłowanie i znakomite zdolności chłopca do leśnictwa.

Wszyscy spieszyli do Babuni; ale najpierwsza z wszystkich była Baśka; przybyła razem ze słowikiem, który jak po inne lata osiadł w gniazdeczku naprzeciwko babusinego okna.

Baśka mieszkała jak ongi w babusinyim pokoju; gdzie razem z staruszką słuchała śpiewu słowika, gdzie rano i wieczór Babunia żegnała dziewczę święconą wodą.

Były znów razem; ten sam śpiew słowika, co kiedyś odbijał się i teraz o ich uszy; te same gwiazdy żarzyły się na niebie, w które się niegdyś wpatrywała jako dziecko, teraz ręce Babuni spoczywały Baśce na głowie; lecz inne myśli się dziś w niej rodziły i odmienne uczucia wyciskały z jej ocz łzy, łzy inne od tych, które ongi po twarzy dziewczynki spadały, które Babunia z cichym uśmiechem z rumianych lic Baśki ocierała, ongi, gdy jeszcze w małym łóżeczku sypiała. Wtedy łzy robiły wprawdzie oczy, ale ich nie zachmurzyły.

Babunia ~~czuła~~, że życie jej już nie długie;

więc jako dobra, mądra gospodyni wszystko do porządku doprowadzała.

Nasamprzód pojednała się z Panem Bogiem i ludźmi, a potem podzieliła swą skromną pozostałość. Każdy dostał pamiątkę; dla każdego, który do niej przyszedł miała miłe słowo, każdego, który odchodził, długo oczy jej odprowadzały, a gdy księżna po dłuższych odwiedzinach z synem Hortenzyi odeszła, wzrok staruszki długo spoczywał na drzwiach. Czuła, że się z nimi na świecie już więcej nie spotka.

I te „nieme twarze“, koty i psy zawołała do siebie, głaskała je i pozwoliła Sułtanowi lizać rękę.

— Patrzcie na te zwierzęta jak są człowiekowi wdzięczne, — rzekła Babunia, — gdy im się krzywdy nie robi.

Potem zawołała Urszulę i przykazała jej:

— Gdy umrę, Urszulko, wiem, że już długo ze mną nie potrwa, bo mi się dziś w nocy śniło, że Jerzy po mnie przyszedł, gdy umrę, nie zapomnij obwieścić śmierci pszczołom, aby wam nie pomarły; nie zapomnij więc, bo ci drudzy by mogli zaniedbać.

Staruszka wiedziała, że Urszula rozporządzenie wypełni; bo służąca wierzyła, w co inni wierzyć już przestali; więc tem snadniej mogliby zapomnieć polecenia wypełnić, chociażby i babusina woleć chętnie chcieli wykonać.

Dwa dni później pod wieczór zaczęła Babunia dogorywać.

Baśka przepowiadała umierającej modlitwy konających; staruszka powtarzała słowa za dziewczyną; na raz zamilkła; oczy wlepione w krucyfiks zawieszony na ścianie stanęły słupem — nagle oddech ustał.

Zycie zgasło jak gaśnie pomału dopalająca się świeca, która palidło swe zjadła.

Baśka zamknęła umarłej powieki; młoda Miłowa otworzyła okno, „ażeby dusza miała wolną drogę do odlotu“. Urszula nie zatrzymała się ani chwili pomiędzy płaczącymi, lecz pospieszyła do pasieki i pukając po trzykroć w każdy ul, powtarzała:

— Pszczółki, miłe pszczółki, zwiastuję wam, że nam Babunia umarła!

Potem usiadła na ławce pod bzem i rzewnie szlochać poczęła.

Pan leśniczy kroczył raźnie drogą do Zernowa, aby kazać zadzwonić w „konający dzwonek“. Sam się do tej przysługi ofiarował, bo było mu duszno w izbie. Chciał być sam, aby swobodnie płakać.

— Brakowało mi Wikci; jak mi będzie bez Babuni? — mówił do siebie.

Gdy dzwonek konających zadzwonił, głosząc wszystkim ludziom, że Babunia umarła, zapłakała cała dolina.

W trzeci dzień rano odbył się pogrzeb. Kondukt był bardzo liczny, bo wszyscy, którzy Babunię znali, chcieli staruszce oddać ostatnią przysługę, a gdy się pochód pogrzebowy zbliżył do zamku, biała ręka odsunęła ciężkie firanki, księżna stanęła w oknie i dopóki kondukt widać było, dopóty oczy jej smutne nań spoglądały, potem spuściła firankę i głęboko wzdychając, rzekła:

— Szczęśliwa niewiasta!

K O N I E C.
